

Znasz „Kod Leonarda da Vinci”?
Myślisz, że wiesz już wszystko?

TOMASZ SERZYSKO

DEMONY

OKSYTANII

Tajemne znaki,
zagadkowe morderstwa
i stowarzyszenie,
które nie cofnie się
przed niczym...

LIRA
WYDAWNICTWO

TOMASZ SERZYSKO

**DEMONY
OKSYTANII**

L I R A
WYDAWNICTWO

WARSZAWA 2023

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2023
© Copyright by Tomasz Serzysko, 2023

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora
Redakcja: Małgorzata Piotrowicz
Korekta: Renata Kufirska-Biegajło
Skład: Klara Perepłyś-Pajak

Projekt okładki: Grzegorz Araszewski/garasz.pl
Zdjęcia na okładce i źródła ilustracji: domena publiczna
Zdjęcie autora: © Aleksandra Bryła

Producenci wydawniczy:
Anna Laskowska, Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz

Wydawca: Marek Jannasz






Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67654-15-9 (EPUB); 978-83-67654-16-6 (MOBI)

Lira Publishing Sp. z o.o.
al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa

L i R A
WYDAWNICTWO

www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:     

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

 **publio**

SPIS TREŚCI

Dedykacja

Fakty

Wstęp

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Posłowie

Przypisy

*Dla Aleksandry
za uświadomienie, że od szczęścia
dzieli nas czasem jedna wiadomość*

*Demony umieją sprawiać,
by ludzie postrzegali rzeczy nieistniejące tak,
jak gdyby istniały one naprawdę.*
Laktancjusz

*Dalibóg, rzeźba jest nowa – stworzyłem ją
bowiem dziś w nocy, śniąc o dziwnych miastach –
sny są zaś starsze niżli zadumany Tyr,
zamyślony Sfinks, niżli wiszące ogrody Babilonu.*
Howard Phillips Lovecraft, *Zew Cthulhu*

FAKTY

Compagnie du Saint-Sacrement – tajemne stowarzyszenie Kościoła katolickiego założone w 1630 roku przez Henriego de Lévisa, rekrutujące swych członków w przeważającej liczbie spośród duchownych zakonu jezuitów. W późniejszych latach przyjmowało w swe szeregi również ludzi świeckich, zwłaszcza tych wysoko postawionych. Na określenie stowarzyszenia jego członkowie w rozmowach między sobą używali francuskiego słowa *assemblée*, oznaczającego zgromadzenie, lub enigmatycznego skrótu AA. O ile o samej organizacji wiemy sporo – głównie za sprawą René de Voyera d’Argensona, który w traktacie *Annales de la Compagnie du Saint-Sacrement* obszernie przedstawił jej historię – o tyle rozwinięcia powyższego skrótu po dziś dzień nie dane nam było poznać. Wiadomo natomiast, że najbardziej ortodoksyjni członkowie Towarzystwa Świętego Sakramentu byli rekrutowani do formacji zwanej *Sainte Milice*. Utworzona z myślą o wspólnym praktykowaniu żarliwych modlitw sekcja Świętej Milicji z czasem w coraz większym stopniu angażowała się w sprawy wspólnoty, choć podejmowane przez nią działania nie są w pełni znane. Przyczyna nietypowej dyskrecji obowiązującej w szeregach Towarzystwa pozostaje dla nas zagadką. Choć oficjalnie rozwiązano je w 1666 roku, za rządów Ludwika XIV, nieformalnie istniało jeszcze przez co najmniej trzysta lat, a jego członkowie działali przez ten czas w wielu miastach Francji. I – być może – działają do dzisiaj...

WSTĘP

*RENNES-LE-CHÂTEAU, POŁUDNIOWA FRANCJA,
21 STYCZNIA 1917 ROKU, GODZINA 23.00*

Od ponad godziny Jean Rivière siedział przy biurku w posiadłości przy Rue de la Salasse. Wynajął pokój tylko na dobę; był pewny, że jego gościnna wizyta w małej mieścinie nie potrwa dłużej niż kilka godzin. Miał nadzieję wrócić do siebie jeszcze przed końcem dnia. Jednakże to, czego dowiedział się wcześniej tego wieczoru, pokrzyżowało mu plany i zmusiło do opóźnienia wyjazdu. Nigdy by nie przypuszczał, że jedna spowiedź wywróci całe jego życie do góry nogami.

Ślęczał nad kartką papieru, nerwowo ściskając w dłoni pióro. Co chwila zerkał na zegarek i odwracał się niespokojnie, jak gdyby czegoś się obawiając. Serce biło mu jak oszalałe, gdy rozdygotanymi dłońmi ocierał pot z czoła. Ale nie zamierzał się poddać. Wiedział bowiem, że jest jedyną osobą na świecie zdolną do przekazania potomnym sekretu człowieka, który najpewniej o świecie będzie już martwy.

– Muszą się dowiedzieć... – szepnął pod nosem tak cicho, że ledwo sam siebie dosłyszał.

Ostatnie pociągnięcie pióra. Ostatnia litera.

Zerwał się z krzesła, opuścił pokój i chwiejnym krokiem pokonał korytarz. Udał się schodami w dół i wyjrzał na zewnątrz. Mgła

zdążyła już opaść. Niedobrze – pomyślał. Ktoś mógłby go zauważyć. Rozglądnął się po ulicy i prędko dostrzegł, że w okolicy nie było żywej duszy. Zdecydował się podjąć ryzyko.

Refleks księżycy w kałużach. Przejmująca cisza z rzadka tylko przerywana cykaniem świerszczy.

Staął u wrót kościoła. Wyciągnął z kieszeni kartkę papieru i złożył ją wpół. W tamtej chwili nie był już spowiednikiem, a jedynie grzesznym posłańcem. Popełnił bowiem najcięższe przestępstwo kościelne, łamiąc *sigillum sacramentale*^[1]. Postąpił wbrew prawu kanonicznemu, żeby umierający mógł zaznać spokoju. Dla niego samego nie było już odwrotu. Uniósł wzrok i przeżegnał się.

Z duszą na ramieniu przestąpił próg kościoła, by powierzyć tajemnicę demonowi, który odtąd miał być jej strażnikiem przez następne sto lat.

ROZDZIAŁ 1

*CARCASSONNE, 45 KILOMETRÓW NA PÓŁNOC
OD RENNES-LE-CHÂTEAU,
22 KWIETNIA 2017 ROKU, GODZINA 6.30*

– Proszę opowiedzieć raz jeszcze, co zdarzyło się ubiegłej nocy.

Wielebny Auguste Babineaux kurczowo zacisnął dłonie, usłyszawszy to pytanie po raz trzeci w ciągu ostatnich dwóch godzin. Poczuł ukłucie w klatce piersiowej, a serce podeszło mu do gardła na myśl o tym, że jest zmuszony po raz kolejny przywołać wspomnienie z zeszłego wieczoru. Nerwowo przełknął ślinę i rozchylił wargi, ale nie wyrzekł nic, jak gdyby w jednej chwili uświadomił sobie, że słowa nie są w stanie opisać tego, czego doświadczył. Napił się wody ze szklanki stojącej na stole, po czym sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej chustkę i przetarł nią twarz. Następnie wstał bez słowa i powoli skierował się w stronę drzwi, po czym udał się wzdłuż korytarza prowadzącego do wyjścia z komisariatu przy alei Henriego Goûta w Carcassonne.

Siedzący naprzeciw inspektor François Malinot nie pojął zrazu zaistniałej sytuacji. Obrócił się na krześle i spojrzał w lustro weneckie, zza którego przesłuchanie uważnie obserwował dziennikarz Jérémie Blanc. Policjant wzruszył ramionami, nie komentując zachowania księdza. Po dwunastu godzinach spędzonych w pracy nie miał już sił dociekać motywów

irracjonalnych urojeń proboszcza kościoła w Rennes-le-Château. Zebrał leżące na biurku papiery, których większość stanowiły materiały dostarczone mu przez Blanca. Pokryte plamami od kawy wycinki artykułów z gazet ułożył na spód, a obydwie protokoły ze wstępnego przesłuchania Babineaux, sporządzone przez dwóch niezależnych policjantów przed jego przybyciem, umieścił na wierzchu.

Podwójny wywiad zwykle nie był rutynowym postępowaniem, bowiem wykonywano go jedynie w przypadku, gdy istniały wątpliwości co do wiarygodności świadka. Mogło mieć to miejsce tylko w dwóch sytuacjach; po pierwsze – gdy przesłuchiwany mijał się z prawdą, po drugie zaś – kiedy opowiadał tak niestworzone historie, że trudno było w nie uwierzyć. Babineaux reprezentował ten drugi typ świadka.

Zarówno Malinot, jak i jego podwładni byli świadomi powszechnego zainteresowania opinii publicznej i mediów dziwnymi doniesieniami płynącymi z Rennes-le-Château w przeciągu ostatnich trzech miesięcy. I chociaż to nie komisariat przy alei Henriego Goûta miał pierwotnie zajmować się tą sprawą, ostatecznie to właśnie na barkach pracujących tam policjantów spoczął obowiązek prowadzenia owego śledztwa.

Jakby zamieszanie wokół całej sprawy było małe, Blanc – jako wieloletni przyjaciel Malinota – nalegał na przesłuchanie Babineaux w jego obecności. Pomimo sympatii inspektora do dziennikarza nie było mu to na rękę. Jakikolwiek artykuł w „La Gazette du Sud-Est” niósł bowiem za sobą groźbę rozszerzenia się zainteresowania śledztwem poza mury miasta, na co nie można było pozwolić. W związku z tym wszelkie działania podejmowane przez lokalną policję musiały odbywać się w największym sekrecie, a wszystkie informacje rzucające nowe światło na sprawę musiały

pozostać poufne. Nietrudno zatem domyślić się, że Malinot – pomimo niezrozumiałej zgody, jaką wyraził na udział Blanca w przesłuchaniu – odetchnął z ulgą tuż po nagłym opuszczeniu pokoju przez Babineaux.

Inspektor zerknął raz jeszcze na zeznania księdza. Tylko głupiec by w to uwierzył – pomyślał, po czym wstał zza biurka i opuścił pomieszczenie. Na korytarzu czekał już na niego Blanc.

– Chcę zobaczyć zeznania.

– Prośba równie bezczelna, co ton, jakiego używasz wobec inspektora francuskiej policji – odparł Malinot, niewzruszony zuchwałym żądaniem Blanca. Nie zamierzał zwalniać kroku. – Chciałeś być przy przesłuchaniu. Dostałeś to, o co prosiłeś, a teraz daj mi spokój, bo muszę odpocząć. To był długi dzień.

– Nie rozumiesz. – Dziennikarz zagroził mu drogę, ironicznie się uśmiechając. – Ta sprawa...

– Ta sprawa nie jest twoją sprawą! – przerwał mu Malinot. Miał już dość węszących wszędzie dziennikarzy. – Myślisz, że to zabawa? Zachowujesz się jak dziecko próbujące ułożyć puzzle, w których brakuje paru elementów. Nie dostaniesz ich. – Ominął Blanca i ruszył przed siebie. Dziennikarz jednak nie ustępował.

– Otwórz wreszcie oczy, François! – wrzasnął, przesadnie gestykując, jak to miał w zwyczaju. – Trzy zabójstwa w ciągu trzech miesięcy...

– Dwa zabójstwa – poprawił go Malinot. – Babineaux żyje.

– Kwestia czasu – roześmiał się Blanc. – Naprawdę uważasz, że te sprawy nie są powiązane? Dwóch księży, ba, proboszczów tej samej parafii ginie w krótkim odstępie czasu, a gdy trzeci przychodzi błagać o pomoc, jego obawy zostają zbagatelizowane. Niech zgadnę, mówił to samo, co dwóch poprzednich? Opowiedział tę samą niepojętą historię, której francuska policja nie uznała

za wystarczająco wiarygodną, nawet kiedy usłyszała ją z trzech różnych ust? Myślicie, że zamknięcie Ebelinga, tego organisty, załatwiło sprawę? Najwidoczniej nie, skoro on siedzi w więzieniu, a kolejny klecha zgłasza się do was. Kto jeszcze musi umrzeć, żebyście wreszcie wzięli się do roboty?! – Ostatnie zdanie niemalże wykrzyczał. Malinot nie wytrzymał.

– Posłuchaj mnie uważnie, Jérémie. – Odwrócił się i spojrzał mu prosto w oczy, zbliżając się na odległość wystarczającą, aby czuli swe oddechy. – Nie interesuje mnie twoja praca i nie będę narażał śledztwa tylko po to, żebyś napisał kolejny artykuł, który będziesz mógł oprawić w ramkę i powiesić na ścianie. Jeszcze chwila i o tej historii dowie się cała Francja, a wtedy ty nie będziesz już miał monopolu na tę sprawę, a mnie żandarmeria zwali się na głowę. Masz więc wybór: albo poczekaasz, aż zakończymy śledztwo i wtedy machniesz siedmiostronicowy, trzymający w napięciu artykuł o tym, jak całe Carcassonne żyło w strachu przez trzy miesiące, ale dzielni policjanci położyli kres tajemniczemu morderstwu, albo napiszesz teraz krótką notkę i za dwa dni będziemy tu mieli dziennikarzy z całej Francji. A wtedy stracisz swoją kurę znoszącą złote jajka! – powiedział niemal jednym tchem, po czym cofnął się, odwrócił i rzucił za siebie: – I nie chcę przeczytać o tym w jutrzejszym wydaniu „La Gazette du Sud-Est”.

Dziennikarz westchnął. Na korytarzu rozległy się kroki odchodzącego Malinota. Wbrew przestrodze inspektora Blanc nie zamierzał jednak odpuścić. Na pewno nie teraz, kiedy trafiła mu się taka sprawa. Mimo całej irytacji, jaką wypełniła go wymiana zdań z policjantem, musiał przyznać, że ten znał go jak nikt inny. Inspektor doskonale wiedział, że ambicja młodego dziennikarza nie pozwoli mu wypuścić z rąk takiej szansy. Rozmowa z Malinotem uświadomiła Blankowi, że to wszystko jest bardziej

skomplikowane, niż myślał. Dotarło do niego, że sam nie da sobie rady. Potrzebował pomocy.

– Źle ci było? – wykrzyczał za inspektorem, gdy ten miał już zniknąć za progiem swojego gabinetu. Malinot tylko rzucił mu spojrzenie wyrażające zażenowanie, którego powody znali jedynie oni dwaj.

Blanc wyciągnął z kieszeni marynarki wykałaczkę i włożył ją pomiędzy wargi. Odwrócił się i odszedł.

ROZDZIAŁ 2

Po wejściu do swojego gabinetu Malinot rozsiadł się w fotelu, splótł ręce na głowie i zastygł w tej pozycji. Po kilku sekundach rozprostował kark i sięgnął po telefon komórkowy. Wybrał spośród wielu kontaktów numer, po czym przyłożył telefon do ucha.

– Adrien, niech ktoś odwiezie tego księdza do domu – powiedział niemal natychmiast, gdy usłyszał głos swojego podwładnego po drugiej stronie. – Powinien być jeszcze gdzieś w pobliżu, poszukajcie na Henriego Goûta.

Rozłączył się. Przez jego głowę przemknęła spontaniczna lawina niepojętych myśli, której nie był w stanie zatrzymać. Nie potrafił pojąć, jaki rodzaj szaleństwa wiedzie siedemdziesięcioletniego, schorowanego klechę czterdzieści pięć kilometrów z położonej pomiędzy postrzępionymi pasmami górskimi zaściankowej miejscowości departamentu Aude do średniowiecznego miasta Oksytanii. Rozmyślał, jaki rodzaj obłądu musiał zawładnąć umysłem proboszcza, że podejmuje on wędrówkę wzdłuż wąskiej drogi otoczonej lasami i polami tak rozległymi, że nawet w przepojonym nocną aurą blasku księżycy na bezchmurnym niebie trudno szukać ich końca. Nie umiał rozstrzygnąć, czy irracjonalność postępowania księdza może stanowić niepodważalny dowód na słuszność jego zeznań. Jeśli tak, to czy Malinot – ograniczony francuskim systemem prawnym, w którym prym wiodą sztywne reguły i nie ma miejsca na dowolność – może przyznać mu rację?

Przytłaczające go myśli związane ze śledztwem przeplatały się ze sprawami osobistymi, których Malinot do tej pory unikał jak ognia. Nigdy bowiem nie przywiązywał wielkiej wagi do własnego życia prywatnego, a wszelkie emocje dusił w zarodku, gdy tylko czuł, że mogą nim zawładnąć. Ale teraz pojawił się on, Jérémie Blanc, którego postać budziła w inspektorze skrajne uczucia, i w którego obecności z niezrozumiałych względów nie potrafił zachowywać się racjonalnie. Być może Malinot nie różnił się tak bardzo od targanego niedorzecznymi urojeniami księdza, a odmiennosc ich obaw wynikała z odmiennego stosunku do wiary, której inspektor nie ufał? Każdy musi zmagać się ze swoimi demonami – przemknęło mu przez myśl.

Dźwięk telefonu przerwał niekończące się rozmyślenia.

– Inspektorze, musi pan to zobaczyć... – powiedział Adrien Cartier, z którym Malinot rozmawiał kilka minut wcześniej.

– Jeśli go znaleźliście, odwieźcie go po prostu do domu, nie mam już sił na...

– Spotkałem go, ale naprawdę nalegam, żeby pan tu przyszedł – wyrzekł z niepokojem w głosie Cartier. Inspektor westchnął ciężko, żeby rozmówca pojął jego niezadowolenie.

– Dobra, biorę kluczyki i jadę...

– To nie będzie konieczne, jesteśmy pod komisariatem.

Malinot zmarszczył brwi; zastanawiało go, czy ten dzień kiedyś się skończy.

– Zaczekajcie.

Zarzucił marynarkę na ramiona i owinął się szalem, po czym opuścił swój gabinet. Skierował się w stronę wyjścia, mijając po drodze jednego z policjantów, który rzucił mu dziwnie niepokojące spojrzenie. Inspektor zlekceważył to jednak i szedł dalej, by po chwili dotrzeć do drzwi frontowych. Pchnął je – poczuł,

jak opór ustępuje niewspółmiernie lekko do użytej przez niego siły. W tym samym momencie drzwi się uchyliły, a zza nich wyłoniła się sylwetka postaci, którą Malinot zapamiętał zgoła inaczej z rozmowy sprzed pół godziny.

– Proszę mnie wypuścić... Ja nie mogę tam wrócić... Proszę... – wyjąkał Babineaux, który w żaden sposób nie przypominał owego spokojnego, cichego klechy, z którym inspektor bezskutecznie próbował rozmawiać wcześniej tego poranka. Nagle proboszcz jednym ruchem otworzył drzwi na oścież i wparował do środka, jak gdyby gnany naprzód przez niewidzialną siłę, której obecność wyczuwał tylko on jeden. Malinot odruchowo odsunął się i oparł o ścianę, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie zobaczył.

Babineaux, którego nienagannie ułożone, siwe włosy delikatnie spływały wcześniej po ramionach, był teraz kompletnie łysy, a spod podartej miejscami odzieży kapały krople krwi, które klecha nieumyślnie rozsmarowywał po podłodze. W jego na wpół rozpiętej sutannie brakowało koloratki – zamiast niej pod szyją widniały trzy pręgi ran, z których również obficie sączyła się krew. Na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie wrytych jakimś tępym narzędziem. Z kolei jego oczy, w których w czasie rozmowy z inspektorem można było spostrzec jedynie ledwie dostrzegalny niepokój, płonęły teraz ogniem hysterii. Takim ujrzał go Malinot, gdy lekkim pchnięciem otworzył drzwi.

– Proszę usiąść i się uspokoić! – rzucił Cartier, który wparował do komisariatu tuż za księdzem; po chwili dołączył do niego inny policjant. Adrien Cartier zwrócił się wówczas do inspektora: – Przepraszam, wpadł w jakiś szal, kiedy chciałem go odwieźć do Rennes-le-Château. Siedział pod latarnią na skrzyżowaniu przy Camille Desmoulins.

– A ta krew? – zapytał Malinot głosem pełnym zdumienia. – Jak on wygląda, co mu się stało?

– Nie wiem, inspektorze – odparł Cartier, z trudem oddychając. – Takiego już go znalazłem, nie chciał powiedzieć.

Ostatnich słów Malinot już nie zarejestrował. Całą swoją uwagę skupił bowiem na dźwięku migawki aparatu w telefonie, który dobiegł go zza pleców.

– Powiedziałem ci, żebyś tu nie węszył! – wycedził przez zaciśnięte zęby do zbliżającego się wolnym krokiem Blanca. Ten jedynie schował telefon do kieszeni i minął inspektora; kącki jego ust uniosły się w ironicznym uśmiechu, gdy otarł się ramieniem o Malinota. Opuścił komisariat, tym razem na dobre.

Tymczasem inspektor w mgnieniu oka stłamsił w sobie złość i uprzejmym gestem poprosił księdza, aby ten usiadł na jednym z krzeseł znajdujących się w poczekalni. Po kilku sekundach zastanowienia Babineaux niechętnie go posłuchał. Malinot natomiast zajął miejsce obok i dyskretnie nakazał swoim podwładnym, aby zostawili ich samych.

– Proszę się uspokoić – zwrócił się do niego życzliwym tonem. – W obecnej chwili naprawdę nerwy nie są wskazane.

– Ja... Ja nie wiem, jak to się stało – wymamrotał ksiądz, wodząc mętnym wzrokiem po poczekalni. – Tak szybko... Nic nie mogłem zrobić.

– Spokojnie, wszystko po kolei. – Łagodne słowa, jakimi teraz zwracał się do Babineaux, w niczym nie przypominały przepełnionego gorącością krzyku, którym chwilę wcześniej obdarował Blanca. – Przypomina sobie ojciec, kto mu to zrobił?

– Nie... Niczego nie pamiętam.

– A ostatnia rzecz, której ojciec jest pewien? Po wyjściu stąd, co się dalej działo? – zapytał Malinot dociekliwym tonem.

Zdecydował się odtworzyć drogę klechy od momentu, kiedy ten opuścił pokój, do czasu, gdy odnalazł go Cartier. A przynajmniej chciał spróbować.

– Ja naprawdę... Nic... Niczego nie pamiętam. – Gorączkowo przetarł twarz rękawem sutanny. – Tylko błysk... Błysk i muzyka... A pomiędzy nimi...

– Co pomiędzy nimi? – Inspektor zniżył głos.

– Słowa... *esem... esem... esem...* – wyszeptał. – Nic więcej, to wszystko, co pamiętam...

Malinot spuścił wzrok i wyprostował się na krześle. Dotarło do niego, że majaczenie księdza w niczym mu nie pomoże. Zdecydował się zakończyć rozmowę i wrócić do niej, gdy Babineaux dojdzie do siebie.

– Proszę się nie martwić. – Położył dłoń na jego ramieniu. – Osobiście zajmę się tą sprawą i doprowadzę ją do koń...

Przerwał. W momencie, gdy jego dłoń ześlizgnęła się po ramieniu klechy wprost na jego plecy, poczuł dziwnie ciepłą ciecz otulającą jego palce. Odruchowo cofnął rękę i spojrzał na nią – wówczas zorientował się, że chwilę wcześniej nieumyślnie brodził w ciemnoczerwonej posoce pokrywającej grzbiet Babineaux, z wolna teraz spływającej po jego palcach w dół na nadgarstek. Ujrzał, jak mankiet koszuli łapczywie pochłania krew, której strugi leniwie spływały na materiał.

– Proszę się odwrócić – rzekł do księdza neutralnym tonem. Gdy ten zastosował się do prośby Malinota, inspektor chwycił za brzegi na wpół rozdartej sutanny i pociągnął na boki, rozrywając ją aż do samego dołu. Wzdrygnął się na sam widok pleców Babineaux, szepcząc pod nosem: – Co jest...

ROZDZIAŁ 3

To, co tamtego poranka ujrzał inspektor francuskiej policji, François Malinot, na zawsze wryło mu się w pamięć. Nigdy wcześniej ani też nigdy później nie doświadczył widoku tak okropnego, aby na samą myśl o nim, nawet kilka lat po całym zdarzeniu, dostawać mdłości. Gdyby nawet istniało słowo mogące choćby w połowie oddać ogarniające go w tamtej chwili uczucie – mieszaninę obrzydzenia, strachu i niepokoju – inspektor nie byłby w stanie go użyć. W jednej chwili zdało mu się, że to, co ścisnęło go za gardło i sprawiło, że zaniemówił, jest tym samym doznaniem, które przywiodło Babineaux do komisariatu przy alei Henriego Goûta. Tym samym, które nie pozwoliło księdzu po raz trzeci powtórzyć swej historii prosto w oczy inspektora.

– Cartier, zabierz go do szpitala przy chemin de la Madeleine, niech dwóch naszych pilnuje go cały czas, rozumiesz? Cały czas – rzucił do młodego policjanta, tamten tylko kiwnął głową, nie dociekając, co ujrzał Malinot na plecach klechy.

Podczas gdy inspektor wolnym krokiem skierował się do swojego gabinetu, Adrien zbliżył się i wyciągnął dłonie w stronę Babineaux, chcąc pomóc mu wstać. Ten jednak niespodziewanie zerwał się z miejsca i rzekł do niego:

– Nie ma potrzeby, chłopcze, wszystko ze mną w porządku.

Niewypowiedziane zmieszanie ogarnęło obecnych. Jeszcze chwilę wcześniej zrozumienie bełkotu wydobywającego się

z zakrwawionych ust proboszcza kościoła w Rennes-le-Château graniczyło z cudem, a jego niezborne ruchy uniemożliwiały mu podjęcie jakiegokolwiek racjonalnego działania. Teraz natomiast stał przed nimi wyprostowany, sprawiając wrażenie jedynej opanowanej osoby w towarzystwie. I chociaż podarta sutanna oraz prawie całkowity brak włosów na głowie nadawały mu wygląd nieco groteskowy – brzmiał przekonująco. W porównaniu ze starcem nawet Malinot malował się teraz jako człowiek przygarbiony, niespełna rozumu i niedowierzający własnym oczom.

Do momentu wypowiedzenia przez księdza tej dziwnej kwestii inspektor zdążył już oddalić się od obecnych na kilka kroków. Jednakże usłyszawszy słowa klechy, powoli obrócił głowę i spojrzał za siebie, a w jego wzroku można było dostrzec brak sił na skonfrontowanie się z zaskakującym obrotem wydarzeń, którego był świadkiem. Nie domyślał się jednak, że największe zaskoczenie miało dopiero nadejść.

– Ojciec chyba żartuje – rzekł Malinot. – Nigdzie samego ojca nie puścimy. Nie z takimi ranami.

– Ranami? – odparł zdziwiony klecha, a jego głos był nie do poznania. – Zdaje mi się, że poczułbym, gdyby coś mi dolegało, chłopcze. Nic mi nie jest, naprawdę.

– Niech ksiądz sobie z nami nie pogrywa. – Inspektor stracił cierpliwość i przy końcu swej wypowiedzi był już obok Babineaux, wskazując, żeby ten się odwrócił. Starzec uczynił, jak mu kazano.

– Skoro trzeba – wyrzekł bez przekonania i stanął do Malinota tyłem. Ten jedynie odgarnął na bok krawędzie wcześniej rozdartej przez siebie sutanny i oniemiał.

– Co jest, szefie? – Dobiegł go głos jednego z policjantów, ale nie odpowiedział. Rozkazał zaprowadzić księdza do swojego samochodu, oznajmiając obecny, że sam odwiezie go do domu.

– A szpital? I co z Ebelingiem, mamy go wypuścić? – zapytał Cartier.

Nie wiedział, co bardziej go zdziwiło – nagła poprawa stanu zdrowia Babineaux czy dziwne zachowanie jego przełożonego. Zdawać by się mogło, że w tej całej sytuacji to właśnie wahania nastrojów klechy mogły budzić większe obawy i zaniepokojenie wśród postronnych osób. Postronnych, a więc takich, które nie znały François Malinota. Każdy, kto obcował z inspektorem na co dzień, wiedział, że jest on człowiekiem opanowanym, apodyktycznym i gorliwie trzymającym się swoich przekonań, nawet gdy owe nie były w pełni słuszne. Z tego powodu wycofanie się Malinota ze swojego wcześniejszego pomysłu zastanowiło Cartiera i zmusiło go do zadania pytania, na które jednak nie otrzymał odpowiedzi. Inspektor zniknął za zakrętem korytarza prędej, niż ktokolwiek zdążył spostrzec. Policjanci odprowadzili księdza do stojącego nieopodal komisariatu Peugeot 207, przy którym zaczęli wraz z nim na Malinota.

Ciekawość kazała Adrienowi Cartierowi zerknąć na plecy proboszcza parafii w Rennes-le-Château, gdy ten kierował się w stronę wyjścia. Pośród postrzępionych brzegów sutanny duchownego nie dostrzegł jednak niczego godnego uwagi.

ROZDZIAŁ 4

Zbyt wiele myśli kotłowało się w głowie Malinota, aby był w stanie po prostu skupić się na jeździe. Pędził wtenczas wąską Route de Limoux, biegnącą krętym szlakiem wzdłuż rzeki Aude. Po swojej prawej stronie miał te same rozległe lasy, które kilka godzin wcześniej mijał roztrzęsiony Babineaux, nieświadomy wówczas, że przyjdzie mu wracać w już zgoła innym nastroju. Trudno tu jednak mówić o jakiegokolwiek odczuwalnej poprawie. Klecha sprawiał bowiem wrażenie, że zupełnie nie pamięta, co tak właściwie przywiodło go do miasta i – co bardziej istotne – w jakim stanie tam się znalazł.

Trudno powiedzieć, czy inspektora bardziej irytowała obecność zadowolonego z siebie staruszka na tylnym siedzeniu, wesoło pogwizdującego i liczącego wiatraki mające w oddali, czy to, że po raz pierwszy od dawna wróci do domu z poczuciem, że nie wypełnił swojej powinności. Ile by dał, żeby cała ta historia z rana nigdy się nie wydarzyła, a sprawa zabójstw z Rennes-le-Château była wciąż jedynie kolejnym leniwie toczącym się śledztwem, którego akta zapewne utoną w stosie innych spraw o wiele mniej istotnych, ale za to liczniejszych i łatwiejszych. Jednakże w obecnej sytuacji sprawa dwóch zaginionych proboszczów kościoła Świętej Marii Magdaleny przybrała kolosalne rozmiary w oczach Malinota, który nie był w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o dziwnych znakach, którymi opatrzone były plecy Babineaux przez

krótką chwilę – tak krótką, że tylko jemu udało się je dostrzec. Tak właśnie uważał – ani przez sekundę nie przeszła mu przez głowę myśl, że być może to były urojenia, nieprzespana noc, złe samopoczucie lub rozkojarzenie po rozmowie z dziennikarzem, który nieprzerwanie patrzył mu na ręce i żądał od niego sensacji. Ot, odnalazł ją, specjalnie dla Blanca! Oto ukazała mu się na krótką chwilę, po czym zniknęła w okamgnieniu. Próżno było jej szukać, jak gdyby nigdy nie istniała... Nie, ona tam była! A skoro była wtedy, to musi być i teraz.

– Niech ksiądz wysiądzie. – Zahamował gwałtownie sekundę przed wypowiedzeniem tych słów. Zerknął w lusterku na tylne siedzenie.

– Chyba jeszcze nie dojechaliś...

– Nie! Nie dojechaliśmy, zaraz dojedziemy, ale teraz wysiadamy, no już! – Wyjątkowo niecierpliwie otworzył drzwi od swojej strony i zrobił kółko wokół samochodu tak, że po sekundzie był już przy drzwiach Babineaux. Uchylił je, a ksiądz, który do tej pory czuł się wyjątkowo swobodnie w towarzystwie inspektora, spojrzał na niego z niepokojem. Opuścił samochód i stanął przed Malinotem lekko zgarbiony.

– Proszę się odwrócić – rzekł nieco bardziej oficjalnym tonem niż przed kilkunastoma sekundami.

– Jeśli tak trzeba... – wymamrotał Babineaux, zupełnie zaskoczony nagłym obrotem spraw.

Powtórzyła się sytuacja sprzed trzydziestu minut i Malinot ponownie rozchylił brzegi sutanny księdza. Tym razem jednak wiedział, czego szukać i żaden widok nie był w stanie wpędzić go w tak wielkie oszołomienie, jak to miało miejsce w komisariacie. Z wolna odgarnął strzępy sukni, które splątane ze sobą częściowo zamykały dostęp do pleców Babineaux. Wreszcie je ujrzał, ale –

ku jego rozczarowaniu – nie było na nich śladu po tym, co przyszło mu zobaczyć za pierwszym razem. Były czyste, nieskazitelne, bez skazy, *sincère*.

Z wolna się cofnął, a gdy to uczynił, słońce – które do tej pory pozostawało ukryte za gęstymi porannymi chmurami – przemknęło w ułamku sekundy pomiędzy dwoma obłokami, oświetlając przez krótką chwilę niewielki fragment ciała Babineaux wystający pomiędzy brzegów sutanny. Ten jeden moment wystarczył, aby w inspektorze ponownie rozbudziła się nadzieja na udowodnienie samemu sobie, że się nie mylił.

– Proszę to zdjąć, szybko! – krzyknął do klechy, gdy ten miał już szczerą chęć wracać do samochodu i kontynuować podróż.

– Ale niech pan mi powie dlaczego.

– No już! Zaraz znowu zaświeci! – Tym razem nie czekał, aż ksiądz zareaguje; doskoczył do starca jednym susem i sam zdarł z niego resztki sutanny. Niemal w tej samej chwili odwrócił go w stronę wschodu, gdzie nad pagórkami i lasami przepasanymi wstęgą delikatnej mgły unosiło się słońce, jak na razie schowane za obłokami.

– Co pan robi?! – wycedził Babineaux.

– Czekamy. – Malinot nie silił się na tłumaczenia. Zamiast tego z niecierpliwością wyczekiwał następnego przebłysku światła. Wtenczas gdzieś w oddali ujrzał falę jasności, pędzącą wprost na nich. Zdało mu się, że samą tylko siłą woli rozgonił chmury, robiąc miejsce kolejnemu promieniowi słońca.

Czas dłużył się nieubłaganie, gdy stali tak obaj bez ruchu. Malinot przygnieciony własnymi myślami nie odbierał żadnych bodźców z wyjątkiem wzrokowych. Nie docierały do niego nawet marudzenia Babineaux, a dłoń, którą trzymał na ramieniu klechy, z każdą sekundą zaciskała się coraz mocniej. Wreszcie, gdy światłość

przesuwająca się po ziemi była już nie więcej niż kilka metrów od nich, Malinot uwolnił starca z uścisku, a sam odsunął się i spojrzał na jego plecy.

Choćby sprowadzić na to wyjąłowane południowym słońcem pole całą rzeszę ateistów, chrześcijan, religioznawców, teologów, fizyków i reszty świeckich uczonych, żaden z nich nie byłby w stanie wytłumaczyć tego, co właśnie zobaczył Malinot. Jednak bez względu na to, jak bardzo racjonalnym i trzeźwo myślącym człowiekiem był inspektor, nie mógł on w żaden sposób zaprzeczyć swemu odkryciu. Powoli ustawił się naprzeciw stojącego tyłem do niego księdza i wnet przypomniał sobie, jak wyglądały jego plecy, gdy po raz pierwszy je ujrzał.

Poszargane, jak gdyby wyrzyte dłutem w ciele schorowanego starca rany ociekały czarną, lakowatą, ciągliwą krwią, która była zbyt gęsta, aby oderwać się od powierzchni skóry i swobodnie opaść na posadzkę. Zagłębienia, którymi usiane były plecy klechy, wypełniało białe robactwo, wypełzające z wolna z ich wnętrza, by po chwili na powrót zanurzyć się w głąb szczelin. To jednak nie krew ani rany napawały wówczas Malinota obrzydzeniem – to dynamika obrazu najgorszego plugastwa, jakie przyszło mu kiedykolwiek zobaczyć. To wcale nie troska o zdrowie księdza nakazała inspektorowi wydać rozkaz o zabraniu go do szpitala. To paskudny akt spowitych czarną posoką resztek ludzkiego ciała zsynchronizowany z odgłosem taplających się w niej larw podświadomie kazał mu odsunąć od siebie niebezpieczeństwo i wysłać Babineaux jak najdalej od niego.

Jednakże były to tylko wspomnienia. Obraz, który ukazał się Malinotowi w chwili, gdy światło padło na plecy proboszcza, w niczym nie przypominał tego sprzed ponad pół godziny.

Gdy promień wschodzącego słońca objął plecy Babineaux, przez krótką chwilę nie działo się nic. Inspektor zmarszczył wówczas brwi i z wielkim niepokojem zaczął wodzić wzrokiem po każdym centymetrze skóry księdza, starając się dostrzec choćby ułamek okropieństwa, które ujrzał wcześniej. Niczego takiego jednak nie zobaczył. Zwrócił natomiast uwagę na niejednolity odcień skóry Babineaux, która miejscami z każdą chwilą stawała się jaśniejsza, formując dziwaczne wzory przypominające blizny, które zdawały się odbijać padające na nie światło. Różnica ta z początku nie była wyraźna, jednak z czasem nie dało się jej przeoczyć. Wszystko trwało nie więcej niż kilkadziesiąt sekund, po których słońce znów schowało się za chmurami, a osobliwe blizny zniknęły w jednej chwili.

Malinot zbliżył się do księdza, który przez cały czas trwania tego dziwnego zjawiska pozostawał w bezruchu, nie będąc świadomym, jak wielki spektakl rozgrywa się właśnie na jego ciele. Klecha odwrócił się z wolna i zakrył ramiona resztkami sutanny. Wyglądał na zmęczonego, choć inspektorowi ciężko było ocenić jego stan, gdy sam wciąż pozostawał pogrążony w głębokim zdumieniu. Bez słowa wskazał księdzu miejsce na tylnym siedzeniu samochodu. Zatrzasnął za nim drzwi, a sam usiadł z przodu. Odpalił silnik i ruszył przed siebie.

Nie odezwał się już ani słowem aż do samego Rennes-le-Château. Nawet nie skupiał się na drodze. Był w stanie myśleć jedynie o tym, co ujrzał na plecach starca.

ROZDZIAŁ 5

Ostatni zakręt przed wjazdem do miasta. Gdyby tylko Malinot nie pozostawił myśli daleko za sobą na brukowanej drodze gdzieś pomiędzy Couffoulens a Cornèze, ujrzałby teraz majaczące w oddali, spowite mętnym powietrzem pagórki, u podnóży których w nieregularnych odstępach leżały niewielkie miejscowości o nazwach znanych jedynie tutejszym. Wlokąc się w górę wąskiej drogi, nie zwracał uwagi na bijące w oczy poranne słońce, którego promieni tak bardzo pragnął jeszcze kilkanaście minut wcześniej. Nie był jednak pewny, czy przyniosły mu one satysfakcję, czy raczej jeszcze bardziej utwierdziły w przekonaniu, że nie ma pojęcia o prowadzonym przez siebie śledztwie.

Beznadziejną sytuację Malinota potęgowało to, że żadna z rzeczy, które ujrzał w przeciągu ostatnich dwóch godzin, nie mogła być uznana za dowód w sprawie morderstw proboszczów kościoła Świętej Marii Magdaleny w Rennes-le-Château. Ani bowiem jego abstrakcyjne objawienia, ani tym bardziej irracjonalne zeznania Babineaux nie mogły zostać włączone do materiału dowodowego. Co więcej – żadna z tych rzeczy nie była wystarczająco wiarygodna, aby mogła zostać przedstawiona opinii publicznej lub przełożonym Malinota w Tuluzie. I chociaż sporządzono protokół z przesłuchania księdza, on również był zbyt fantastyczny, aby mógł pomóc w rozwikłaniu sprawy.

Jedyną poszlaką, na której mógł polegać inspektor, była postać Babineaux. Twierdząc tak, nie miał jednak na myśli ani jego zeznań, ani tego, że ksiądz najprawdopodobniej jakimś cudownym sposobem umknął śmierci albo – jak wolał myśleć Malinot – odwlókł ją w czasie. Najcenniejsze dla policjanta było bowiem ciało klechy, które zdawało się pomostem pomiędzy nim a czymś, czego pochodzenia nie był w stanie na ówczesną chwilę ustalić. Z tego powodu musiał za wszelką cenę utrzymać Babineaux przy życiu.

Wąska droga prowadziła ich pośród pokrytych wyblakłą dachówką domów o kremowo-beżowych ścianach. Na pierwszym z nich, tuż po prawej, jeszcze przed wjazdem do miasteczka, Malinot ujrzał tablicę z napisem:

Les fouilles sont interdites sur le territoire de la commune de Rennes-le-Château^[2]

W rzeczy samej – przed laty roiło się tu od poszukiwaczy tanich sensacji, jak zwykł nazywać ich inspektor. Przyjeżdżali zazwyczaj wieczorami, rozbijali namioty na stromych wzniesieniach, na których położone było miasto, i czekali, aż domostwa ogarnie ciemność, a ostatni mieszkańcy ułożą się do snu. Wówczas rozpoczynali swój zbrodniczy proceder. Brak było jednak jakiegokolwiek zamysłu w ich działaniach, bowiem kopce rozsiane były niemalże wszędzie: na podwórkach, pod wieżą Magdala, a szczytem wszystkiego było rozkopanie ogródka, w którym rosły cukinie. Wtenczas nawet pomimo młodego wieku Malinot doskonale rozumiał zainteresowanie turystów miastem, sam jednak nigdy nie podzielał ich entuzjazmu. Rennes-le-Château było dla niego jedynie miejscem spędzania weekendów. Uwielbiał to niewielkie miasteczko, ale nie za jego historię. W znacznie większym stopniu doceniał bowiem otaczające je wzniesienia

o nierównych zboczach, pokryte wypłowiąłą od południowego słońca roślinnością, która wówczas wydawała mu się cenniejsza od jakiegokolwiek skarbu znanego ludzkości.

Skłamałby jednak, gdyby powiedział, że wszechobecna aura pogoni za bogactwem nie miała na niego żadnego wpływu. W rzeczy samej pociągał go zapach tajemnicy, której nikt nie odkrył, chociaż wielu próbowało. I teraz – kiedy po raz pierwszy od dwudziestu paru lat odwiedził to miejsce – poczuł go ponownie.

Może wydawać się dziwne, że nawet w obliczu toczącego się od trzech miesięcy śledztwa nie znalazł czasu na osobiste przesłuchanie mieszkańców Rennes-le-Château. Zdecydował się w tej kwestii polegać na swoich podwładnych, ale najwidoczniej nie przyniosło to zadowalających rezultatów. Nagle uświadomił sobie, że popełnił błąd, który być może kosztował życie dwóch księży, jednak nie zamierzał się tym zadręczać. Jeden klecha wciąż był przy życiu i w obecnej sytuacji najważniejsze było utrzymanie go w tym stanie przynajmniej do momentu rozwikłania sprawy. Żadnych więcej błędów – poprzysiągł sobie.

Nagle droga zwężyła się i wjechali pomiędzy budynki, których ściany przylegały bezpośrednio do jezdni, tak że nie było miejsca na pobocze. Po chwili ujrzeli z prawej strony klepisko, na którym stały dwa samochody kempingowe. Po lewej stronie, w budynku wyglądającym na dawną oborę, znajdowała się restauracja Anges et Licornes o żółtych drzwiach wejściowych. Dalej, po prawej stronie wzdłuż drogi ciągnął się murek, za którym niewielkie krzewy przysłaniały częściowo Château des Hautpoul, którego pobrużdżone ściany z dwóch stron okolone były wieżami o sklepieniach z czerwonych dachówek.

Im dalej brnęli w głąb miasteczka, tym bardziej przypominało ono to, co już widzieli. Kolejne domy z zewnątrz niczym nie różniły

się od tych, które mijali wcześniej. Malinot, znudzony powtarzającymi się widokami, z niecierpliwością czekał na miejsce, w którym Grand Rue rozwidła się na dwie ścieżki. Jedna z nich prowadziła pod kościół Świętej Marii Magdaleny. Gdy dotarł w końcu do skrzyżowania, skręcił w prawo i po chwili zatrzymał samochód, blokując ulicę wiodącą do kościoła.

Wysiedli. Auguste Babineaux nie był już w tak dobrym nastroju, jak przed kilkunastoma minutami, kiedy Malinot niemal siłą wyciągnął go z auta. Z wolna otworzył drzwi, uważając przy tym, aby nie uderzyć nimi o ścianę budynku. Wygramolił się na zewnątrz i spojrzał w niebo, jak gdyby szukając odpowiedzi na pytanie, co począć dalej. Nie otrzymawszy takowej, spojrzał na Malinota lęklwym wzrokiem. Inspektor nie był skory do rozmowy, toteż klecha ze spuszczoną głową udał się po cichu w stronę świątyni. W tym czasie Malinot wyjął z kieszeni marynarki telefon komórkowy i zadzwonił do Adriena Cartiera, każąc mu wysłać do Rennes-le-Château dwóch funkcjonariuszy, którzy dwadzieścia cztery godziny na dobę mieli nie spuszczać Babineaux z oczu. Następnie podążył śladem księdza, kierując się w stronę kościoła. Stał przed wejściem, które okryte drewnianym daszkiem wspartym na kamiennych filarach znajdowało się we wnętrzu budynku.

Nie wchodził do środka, a jedynie zerknął pobieżnie na fasadę świątyni, po czym spuścił wzrok w dół na portal. Nie był imponujący. Można by wręcz rzec, że jego prostota odstraszała potencjalnych gości przed wejściem do kościoła. Jak gdyby cichym głosem szeptała im do ucha: *odejdz, niczego tu nie znajdziesz*. Były to jednak zwodnicze podszepty. W istocie inskrypcje na portalu były wyjątkowo skomplikowane, ale Malinot w żaden sposób nie

potrafił pojąć ich przesłania. Zrezygnowany zawiesił wzrok na jednym z napisów – tym najbardziej oczywistym.

– Straszne miejsce, prawda? – Nagle zerwał się wiatr, a inspektorowi zdało się, że usłyszane przez niego słowa były jedynie zlepkiem głosek wypowiedzianych gdzieś daleko stąd, a przytarganych w to miejsce przez powiew porannego wiatru. – Straszne, hę?

Dopiero powtórzone po raz kolejny stwierdzenie uświadomiło Malinotowi, że usłyszane słowa nie pochodzą z oddali, a jedynie zza jego pleców. Inspektor odwrócił się gwałtownie i ujrzał za sobą staruszkę z odpalonym papierosem między wargami.

– W rzeczy samej – wyrzekł Malinot, a starzec zaciągnął się po raz kolejny. – Upiorne.

ROZDZIAŁ 6

Pomimo wszelkich starań nie był w stanie biec szybciej. Czuł piekący żar wypełniający go od środka, który zdawał się nie maleć, nawet gdy przystawał na moment, by zaczerpnąć powietrza. Miał wrażenie, jakby z każdym wdechem jego płuca wypełniały się rozżarzoną pyłem węglowym, który nie wiedzieć skąd wziął się w powietrzu. Spoglądał bowiem to w górę, to w dół i nigdzie nie mógł dostrzec choćby śladu płomienia. Przestrzeń rozpostarta wokół niego spowita była mgłą, przez którą tylko gdzieś tam prześwitywały smugi światła. Nie były jednak wystarczająco intensywne, aby oświetlić powierzchnię, na której stał.

Czuł woń siarki przeplataną zapachem amoniaku, który cucił go i pobudzał, gdy tylko tracił siły i zamierzał upaść nieprzytomny na ziemię. Choć bardzo się starał, nie potrafił biec prosto. Co chwilę uchylał się i kłaniał, jakby smagany uderzeniami, których świadomy był tylko on sam. W jednej chwili zatrzymał się. Zdało mu się jednak, że nie zrobił tego z własnej woli – raczej coś niewytłumaczalnego kazało mu przestać gnać; jak gdyby jakaś niewidzialna siła rozkazała mu się poddać, choć wcale nie wiedział, na jakie okropieństwo w ten sposób się naraża.

Z początku odniósł wrażenie, że nie tylko przystanął, ale i bezwolnie wstrzymał oddech. Mimo to nie odczuwał już duszności, która jeszcze przed momentem tak go trapiła. Doznając chwilowej poprawy, rozejrzał się wokół, ale nie dostrzegł niczego poza mgłą

otulając go tak, że spoglądając w dół, nie był w stanie dostrzec niczego poniżej swoich kolan. Wówczas uniósł wzrok i spojrzał przed siebie. Wytężył zmysły i spostrzegł otaczający go krajobraz, który teraz powoli wyłaniał się z morza mgły. Obserwował nieregularne kształty owych zrogowaciałych ścian, omiatanych od wieków powiewami ognistego wiatru, zdającego się płynąć bez wytchnienia wśród wyżyn o formach tak przedziwnych, że nikt o zdrowych zmysłach nie posądziłby ich o ziemskie pochodzenie. Bo choć kosmiczne figury przyjmowane przez przedwieczne skały obudziłyby w każdym z żyjących trwogę i zmieszanie, on w jakiś nieznanym nawet sobie samemu sposób czuł bliskość tej intrygującej i nieprzeniknionej aury tajemnego świata.

Zamknął oczy i odwrócił się. Poczuł niosący orzeźwienie powiew chłodnej bryzy, po którym ponownie przyszła woń siarki, a na końcu rzeźki zapach przypominający ten unoszący się w powietrzu tuż po burzy. Jednakże porywisty wiatr zwiastujący huragan miał dopiero nadejść. Nagle poczuł bowiem, że smagany powiewami silnego wichru ledwo jest w stanie utrzymać się na nogach. Dwa pierwsze podmuchy zniósł całkiem dobrze, lecz trzeci powalił go na kolana. Wówczas dopiero rozwarł powieki i ujrzał obraz, który zdawał się nijak nie pasować do otaczającej scenerii.

Wśród pustynnego, wyjąłowego krajobrazu dostrzegł w oddali postać kobiety o długich włosach pokrytych grubą warstwą pyłu. W prawej ręce dzierżyła róg, a lewą przytrzymała na grzbiecie konia, który – zwrócony do niego bokiem – wydawał się pobierać pokarm z koryta. Długowłosa pani wnet zadęła w instrument, a jego przeszywający, monotoniczny dźwięk sparaliżował go i nie pozwolił mu się skupić. Spostrzegł jednak, że kobieta wcale nie dosiadała rumaka, a raczej unosiła się

półprzytomnie za nim, tak że jej stopy zwisały bezwiednie z za grzbietu konia. Z wolna przesuwała się wraz z nim, zakreślając okręgi. Ni stąd, ni zowąd owe okręgi zaczęły się zwężać. Wówczas wierzchowiec i kobieta jeździec zbliżyli się do niego na niebezpieczną odległość. On jednak – wciąż oniemiały – nie był w stanie zareagować ucieczką. W miarę zbliżania się postaci muzyka wydobywająca się z rogu stawała się nie do zniesienia, a źrenice kobiety wydawały się coraz większe, aż wreszcie znikły zupełnie, gdy ta zamknęła oczy.

Zauważył, jak długowłosa pani powoli rozwiera usta, wciąż się zbliżając. Wpatrywał się wyłącznie w pustą przestrzeń w jej pozbawionej zębów paszczy. Dostrzegł jasność bijącą z ciała tej istoty. Światło stawało się intensywniejsze, a w miarę zbliżania się postaci w jego stronę pochłaniało go coraz bardziej, aż wreszcie nie był w stanie dostrzec niczego prócz poświaty wydostającej się z ust kobiety przy akompaniamencie potwornej muzyki wydobywającej się z jej rogu.

ROZDZIAŁ 7

*PROVIDENCE, RHODE ISLAND, STANY
ZJEDNOCZONE,
22 KWIETNIA 2017 ROKU, GODZINA 7.00*

Oliver Monroe być może usłyszałby dzwonek alarmu, gdyby nie to, że od co najmniej trzech tygodni budził się kilka minut przed nim i wyłączał go, nim ten zdążył wybrzmieć i zepsuć mu humor na resztę dnia. I choć budził się wcześnie, wstawał późno. Istotnie – przedwczesna pobudka jeszcze nigdy w przeciągu ostatnich kilku tygodni nie uchroniła go przed zbędnym pośpiechem w drodze do pracy.

Zaraz po wypełnieniu z łóżka udawał się do łazienki i spoglądał w lustro. Sam właściwie nie był pewien, dlaczego to robił. Być może traktował tę czynność jako kolejny sposób na przedłużenie porannego marazmu, który towarzyszył mu każdego dnia o tej porze. Ta codzienna rutyna przygnębiała go bardziej niż sam powód jego nieszczęścia. Bowiem nawet przeglądając się w lustrze, nie widział własnej twarzy, a jedynie powlekane srebrem szkło i fizjonomię kogoś równie bliskiego, co nieznanego. Nie dostrzegał wówczas teraźniejszości, ale przeszłość, bo odbicie jest zawsze kilka milisekund za rzeczywistością. Pluł na siebie z kiedyś, nie był mądrzejszy niż przed spojrzeniem, ale bardziej ponury.

Ta przygnębiająca refleksja towarzyszyła mu każdego dnia o godzinie siódmej i co gorsza – nie potrafił się od niej uwolnić. Podobnie jak od snu, który nawiedzał go każdej nocy i nie dawał mu spokoju. W żaden sposób nie był w stanie przestać myśleć o dziwnej marze. Na domiar złego irytowało go, że postacie z jego koszmaru wydają mu się wyjątkowo znajome. Co mogła oznaczać kobieta jeździec grająca na rogu, z towarzyszącym jej wierzchowcem, nie miał jednak bladego pojęcia.

Opuścił mieszkanie na rogu Waterman i Brook St. za pięć ósma, czyli o kilka minut za późno, by móc w spokoju dotrzeć na uczelnię. Miał jednak szczęście mieszkać blisko uniwersytetu, dzięki czemu szybkim truchtem zdołał zjawić się tam punkt ósma. Po przekroczeniu Faunce Arch ruszył w kierunku Instytutu Joukowski'ego, spóźniając się na swój wykład jedynie trzy minuty.

W tę sobotę miał prowadzić niezbyt ciekawe zajęcia dla pierwszego roku na temat historii archeologii pradziejowej, toteż sam nie pałał wielką chęcią zjawienia się na uczelni na czas. Studenci najwidoczniej podzielali jego zamiłowanie do tego przedmiotu, gdyż na wykładzie pojawił się niespełna tuzin osób. Niską frekwencję częściowo usprawiedliwiało to, że był to wykład dodatkowy, a co za tym idzie – nieobowiązkowy. Kiedy Monroe wszedł do audytorium, oni zdążyli już zająć miejsca w ławkach. Zwrócił się do nich nieco bardziej oficjalnym tonem niż zwykle:

– Dobrze, proszę państwa. Dzisiaj porozmawiamy o rozwoju obrzędowości i sztuki na obszarze Mezopotamii w początkach istnienia tamtejszych kultur. Powiedzcie mi, co wiecie na temat...

– Przepraszam, profesorze. – Ujrzał podniesioną dłoń w pierwszym rzędzie.

– Tak, panno Addams?

– Wiem, że to nie w temacie, ale... – Nagle przerwała.

– Proszę mówić, z wielką chęcią porozmawiam o czymś innym niż o tych prastarych nudach. – Na sali wybrzmiał krótki śmiech, a Oliver zwrócił się z powrotem do swojej studentki: – O co więc chodzi?

– Chciałam zapytać... co pan wie o AA?

– Przepraszam, o czym?

– O Compagnie du Saint-Sacrement.

Oliver zrazu nie odpowiedział, gdyż spostrzegł, że na sali zapanowała kompletna cisza. Nie wiedział jednak, czy wynikała ona z tego, że pytanie wydało się wszystkim interesujące, czy raczej wyjątkowo nietrafione. Jego samego wspomniana kwestia w równym stopniu zaintrygowała, co zaniepokoiła, nie spodziewał się bowiem usłyszeć takiego pytania z ust studentki pierwszego roku. Mimo zaskoczenia postanowił udzielić jej odpowiedzi.

– Towarzystwo Świętego Sakramentu... – zaczął. – Jego członkami byli głównie jezuici. Według oficjalnych danych historycznych zostało założone w siedemnastym wieku i istniało w spokoju nieco ponad trzydzieści lat, kiedy to kardynał i pierwszy minister Francji, Jules Mazarin, postawił sobie za cel zlikwidowanie wszystkich tajemnych organizacji. Nie udało mu się to jednak i Compagnie przetrwało. Rozwiązał je dopiero Ludwik XIV w tysiąc sześćset sześćdziesiątym szóstym roku po śmierci Anny Austriaczki. Pomimo takiej decyzji króla członkowie stowarzyszenia nie zamierzali zawieszać działalności i Towarzystwo istniało jeszcze wiele lat po swoim oficjalnym końcu. Niektórzy mówią, że jeszcze w dwudziestym wieku jego członkowie działali w wielu miastach Francji. Prawdopodobnie to w grupie księży zrzeszonych w tym stowarzyszeniu zrodziła się idea misji do krajów Trzeciego Świata i ewangelizacji tamtejszej ludności. Jak pani zapewne wie, to właśnie jezuici byli najliczniejszą grupą misjonarzy, którzy

odwiedzali najdalsze zakątki świata. Z tego ich przecież kojarzymy... I to tyle na temat tej wspólnoty. Ciekawi mnie jednak, skąd takie zainteresowanie nimi z pani strony?

Nie zdążyła jednak odpowiedzieć, gdyż zabrzmiał dzwonek telefonu Olivera. Profesor znów zapomniał go wyciszyć. Przewrócił oczami, uśmiechając się do panny Addams, po czym zwrócił się do wszystkich na sali:

– Zastanówcie się, czy macie jeszcze jakieś pytania, spróbujcie jednak utrzymać je w temacie naszych dzisiejszych zajęć. Za chwilę wracam.

Opuścił salę, po czym spojrzał na wyświetlacz: Kate Evans. Nie kontaktowali się, odkąd dwa miesiące temu udała się na staż do Kalifornii. Nie wiedział nawet, co dokładnie tam robi; ani bowiem ona sama, ani nikt na uczelni nie wyjawiał mu dokładnego celu jej badań. Musiał przyznać, że z początku jej nagły wyjazd wydał mu się dziwny, jednak ze względu na problemy w życiu prywatnym nie miał czasu zaprzętać sobie głowy podróżami Kate. Szczególnie że oddalili się od siebie na przestrzeni roku poprzedzającego jej staż. Od pamiętnej przygody w Ziemi Świętej minęło sześć długich lat, w czasie których wiele się zmieniło.

Odebrał, lecz nie odezwał się.

– Oliver? – Usłyszał znajomy głos, którego brakowało mu przez ostatnich kilka tygodni. – Jesteś tam?

– Tak – zaczął ponuro, ale prędko zorientował się, że powinien zmienić ton. – Jak się miewasz?

– W porządku, o ile można to tak określić... Powiedz lepiej, jak ty się trzymasz? Słyszałam, co się stało, i od razu chciałam przeprosić, że się nie odzywałam. Mam tyle pracy, że...

– Nie ma problemu. – Natychmiast uciął temat, nie miał ochoty o tym rozmawiać. – Wiesz, dopiero co zacząłem wykład i...

– Posłuchaj, Oliverze – rzekła nieco ściszone głosem, ignorując zupełnie jego wymijającą odpowiedź. – Wynikła pewna sytuacja, która nie może czekać, a sama nie potrafię się z nią uporać. Ta sprawa ciągnie się już od trzech miesięcy, a ja stoję w miejscu. Brakuje mi pomysłu, jak jej zaradzić.

– Wytłumaczysz mi, o co chodzi?

– Potrzebuję twojej pomocy.

Na te słowa czekał. Wreszcie dostał szansę na wyrwanie się z miejsca, które tak go przygnębiało, choć jeszcze nie wiedział, dokąd dokładnie i w jakim celu miał się udać.

– Możesz powiedzieć, o co właściwie chodzi i w jaki sposób miałbym ci pomóc?

– Nie mogę teraz o tym rozmawiać, chciałam tylko, żebyś wiedział, że cię potrzebuję – wyszeptała, a on uśmiechnął się pod nosem. – Wyślę ci adres, gdzie mnie znajdziesz, ale musisz mi obiecać, że zjawisz się najprędzej, jak tylko będziesz mógł.

– Dobrze – odparł niemal bez wahania; jego ciekawość nie pozwoliła mu powiedzieć czegokolwiek innego. – Ale Kate...

– Postaram się napisać jak najszybciej – oznajmiła, przerywając mu. – Do usłyszenia.

Rozłączyła się. Spojrzał przez okno na dziedziniec przed budynkiem, chowając telefon do kieszeni. Pokręcił głową w geście zdziwienia i wrócił do sali, by dokończyć wykład.

ROZDZIAŁ 8

Tego dnia były to jedyne zajęcia Olivera, toteż gdy tylko skończył, szybkim krokiem popędził do domu. Chociaż Kate zapewniła go, że skontaktuje się z nim lada chwila, wciąż nie otrzymał od niej żadnej wiadomości. Przez całą drogę do mieszkania nerwowo spoglądał na wyświetlacz telefonu. Instynkt podpowiadał mu, że musi być przygotowany na każdą ewentualność. Coś dziwnie niepokojącego w ich porannej rozmowie kazało mu wrócić do mieszkania i spakować najpotrzebniejsze rzeczy. Sposób, w jaki młoda pani profesor zwracała się do niego, co chwilę ścisząc głos aż do półszepotu, sprawiał, że szczerze się o nią martwił. To uczucie przyrównywał do obezwładniającej niemocy, której doświadczył sześć lat wcześniej w Jerozolimie, gdy zostali rozdzieleni, a on nie miał pojęcia, co się z nią dzieje. Wówczas tylko dziwny zbieg okoliczności sprawił, że spotkali się na powrót na jednym z targowisk miasta trzech religii.

Gdyby nie ten zadziwiający telefon z samego rana, z pewnością byłby został w pracy do późna i tylko na kilka godzin wrócił do domu. Od trzech tygodni nie miał najmniejszej ochoty spędzać czasu wolnego w miejscu, które go tak przygnębiało; miejscu, które przypominało mu o czymś, czego pamiętać nie chciał. Jednocześnie przez całą drogę do domu zastanawiał się, skąd Kate wiedziała o wszystkim, co go spotkało? Czyżby kontaktowała się w ciągu tych trzech miesięcy z kimś z jego bezpośredniego otoczenia, kto

zdecydował się wyjawić jej, że w rzeczy samej jego ojciec, Felix Monroe, nie żyje?

Perspektywa powrotu do pustego domu, w którym już nigdy nie zostanie ojca – siedzącego na bujanym krześle, oglądającego mecz i klnącego wniebogłosy, bo New York Yankees znów przegrywają – przygnębiała go okrutnie. Być może przez wiele lat pozostawał z nim skłócony, jednakże przygody w Ziemi Świętej uświadomiły mu, ile Felix dla niego znaczył^[3]. Dzięki temu ich relacje na przestrzeni sześciu lat poprzedzających jego śmierć uznać należałoby za wyjątkowo dobre. Mimo to czuł, że nigdy nie było między nimi lepiej, niż zanim się poróżnili.

Jednak te rozmyślania nie męczyły go w tamtej chwili aż tak bardzo. Paradoksalnie największą udręką było dla niego to, że koledzy zdecydowali się go odciążyć i przejąć prowadzenie części jego zajęć na jakiś czas. Po stokroć bardziej wolałby bowiem dni wypełnione pracą, aniżeli ciągnące się w nieskończoność popołudnia, podczas których wracał myślami do tamtego lipcowego poranka, gdy o piątej rano znalazł półprzytomnego Feliksa na podłodze w łazience. Nie myślał w tamtej chwili, co się dzieje, jedynie wyniósł go z mieszkania do stojącego na zewnątrz ambulansu i pozwolił mu odjechać w kierunku Rhode Island Hospital przy Eddy St. Nie sądził, że wówczas po raz ostatni widzi go świadomego.

W szpitalu prędko zdiagnozowano rozległy wylew krwi do pnia mózgu, po czym niezwłocznie przeprowadzono operację, która jednak, jak się później dowiedział od lekarza prowadzącego, miała wyłącznie charakter paliatywny. Dopiero gdy poinformowano go o śmierci ojca, przypomniał sobie, jak niósł jego wiotczące ciało, które powoli stawało się coraz cięższe, aż wreszcie – zwieszony jak upiorna lalka w jego objęciach – opadło na szpitalne nosze,

wrzucone następnie brutalnie do ambulansu. Wizja ta nawiedzała go każdego kolejnego dnia.

A nocami przychodził ten uporczywy koszmar, który wydawał mu się tak znajomy i za nic w świecie nie chciał dać mu spokoju. I chociaż z początku nie miał ochoty dociekać, co może oznaczać ta senna mara, to jednak po trzech tygodniach nieustannych cierpień i nieprzespanych nocy mimowolnie myślał o niej coraz intensywniej. Widok długowłosej kobiety z rogiem w prawej dłoni, siedzącej na dziwnym wierzchołku, który porusza się w jego stronę po zwiężających się okręgach, stawał mu przed oczami za każdym razem, gdy próbował zasnąć. Nie dziwił się zatem, że sypiał źle i krótko. Nie był w stanie spędzić w łóżku więcej niż dwie i pół godziny w ciągu doby, przez co pozostawał przewlekłe zmęczony i co gorsza – końca tej męki się nie spodziewał.

Tego typu rozmyślania wypełniły jego drogę powrotną do domu. Po przekroczeniu progu drzwi frontowych mozolnie wgramolił się po schodach i wszedł do mieszkania. Odsunął zasłony, wpuszczając do środka promienie porannego słońca. Nie było jeszcze nawet jedenastej. Zaparzył kawę i zaczął pakować się na wszelki wypadek, gdyby jakiś helikopter miał przylecieć po niego i wylądować na dachu, na którym przecież nie dałoby się wylądować. Na tę myśl roześmiał się cicho. To nie było przecież aż tak dawno temu, chociaż w głębi serca czuł, że okropnie się od tamtej chwili postarzał.

Opadł ciężko na fotel i popatrzył na walizkę. Zdała mu się wyjątkowo mała, choć nie zmartwiło go to. Po raz kolejny wybierał się w podróż, do której nie wiedział, jak się przygotować, nie mając pojęcia, co go czeka. Zanim myśl ta zdążyła wzbudzić w nim jakiegokolwiek negatywne emocje, ogarnęła go neutralność, niewytłumaczalna w obliczu wielu dramatycznych zdarzeń, które

rozegrały się w jego życiu na przestrzeni ostatnich trzech tygodni. Zdało mu się jednak, że są one bez znaczenia w obecnej sytuacji. Dlaczego by więc nie porzucić tych zmartwień? Dlaczego nie dać się ponieść chwili? Nie istniał bowiem żaden racjonalny powód, by zadręczać się niepotrzebnymi rozmyślaniami na temat spraw, na które wpływu nie miał, zamiast po raz kolejny spróbować... improwizować.

Wówczas uśmiechnął się pod nosem – po raz pierwszy od wielu dni poczuł coś innego niż przytłaczający smutek. Czas wziąć się w garść – pomyślał. Spakował kilka koszul i dwie pary spodni.

Był w drodze do sypialni, gdy nagle usłyszał sygnał wiadomości dochodzący z kieszeni jego marynarki. Sięgnął po telefon i ujrzał na wyświetlaczu imię młodej pani profesor. Bez zbędnego ociągania się odblokował telefon i odczytał wiadomość:

*Mme Martínez
40 Allée de la Voûte,
Carcassonne, Oksytania
11000, Francja*

W jednej chwili krótkotrwały zapal Olivera osłabł, a on sam rzucił pościel na ziemię i usiadł na skraju łóżka. Roześmiał się, ale w jego reakcji więcej było zaskoczenia i niedowierzania w to, co czyta, niż rzeczywistej radości na myśl o zbliżającej się podróży. To, że Kate nie była wcale na stażu w Kalifornii – tak jak twierdzili jego koledzy z uczelni – tylko gdzieś daleko za oceanem, nie zrobiło na nim wrażenia. Już dawno bowiem zdążył się przyzwyczaić do panującej na uniwersytecie dezinformacji.

Jego myśli zajmowała zupełnie inna kwestia. Przypomniawszy sobie bowiem poranną rozmowę z Kate i osobliwy ton, którym się do niego zwracała. Sposób, w jaki z każdą kolejną sekundą szeptała

coraz ciszej, aż wreszcie ledwie był w stanie ją usłyszeć, przyprawiał go o dreszcze. *Ta sprawa ciągnie się już od trzech miesięcy, a ja stoję w miejscu. Brakuje mi pomysłu, jak jej zaradzić.* Te dwa zdania wybrzmiały teraz w głowie Olivera jak dzwon, a on zorientował się, że nie potraktował ich wystarczająco poważnie, gdy pierwszy raz usłyszał je z ust Kate. I choć wciąż nie wiedział, co oznaczają, był w stanie myśleć tylko o jednym – Kate Evans potrzebuje pomocy.

Wówczas ponownie usłyszał dzwonek telefonu i natychmiast wyświetlił wiadomość:

Jérémie Blanc

70 Rue de la République

Akta Piłata, Zstąpienie, rozdział XXV, werset 26

Zawsze wolałeś być Pierwszy, prawda?

O ile po przeczytaniu pierwszej wiadomości poczuł się nieco zmieszany, o tyle w przypadku tej zdało mu się, że kompletnie postradał zmysły. Nie wiedział zupełnie, co oznacza drugi adres, i kim jest Jérémie Blanc. Prędko nacisnął przycisk z ikoną telefonu obok zdjęcia swej przyjaciółki i zadzwonił – odpowiedział mu sygnał poczty głosowej. Wprawdzie nie łudził się, że Kate odbierze, ale mimo wszystko musiał spróbować. Po nieudanym połączeniu wrócił do poprzedniego ekranu i skierował wzrok na przedostatnią linijkę wiadomości. Zdumiało go, że młoda profesor wspomniała o *Aktach Piłata*.

Wiedział wprawdzie, że w ten sposób nazywano apokryficzną ewangelię powstałą najpewniej w IV wieku naszej ery, jednak samą jej treść pamiętał jak przez mgłę. Kojarzył natomiast, że *Akta* zostały uznane za apokryf niezgodny z naukami Kościoła pomimo braku jakichkolwiek znamion herezji w ich treści. Pochodzenia

nazwy zakazanej ewangelii należało upatrywać w opisanym na jej stronicach procesie skazania Chrystusa, któremu – jak powszechnie wiadomo – przewodził prefekt Judei, Poncjusz Piłat. Było to jednak określenie potoczne. W rzeczywistości bowiem dzieło nazywane było *Ewangelią Nikodema* – na cześć faryzeusza i członka Sanhedrynu, który był jej domniemanym autorem.

Szybkim krokiem opuścił sypialnię i udał się do salonu. Pod wysokim oknem, rzucającym przerywane smugi światła na drewniane panele, stało biurko, a na nim laptop. Włączył go, otworzył przeglądarkę i wpisał w okienko nazwę ewangelii. Czuł niewypowiedzianą potrzebę zapoznania się z jej pełnym tekstem, a zwłaszcza z fragmentem, o którym wspomniała Kate. Wyskoczyło mnóstwo wyników, ale spora większość nie dotyczyła poszukiwanej ewangelii, tylko pokrewnych dzieł biblijnych. Po kilku sekundach wybrał jedną z dalszych propozycji i otworzył stronę. Wówczas ukazał mu się pozbawiony interlinii tekst, ledwie widoczny na beżowym, kropkowanym tle, tak że Oliver był zmuszony wyteńczyć wzrok, by cokolwiek przeczytać. Nie był to wprawdzie tekst ewangelii, ale rodzaj streszczenia, w które wplecione były elementy analizy tekstu.

Z opisu wynikało, że utwór podzielony był na trzy księgi. Pierwsza z nich przedstawiała przebieg procesu Jezusa przed Piłatem, druga dotyczyła jego męki w czasie drogi na Golgotę, a o trzeciej znalazł jedynie informację, że jej pełny tekst, lecz bez analizy, zamieszczony został na samym dole strony. Pobieźnie zapoznał się więc z treścią dwóch pierwszych ksiąg, w których mnóstwo było analogii do uznanych przez Kościół Ewangelii, toteż lektura ich nieco go znużyła. Gdy jednak przedarł się przez gąszcz dość obszernego tekstu, w którym pełno było fachowej literaturoznawczej terminologii, i dotarł do księgi trzeciej, uniósł

brwi ze zdziwienia. Nosiła ona bowiem tytuł *Zstąpienie Chrystusa do Szeolu* i – zgodnie z informacjami odnalezionymi na jednej z kolejnych stron – opisywała pobyt Jezusa w piekle po ukrzyżowaniu. O ile dwie pierwsze księgi tworzyły spójną całość, o tyle trzecia wydawała się osobnym tekstem, niezwiązanym z resztą ewangelii. W rzeczy samej – na jednej z kolejnych stron wnet odnalazł informację, że ta ostatnia opowieść jest luźno kojarzona z *Aktami Piłata* i być może wcale do nich nie należy. Dlaczego zatem Kate wspomniała akurat o niej? Nie zastanawiał się jednak długo nad tym. Prędko pochłonął tekst wzrokiem i odnalazł fragment, o którym pisała w wiadomości Kate. Poprzedzony był długą na dwa rozdziały kłótnią pomiędzy Hadesem a szatanem, w której rozważali oni przyjęcie konającego na krzyżu Chrystusa do otchłani. Pan piekieł – wyraźnie rozważniejszy od swego towarzysza – obawiał się jego mocy, ale szatan wodził go za nos i w końcu przekonał do uwięzienia Jezusa w królestwie ciemności. Gdy jednak ten przybył, wnet podporządkował sobie szatana i uwięził go w otchłani na wieki. A wówczas...

*Chrystus obwinił otchłań i niewolników
infernalnych osądził srogo, lecz umarłych powiódł
niebiańskim szeregiem^[4]*

Monroe wstał i począł nerwowo chodzić po pokoju. To bowiem ten werset zacytowała młoda profesor w wiadomości, najpewniej z nadzieją, że Oliver będzie w stanie go odszyfrować. Niesamowicie jednak przeceniła jego zdolności, ponieważ nie zrozumiał z tego fragmentu kompletnie nic. Co więcej, im dłużej rozmyślał nad sensem przytoczonych słów, tym bardziej zawiłe i niezrozumiałe mu się zdawały. Nie było bowiem żadnego punktu odniesienia,

żadnej wskazówki, która mogłaby nakierować go na rozwiązanie. W jaki sposób miał się domyślić, dlaczego Kate wybrała właśnie ten fragment z tak obszernego tekstu? Jak miał zagłębiać się w skomplikowane rozważania i analizy, gdy nie wiedział nawet, od czego zacząć? Niespodziewanie pojawiło się mnóstwo pytań, a on nie znał odpowiedzi na żadne z nich.

Po kilku minutach nieustannej wędrówki z jednego końca pokoju w drugi doszedł do wniosku, że nie jest w nastroju, by rozmyślać nad starym, nikomu nieznanym apokryfem, który pewnie i tak nic nie znaczy. A Kate niech lepiej odbierze telefon, bo znudziła mu się zabawa w zgadywanki. Usiadł i odchylił się na krześle, patrząc w sufit.

W rzeczywistości był na siebie piekielnie zły, że nie potrafił tego rozgryźć. Odczuwał upokorzenie mieszające się gdzieś wewnątrz jego umysłu ze złością. Bowiem z każdą kolejną sekundą rosło w nim przeświadczenie, że przez te sześć lat zdążył się już zupełnie zestarzeć, na skutek czego odwykł całkowicie od rozwiązywania zagadek. Najwidoczniej tym razem potrzebował więcej czasu do namysłu, o ile w ogóle uda mu się wpaść na rozwiązanie, co nie było wcale takie pewne. Mógł przecież kompletnie utracić zdolność logicznego myślenia w procesie przedwczesnego starzenia.

Jednak równocześnie przypomniał sobie słowa Kate, która z dziwną desperacją w głosie prosiła, aby przybył, jak najszybciej tylko zdoła. Nagle na wspomnienie tej wymiany zdań zorientował się, że ma jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia. Przed wyjazdem był zobowiązany skontaktować się z dziekanem i poinformować, że jednak wykorzysta proponowany mu urlop. Ponadto musiał dokończyć pakowanie i wykonać niezbędne przelewy, w tym ten za bilet lotniczy, którego przecież jeszcze nie zakupił. W obliczu

presji czasu, jaka na nim ciążyła, podjął decyzję, że nad osobliwym werselem zastanowi się w trakcie lotu. Teraz czas było ruszać.

ROZDZIAŁ 9

Przekręcił dwukrotnie kluczyk w zamku i zbiegł po schodach w dół na ulicę, gdzie czekała już taksówka mająca zabrać go na lotnisko T.F. Green w pobliskim Warwick. Port oddalony był o ponad piętnaście kilometrów od jego mieszkania, toteż zamówił taksówkę, będąc jednak świadomy sporej sumy, jaką będzie musiał zapłacić za transport. Zajął miejsce na tylnym siedzeniu, a kierowca ruszył przed siebie.

Dziekan Stephen Myers przystał na prośbę Olivera o tygodniowy urlop, jednocześnie dodając od siebie, że jeśli profesor będzie potrzebował więcej czasu wolnego, bez problemu go otrzyma. Jego postawa nie była jedynie wyrazem współczucia dla Olivera, a dowodem najszczerzej przyjaźni, jaka istniała między nimi. Pomimo tego Monroe zapewnił, że po tygodniu wróci do pracy. Nie wyjawiał, rzecz jasna, celu wyjazdu. Ba, nie poinformował nawet, że opuszcza miasto. Jeśli powiedziałyby komukolwiek, że wyrusza w ślad za Kate Evans, bo ta ma kłopoty, bez wątpienia uruchomiłyby lawinę niekorzystnych dla nich obojga zdarzeń i wywołał rozgłos niepożądany w ich obecnej sytuacji. Szczególnie jeśli oświadczyłyby, że wybiera się do Francji, gdzie przecież nie powinno jej być.

Poprosił Myersa jedynie o tydzień wolnego, ale miał wątpliwości, czy uda mu się zamknąć tę sprawę w tak krótkim czasie. Było to uwarunkowane wieloma czynnikami, spośród

których najistotniejszy zdawał mu się ten, że tak właściwie miał mgliste pojęcie o celu swojego wyjazdu. Mimo że początkowo priorytetem było dla niego odszukanie Kate i bezpieczny powrót do domu, to im dłużej zastanawiał się nad całą sytuacją i wspominał wiadomości od swej przyjaciółki, tym częściej łapał się na tym, że wcale nie myśli o szybkim powrocie do Providence. Znacznie bardziej ciągnęło go do czekających na niego na południu Francji niespodzianek aniżeli do nudnego i monotonnego Rhode Island. Ilekroć rozmyślał nad tym, czy właściwie postępuje, rzucając się w wir niewiadomego, przypominał sobie, że ta sama aura nieprzewidywalności towarzyszyła mu podczas jego pierwszej dalekiej wyprawy sześć lat temu. I choć kilka razy wówczas otarł się o śmierć, cudem jej umykając, nigdy do tej pory nie żałował pochopnie podjętej decyzji. Być może teraz również tak będzie?

Jedyny samolot, który mógł przetransportować go tego dnia przez Atlantyk, startował o siedemnastej czterdzieści, jakkolwiek nie był to lot bezpośredni do Carcassonne. Mimo że w mieście funkcjonowało lotnisko, utrzymywało ono wyłącznie połączenia kontynentalne i to w dodatku jedynie z państwami na zachód i północ od Francji. Oznaczało to, że do Carcassonne można było z łatwością dotrzeć drogą powietrzną z Belgii, Holandii, Portugalii czy Hiszpanii, natomiast taka podróż z państw Europy Wschodniej, a już tym bardziej ze Stanów Zjednoczonych Ameryki, nie była możliwa. Oliver był zmuszony zatem zarezerwować miejsce w samolocie do Tuluzy. Co więcej – mógł mówić o wyjątkowym szczęściu, nie był to bowiem kurs regularny, a czarter wynajęty przez jedno z francuskich biur podróży w celu przetransportowania turystów z powrotem do ich kraju. W związku z tym fortunnym zbiegiem okoliczności Oliver, kupując bilet w ostatniej chwili,

zapłacił o wiele niższą cenę, niż miałyby to miejsce w przypadku standardowego lotu.

Teraz, gdy kierował się w stronę lotniska, ponownie rozmyślając nad dziwnymi wiadomościami od Kate, zdał sobie sprawę, że nie zwrócił uwagi na jeden szczegół. Był tak zapatrzonny we wspomniane przez nią *Akta Piłata*, że zupełnie nie przejął się ostatnią linijką wiadomości, w której Kate zawarła być może dość istotną informację: *zawsze wolałeś być Pierwszy, prawda?* I chociaż znów nie miał bladego pojęcia, o co mogło jej chodzić, odniósł dziwne wrażenie, że za tym niezrozumiałym i urągającym mu pytaniem kryje się większa treść, której do tej pory nie dane mu było pojąć. Poczł niewielkie ukłucie – jak gdyby szpilkę, którą Kate postanowiła wbić mu tym krótkim zdaniem. Czyżby była zazdrosna o jego osiągnięcia? Zdawało mu się to nie do przyjęcia, jako że młoda pani profesor nigdy nie była zawistna i nawet w czasie ich porannej rozmowy nie sprawiała wrażenia kogoś, kto ma mu coś za złe. Wyglądało to nader podejrzanie, a kobieta brzmiała zupełnie jak nie ona.

Zanim zdążył całkowicie utonąć w rozmyślaniach nad nierozwiązaną zagadką, byli już na miejscu. Taksówka przejechała pod przeszklonym korytarzem i zatrzymała się przed głównym wejściem do terminalu. O dziwo, podróż wyniosła go znacznie mniej, niż przypuszczał. Podziękował kierowcy i wysiadł z samochodu, po czym skierował się w stronę hali głównej lotniska, w której z daleka dostrzegł tłum tłoczących się ludzi.

Przemierzył odległość dzielącą go od miejsca odprawy, bacznie obserwując mijających go podróżnych. Chociaż do startu samolotu zostało mu jeszcze czterdzieści pięć minut, to zdecydował się bez ociągania przejść do strefy bezcłowej. Podeszedł do punktu, przy którym siedziała młoda kobieta w służbowym uniformie.

Spódniczka nie krótsza niż za kolana, koszula zapięta na ostatni guzik i duże okulary. Wyglądała zupełnie jak... Nie, to nie mogła być ona. Ta, o której myślał, była teraz gdzieś daleko za oceanem, a jedyna droga, by do niej dotrzeć, prowadziła przez apokryficzną zagadkę.

Mimo że do sąsiednich stanowisk ustawiały się długie kolejki, to, przy którym odbywała się odprawa przed lotem do Tuluzy, było kompletnie puste. Oliver umieścił niedużą walizkę na pokrytej gumową matą wadze, a drugą ręką przekazał bilet długowłosej blondynce.

– Z bagażem i biletem wszystko w porządku – zwróciła się do niego, uśmiechając się. – Proszę teraz zanieść swoją walizkę do tamtego okienka i przejść przez bramkę obok. – Wskazała na stanowisko po swojej prawej stronie, niewiele ponad pięćdziesiąt metrów dalej.

Szybkim krokiem podszedł do wskazanego miejsca, gdzie ujrzał taśmę bagażową, a obok niej niewielką tabliczkę informującą podróżnych, by umieścili na niej swój bagaż, nacisnęli guzik i poczekali na pracownika lotniska. Postąpił zgodnie z instrukcją, po czym spojrzął za siebie. Ściana naprzeciwko była przeszklona. Dostrzegł niebo pełne chmur, zza których z rzadka przeświecały promienie słońca.

Usłyszał dźwięk otwieranych drzwi tuż za sobą. Odwrócił się i zobaczył niskiego członka obsługi, który uśmiechnął się do niego, chwycił jego walizkę i zniknął za drzwiami. Wprawdzie spodziewał się, że taśma sama ruszy po naciśnięciu przycisku, jednak nie przywiązywał do tego dużej wagi. Zwrócił się w lewo i ruszył długim korytarzem w stronę barierek, gdzie raz jeszcze sprawdzano bilety i paszport. Okazał niezbędne dokumenty i udał się na stanowisko kontroli bagażu podręcznego. Nie posiadał

takowego, jedyny jego ekwipunek stanowiły bowiem telefon komórkowy, portfel z dowodem osobistym i kilkudziesięcioma dolarami oraz butelka wody, którą zabrał z domu. Miała zbyt dużą objętość, toteż napił się po raz ostatni, po czym wyrzucił ją do kosza na śmieci. Włożył telefon i portfel do plastikowej miski, którą następnie przekazał kontrolerowi. Przeszedł przez bramkę do wykrywania metali, po czym odebrał swoje rzeczy.

Zostało mu niespełna dwadzieścia pięć minut do wylotu, w związku z czym bezzwłocznie udał się po schodach na drugie piętro, skąd odbywało się wejście na pokład samolotu. By do niego dotrzeć, nie trzeba było w żadnym razie wychodzić na płytę lotniska, wystarczyło bowiem przejść przez uprzednio podstawiony rękaw lotniczy. Najpierw jednak musiał okazać kartę pokładową w czasie ostatniej tego dnia kontroli. Ponaglany nawoływaniem kobiety przy stanowisku kontrolnym podbiegł ostatnie kilkanaście metrów i przedstawił wymagane dokumenty. Tym samym prędko znalazł się po drugiej stronie barierki i skierował w stronę samolotu. Zauważył przed sobą sześć, może siedem osób, które – zupełnie jak on – dotarły na miejsce na ostatnią chwilę; za nim natomiast nie było już nikogo. Przekroczył próg aviobridge'u i wszedł na pokład samolotu.

Rozejrzał się po kabinie i dostrzegł w niej kilkudziesięciu pasażerów. Gdziekolwiek fotele były wolne i nie zanosilo się na to, by ktokolwiek miał je zająć. Usiadł na miejscu tuż obok starszej kobiety w dziwnie połyskującej fioletowo-granatowej sukience i odetchnął głęboko, kładąc głowę na oparciu. Zamknął oczy, lecz tylko na kilka sekund, po których poczuł szturchanie w ramię. Sędziwa kobieta przyjaznym głosem zapytała, czy mógłby zamienić się z nią miejscami, bo bardzo boi się latać i nie chce siedzieć przy oknie. Oliver nie należał wprawdzie do osób całkowicie

oswojonych z lataniem, ale od ostatniej swojej przygody, podczas której dość dobrze zaznajomił się z transportem lotniczym, nie czuł już tego przeszywającego i obezwładniającego lęku na samą tylko myśl o samolocie. Z tego powodu bez wahania zajął miejsce przy oknie, a jego współpasażerka usiadła na fotelu przy przejściu.

Wyjrzał przez małe okno na płytę lotniska, po którym kołował teraz jeden z airbusów. Spokojnie patrzył, jak samolot powoli sunie w kierunku pasa startowego, po czym bez zatrzymywania się przyspiesza do niezwykłej prędkości i znika mu z oczu wśród nieśmiałych promieni słońca chylącego się już nad horyzontem. Przymknął powieki, myśląc, że być może nawet uda mu się zasnąć przed startem. Nie wsłuchiwał się w instrukcje, nie notował w myślach drogi ewakuacji i nie obserwował dziwnych ruchów rękami stewardes. Pierwszy raz od trzech tygodni naprawdę się odprężył. W końcu poczuł, że ruszyli. Z wolna wlekli się najpierw ku tyłowi, a następnie w lewo i do przodu, by po chwili znów gwałtownie skrócić w lewo i rozpędzić się przy szumie silników.

Było pochmurne popołudnie 22 kwietnia 2017, a Olivera Monroe'a dzieliło osiem godzin lotu od kolejnej przygody.

ROZDZIAŁ 10

Ujrzał w oddali światło, które powoli zbliżało się w jego stronę i z każdą kolejną chwilą stawało się coraz większe i jaśniejsze. Choć powieki wciąż miał zamknięte, doskonale widział, jak z początkowo szarej poświaty bucha oślepiający płomień, rozwiewając otaczający go mrok, któremu towarzyszy dźwięk potwornego rogu. W końcu, gdy w okolicy nie było już krzty cienia, a on czuł palące go ślepie, nagle rozwarł powieki. Zdało mu się jednak, że wciąż ma je zamknięte, bowiem dostrzegł przed sobą nieprzeniknioną ciemność. Zajęło mu kilka sekund, nim z pełną świadomością był w stanie rozpoznać oparcie fotela pasażera naprzeciwko i śpiącą po jego prawej stronie staruszkę.

Przetarł oczy i spojrzął na wyświetlacz – była godzina dwudziesta trzecia. Rozejrzał się po kabinie, większość podróżnych spała, tylko nad jednym miejscem z tyłu samolotu świeciła się lampka. Oliver spojrzął na człowieka czytającego gazetę, którego twarz częściowo ogarnął blask światła. Pasażer zwrócił na niego wzrok i przez krótką chwilę patrzyli na siebie, nim Oliver spokojnie, lecz zdecydowanie, się odwrócił. Odetchnął i znów pomyślał o nawiedzającej go marze i jej nienormalnej powtarzalności. Po raz kolejny budził się po kilku godzinach snu z mnóstwem pytań, na które najpewniej nigdy nie otrzyma odpowiedzi. Choć zdawał się powoli przyzwyczajać do trapiącego go koszmaru, poczytując jego występowanie za osobliwą rutynę, wciąż coś mu w nim nie pasowało. Nie był

w stanie określić powodu niepokoju, ale wiedział, że kobieta z jego snu i towarzyszący jej wierzchowiec coś znaczą. W innym wypadku nie wydawaliby mu się tak znajomi. Spojrzał w lewo i dostrzegł, że okienko po tej stronie przysłonięte jest do połowy. Złapał za uchwyt i podciągnął zasłonę do góry.

Ujrzał wówczas zieloną poświatę bijącą z zewnątrz wprost do kabiny. Popatrzył na dłonie, które mieniły się teraz różnymi odcieniami zieleni, a szmaragdowa łuna prześwitywała przez jego palce. Wyjrzał przez niewielkie okno, za którym dostrzegł ogromnego węża, sunącego przez niebo na wysokości skrzydeł samolotu w odległości kilku, może kilkadziesiątu kilometrów od niego. W rzeczywistości odległość od świetlistego potwora była znacznie większa, ale jego rozmiar kazał Oliverowi sądzić, że jest tuż obok. Odniósł wrażenie, że bystra gadzina wygina się i deformuje z każdym kolejnym kilometrem trasy pośród mglistych obłoków z rzadka tylko rozstawionych na rozciągniętym nad spokojnym oceanem niebie. Wtem zielone pasma zmieniły się w purpurowe łuki, a potem w bordowe kurtyny, które w żaden sposób nie przypominały już węża. Nagle twory na niebie rozbłysły niebieską poświatą, która poczęła z wolna gasnąć, a Oliverowi zdało się, że opada leniwie w odmęty oceanu, wypalając się na jego oczach.

Oderwał wzrok od tego spektaklu dopiero po kilku sekundach od jego zakończenia. Nigdy wcześniej nie dane mu było zobaczyć zorzy polarnej na własne oczy, i to w dodatku z pokładu samolotu. Poczuł, że na kilka minut zatrzymał się czas, a on dryfował pośród niezwyklej palety barw na wysokości dwunastu kilometrów nad ziemią. Nie myślał wówczas ani o paskudnym śnie, ani o długiej drodze i trudnościach, jakie go czekają, a jedynie o kobiecie, dla której pokonywał ten dystans i dzięki której mógł zobaczyć to niesamowite zjawisko.

Na wspomnienie o Kate Evans uspokoił się i okrył z powrotem marynarką, którą wcześniej nieświadomie zrzucił, zaaferowany niezapomnianym przedstawieniem rozgrywającym się na zewnątrz. Zerknął raz jeszcze na staruszkę obok, która – jak reszta pasażerów poza dziwnym mężczyzną z tyłu samolotu – pogrążona była w głębokim śnie. Oliver oparł głowę o ścianę tuż przy oknie i w nadziei, że dziwna mara nie nawiedzi go już tej nocy, przymknął powieki i zasnął.

ROZDZIAŁ 11

*RENNES-LE-CHÂTEAU,
23 KWIECZNIA 2017 ROKU, GODZINA 1.00*

Księżyc wychynął zza chmur kłębiących się nad Rennes-le-Château i rzucił światło na zachodnią ścianę kościoła Świętej Marii Magdaleny. Wpadająca przez niewielkie okienko łuna oświetliła twarz Auguste'a Babineaux, gdy ten opuszczał konfesjonał i chwiejnym krokiem kierował się w stronę ołtarza. Nie spowiadał wcale ani też nie modlił się samotnie, choć w głębi serca wiedział, że jedynie modlitwa może go uratować.

Gdy w połowie odległości dzielącej go od prezbiterium nadepnął nieumyślnie na rąbek sutanny, przystanął, cudem unikając upadku. Chwytny za brzegi szaty, podciągając ją lekko ku górze i żwawym jak na jego wiek krokiem pospieszył ku ołtarzowi. Krople krwi, skapujące z jego poszarpanych rękawów, uderzały gwałtownie o czarne i białe płytki, którymi wyłożona była posadzka, i rozpryskiwały się na tysiące mniejszych kropelek, wzbogacając misternie skomponowaną szachownicę o dodatkowy kolor. Przelotnie zastanowił się, skąd ta krew. Gdy znalazł się metr od podwyższenia oddzielającego prezbiterium od reszty świątyni, upadł na kolana i zgiął się wpół, jak gdyby korząc się przed kimś, od kogo zależało jego życie. Wówczas w kościele rozległ się płacz i szlochanie starca przeplatane błaganiami o litość, której – o czym

doskonale wiedział – nie dostąpi. Na przemian prostował się i kłaniał, unosząc w geście obronnym otwarte dłonie, z których wciąż kapały krople ciemnoczerwonej krwi.

Nagle na jego hipokratycznej^[5] twarzy pojawił się wyraz zrezygnowania, który prędko przeszedł ponownie w grymas strachu. Ujrzał bowiem gdzieś pomiędzy ołtarzem a tabernakulum postać w czarnej szacie. Upiór opasany w talii białą wstęgą i z twarzą skrytą pod kapturem sunął w stronę księdza, który w jednej chwili zamilkł na jego widok. Patrzył roztrzęsiony, jak ponura sylwetka mija ołtarz i zeskakuje z podwyższenia prezbiterium. Babineaux upadł wówczas do tyłu, po czym w mgnieniu oka przewrócił się na brzuch i wczołgał pomiędzy ławy kościelne. Te były jednak zbyt wąskie, by go pomieścić, toteż zaklinował się. Chwilę zajęło mu nerwowe szamotanie w przejściu pomiędzy siedzeniem a klęcznikiem, gdy nagle podniósł się, lekko wspierając się dłonią o ławkę.

Rozejrzał się wokół, lecz nie dostrzegł żywej duszy. Po upiornym przybyśzu nie było śladu, toteż ksiądz odniósł wrażenie, że znalazł się kompletnie sam w ciemnej i ponurej świątyni, do której wnętrza tylko z rzadka wpadały wąskie smugi księżycowego światła. Wówczas Babineaux wbił wzrok w witraż nad prezbiterium, który teraz z jakichś niewiadomych względów jaśniał znacznie intensywniej, niż wynikałoby to z natężenia światła odbijanego przez księżyc. Opuścił ławkę, przeciskając się bokiem w stronę centralnego przejścia, po czym ponownie skierował się ku ołtarzowi. Wstąpił na podest prezbiterium, ani na moment nie odrywając wzroku od witraża. Opierając lekko dłonie o ołtarz, okrążył go szybko i stanął po jego drugiej stronie. Z uniesioną głową wpatrywał się w scenę Ostatniej Wieczerzy przedstawiającą Chrystusa w nimbie i jego czterech uczniów w wigilię

ukrzyżowania. Choć wiele razy wcześniej ukradkiem zerkał na witraż, nie przypatrywał się szczegółom. Toteż dopiero teraz zauważył, że uchwycony na kawałkach kolorowego szkła Jezus nie jest jedyną osobą, której głowę otacza nimb. Również postać u jego stóp posiadała podobny, choć bardziej jednolity i mniej zdobiony. To właśnie nimb wokół głowy kobiety klęczącej u stóp Chrystusa z kielichem w ręku świecił bardzo intensywnie. I chociaż oślepił duchownego palącym promieniem, ten nie mógł oderwać od niego wzroku. Stał nieruchomo, wpatrując się w iskrzący świetlistym blaskiem okrąg otaczający głowę długowłosej kobiety, nie zwracając uwagi na świat wokół. To małe rozświetlone koło połyskujące niewyobrażalnym płomieniem było jedyną rzeczą, jaka się dla niego liczyła.

Przeświadczenie o nieuniknionej śmierci, które chwilę wcześniej go ogarnęło i zmusiło do ucieczki, teraz ustąpiło miejsca refleksji nad dziwnie rozświetlonym witrażem. Stał w bezruchu, kontemplując każdy najmniejszy błysk i każde najdelikatniejsze odbicie światła w barwionym szkłe, gdy wnet usłyszał rytmiczne stukanie podeszew butów o posadzkę tuż za plecami. Nawet nie próbował się odwrócić, w zamian za to począł zawodzić bełkotliwym głosem po łacinie:

– *Pater noster, qui es in caelis, sanctificetur nomen tuum, adveniat regnum tuum...*

Nagle poczuł uderzenie w udo i silne pociągnięcie ku dołowi, które zwały go z nóg. Opadł na kolana i – klęcząc – mamrotał dalej słowa modlitwy głosem o wiele donioślejszym aniżeli kiedykolwiek wcześniej, w którym nie było już słycać ni zwątpienia, ni strachu:

– *Fiat voluntas tua, sicut in caelo, et in terra! Panem nostrum quotidianum da nobis hodie...*

Wtem poczuł lodowatą dłoń, sunącą po karku aż na potylicę i dalej w stronę czoła. Poczuł, jak zaczepia dwa palce o jego oczodoły i jednym ruchem pociąga ku tyłowi, napinając mu skórę na szyi i odsłaniając gardło spod kołnierza sutanny. Wówczas wreszcie ujrzał Babineaux twarz potwora i – choć okrywał ją obszerny kaptur – rozpoznał ją. W zdumieniu wytrzeszczył oczy i nim dostrzegł refleks światła w przedmiocie dzierzonym przez zabójcę, zdążył wykrzyknąć po francusku głosem wyzbytym z poczucia grzechu:

– I odpuść nam nasze winy...!

W jednej chwili Babineaux opadł bezwładnie na posadzkę, która w mgnieniu oka pokryła się kałużą krwi. I choć próżno było szukać księżycy na niebie, gdyż ten zdążył już schować się za jednym z obłoków, niezwykły nimb rudowłosej kobiety z witrażu nad ołtarzem wciąż lśnił tysiącem barw, oświetlając zwłoki księdza. Podczas gdy ten wstrząsający spektakl trwał w najlepsze, morderca zwrócił się w stronę wyjścia z kościoła i pospieszył ku niemu szybkim marszem. Pośród bębniących dźwięków jego kroków wybrzmiały słowa, które aż do samego rana krążyły nad polami i pagórkami departamentu Aude: *Jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...*

ROZDZIAŁ 12

*TULUZA, 93 KILOMETRY NA PÓŁNOCNY ZACHÓD
OD CARCASSONNE,
23 KWIETNIA 2017 ROKU, GODZINA 2.00*

Była godzina druga nad ranem, gdy samolot z Oliverem Monroe'em na pokładzie zniżał się do lądowania. Był to właściwie jedyny moment całego lotu, gdy profesor naprawdę bał się o swoje życie. Mimo że jego strach przed lataniem niewątpliwie uległ osłabieniu od czasu ostatnich wojaży, to podchodzenie do lądowania i sam moment zetknięcia się podwozia z pasem pozostał dla niego traumatycznym przeżyciem. Toteż gdy tylko poczuł, że maszyna zaczyna obniżać wysokość, zapiął pasy, nie czekając na oficjalny komunikat pilota. Wiedział wprawdzie, że na nic mu się zdadzą, jeśli samolot się rozbije, jednakże ta prosta czynność dawała mu nikłe poczucie bezpieczeństwa, którego tak bardzo potrzebował. Mocno chwycił za podłokietniki i wbił głowę w oparcie, a wzrok utkwił w małym punkcie na fotelu przed sobą. Tuż przed momentem kulminacyjnym spojrzął na prawo na swoją współtowarzyszkę, która ze stoickim spokojem obdarzyła go szczerym uśmiechem, przypominającym osobiste wyznanie: *będzie dobrze*. I w rzeczy samej – tak było. Chwilę po krótkiej wymianie

spojrzeń sunęli po pasie, stopniowo zwalnając, a Oliver nie trzymał się już tak kurczowo siedzenia z obawy o własne życie.

Po udanym lądowaniu w kabinie wybrzmiały pojedyncze oklaski. Pilot przystąpił do kołowania, a cała procedura zajęła mu kilka minut. Odstawił maszynę do miejsca wysiadania pasażerów, a po kilku chwilach obsługa lotniska podstawiła do niej schody. Oliver odetchnął z ulgą, gdy tylko zatrzymali się na płycie lotniska. W towarzystwie reszty pasażerów opuścił samolot, mijając przy tym kapitana, który wyszedł z kokpitu, by z uśmiechem na ustach pożegnać podróżnych.

Profesor wyrzął na zewnątrz, gdzie panował nieprzenikniony mrok i jedynie lampy wyznaczające szerokość pasa startowego błyskały żółtawym światłem. Zszedł powoli po schodach i skierował się w stronę miejsca, skąd miał odebrać swoją walizkę. Czekał kilkanaście minut, nim ujrzał ją przesuwającą się leniwie po taśmie bagażowej. Znudzony chwycił za rączkę i pognął w stronę terminalu.

Wówczas postawił sobie za cel złapanie pociągu do Carcassonne. Jeszcze w Providence zdążył się dowiedzieć, że najwcześniejszy odjeżdża dopiero o piątej nad ranem, w związku z czym miał przed sobą niemalże dwie i pół godziny oczekiwania. W tym czasie musiał dotrzeć na znajdujący się w samym centrum miasta dworzec Toulouse-Matabiau, korzystając z autobusu lub metra. Jak na złość zapomniał sprawdzić, jak funkcjonuje komunikacja miejska o tak zabójczej porze, toteż zdecydował, że najlepszym wyjściem z sytuacji będzie odnalezienie pierwszego lepszego przystanku i zorientowanie się co do kursujących autobusów. W tym celu zaczepił jednego z podróżnych, który na nieszczęście Olivera nie znał angielskiego, ale mimo to starał się mu pomóc ze wszystkich sił. Z najlepszymi intencjami, lecz wciąż wyjątkowo pokrętnie,

wytłumaczył mu drogę za pomocą różnych gestów i ruchów rękami. Oliver podziękował i obdarzył starszego człowieka szerokim uśmiechem, który był jednak całkowicie udawany, bowiem profesor wciąż nie miał pojęcia, jak odnaleźć przystanek. Doszedł do wniosku, że musi opuścić lotnisko i rozejrzeć się na własną rękę. Prędko skierował się w stronę wyjścia.

Po drodze minął tłum ludzi czekających na swoich bliskich. Kilkoro spośród nich dzierżyło kartki z imionami osób, które mieli odebrać z lotniska, lecz z jakichś powodów nie znali ich twarzy. Nieoczekiwanie i całkowicie przypadkiem Oliver ujrzał wśród tłumu mężczyznę z kartonikiem, na którym widniały jego własne imię i nazwisko. Natychmiast się zatrzymał i zmarszczył brwi. Popatrzył na bruneta w kremowej marynarce i czerwonej koszuli bez krawata, po czym ponownie przeczytał napis na niewielkim kartoniku, jak gdyby nie wierząc własnym oczom. Rozejrzał się wokół i wskazał na siebie z niewerbalnym zapytaniem, czy na pewno o niego chodzi. Nieznajomy opuścił kartonik i pokiwał głową. Wyjął wykałaczkę spomiędzy warg i nie czekając na ruch ze strony Olivera, podszedł do niego i uściśnął mu dłoń.

– Dzień dobry, panie Monroe – wymówił całkiem poprawną angielszczyzną. Mimo wyjątkowo przyjacielskiego powitania ze strony mężczyzny profesor nie miał pojęcia, kim on był.

– Przepraszam, czy my się znamy?

– Jérémie Blanc – odpowiedział prędko mężczyzna. – Dziennikarz „La Gazette du Sud-Est”, okręg Carcassonne. Panna Evans powinna być panu o mnie wspomnieć. Kiedy ostatni raz z nią rozmawiałem, zapewniała, że zaznajomi pana z całą sytuacją i poinformuje, że będę czekał. No, więc skoro już się znamy...

– Wie pan, gdzie jest Kate? – Choć gdzieś z tyłu głowy zaświtała mu myśl, że napotkany mężczyzna jest tym, o którym pisała Kate

w wiadomości, nie miał zamiaru rozmawiać z nim o niczym innym aniżeli o swej przyjaciółce.

– Niestety, nie wiem. Odkąd panna Evans jest we Francji, kontaktujemy się głównie telefonicznie.

– Ale to znaczy, że żyje?

– Oczywiście, że żyje, panie Monroe, niech pan się nie wygłupia, to nie Ameryka – odpowiedział prześmiewczo Blanc, na co Oliver odetchnął z ulgą. Nie wiedział wprawdzie, czy ufać mężczyźnie, którego znał od niecałych dwóch minut, ale cieszył się, że spotkał kogoś, kto ma jakiegokolwiek pojęcie o stanie jego przyjaciółki. Gdy w końcu otrzymał mgliste zapewnienie, że Kate ma się dobrze, mógł przejść do rozmowy na tematy mniej istotne.

– Mógłby pan powtórzyć nazwisko? – zapytał spokojnie.

– Jérémie Blanc. Jak już mówiłem, panna Evans powinna była powiadomić pana, że będę czekał na lotnisku.

– Podała mi tylko pański adres, z czego wywnioskowałem, że sam muszę się do pana zgłosić, choć zupełnie nie wiem, dlaczego.

– Za chwilę przedyskutujemy tę kwestię, ale najpierw przejdźmy do samochodu.

– W jakim celu? – zapytał podejrzliwie profesor, na co Blanc przewrócił oczami.

– Proszę sobie uświadomić, panie Monroe, że nic tu panu nie grozi. Zresztą, skoro panna Evans mi zaufała, to pan chyba też może, prawda? – zapytał i uśmiechnął się w sposób, który w jego mniemaniu miał budzić zaufanie, jednak w Oliverze z każdym kolejnym słowem mężczyzny narastała podejrzliwość w stosunku do niego. – Szczególnie że od teraz siedzimy w tym razem.

– W czym? – niemal wykrzyknął.

– Widzę, że nie ma pan pojęcia, co się dzieje – odrzekł z przykrością Blanc, jak gdyby świadomy długiej rozmowy, która

ich czekała. – Lepiej porozmawiajmy w samochodzie, proszę...

Monroe przystał w końcu na tę propozycję, choć wciąż uważał, że spotkanie Blanca na lotnisku w Tuluzie jest co najmniej dziwnym zbiegiem okoliczności. Trudno mu się dziwić, przecież sama Kate w wiadomości podała mu adres dziennikarza, co stanowiło wyraźną sugestię, żeby to on skontaktował się z Blankiem, nie odwrotnie. Zastanawiało go również, skąd mężczyzna wiedział, że profesor przyleci akurat tym samolotem i to dokładnie do Tuluzy, a nie na przykład do Montpellier, z którego również istniało dogodne połączenie do Carcassonne. Nawet Kate nie miała pojęcia, który lot wybierze Oliver, a co dopiero dziennikarz, który w żaden sposób nie powinien o tym wiedzieć. Zdecydował, że później wypyta o to Blanca, teraz natomiast pełen wątpliwości podążył szybkim krokiem za swym przewodnikiem.

Zupełnie inaczej wyobrażał sobie Tuluzę. Wysuszona południowym słońcem roślinność i szarość ścian budynków w żaden sposób nie pasowały do obrazu miasta fiołków, jak zwyczajowo przyjęło się je określać. Pomyślał jednak, że nie powinien zbyt pochopnie oceniać tego miejsca, skoro nie dane mu było go dokładnie poznać. Gdy tylko opuścili port lotniczy, skierowali się na przyległy parking, gdzie stał granatowy ford należący do Blanca. Pomknęli autostradą na południe, nie zbaczając z drogi i przez długi czas pozostając na zachodnim brzegu Garonny. Ominęli tym samym centrum ze wszystkimi jego zabytkami. Dopiero na południowych obrzeżach miasta przejechali przez Pont de l'Onia i obrali kurs w kierunku Carcassonne.

Gdy wyjechali z Tuluzy, Oliverowi zdało się, że dryfują po morzu niekończących się pól i lasów skąpanych w świetle księżyca, spośród których co jakiś czas wynurzały się nieliczne miasteczka i wsie. Jakkolwiek nawet mimo niemal nieprzeniknionej ciemności

ów sielski krajobraz wprawiał Monroe'a w nostalgiczny nastrój, nie mógł on zapomnieć o trapiących go wątpliwościach związanych z człowiekiem, który rzekomo był poszukiwanym przez niego dziennikarzem, Jérémin Blankiem. Profesor mógł bardzo łatwo zweryfikować prawdziwość jego słów, wystarczyło bowiem wpisać jego imię i nazwisko w wyszukiwarkę, a natychmiast wyskoczyłoby mnóstwo wyników, wśród których z pewnością odnalazłby zdjęcie prawdziwego Blanca. Problem jednak tkwił w tym, że Oliver nie miał dostępu do internetu, ponieważ z racji nagłego wyjazdu nie zdążył zgłosić u operatora chęci korzystania z niego. Ale była to tylko jedna z rzeczy, które podsycały niepewność u profesora. Bowiem od wyjazdu z Tuluzy minęło pół godziny, a kierowca nie odezwał się ani słowem, co przeczyło jego wcześniejszym zapewnieniom, jakoby mieli porozmawiać w samochodzie. Mężczyzna wyraźnie nie kwapił się do tego, a Oliver również był zbyt spięty, by sam rozpocząć dyskusję.

W końcu zdecydował się odezwać. Nie chciał w żadnym razie zaczynać rozmowy od bezpośrednich pytań o cel podróży, które mogłyby negatywnie nastawić do niego rozmówcę, toteż podjął z początku kilka bardziej neutralnych tematów. Wypytywał o życie w Carcassonne, pracę, czy latem jest rzeczywiście tak gorąco, jak mówią, czy zimą pada śnieg. Były to tak wielkie banały... Aż nie mógł uwierzyć, że sam z siebie zadaje tego typu pytania. Zawsze lubił bowiem rozmowy krótkie i treściwe, a ta z dziennikarzem „La Gazette du Sud-Est” była ich zupełnym przeciwieństwem.

– Może napije się pan wody? – zaproponował mężczyzna. – Leży na tylnym siedzeniu, proszę się poczęstować. Po tak długiej podróży jest pan pewnie spragniony.

W rzeczy samej profesor od kilku godzin nie pił nic poza filiżanką herbaty na pokładzie samolotu. Odwrócił się i sięgnął po butelkę.

Odkręcił nakrętkę i wziął kilka łyków. Ze zdziwieniem stwierdził, że woda miała lekko słodkawy smak.

– Dziękuję – uśmiechnął się.

Kontynuowali rozmowę o banałach, jednakże w pewnym momencie Monroe poczuł, że i jego ta wymiana zdań zaczyna nużyć, toteż postanowił przejść do sedna sprawy.

– Od jak dawna zna pan Kate? – zapytał.

– Tak właściwie to od dwóch miesięcy – odparł Blanc. – Skontaktowałem się z nią miesiąc po pierwszym morderstwie.

– Morderstwie? – Oliverowi zmroziło krew w żyłach.

To nie będą miłe wakacje – pomyślał.

– Tak. Rozumiem, że nic pan nie wie?

– O żadnych zabójstwach nic mi nie wiadomo – powiedział, kierując wzrok na pola za oknem. – Kate dała mi tylko znać, że potrzebuje pomocy. Mówiła, że ta sprawa ciągnie się od trzech miesięcy, ale nie sprecyzowała, o co dokładnie chodzi.

– W takim razie jestem zmuszony zaznajomić pana z sytuacją. – Wyłączył radio, a na zewnątrz jakby pociemniało, gdy księżyc skrył się za jednym z obłoków. – Ale najpierw może przejdźmy na ty, co pan na to? – Po raz kolejny wyciągnął do Olivera rękę. – Jérémie.

– Oliver – uśmiechnął się, odwzajemniając uścisk dłoni.

– Dobrze, zatem sytuacja wygląda następująco, Oliverze – zaczął Blanc. – Może znasz małe miasteczko położone na szczycie wzniesienia na południe od Carcassonne, Rennes-le-Château? No, więc tam to się zaczęło. Trzy miesiące temu miał miejsce pierwszy... incydent, pozwolisz, że tak to określe. Proboszcz parafii kościoła Świętej Marii Magdaleny, Robert Daquin, spłonął żywcem. Ktoś oblał go benzyną i podpalił, a ten podobno nocą, cały w płomieniach, gnał przez dziedziniec kościelny, potem po murze na wieżę Magdala, a na koniec rzucił się w dół wąwozu.

Początkowo myślano, że to zwykłe morderstwo, o ile jakiegokolwiek morderstwo można określić jako zwykłe, ale na sekcji lekarz stwierdził, że Daquin nie miał obu gałek ocznych. Ot, taki mały szczegół, który umknął tutejszej policji. Sam widzisz, jakich tu mamy policjantów, z tym Malinotem na czele... Nie chce im się jeździć z Carcassonne na tę wiochę, a w Rennes-le-Château nie ma komisariatu. Wielcy stróże prawa, a jak trzeba się ruszyć i coś zrobić, to nie ma komu... No, ale wracając do sprawy. Dopiero po drugim morderstwie zatrzymali tego Ebelinga, organistę. Ale ja nie wierzę, że on ma z tym coś wspólnego. To wprawdzie wariat, ale kiedyś był doktorem na jakiejś uczelni w Belgii, chyba w Liège, kto go tam wie. Dalej coś w tej swojej szopie eksperymentuje, ale nie pytaj mnie, co dokładnie tam robi, bo nie interesowało mnie to, a Malinot też nie chciał nic powiedzieć, jak skończyli przeszukanie. Pewnie niczego nie znaleźli, bo gdyby tak się stało, to od razu bym wiedział. Dobrego mam kolegę z tego naszego inspektora.

Monroe poczuł, jak z każdym kolejnym słowem wypowiedianym przez tego człowieka na zewnątrz robi się coraz mroczniej, zupełnie jak gdyby sama historia sprawiała, że na niebie zaczynały kłębić się chmury, a nad ziemią zbierała się mgła. Zdało mu się, że samochód przyspiesza i sunie po jezdni. Od wielu minut nie widział żywej duszy, żaden inny pojazd ich nie mijał, żadne ptactwo nie przeleciało im przez drogę, żaden pies nie zawodził gdzieś w ogrodach wiejskich miasteczek, podczas gdy Oliver odniósł wrażenie, że minęli ich już całe setki. Przechodził go dreszcz, gdy słuchał o potwornościach, jakie Blanc ciskał w jego stronę, a brakowało mu już sił, by odpierać kolejne ataki. Ta bańka surrealizmu, w której zamknął go kierowca, sprawiała, że Monroe w pewnym momencie nie był w stanie powiedzieć, czy w rzeczywistości tak było, czy to jego wyobraźnia kazała mu

widzieć go wtenczas większego, jak gdyby rósł i pęczniał, chłonąc mroczną treść swych opowiadań. Wpatrywał się w jego nabrzmiałą twarz rozciągniętą w potwornych grymasach, które mimo że wyglądały jak uśmiech, tak naprawdę skrywały grozę i przepełniały Monroe'a strachem. Mężczyzna w niczym nie przypominał tego trzydziestoparolatka poznanego przez Olivera na lotnisku w Tuluzie. Jakby opętany klątwą swej własnej opowieści, zdawał się za nic nie dostrzegać przerażenia w oczach profesora i kontynuował:

– W każdym razie nie mówiłem ci jeszcze o drugim proboszczu i lepiej posłuchaj, bo to dopiero heca. O tak pomysłowej zbrodni to na pewno nie słyszałeś. Kojarzysz pewnie, że na wieży każdego kościoła jest dzwon. I w Rennes-le-Château też taki mają. A w każdym dzwonie jest serce, czyli ta... no... maczuga, co uderza o metal i wydaje dźwięk. No i ktoś wziął zbyt dosłownie nazwę tej części i na jej miejscu przytwierdził ramię proboszcza Igora Gauthiera, w którego dłoni zaciśnięte było jego serce. Oprócz tego ramienia i serca tylko głowę znaleziono... Ale zgadnij gdzie! Wewnątrz tabernakulum, tydzień później przed pierwszą mszą. I – co ciekawe – znowu bez oczu. Po reszcie ciała nie było śladu. To, że tak powiem, prawdziwa sztuka z nutą tajemnicy...

Oliverowi zrobiło się niedobrze. Zwiesił głowę na piersi, starając się nie patrzeć za okno. Nie można było jednak powiedzieć, że nie docierały do niego słowa mężczyzny. Wręcz przeciwnie – doświadczał ich całym sobą, zupełnie jak gdyby osobiście był przy każdym z tych morderstw, nie tylko je widząc, ale i biorąc w nich czynny udział. Ponadto język, którym posługiwał się dziennikarz, miał w sobie coś, co przywoływało na myśl najbardziej pierwotne dialekty chłopów z Nowej Anglii końca XVII wieku, których historią profesor fascynował się za młodu. Nie brzmiał on jak

mowa cywilizowanego osobnika ze Starego Świata, a raczej jak typowe narzecze bestii za dnia pływającej w zatoce Narragansett, a nocami tarzającej się w błocie na brzegu rzeki Blackstone. I choć Monroe również wywodził się z tych rejonów, to odniósł wrażenie, że Blanc – mimo że nigdy pewnie nie słyszał nawet o starych mitach Providence – w tej konkretnej chwili reprezentował oazę pierwotnych instynktów, z których owa miejscina słynęła.

– Jest jeszcze jedna ciekawa kwestia – mówił dalej, nie zwracając uwagi na zlanego potem i pobladłego Olivera. – Każdy z nich na dobę przed śmiercią miał osobliwą wizję i każdy zgłaszał się z nią do komisariatu na Henriego Goûta. Pokrętnie, choć z wielkimi szczegółami tłumaczyli Malinotowi i jego podwładnym, co widzieli, ale oni tylko spisywali zeznania i puszczali ich wolno. Nawet ojca Gauthiera, który wręcz błagał ich, żeby zamknęli go w celi i dali mu schronienie. Trudno im się dziwić. Jakbyś na własne uszy usłyszał te brednie, zareagowałbyś tak samo. Zostawiłbyś ich samych sobie, a wyobraź sobie, jak trudno jest wytrzymać, kiedy to, co cię męczy, siedzi głęboko w twojej głowie. I żeby nie było, ja w to nie wierzę... W te urojenia, w sensie. Ale przynasz, że są intrygujące... Szczególnie że wczoraj rano z takimi samymi zwidami zgłosił się do nich obecny proboszcz, ten Babineaux. Spisali od niego dwa protokoły, a jak chcieli, żeby opowiedział to inspektorowi po raz trzeci, to wyszedł. Potem znaleźli go w strasznym stanie na ulicy i Malinot osobiście odwiózł go na plebanię. Babineaux to bardzo miły człowiek. Z wielką chęcią bym ci go przedstawił, ale nie wiem, czy to będzie możliwe... Doba mija dokładnie tej nocy.

Zapadła cisza. Nawet dźwięki silnika i szmer opon sunących po jezdni ucichły. Monroe odruchowo chwycił za klamkę, a głowę zwrócił w prawo, bojąc się spojrzeć na kierowcę. Odczuwał

niewypowiedzianą odrazę wymieszaną z potępieniem dla Blanca, który ośmielił się w jego obecności przytaczać tak potworne opowieści. Sposób, w jaki mówił o zabójstwach, fascynacja, którą emanował jego głos w trakcie przytaczania ohydnych szczegółów historii, podekscytowanie, jakie narastało w nim przy każdym morderstwie – to wszystko sprawiało, że Monroe coraz bardziej wątpił w dobre zamiary dziennikarza. Zdało mu się, że mężczyzna albo nie ma w sobie za grosz przyzwoitości, albo... to nie jest Blanc. Ta myśl kotłowała się w jego głowie od samego początku, lecz dopiero teraz, po wysłuchaniu tych wszystkich potworności wezbrała na sile. Stwierdził, że nie uwierzy w nic, co ten człowiek zamierzał mu powiedzieć. I choć w umyśle Olivera przyjęta przez niego postawa oporu i podjęta decyzja brzmiały wyjątkowo stanowczo, profesor w rzeczywistości bał się jak nigdy wcześniej. Jego rozważania przerwał cichy szept Blanca, który zniweczył wszelkie jego zamiary i stał na proch towarzyszące mu do niedawna poczucie bezpieczeństwa:

– Jak sam słyszysz, Oliverze, to miejsce jest straszne.

Profesor z wolna obrócił głowę w stronę dziennikarza. Ujrzał jego pusty wzrok, wodzący w ciemności daleko przed sobą, gdzie nie sięgały światła reflektorów. Być może Monroe byłby w stanie znieść tę niezręczną chwilę, gdyby nie paskudny grymas na twarzy Blanca, którego usta wykrzywione były tak, że nie dało się poznać, czy jest to uśmiech, czy wyraz największego bólu rozdzierającego go od środka. Niespodziewanie dziennikarz spojrział w stronę Olivera, któremu wówczas zmroziło krew w żyłach.

– Nieprawdaż? – wyrzekł grobowym tonem, jakby czekając na potwierdzenie ze strony Monroe'a.

Ten jednak zastygł i nie był w stanie w żaden sposób zareagować na zadane pytanie. Odniósł dziwne wrażenie, że wszystko wokół

zamarło, a samochód stanął, jak gdyby przygnieciony ciężką atmosferą panującą w jego wnętrzu. Na swoje szczęście profesor ocknął się prędzej niż Blanc i nie czekając na reakcję ze strony mężczyzny, pociągnął za klamkę, otwierając drzwi. Wnet dotarło do niego, że początkowe przekonanie o zatrzymaniu się samochodu było złudne, w rzeczywistości bowiem jechali jeszcze szybciej. Szczęśliwie Oliver już wcześniej nieświadomie rozpiął pasy, toteż jednym susem wyskoczył z auta, nim dziennikarz zdążył się zorientować. Po chwili zaliczył twarde lądowanie w przydrożnej trawie, zsunął się z wzniesienia w dół i przekoziółkował jeszcze parę metrów, zatrzymując się ostatecznie na krzakach.

Podniósł się niemal natychmiast i popędził przed siebie, nie odwracając się ani na sekundę. Pragnął jedynie znaleźć się jak najdalej od mężczyzny opowiadającego niestworzone historie.

ROZDZIAŁ 13

*RENNES-LE-CHÂTEAU,
23 KWIETNIA 2017 ROKU, GODZINA 4.45*

Wczesnym rankiem dwudziestego trzeciego kwietnia François Malinot wkroczył do kościoła Świętej Marii Magdaleny przez otwarte na oścież drzwi. Upřednio przeszedł pod portalem ze złowrogim napisem, który jednak w mroku panującym na zewnątrz wydawał się ledwie dostrzegalny. Gdy tylko przestąpił próg, usłyszał zgrzyt czegoś twardego o podłogę, a pod butem poczuł spory przedmiot o nieregularnym kształcie, na który nieumyślnie nadepnął chwilę wcześniej. Wówczas spostrzegł, że posadzka usiana była setkami różnej wielkości odłamków nieznanego pochodzenia. Rozrzucone po ziemi dawały wyraz tragedii, która wydarzyła się w tym miejscu.

Rozejrzał się po pomieszczeniu i w żółtym świetle bijącym ze ściennych świeczników dostrzegł po swojej lewej stronie posąg demona o bordowej, nadpalonej przez ognie piekielne skórze, częściowo zakrytej przez szatę w kolorze malachitu. Ów stwór infernalny nie był wszakże Malinotowi obcy, zapadł mu w pamięć już wiele lat wcześniej, gdy wraz z rodzicami odwiedzał kościół jako dziecko. Toteż prędko przypomniał sobie, że przepasająca diabła złota wstęga zdobiła również rąbek jego szaty, a spomiędzy

kędzierzawych, przydymionych wyziewami piekielnymi włosów wyrastały dwa baranie rogi. Pamiętał przejmujący trwogą grymas na jego twarzy, będący wyrazem wściekłości i chęci zemsty na tych, którzy przed wieloma wiekami zmusili go do dzierżenia na karku kropielnicy. Pamiętał wielkie, błękitne ślepie demona o wbitym w posadzkę tępym spojrzeniu, które wyrażało pragnienie powrotu do podziemnego królestwa cieni. Jego dynamiczna postawa ze zgiętymi kończynami, z których jedna wysunięta była ku przodowi, świadczyła o towarzyszącym zbłąkanej duszy pragnieniu wyrwania się z okowów nieustającej kary. Zaciśnięta w geście gniewu dłoń prawej ręki bluźniła Chrystusowi, który tą dłonią zwykł błogosławić swych wiernych. Natomiast lewą łapę demon złożył na prawym kolanie, jakkolwiek symboliki tego gestu Malinot nie znał.

Ale były to jedynie wspomnienia inspektora. Ani bowiem głowa z szeroko rozwartymi ustami, które od wieków wydawały nieustanny krzyk, ani dłonie i ramiona ułożone w tajemnych gestach nie towarzyszyły bordowemu korpusowi obleczonemu malachitową szatą. Istotnie – Malinot patrzył na rzeźbę niekompletną, która nieumiejętną ręką została pozbawiona głowy i szyi tak, że kropielnica nie spoczywała już na karku demona, a zdawała się zwisać nad nim. Podobnie rzecz się miała z rękami, a jedynym śladem po ich niedawnej obecności były pazury lewej łapy, które niezmiennie pozostawały zatopione w skórze prawego uda.

Inspektor posunął się kilka kroków w głąb świątyni, wodząc wzrokiem po kątach i przestrzeniach za innymi posągami, gdzie sprawca zdarzenia mógł schować części ciała demona, lecz jego poszukiwania spełzły na niczym. Nagle na pokrytej czarno-białą szachownicą posadzce ujrzał krople wyschniętej, ciemnoczerwonej

krwi. Podążył między ławami kościelnymi wzdłuż ścieżki wytyczonej przez krople, a gdy u jej kresu dostrzegł dwóch policjantów, którzy wpatrywali się w coś wydającego się spoczywać na ziemi tuż za ołtarzem, mimowolnie przyspieszył. Gdy jednak miał wspiąć się do prezbiterium i dołączyć do swych współpracowników, niespodziewanie przystanął i wbił wzrok w relief znajdujący się na przedniej ścianie ołtarza. Przyciągał wzrok z racji swej głębi, którą twórca uzyskał przez połączenie rzeźby i fresku. Przedstawiał posąg klęczącej w grocie kobiety z dziwnie skrzyżowanymi do modlitwy dłońmi, u której stóp spoczywała czaszka z wyrastającymi w jej sąsiedztwie łodygami, z rzadka tylko puszczającymi nowe pędy. Ich gałęzie układały się w kształt krzyża, a w połowie jego wysokości – na pozbawionych roślinności kamieniach – spoczywał otwarty modlitewnik. I choć znajdująca się w centrum reliefu kobieta, umieszczona na tle odległego krajobrazu z płonącym od błysków zachodzącego słońca niebem zwykle nie odrywała wzroku od krzyża, teraz było inaczej. W tej konkretnej chwili w miejscu jej głowy widniała bowiem pokaźna, blisko półmetrowej średnicy dziura.

Malinot nie myślał jednak długo nad zbezczeszczonym przedstawieniem świętej Kościoła i zrobił krok naprzód, wstępując do prezbiterium. Powoli obszedł ołtarz dookoła i stanął za jednym z policjantów, który ustąpił mu miejsca, gdy tylko zdał sobie sprawę z obecności inspektora. Wówczas Malinot dostrzegł to, co spodziewał się zobaczyć i to, czego ujrzeć najbardziej się obawiał. Babineaux leżał wyciągnięty na posadzce w kałuży krwi, a w jego szyi tkwił przedmiot, który wyglądał na krucyfiks. Jedno spojrzenie na zwłoki księdza wystarczyło, by inspektora opanowała wściekłość, która jednak prędko ustąpiła miejsca frustracji odzwierciedlającej zwykłą bezradność. Odwrócił się i ponownie

spojrzał na wnętrze kościoła, wodząc wzrokiem po jego posągach, reliefach i freskach.

Trzech proboszczów nie żyło, Asmodeusz wyzwolił się z wiecznych kajdan, a pozbawiona głowy Maria Magdalena nie strzegła już parafii pod swoim wezwaniem. Przypadające tego dnia Święto Bożego Miłosierdzia wydawało się nie zwiastować niczego dobrego temu przekłętemu miejscu.

ROZDZIAŁ 14

*CARCASSONNE,
23 KWIETNIA 2017 ROKU, GODZINA 5.00*

Choć wiele razy później Oliver Monroe starał się odtworzyć w pamięci swoją wędrówkę, za nic nie mógł zrozumieć, jakie dziwne i fortunne zrządzenie losu sprawiło, że zdołał dotrzeć pieszo do Carcassonne. Z pewnością musiał wyskoczyć z samochodu Blanca dość blisko miasta, a podjęta przez niego ucieczka szczęśliwym trafem wiodła go we właściwym kierunku. Nawet to jednak nie tłumaczyło, w jaki sposób znalazł się na ulicy, o której wcześniej tylko raz przeczytał w wiadomości od swojej przyjaciółki.

Pierwszą rzeczą, jaką pamiętał, był widok tabliczki z nazwą ulicy Jules'a Ferry'ego, francuskiego polityka zmarłego w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim roku wskutek ran odniesionych w zamachu. Podświadomie w nią skręcił, choć sam nie miał pojęcia, że na jej końcu znajdzie zbaczącą na prawo Allée de la Voûte, na której pod numerem czterdziestym mieszkała wspomniana przez Kate pani Martínez. Wyjątkowo spokojnym jak na swoje niedawne przeżycia krokiem minął stojące na krawężniku samochody, nad którymi jak parasol zwieszane były korony przydrożnych drzew. Po swojej lewej stronie dostrzegł dziwną furtkę z górną częścią w kształcie słońca, o nieco ciemniejszym niż reszta kolorze. Ominął ją i po chwili skręcił w prawo w Allée de la Voûte. Prędko znalazł

tabliczkę adresową z numerem czterdziestym umieszczoną na kolumnie okalającej uchyloną bramkę. Lekko nacisnął klamkę i wszedł na krótki i wąski dziedziniec biegnący wzdłuż budynku. Podążył nim, mając nadzieję, że wejście do domu znajduje się na jego tyłach.

Nie mylił się i po chwili stanął przed drzwiami z jasnego drewna. Zapukał, lecz natychmiast spostrzegł, że powinien był raczej zadzwonić, gdyż tuż obok klamki umieszczony był w ścianie niewielki przycisk. Nacisnął go bez wahania i rozejrzał się po okolicy, oczekując właścicielki domu. Minęło kilka sekund, nim po drugiej stronie rozległo się stąpanie, a chwilę później ujrzał, że drzwi z wolna się otwierają. Stała w nich niewielka kobieta w wieku pięćdziesięciu, może pięćdziesięciu pięciu lat, ubrana w piżamę w paski. Obdarzyła Monroe'a szerokim uśmiechem.

– *Bonjour, comment puis-je vous aider?*

– Przepraszam, ja nie...

– A, w porządku, pan Oliver Monroe, jeśli się nie mylę. – Szybko przeszła na angielski, zorientowawszy się, że jej rozmówca nie włada językiem francuskim. – Panna Kate poinformowała mnie, że pan tu trafi, chociaż nie sprecyzowała, kiedy dokładnie to nastąpi, a już na pewno nie mówiła, że przyjedzie pan o piątej nad ranem.

– Kate była tutaj? – zapytał cichym głosem, wchodząc do niewielkiego przedpokoju.

– Tak, ale... Matko Boska! – krzyknęła, gdy tylko smugi bladożółtego światła wewnątrz pomieszczenia padły na strój Olivera. Spostrzegła wówczas, że profesor był cały umorusany błotem, ręce miał czarne, a śnieżnobiała koszula pod brązową marynarką nabrała szarego odcienia.

– Musi pan się umyć, proszę ściągnąć rzeczy w łazience na górze, a ja je po południu wypiorę – powiedziała jednym tchem, popychając Monroe’a w stronę schodów znajdujących się po prawej stronie. – Ma pan coś na zmianę?

– Właściwie to zostawiłem walizkę w...

– Niech pan się wykąpie, ja przyniosę panu ciuchy mojego męża i położę je pod drzwiami.

– Ale co z Kate...

– Bez dyskusji! Na górę, no już! – Nie dała mu dokończyć, ostatnie słowa wykrzyczała do niego już z drugiego końca pokoju. – Pierwsze drzwi na prawo to łazienka.

Nie miał zatem wyboru, musiał iść i doprowadzić się do przyzwoitego stanu. Dopiero podczas rozmowy z kobietą zdał sobie sprawę, że zostawił wszystkie swoje rzeczy w samochodzie Blanca i nie mógł wcale mieć pewności, że kiedykolwiek je odzyska. Ruszył schodami do góry, gdzie zastał dość spory pokój z oknem w wykuszu, pod którym stało biurko z zeszytami i laptopem. Tuż przy ścianach rozmieszczone były regały z książkami, a w trzech miejscach również niewielkie komody z lampami i świecznikami. Wybrał pierwsze wejście po prawej stronie prowadzące do łazienki. Zapalił światło i chciał zamknąć za sobą drzwi, jednak nigdzie nie mógł znaleźć klucza, a po chwili stwierdził, że w drzwiach nie ma nawet zamka. Kilka sekund minęło, zanim spostrzegł leżącą przy ścianie sporą cegłówkę, która zapewne służyła do przyblokowania drzwi od wewnątrz. Postąpił zgodnie ze swoimi domysłami, po czym stanął przed lustrem i przejrzał się w nim.

Wyglądał, jak gdyby właśnie przeczołgał się przez kilka kilometrów bagnistych pól, czego wcale nie mógł wykluczyć, biorąc pod uwagę to, że nie pamiętał niczego od momentu opuszczenia

samochoodu mężczyzny podającego się za dziennikarza. Zmierzwił włosy z przyklejonymi do nich kawałkami błota były dziwnie zaczesane do góry, prawdopodobnie przez wiatr, który o tej porze hulał nad Carcassonne. Niewielkie bryłki błota były wszędzie na jego twarzy, a w rękawach marynarki znalazł fragmenty gałązek krzewu – najpewniej tego, na którym wylądował po wyskoczeniu z auta. Sięgnął do kieszeni, by sprawdzić, czy gdzieś przypadkiem nie zgubił telefonu, ale na szczęście znalazł go w stanie nienaruszonym. Odblokował wyświetlacz, który po chwili jednak samoistnie zgasł, gdyż wyczerpała się bateria. Wspaniale – rzekł do siebie. Został pozbawiony łączności ze światem i to najpewniej na zawsze, gdyż ładowarka do telefonu została w walizce, która przepadła bezpowrotnie.

Niezmiernie ucieszył się jednak, że w kieszeni marynarki odnalazł małą kartkę, na której spisał treść dziwnego wersetu odnalezonego w *Aktach Piłata*. Gdyby nie ona, straciłby prawdopodobnie jedyną wskazówkę, jaka mogła doprowadzić go do Kate. Przeczytał ponownie w myślach fragment apokryfu:

*Chrystus obwinił otchłań i niewolników
infernalnych osądził srogo, lecz umarłych powiódł
niebiańskim szeregiem.*

Wciąż nie miał pojęcia, co oznaczają te słowa i – przede wszystkim – co miała na myśli Kate, powołując się na nie. Zgiął więc wpół kartkę i położył ją na palce obok telefonu. Wziął prysznic, po czym odsunął spod drzwi cegłówkę i upewniając się, że nikogo nie ma na zewnątrz, zabrał leżące na podłodze ubrania. Pani Martínez, jako że to najprawdopodobniej z nią miał przyjemność, dała mu brązowe spodnie, kremową marynarkę na wzór tej noszonej przez Blanca i białą koszulę. Na widok

marynarki ponownie stanęły mu przed oczami okropieństwa, o których opowiadał dziennikarz i w które Monroe za nic w świecie nie chciał uwierzyć. Z trudem porzucił myśli o nich, raz jeszcze przejrzał się w lustrze i opuścił łazienkę.

Zszedł po schodach na dół, trzymając w rękach brudne ubrania. Spojrzał na salon, który rozświetlany promieniami wschodzącego słońca wpadającymi przez przeszklone drzwi tarasowe odświetlił przed Oliverem swoje wnętrze. Przy ścianach rozmieszczone były witryny z porcelaną, a na środku pokoju stał rozległy drewniany stół, wyglądający jednak dość lichy w porównaniu z potężnymi regałami i witrynami. Monroe dostrzegł, że był on zastawiony jak do posiłku dla dwóch osób. Nagle światło w pokoju się zapaliło i ujrzał panią Martínez, która z tacą pełną wędlin i serów wyszła z kuchni i zbliżyła się do stołu. Nie była już w piżamie, a w kwiecistej sukience do kostek.

– Już pan gotowy? – zapytała, stawiając niesiony przedmiot tuż obok koszyka z pokrojonym chlebem. – Proszę położyć ciuchy na ziemi, potem się nimi zajmę. Niech pan siada, pewnie jest pan zmęczony po podróży.

– Nawet nie wie pani jak bardzo – odpowiedział, kładąc ubrania na podłodze zgodnie z poleceniem. Zajął miejsce przy stole od strony kuchni, a kobieta usiadła naprzeciwko niego.

– Nie przedstawiłam się, przepraszam – wyrzekła, wyciągając do niego dłoń. – Julia Martínez.

– Oliver Monroe – odpowiedział, ściskając jej dłoń. – Nie jest pani stąd, prawda?

– Nie, jestem Hiszpanką. Dwadzieścia trzy lata temu przyjechałam tu z mężem z Saragossy, wybudowaliśmy ten dom i przyzwyczailiśmy się do życia w nim. – Uśmiechnęła się, wodząc

wzrokiem po pomieszczeniu. – Pewnego dnia mój mąż odszedł, a ja zostałam sama.

– Nigdy nie zdecydowała się pani wrócić do Hiszpanii?

– Nie – odpowiedziała krótko. – Wie pan, jeśli zamieszkałby pan w obcym kraju i nie opuszczał go przez wiele lat, w końcu stałby się pan jego częścią. To zabawne, jak otoczenie ma na nas bezpośredni wpływ. Nasza kultura, tradycja, przyzwyczajenia i zachowania się zmieniają. Przesiłekamy tym, co nas otacza. W moim przypadku taką przełomową chwilą, kiedy dotarło do mnie, że jestem w większym stopniu Francuzką niż Hiszpanką, był sen.

– Sen? – powtórzył Oliver z zaciekawieniem.

– Dokładnie tak. Niech pan sobie wyobrazi, że pewnej nocy zasnęłam i miałam sny, dziwne mary, w których wszyscy mówili po francusku, a ja rozumiałam, co do mnie mówili. Od tamtej chwili śniłam już tylko po francusku, a nigdy więcej po hiszpańsku. To zadziwiające, że po kilku latach życia w obcym kraju i posługiwania się obcym językiem nasz umysł się przestawia i zaczynamy nawet w nim śnić. To był moment, gdy uświadomiłam sobie, że nie ma dla mnie powrotu do Hiszpanii, bo tu jest moje miejsce.

– To interesujące, naprawdę. Nie wiedziałem, że język może mieć aż taki wpływ na naszą podświadomość – przerwał, by po chwili zapytać: – Wspomniała pani, że mąż odszedł. Co z nim?

– Nie widziałam go od dziesięciu lat – odpowiedziała, a Oliver się zmieszał. – Był muzykiem, koncertował, wyjeżdżał coraz częściej, a wracał coraz rzadziej. Aż w końcu pewnego razu wyjechał i nie wrócił. Od tamtej pory już tylko dzwonił.

– Przykro mi.

– Nie ma powodu, by komukolwiek było przykro, chyba że tylko mnie.

– Dlaczego?

– Sergio zmarł pięć lat temu, podobno w wypadku samochodowym. – Rozmowa w mgnieniu oka stała się dla Olivera niezręczna, choć jego rozmówczyni wydawała się tym w ogóle nie przejmować. – Żeby pan sobie nie pomyślał, że kontakt między nami kompletnie się urwał. Odkąd mój mąż po raz ostatni spakował swoje rzeczy i opuścił ten dom, rozmawialiśmy bardzo często. On po prostu nie czuł potrzeby powrotu. Miał duszę artysty, chciał mnie zabierać ze sobą w trasy, chciał, żebym do niego przyjeżdżała, ale ja nie miałam ani siły, ani ochoty, by żyć na walizkach. Dzień przed jego śmiercią rozmawialiśmy, i to dość długo, ale o niczym szczególnym. I z tego powodu może być mi przykro, choć żal mi go nie jest.

Popatrzyła na Monroe'a, który siedział jak na szpilkach. Zorientowała się najwidoczniej, że nie czuje się zbyt komfortowo, jednakże nie zamierzała z tego powodu przerywać swojej opowieści. Wydawało się, że potrzebowała rozmowy.

– Proszę się nie krępować, niech pan coś zje. – Ponaglony prośbą kobiety posmarował masłem kromkę chleba i nałożył plaster szynki na talerz, choć wcale nie był głodny. – Wie pan, nie chcę, żeby źle mnie pan zrozumiał albo pomyślał, że jestem nieczuła czy coś podobnego. Po prostu kiedy ktoś umiera, praktycznie nigdy w takiej sytuacji nie jest mi go żal. Nie wiem, czy to brak empatii, czy inne wynaturzenie... To nieistotne. Zawsze jednak zastanawia mnie, co jeszcze ten człowiek mógł osiągnąć, do czego mógł dojść w życiu. Wiadoma rzecz, że takie myśli są najsilniejsze, gdy umiera ktoś młody, ale śmierć starca też nie jest od nich wolna. Nigdy pan nie wie, ilu ludzi ten człowiek mógł jeszcze uszczęśliwić albo odwrotnie – ilu mogło uszczęśliwić jego. Może przez trzydzieści lat czekał na telefon od syna, z którym poróżnił się wieki temu? Kto wie, czy syn nie spóźnił się o ten jeden dzień. Tak samo było ze mną

i z Sergio. Przez pięć lat czekałam, pragnąc, żeby wrócił, albo żeby chociaż zadzwonił i powiedział mi coś więcej niż zwykle. Nie chciałam, żeby nasza ostatnia rozmowa wyglądała jak zdanie sprawozdania ze swojego życia, ale żeby to życie w pewien sposób... zwińczyła.

Oliver z uwagą słuchał historii kobiety, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że i jego ona po części dotyczyła. Gdyby bowiem sześć lat temu nie pogodził się ze swoim ojcem, Feliksem, teraz żałowałby pewnie tak samo, jak Julia Martínez żałuje nieodbycia szczerzej rozmowy z mężem. W jednej chwili poczuł, jak wielkim był szczęściarzem, mając ojca przy sobie przez ostatnie lata jego życia. Odtąd za każdym razem, gdy w głowie zaświtała mu bolesna myśl o przeszłości, miał przypominać sobie ten rozważny monolog osamotnionej wdowy.

– No dobrze, może wystarczy o mnie – powiedziała, widząc, że profesor się zamyślił. – W końcu nie przyjechał pan tu po to, żeby wysłuchiwać historii mojego życia. Najpewniej szuka pan swojej przyjaciółki?

– Wie pani, gdzie teraz jest? – Na wzmiankę o Kate momentalnie się ożywił. – Wysłała mi pani adres, dlatego miałem nadzieję, że ją tu znajdę.

– Tak by się stało, gdyby przyjechał pan miesiąc temu, od tamtej pory jej nie widziałam. Zabrała swoje rzeczy i wyszła. Oznajmiła tylko, że pan przyjedzie i opłaciła pański pobyt u mnie. Pamiętam, bo to było dość charakterystyczne, że dzień po tym, jak się wyprowadziła, przeczytałam w gazecie o śmierci tego proboszcza z Rennes-le-Château. Jakoś zbiegło się to w czasie, więc utkwiło mi w pamięci.

Miesiąc temu – powtórzył w myślach Oliver. To znaczy, że już wtedy zamierzała się z nim skontaktować, ale skoro tak, to dlaczego

zrobiła to dopiero wczoraj? Z jakiego powodu czekała aż miesiąc, wiedząc, że i tak będzie potrzebować jego pomocy? Te pytania jak lawina zalały umysł profesora i chwilę zajęło mu chronologiczne uporządkowanie wydarzeń i przeanalizowanie faktów. Przypomniawsobie, że Blanc – czy może raczej mężczyzna podający się za niego – utrzymywał poprzedniej nocy, iż o przyjeździe profesora powiedziała mu Kate. Teraz natomiast dowiedział się od pani Martínez, że jego przyjaciółka opuściła mieszkanie cały miesiąc temu, i to tuż przed morderstwem księdza Gauthiera. Oznaczało to, że Blanc był ostatnią osobą, która rozmawiała z Kate, a stało się to najprawdopodobniej po jej tajemniczym telefonie do Olivera, o ile taka rozmowa w ogóle miała miejsce. Monroe nie mógł mieć bowiem pewności, czy dziennikarz nie wymyślił tej historii tylko po to, by stać się bardziej wiarygodnym w jego oczach. Wszystkie te hipotezy potwierdzały obawy profesora. Już wcześniej nie ufał Blankowi, a w świetle najnowszych faktów był niemal przekonany, że mężczyzna wie, gdzie jest Kate i co gorsza – może mieć bezpośredni związek z jej zniknięciem. Oliver nie miał bowiem złudzeń co do tego, że ma do czynienia z porwaniem albo, o zgrozo, ze znacznie poważniejszym przestępstwem, a młoda pani profesor znalazła się w realnym niebezpieczeństwie.

– Jest pani pewna, że Kate nic więcej nie mówiła? – zapytał, nerwowo miętosząc obrus w dłoniach.

– Nie, nic szczególnego sobie nie przypominam... Przykro mi.

Monroe – zawiedziony brakiem informacji, które mogłyby pomóc mu zrozumieć sprawę, w którą został wbrew własnej woli wmieszany – naprędce dokończył śniadanie i podziękował za nie pani Martínez. Podjął decyzję, że musi jak najszybciej skontaktować się z prawdziwym Blankiem. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że Kate podała mu adres dziennikarza, ponieważ wiedziała,

że będzie on w stanie mu pomóc. Przemknęło mu przez myśl, że mężczyzna musiał posiadać jakąś szczególną wiedzę, istotną dla rozwiązania sprawy zniknięcia jego przyjaciółki, a może nawet był w posiadaniu kluczowych informacji na temat tajemniczych morderstw w Rennes-le-Château. Oliverowi jednak nie zależało, by wyręczać miejscową policję w jej obowiązkach, najważniejsze było dla niego odnalezienie Kate. Do tej pory był zmuszony bazować na samych domysłach i jeśli chciał posunąć się choćby o krok naprzód, musiał bezwzględnie spotkać się z Blankiem. Dziennikarz był zatem jedyną osobą, która pozostawała po jego stronie w nieznanym mu zupełnie Carcassonne.

Choć czas go naglił i wolałby bez zbędnego ociągania się ruszyć w drogę, uznał, że w dobrym tonie będzie poświęcenie chwili na pomoc pani Martínez w sprzątaniu, tudzież myciu naczyń. Po skończonych porządkach zamierzał już wychodzić, gdy ni stąd, ni zowąd kobieta zaproponowała, że zawiezie go pod wskazany adres. Było to wyjątkowo korzystne dla profesora, ponieważ nie znał miasta i sam z pewnością błądziłby po nim długie godziny. Podyktował właścicielce mieszkania adres Blanca, który szczęśliwym trafem udało mu się zapamiętać i zczekał, aż ta przygotuje się do wyjścia. W oczekiwaniu na kobietę przypomniał sobie o kartce z przepisaniem wersetem ze *Zstąpienia do Piekieł*, którą uprzednio zostawił na pralce w łazience, i udał się po nią na górę. Zabrał również pozostawiony w tym samym miejscu telefon komórkowy. Gdy wrócił, pani Martínez była już na zewnątrz. Dostrzegł ją, gdy przechodziła przez ogród, kierując się w stronę garażu, toteż podążył jej śladem i wsiadł do stojącego tam samochodu. Po chwili byli już na ulicy Jules'a Ferry'ego, po czym skręcili w przyległą aleję Henriego Goûta, a więc tę samą, na której

znajdował się komisariat policji, o czym Monroe w owej chwili nie miał pojęcia.

Gdy mijali kolejne stare kamienice o ścianach wypłowiałych od południowego słońca, Oliver nie mógł oprzeć się wrażeniu, że zna te miejsca. Nie wiedział jednak, czy prezentują one po prostu typową dla tego regionu architekturę, którą rozpoznawał z książek i filmów, czy raczej zdążył już poznać je w czasie swej niedawnej wędrówki, nad którą rozciągała się mgła zapomnienia. O tej godzinie nie było jeszcze ruchu na drodze, dlatego już po niecałych trzech minutach mijali Le Jardin du Calvaire, wjeżdżając w przylegający do niego bulwar Marcou. Przechodził on dalej płynnie na placu Davilla w Bulwar de Varsovie, ciągnący się wzdłuż Canal du Midi. Tuż przed portem skręcili w prawo w jedną z podrzędnych ulic, która po niespełna pięćdziesięciu metrach krzyżowała się z Rue de la République, na której pod numerem siedemdziesiątym mieszkał dziennikarz Jérémie Blanc.

Pani Martínez zatrzymała się na parkingu wśród wysokich klonów, tuż obok ogromnego budynku w kształcie litery L, której ramiona zamykały z dwu stron niewielki ogród leżący w centrum. Oliver wysiadł i podziękował kobiecie, a ona przestrzegła go, by nawet nie ważył się spóźnić na obiad, który zaplanowała na godzinę drugą po południu. Roześmiał się i zapewnił, że postara się z całych sił, choć może zdarzyć się tak, że obowiązki zajmą mu więcej czasu, niż przewidywał. Zamknął drzwi i powiódł wzrokiem za odjeżdżającym autem, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie. Musiał bowiem cofnąć się kilkanaście metrów, jako że wejście do kamienicy znajdowało się mniej więcej w środku długiego ramienia wspomnianej litery L. Zauważył, że budynek był w opłakanym stanie, choć otaczające go obiekty wcale nie odstawały od niego w tej kwestii. Po rzędach okien stwierdził,

że kamienica ma dwa piętra i parter, a okna na parterze zaopatrzone są w proste kraty pozbawione zdobień, tudzież wykonane w sposób wyjątkowo surowy.

Gdy tak szedł, bacznie przyglądając się budynkowi, dostrzegł coś, czego nie spodziewał się tam zobaczyć, i co spowodowało, że natychmiast się zatrzymał. Jego wzrok padł bowiem na stojący przy ulicy samochód, który – ku nieopisanemu zdziwieniu Olivera – był identyczny z samochodem mężczyzny podającego się za Blanca. Wyglądał zupełnie jak granatowy ford, z którego pod osłoną nocy udało mu się wyskoczyć i podjąć wędrówkę, której szczegółów nie dane mu było spamiętać.

Ogarnął go strach i zwątpienie. Długo myślał nad tym, czy w obliczu niedawno przeżytych wydarzeń powinien stawiać się pod wskazanym adresem. Czyż nie byłoby to wysoce niestosowne, by najpierw uciekać, a po niespełna trzech godzinach wracać z podkulonym ogonem? Przede wszystkim wiązałoby się to z niemałym upokorzeniem, ponieważ musiałby przyznać z jednej strony, że postąpił irracjonalnie, a z drugiej – że człowiek, który odebrał go z lotniska w rzeczywistości był tym, za kogo się podawał – dziennikarzem „La Gazette du Sud-Est”, Jérémin Blankiem. W obecnej chwili i w perspektywie tego zaskakującego zwrotu akcji nie było bowiem wątpliwości, że mężczyzna mieszkający pod adresem wskazanym przez Kate w wiadomości i ten, który odebrał go z lotniska, to jedna i ta sama osoba. Mimo niezbitych dowodów potwierdzających tożsamość dziennikarza, Oliver wciąż nie mógł uwierzyć w zaskakujący obrót wydarzeń, a powodów takiego stanu rzeczy należało upatrywać w psychice młodego profesora, która została mocno nadszarpnięta w czasie ich ostatniego spotkania. Podświadomie nie chciał mieć do czynienia z osobą, która w tak potworny sposób opisywała morderstwa

księży, nawet jeśli te historie okazały się prawdziwe. Co do autentyczności opowieści Blanca o okropnych zbrodniach dokonanych na proboszczach kościoła Świętej Marii Magdaleny w Rennes-le-Château nie mógł mieć bowiem wątpliwości. W końcu pani Martínez sama powiedziała mu o śmierci księdza Gauthiera, choć nie była w tym tak wylewna jak Blanc, który nie szczędził mu krwawych szczegółów i z fascynacją w głosie opowiadał o agonii starców.

Monroe po ciągnących się w nieskończoność rozważaniach i rozpatrywaniu wszelkich za i przeciw ostatecznie zdecydował, że spotka się ponownie z Blankiem. Nie pozostało mu bowiem nic innego, jak tylko zaufać Kate i mieć nadzieję, że młoda pani profesor nie pomyliła się co do zamiarów dziennikarza. Pokonał zatem kilka ostatnich metrów wąskiej uliczki i stanął przed drzwiami. Odszukał na domofonie nazwisko dziennikarza i zadzwonił. Po drugiej stronie niemal natychmiast odezwał się głos:

– *Désolé, je me dépêche, je vous laisse jeter les lettres à la boîte, même celles recommandées.*

– Przepraszam, ja nie... – zaczął nieśmiało.

– A, Oliverze – odpowiedział mu głos po drugiej stronie. – Dobrze, że jesteś. Miałem zamiar zabrać cię po drodze, bo właśnie jadę do Rennes-le-Château.

Oliver nie dowierzał własnym uszom. Dlaczego Blanc zachowuje się tak, jak gdyby nic się nie stało? – pomyślał. Biorąc pod uwagę to, co zdarzyło się wcześniej tego poranka, nie ulegało wątpliwości, że dziennikarz powinien być na niego wściekły. Przemknęło mu przez myśl, że albo on postradał zmysły, albo Blanc nie był z nim do końca szczerzy. Z trudem udało mu się otrząsnąć ze zdumienia i wrócić do rozmowy z mężczyzną.

– Mam poczekać przed drzwiami?

– Ależ skąd! Wejdź, proszę. – Usłyszał charakterystyczny dźwięk domofonu, zwiastujący, że drzwi zostały odblokowane. – Drugie piętro, numer piętnasty.

Wszedł do środka i ujrzał schody, po których lewej stronie mieścił się niewielki korytarz z dwójgiem drzwi, prowadzący najpewniej do tylnego przejścia na ogród. Pełen wątpliwości ruszył na górę. Prędko pokonał stopnie wiodące na drugie piętro, gdzie pod numerem piętnastym bez trudu odnalazł mieszkanie Blanca. Odkąd ujrzał na ulicy znajomy samochód, wciąż tlił się w nim naiwnie niewielki płomyk nadziei, że jakimś cudem nie spotka człowieka, który kilka godzin wcześniej odebrał go z lotniska. Nadzieja ta jednak prędko zgasła, ponieważ nim zdążył zapukać, drzwi stanęły otworem, a w progu ujrzał dobrze mu już znanego bruneta w kremowej marynarce. Jego widok stanowił dla Monroe'a niepodważalny dowód na to, że w rzeczy samej jest on mężczyzną, o którym wspominała Kate w wiadomości.

– Witaj, Oliverze – powiedział. – Nie spodziewałem się ciebie tak szybko. Pewnie długo zajęło ci dotarcie tutaj? Tam, gdzie cię zostawiłem, o tej porze nie kursują autobusy.

Zdecydowanie nie – pomyślał profesor.

– Właściwie to podwieziono mnie. – Wypowiadając te słowa, przekroczył próg mieszkania.

– Pewnie pani Martínez, przemiła kobieta.

Na te słowa Monroe stanął jak wryty. Nie miał bowiem pojęcia, skąd Blanc wiedział o jej istnieniu. W jednej chwili ogarnęło go dziwne uczucie niepokoju, przypominające w dużym stopniu to, którego doświadczył na drodze wiodącej z Tuluzy do Carcassonne, gdy wsłuchiwał się w opowiadane przez niego potworności. Ta emocja go sparaliżowała, sprawiając, że nie był w stanie się ruszyć.

Blanc najwidoczniej dostrzegł dziwne zachowanie profesora i odezwał się:

– Wszystko w porządku, Oliverze?

– Nie, nie jest w porządku. – Postanowił, że musi tu i teraz uzyskać odpowiedzi na wszystkie pytania, które go trapią. – Powiedz mi, skąd wiesz o pani Martínez?

– Sam cię przecież do niej zawiozłem.

Oliver się roześmiał.

– Co? Ty mnie do niej zawiozłeś?

– Tak, przecież mówię – kontynuował, a Monroe nie wierzył w to, co słyszy. – Prosto z Tuluzy pojechaliśmy na Allée de la Voûte, gdzie cię zostawiłem. No, nie do końca tak było. Nie dojechałem pod sam dom, tylko wysadziłem cię na Henriego Goûta, tuż przed skrzyżowaniem w Jules’a Ferry’ego, bo powiedziałaś, że sobie poradzisz i sam znajdziesz właściwy dom. Zostawiłeś walizkę w samochodzie, ale już się nie wracałem, żeby ci ją oddać. Stwierdziłem, że przecież nie zginie, a odbierzesz ją, gdy się spotkamy. Pamiętasz chyba, uzgodniliśmy, że masz się wykąpać, przebrać i przyjechać do mnie, gdzie miałem ci wszystko wytłumaczyć. Taki był plan, ale jak już wróciłem do domu, pomyślałem sobie, że po co właściwie masz jechać taki kawał drogi, skoro mogę zabrać cię po drodze do Rennes-le-Château. Sam się tam wybieram i ty również powinieneś zobaczyć to miejsce. Dzwoniłem, żeby powiedzieć ci o tym, ale nie odbierałaś. Myślałem, że nie przyjedziesz.

Profesorowi zdało się, że postradał zmysły, a cokolwiek by powiedział, Blanc i tak uznałby go za człowieka niespełna rozumu. Nie istniało bowiem racjonalne wytłumaczenie jego rzekomych urojeń, a skonfrontowanie ich z wersją wydarzeń przedstawioną przez dziennikarza skończyłoby się dla Olivera klęską. Bez względu jednak na to, jak logiczna i przekonująca była

historia Blanca, profesor nie był w stanie w nią uwierzyć. Istotnie – nie pamiętał drogi do domu pani Martínez, jednakże był w stu procentach pewien, że wyskoczył tej nocy z samochodu Blanca i o własnych siłach – choć w sposób nie do końca sobie samemu znany – dotarł na Allée de la Voûte. Czy to możliwe, że był tak przejęty dziwnymi opowieściami dziennikarza, że podświadomie wymazał je z pamięci i zastąpił wymyśloną historią o własnej ucieczce? Tak irracjonalny scenariusz zrazu wydał mu się nieprawdopodobny, jakkolwiek zdawał sobie sprawę, że w konfrontacji z opanowanym i pewnym siebie Blankiem on sprawiał wrażenie człowieka, którym kierowały emocje niepozwalające trzeźwo myśleć. Czy wątplenie we własną pamięć było wystarczającym argumentem, by dać wiarę dziennikarzowi i przyjąć jego wersję wydarzeń, Oliver nie wiedział. Mimo to wciąż nie zamierzał dać za wygraną, gdyż duma nie pozwalała mu się poddać. Dla dobra własnego zdrowia psychicznego musiał udowodnić, że mimo krótkotrwałej utraty pamięci, zachował przytomność umysłu.

– Jak to możliwe, że byłem cały w błocie, kiedy przyszedłem do pani Martínez?

– To akurat dość banalne pytanie – odpowiedział Blanc. – Kiedy wychodziłeś z samochodu, potknąłeś się i wylądowałeś w kałuży, ot co.

– Uważasz, że w to uwierzę?

– Nie interesuje mnie, czy w to wierzysz. – Blanc nagle zmienił ton z łagodnego na bardziej agresywny, jednak po chwili się poprawił. – Naprawdę, Oliverze, nikt tutaj nie ma w stosunku do ciebie złych zamiarów. Kate...

– Gdzie ona jest? – przerwał.

– Posłuchaj mnie, to ci powiem! – krzyknął dziennikarz. – Kate napisała do mnie wczoraj rano, podając mi adres *madame Martínez*, twoje imię i nazwisko i prośbę, żeby odebrać cię z lotniska...

– Skąd wiedziałeś, że przylecę do Tuluzy i akurat o tej godzinie? – Monroe nie dawał za wygraną, musiał udowodnić, że dziennikarz kłamie.

– Sprawdziłem i to był najwcześniejszy, a w dodatku jedyny bezpośredni lot na południe Francji. Do Montpellier nie lata nic, a podróżując przez Paryż, nadłożyłbyś drogi.

Oliver zamilkł.

– Dasz mi teraz dokończyć? – zapytał Blanc. – Skoro tak, to posłuchaj. Widać, że musimy wyjaśnić sobie pewne sprawy. Już na lotnisku zauważyłem, że jesteś w stosunku do mnie uprzedzony, choć wcale nie rozumiem takiego stanu rzeczy. Jak już mówiłem, Kate wysłała mi twoje dane, ale to nie wszystko. Było w tej wiadomości coś jeszcze. Najlepiej sam popatrz.

Wyciągnął z kieszeni marynarki telefon, wyszukał odpowiednią wiadomość i przekazał komórkę Oliverowi. Profesor odebrał ją nieufnie od dziennikarza i przeczytał treść wiadomości:

Odbierz, proszę, Olivera Monroe'a z lotniska i zawieź do pani Martínez, mieszka pod tym adresem: 40 Allée de la Voûte. Oliver jest profesorem archeologii na moim uniwersytecie i będzie w stanie nam pomóc.

Piekło 7, 30-31

W tym momencie Monroe przegrał z kretesem i musiał odpuścić. Numer telefonu, z którego wysłano tę wiadomość, w rzeczy samej należał do Kate, a jej treść jednoznacznie świadczyła o dobrych zamiarach Blanca. Wyczerpał wszelkie możliwe argumenty

w rozmowie z dziennikarzem, który każdą wytykaną mu nieścisłość tłumaczył w sposób prosty, logiczny i niebudzący wątpliwości. Z pokazanej mu wiadomości jednoznacznie wynikało, że Kate chciała, żeby Blanc odebrał go z lotniska. Ale dlaczego zatem wysłała Oliverowi adres dziennikarza, skoro wiedziała, że i tak się z nim spotka? Ta jedna niewiadoma nie dawała mu spokoju, jednak zdecydował się dłużej nie drążyć tematu. Mimo że wciąż nie mógł uwierzyć w to, że nocna ucieczka nie była wcale prawdziwa, a jedynie zrodziła się w nieprzeniknionych odmętach jego wyobraźni, musiał i w tej kwestii przyznać Blankowi rację. Może był zbyt zmęczony po locie, co w połączeniu z natłokiem nowych informacji wywołało u niego te wizje? Nie wiedział tego, ale też nie zamierzał więcej zadrećcać się tym szczegółem. Wygodniej i bezpieczniej dla jego zdrowia psychicznego było uznać za prawdziwą wersję wydarzeń podaną przez dziennikarza.

Gdy już uporał się z własnymi myślami, mógł wreszcie skupić się na drugiej części wiadomości, którą Kate wysłała Blankowi i która tak zaciekawiła dziennikarza: *Piekło 7, 30-31*. Co mogły oznaczać słowo i towarzyszące mu liczby, Oliver zrazu nie wiedział. Po raz kolejny otrzymał od Kate zagadkę, której rozwiązanie mu umykało, sprawiając, że ogarniała go niewypowiedziana wściekłość, a jego duma cierpiała. Był bowiem pewien, że nie wysłałaby mu tych wszystkich wskazówek, jeśliby nie wierzyła, że mu się uda. Jak na razie jednak nie posunął się ani o krok naprzód, co kazało mu wierzyć w to, że Kate przeceniła jego umiejętności.

Wówczas jednak nastąpił przełom. Poirytowany swą niemocą powtarzał w myślach słowo *piekło* tak długo, aż w końcu zrozumiał.

- Masz tu jakieś książki? - rzucił.
- Tak, biblioteczka jest w salonie...

– Chodźmy więc, nie ma czasu.

Blanc zaprowadził profesora do wspomnianego pomieszczenia, gdzie naprzeciwko okna stał duży regał z książkami.

– Czego szukamy? – zapytał dziennikarz.

– *Boskiej komedii* Dantego – odpowiedział Monroe, wodząc wzrokiem po tytułach.

– Tu jest, ostatnio czytałem. – Blanc uprzedził profesora i sięgnął po czternastowieczne dzieło stojące na jednym z górnych rzędów. Podał je Oliverowi, który zaczął chaotycznie kartkować książkę, szepcząc pod nosem:

– Piekło...

– To tytuł rozdziału – zauważył Blanc. – Do czego może się odnosić?

– Tytuł książki, nie rozdziału – poprawił go Monroe. – Dante, a właściwie Durante, bo takie imię otrzymał na chrzcie od matki, został w tysiąc trzysta drugim roku wygnany ze swej ukochanej Florencji i wtedy właśnie zaczął pisać *Boską komedię*. Cały utwór był jego zemstą na tych, którzy go napiętnowali i kazali mu wynieść się z własnego domu. Dantemu większą przyjemność sprawiło potępienie swoich przeciwników i wtrącenie ich za życia w ogień piekielne aniżeli ich śmierć. Dlatego gdy chciał zemścić się na swych wrogach, nie próbował ich zabić. Znacznie bolesniejsze według niego było stworzenie królestwa ciemności z dziewięcioma kręgami, w którym przebywają jego nemezis, wyklęci za swe grzechy, podczas gdy ich ciała żyją na ziemi jedynie pozornym życiem nadanym im przez samego diabła. Kiedy pierwsza część *Boskiej komedii*, *Piekło*, obiegnęła kraj, całe Włochy czytały Dantego, całe Włochy znały wizję piekła Dantego i całe Włochy wierzyły, że to Dante co noc zstępuje do piekieł, by zdać na ziemi relację z tego, kogo tam spotkał. Uważano go za człowieka-ducha, który

wszystkich potępieńców zna osobiście... Dopiero co czytałeś i nie skojarzyłeś faktów?

– Jakoś nie zastanawiałem się długo nad tym...

– Piekło, pieśń siódma, wersety trzydziesty i trzydziesty pierwszy.

– Oliver odnalazł odpowiedni fragment w tekście. – Przetłumacz, proszę.

Blanc spojrział na wskazany dwuwiersz.

– Jakby to... – Zastanowił się. – Już wiem. Napisane jest: *W pierwszym natarciu zwarli się, a potem nagle bezładnym pierzchnęli odwrotem*^[6].

– Jesteś pewny?

– Może nie znam historii tak dobrze jak ty, profesorze, ale za to francuski znam doskonale – odpowiedział kąśliwie dziennikarz.

Monroe odszedł na bok, a po chwili począł nerwowo spacerować po pokoju, powtarzając jak mantrę zacytowany przez Blanca fragment. Ten w tym czasie zamknął książkę i położył ją na stoliku. Wychodząc z pokoju, rzekł do profesora:

– Chcesz kawy, herbaty?

– Nie, dziękuję – wymamrotał pod nosem, usilnie myśląc nad dziwnymi słowami.

– Ja jednak zrobię sobie kawy. – Wyszedł, a gdy był już na korytarzu, Oliver usłyszał jego przytłumiony głos. – To będzie dzisiaj moja *pierwsza*.

Monroe w reakcji na te słowa przystanął. Doznał cudownego olśnienia w najmniej spodziewanym momencie. Nigdy nie przypuszczałby bowiem, że stanie się to za sprawą napoju, którego nawet nie lubił.

ROZDZIAŁ 15

Oliver wyciągnął z kieszeni marynarki kartkę papieru, na której spisany był werset z *Akt Piłata*, i położył ją na stoliku tuż obok *Boskiej komedii*. Przeczytał tekst na głos:

*Chrystus obwinił otchłań i niewolników
infernalnych osądził srogo, lecz umarłych powiódł
niebiańskim szeregiem.*

Podniósł długopis leżący na podłodze i zaczął w pośpiechu zaznaczać coś na kartce, wciąż powtarzając na głos słowa: *pierwsza, pierwszy, pierwszym...* Tę dziwną scenę zauważył Blanc, gdy tylko wszedł do pokoju. Z filiżanką w dłoni zbliżył się do fotela, na którym siedział Oliver, i spojrzał mu przez ramię. Dostrzegł, że profesor zaznacza pierwsze litery wyrazów powyższego wersetu, które następnie starannie spisuje u dołu kartki, zachowując odstępy pomiędzy literami. Dziennikarz ujrzał następujący ciąg liter:

C O O I N I O S L U P N S

– I co to oznacza? – zapytał, gdy spostrzegł, że Oliver skończył pisać i położył długopis na stoliku.

– Jeszcze nie wiem – odrzekł. – Ale Kate na pewno chodziło o pierwsze litery wyrazów tego wersetu. Wysłała mi w wiadomości ten tekst, ale nie wyjaśniła, o co chodzi. Dodała na końcu pytanie: *zawsze wolałeś być Pierwszy, prawda? A słowo pierwszy zapisała*

wielką literą. Teraz ty dostałeś w wiadomości wers z *Boskiej komedii*, który mówi: *w pierwszym natarciu zwarli się...* Wszędzie powtarza się słowo *pierwszy*. Myślę, że dostaliśmy w wiadomościach dwie części tej samej zagadki. Mnie Kate wysłała zamek, a tobie klucz do niego.

Rzucił okiem na Blanca, a ten tylko przytaknął.

– No, profesorze, gratuluję.

– Jeszcze nie ma czego gratulować. – Monroe ostudził jego optymizm. – Jak na razie mamy ciąć nic nieznaczących liter.

– A skąd pochodzi ten wierszyk?

– To nie wierszyk, tylko werset z jednej z części *Ewangelii Nikodema*, zwanej również...

– ...*Aktami Piłata* – dokończył Blanc.

– Dokładnie tak.

Oliver zdziwił się, że dziennikarz zna ten tekst. Blanc, dostrzegając jego zdumienie, dodał:

– Rodzice byli przeciwnikami Kościoła i szukali takich perełek. Przeczytali wszystkie apokryfy, ale żadnej właściwej ewangelii.

– Typowe – oznajmił profesor. – Dla Biblii największym problemem dwudziestego pierwszego wieku jest to, że zbyt wielu ludzi kojarzy ją z Kościołem. Warto spojrzeć na nią jak na tekst kulturowy, który ukształtował tradycje wielu narodów, a nie jak na powód wszelkich konfliktów na świecie. Ludzie mijają się z sensem, przeinaczają słowa, odwracają ich znaczenia...

Przerwał. To było to, Oliverze Monroe, drugi genialny pomysł jednego dnia.

– Trzeba odwrócić litery – powiedział. – Zamienić je miejscami.

– Anagram? – zapytał Blanc.

– Nie inaczej. – Od sześciu lat nie był tak podekscytowany. – Zgodnie z tym, co napisał Dante: *W pierwszym natarciu zwarli się,*

a potem nagle bezładnym pierzchnęli odwrotem. Najpierw bierzemy pierwsze litery wyrazów, a potem je odwracamy i otrzymujemy hasło.

– Myślisz, że jest ono po angielsku czy po francusku?

– Myślę, że ani jedno, ani drugie – odrzekł. – To musi być coś uniwersalnego. Powiedz mi, jaki wyraz nie zmienia swojego znaczenia bez względu na język, w którym jest napisany?

– Nie wiem. – Blanc najwidoczniej nie spodziewał się pytania. – Może jakaś nazwa własna?

– Tak! Kate chciała nas nakierować na coś konkretnego, coś, czego nie da się z niczym pomylić, i co zrozumie każdy. To musi być...

Monroe przez ponad piętnaście minut zapisywał litery w różnych konfiguracjach, a Blanc co chwilę wstawał i siadał, nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca we własnym domu. Mimo niezakłóconej ciszy panującej w pokoju przez miniony kwadrans Oliverowi towarzyszyło mnóstwo dźwięków głosek i sylab, które słyszał tylko on sam. Po wielu próbach pełnych rozczarowań w końcu udało mu się odnaleźć dwa słowa, które Kate zakodowała w anagramie. Było to imię i nazwisko. Imię i nazwisko malarza.

– Blanc – powiedział Oliver, nie odwracając się. – Podejdź tutaj.

Dziennikarz zbliżył się do profesora, który z satysfakcją podziwiał efekt swojej pracy, zapisany na świstku papieru. Położył go z powrotem na stoliku i ruchem ręki zachęcił Blanca do rzucenia okiem. Sam rozsiadł się w fotelu, czekając na pochwały ze strony dziennikarza.

– Nicolo Pussino – przeczytał. – To wszystko?

– Wszystko? – oburzył się Monroe.

– Spodziewałem się czegoś więcej, czegoś bardziej... zrozumiałego.

– Ważne, że idziemy dobrym tropem. To nie może być zbieg okoliczności, że trafiliśmy na to nazwisko: Nicolo Pussino...

właściwie Nicolas Poussin. Kate chciała zwrócić naszą uwagę na Poussina, ale o co dokładnie jej chodziło, tego nie wiem. To może być wszystko, jego obraz, przebieg życia, podróże...

Wypowiedź Olivera przerwał dźwięk komórki dziennikarza.

– Blanc – odebrał. – Tak... Rozumiem... Niech ojciec się uspokoi. Zaraz będziemy. Dziękuję za telefon.

Rozłączył się.

– Jest następne morderstwo – powiedział. – Zginął Babineaux. Tak jak podejrzewałem, dokładnie dobę po przyjeździe do komisariatu, gdzie przed policjantami snuł te swoje opowieści. Zupełnie jak poprzedni księża.

Oliver przez cały czas trwania tej krótkiej rozmowy obserwował dziennikarza, który wieść o śmierci kolejnego proboszcza odebrał całkowicie bezemocjonalnie. Profesorowi wydawało się to nie do przyjęcia, a chłodny i obojętny ton jego głosu przepełniał go grozą. Po raz kolejny tego poranka przed oczami stanął mu obraz wykrzywionej w dziwnych grymasach twarzy Blanca, gdy ten opowiadał mu o morderstwach dwóch innych księży w czasie ich wspólnej podróży z Tuluzy.

– Wcale cię to nie rusza? – rzekł do niego.

– Co? – Dziennikarza zaskoczyło to pytanie. – A, chodzi ci o śmierć. Pytasz, czy nic nie czuję, słysząc o kolejnym morderstwie? Właściwie to nie. Nie uznawaj tego za wynaturzenie, po prostu zbyt długo pracuję w tej branży, żeby takie rzeczy mną wstrząsały. Może wydawać ci się to złe, możesz uważać mnie za złego człowieka, ale pamiętaj, że to nie ja zabijam tych ludzi. A wręcz przeciwnie, dzięki mnie wszyscy wiedzą o morderstwach, a to nakłada presję na policję, zmuszając ją do działania. Możesz więc uznać, że jestem zepsuty, ale możesz też stwierdzić, że to dzięki mojej pracy zbrodnie nie są zamiatane pod dywan. Wybór należy do ciebie.

Oliver przytaknął.

– Przepraszam – rzekł do Blanca. – Przepraszam za to pytanie i za mój wcześniejszy stosunek do ciebie. Nie wiem, dlaczego tak się zachowywałem. Wszystko jest tu dla mnie nowe i...

– Spokojnie, profesorze – przerwał mu. – Każdy popełnia błędy, nawet ty. Z ciekawości spytam: dlaczego tak się zdziwiłeś, jak powiedziałem, że to ja odwiozłem cię do domu pani Martínez?

– Po prostu... Wydawało mi się, że wyskoczyłem z auta i sam tam trafiłem... To głupie, wiem.

Blanc popatrzył na niego uważnie, lecz po chwili zaniósł się śmiechem.

– Dobrze, że zdajesz sobie z tego sprawę – podsumował. – Z pewnością nie masz pojęcia, co tutaj robisz, a na domiar złego nie wiesz, gdzie jest twoja przyjaciółka...

– Mówiłeś przecież, że żyje i wszystko jest z nią w porządku.

– I tak z pewnością jest, ale... – Zawahał się. – W tej kwestii, muszę wyznać, nie byłem z tobą do końca szczery. Prawda jest taka, że ja również nie wiem, gdzie ona teraz jest.

Monroe zaniemówił.

– Z Kate utrzymuję kontakt od momentu, kiedy tu przybyła – kontynuował. – To ja ją wezwałem. Zrobiłem to, kiedy znalazłem informację o tym, że specjalizuje się w dziełach francuskich artystów i w ikonografii sakralnej, a poza tym miała związek z pewnymi, że tak to określe, tajemnymi sprawami. Na pewno wiesz, o czym mówię, razem z nią przecież brałeś w tym udział. Potrzebowałem jej pomocy z prostego powodu. Otóż w przeciwieństwie do policji, która uznaje to za brednie, ja sądzę, że wszystkie te zabójstwa mają pewien podtekst, może religijny, może kulturowy. Te dziwne okoliczności, w jakich zginęli księża i niezrozumiała aura otaczająca ich zwłoki, i... To wszystko wygląda,

jakby zabójca chciał zostawić za sobą ślady, by ktoś go odnalazł... Ale dlaczego to robi i kim jest, tego nie wiem. Nie jest to moja teoria, żebyś sobie nie pomyślał. To podejrzenia Ebelinga. Mówiłem ci o nim. Jest organistą w kościele Świętej Marii Magdaleny w Rennes-le-Château i jedyną osobą, którą zamknęli w związku z zabójstwami proboszczów. Wiedziałem, że on tego nie zrobił, byłem tego pewien... Ale teraz na pewno go wypuszczą, skoro trzeci ksiądz zginął w czasie, gdy on był w więzieniu. Porozmawiasz z nim, wytłumaczy ci wszystko lepiej niż ja.

Dlaczego w moim życiu wszystko dzieje się lawinowo? – zapytał sam siebie Oliver. Gdyby nawet zsumować ekscytacje i niepowodzenia przeżyte w przeciągu ostatnich sześciu lat, nie mogłyby one równać się z tymi, których doświadczył tego jednego dnia. Jeśliby natomiast porównać jego przygody sprzed sześciu lat z obecnymi, nietrudno było się zorientować, że niepewność towarzysząca obu podróżom była na równie wysokim poziomie. Tym razem jednak wszystko zmieniało się jak w kalejdoskopie. Gdy bowiem przybył do Blanca, uważał go za kłamcę i porywacza, lecz po chwili rozmowy dotarło do niego, że dziennikarz miał dobre zamiary. Teraz jednak na powrót dał mu się poznać jako osoba niegodna zaufania. Na domiar złego nie miał pojęcia, skąd Blanc wie, co zaszło sześć lat temu w Jerozolimie i kto brał w tym udział. Wówczas Oliver, Kate oraz Axel Lshandt zobowiązali się nikomu nie wyjawiać tajemnicy. Czy ktoś z nich złamał dane reszcie słowo – Monroe nie wiedział. Z drugiej jednak strony, czy mógł on pozwolić sobie na nieufność względem jedynego znanego mu człowieka, który w ciągu ostatnich dwóch miesięcy miał kontakt z Kate? Nawet jeśli Blanc nie wiedział, gdzie jest młoda pani profesor, to pozostawał jedyną osobą, która mogła pomóc Oliverowi ją odnaleźć.

– Oliverze – mówił dalej dziennikarz. – Sam powiedziałaś, że dostaliśmy od Kate dwie części tej samej zagadki. Pamiętaj, że to mi wysłała dwuwiersz z *Boskiej komedii*, bez którego nigdy nie dowiedziałbyś się, że twój tekst to anagram. Zrobiła to, ponieważ chciała, żebyśmy współpracowali. Była pewna, że ty poznasz, co kryje się za nazwiskiem malarza, a ja ci w tym pomogę. Droga do odnalezienia Kate wiedzie przez ślady, które nam zostawiła... które tobie zostawiła. Powiedz mi, Oliverze, czy zamierzasz dać się ponieść emocjom i na własną rękę szukać Kate, czy uszanujesz jej decyzję i wraz ze mną podążysz po wskazówkach, które przygotowała w nadziei, że ją odnajdziesz?

Monroe przełknął ślinę i spuścił wzrok. Nie miał wyboru.

– Jedźmy więc do Rennes-le-Château – odrzekł.

ROZDZIAŁ 16

Monroe nie był w stanie sprecyzować, ile razy w ciągu swojego życia słyszał o wielkich odkryciach dokonanych pod koniec XIX wieku przez proboszcza parafii kościoła Świętej Marii Magdaleny. I choć sam interesował się tą historią jako dziecko, nigdy nie miał wystarczająco dużo zapału, by w ramach grantu naukowego albo chociażby na własną rękę podjąć próbę poznania tajemnicy kryjącej się wśród zabytkowych budynków odosobnionej miejsciny na południu Francji. Jednakże mógł z całą odpowiedzialnością za swoje słowa stwierdzić, że w dzieciństwie wiedział o niej wszystko; znane mu były co do dnia najważniejsze momenty z życia księdza Bérengera Saunière'a, daty wykonania zleconych przez niego prac renowacyjnych tamtejszego kościoła, a także zakres każdego z etapów budowy. Kiedy jednak wraz z Blankiem kierował się w stronę tajemniczego miasteczka, z którego w pogodny dzień łatwo dostrzec szczyty Pirenejów, z przykrością musiał przyznać, że większa część tej wiedzy po prostu uleciała mu z głowy na przestrzeni minionych lat. Mimo to zachował w pamięci ogólny zarys życiorysu księdza.

François Bérenger Saunière przed przybyciem do Rennes-le-Château pełnił posługę w Alet-les-Bains i Clat, a dopiero w 1885 roku został mianowany proboszczem parafii kościoła Świętej Marii Magdaleny. Zaraz po nominacji przeniósł się do nowego miejsca zamieszkania, jednakże odnalazł tam jedynie rozpadającą się

plebanię i kościół popadający w ruinę. Potworny stan budynków należących do parafii nie był jednak jedynym zmartwieniem księdza. Znając antyrepublikańskie poglądy wielebnego, jego przeciwnicy polityczni bardzo szybko dali po sobie poznać, że domagają się jego odwołania. Mimo że ówczesny biskup Carcassonne, Arsène Billard, nie miał do wcześniejszej pracy Saunière'a żadnych uwag i uważał go za człowieka honoru, zdecydował się przenieść księdza do Narbony, gdzie ten objął posadę wykładowcy w seminarium. Nie zabawił w nim jednak długo i już po roku został ponownie przeniesiony do Rennes-le-Château, gdzie pełnił funkcję proboszcza aż do 1910 roku, gdy kierujący wówczas diecezją Carcassonne Beuvain de Beauséjour nałożył na niego karę suspensy. Oznaczało to, że odtąd Saunière nie mógł ani sprawować posługi kapłańskiej, ani udzielać sakramentów.

Każdy kierujący się zdrowym rozsądkiem prędko dojdzie do wniosku, że nie przystoi karać swych podwładnych w tak surowy sposób. Ale Saunière swoją tajemniczością i lekceważeniem mnogich wezwań do stawienia się przed biskupem niewątpliwie zasłużył na wymierzoną mu karę. Warunkiem zniesienia suspensy było bowiem ujawnienie źródła fortuny, która pozwoliła mu wyremontować kościół i plebanię, czego proboszcz najwyraźniej nie miał zamiaru uczynić. Żądania biskupa były uzasadnione; niebotyczne kwoty, jakie Saunière wydał na odbudowę świątyni i jej okolic, przewyższały znacznie majątek wielebnego, a jego nieustępliwość podsyciała podejrzenia de Beauséjoura, który ostatecznie zdecydował się na tak radykalny krok. Wydaje się, że dla proboszcza znacznie ważniejsze od własnej kariery kapłańskiej było utrzymanie źródła swego finansowania w tajemnicy. Najprawdopodobniej to sprawiło, że historia

Bérengera Saunière'a stała się tak popularna. Zawziętość księdza, który za wszelką cenę pragnął zataić informacje na temat pochodzenia wydawanych pieniędzy, podsycła wyobraźnię następnych pokoleń historyków amatorów. Z pewnością przyczynił się do tego również sam Saunière, który pewnego dnia zapisał w swym dzienniku: *Dzisiaj znalazłem skarb!* Ta krótka fraza stanowiła bez wątpienia jeden z głównych powodów zainteresowania legendą, która przez ostatnie stulecie przyciągnęła do małej miejsciny departamentu Aude ogrom turystów. Niestrudzeni poszukiwacze, zafascynowani opowieściami o wielkich skarbach ukrytych przez Saunière'a na terenie Rennes-le-Château, zjeżdżali się tłumnie na południe Francji, by gdzieś wśród rozpalonych od słońca budynków odnaleźć swoją przepustkę do luksusowego życia. Jednak do tej pory nikomu nie udało się poznać sekretu księdza Saunière'a. Nie wiadomo nawet, czy owiane tajemnicą niewyobrażalne bogactwa, z których zasobów czerpał proboszcz w trakcie odbudowy kościoła, kiedykolwiek istniały. Te wątpliwości nie przeszkadzały jednak w poszukiwaniach najwytrwalszym z odkrywców, wśród których byli nie tylko amatorzy tanich sensacji, lecz także znamienici profesorowie i znawcy legendy Saunière'a, którzy całe swoje życie poświęcili jej zgłębianiu.

W opozycji do nich, jak gdyby po drugiej stronie barykady, stał Monroe, dla którego historia księdza była po prostu jedną z opowieści serwowanych mu przez ojca tuż przed snem. To bowiem od Feliksa po raz pierwszy usłyszał o Saunièrze, to z jego ust poznał historię o skarbie i wreszcie to od niego dowiedział się tak wiele na temat symboliki kościoła Świętej Marii Magdaleny, misternie odrestaurowanego przez tajemniczego proboszcza. Skąd Felix posiadał wiedzę tak obszerną, że próżno było jej szukać

w jakiegokolwiek literaturze? Oliver niezmiernie żałował, że nie dane mu było porozmawiać o tym z ojcem, gdy był już dorosły. Na skutek ich skomplikowanych relacji legenda o bogactwie kryjącym się gdzieś w Rennes-le-Château pozostała w umyśle Olivera jedynie mglistą i słabo spamiętaną opowieścią na dobranoc. Z tego powodu widok tabliczki z nazwą miasteczka wzbudził w nim jedynie uczucie smutku na wspomnienie o ojcu, z którym dzielił historię tego miejsca.

Nim się spostrzegł, zdążyli już minąć Château des Hautpoul i dojechać do skrzyżowania.

– *Domaine de l'abbé Saunière*^[7] – usłyszał ni stąd, ni zowąd głos Blanca, a były to jego pierwsze słowa, odkąd wsiedli razem do samochodu.

– To wejście do kościoła?

– Tak, ale zatrzymamy się na parkingu po drugiej stronie.

To mówiąc, skręcił w lewo i wjechał na wyłożony żwirem plac z umieszczoną pośrodku wieżyczką. Zatrzymał się w jej cieniu tuż obok peugeota 207.

– To samochód Malinota, mówiłem ci o nim – powiedział do Olivera, gdy wysiadali. – Jest inspektorem z Carcassonne i prowadzi to śledztwo.

– Wspominałeś.

Oliver nie słuchał jednak dziennikarza, o wiele więcej uwagi poświęcił doskonale widocznej z parkingu wieży Magdala. Ulokowany na samym skraju zbocza prostokątny budynek górował nad doliną, a z jednego z jego rogów wyrastała okrągła wieżyczka skierowana na zachód. Całość pokryta pożółkłymi cegłami była wyjątkowo zadbana i wyglądała na nową, mimo że w rzeczywistości powstała ponad sto lat wcześniej. Została bowiem wzniesiona z polecenia Saunière'a pomiędzy tysiąc

dziewięćset pierwszym a tysiąc dziewięćset piątym rokiem na wzór Torre Magdala znajdującej się w Gironie. Monroe był świadomy, że to nie Saunière jako pierwszy inspirował się hiszpańską konstrukcją. Już w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym powstał łudząco podobny do niej zameczek na terenie Czech w okolicy miejscowości Dobřenice i Rohoznice, który udało się Oliverowi zwiedzić przed wieloma laty.

– Masz papierosa? – zapytał Blanca, nagle przypominając sobie o swoim nałogu. Ostatni raz palił poprzedniego dnia, będąc jeszcze u siebie w mieszkaniu.

– Pewnie – odparł tamten, wyciągając z kieszeni marynarki paczkę papierosów. Wręczył ją Oliverowi, który poczęstował się jednym. Nie była to wprawdzie jego ulubiona marka, ale nie mógł narzekać. Blanc sięgnął po zapalniczkę i przypalił mu papierosa. Monroe zaciągnął się i poczuł natychmiastową ulgę.

– Daj mi chwilę – powiedział, odchodząc na bok w stronę niewysokiego murku biegnącego wzdłuż parkingu, za którym rozciągał się widok na bliżej położone pola i nieco dalej leżące lasy, pokrywane gęstym dywanem mnogie wzniesienia. Nie zdążył jednak tam podejść, gdy nagle usłyszał zza pleców nieznajomy głos.

– *Que fais-tu ici? Je t'ai dit que... Qui est ce gars-là?*

– *Professeur Oliver Monroe, archéologue américain. Il est à même de nous aider.*

– *Américain? Tu veux qu'on ait plus de problèmes?*

– Profesorze!

Blanc zawołał Olivera, ignorując zupełnie pytanie Malinota. Inspektor najwyraźniej kierował się w stronę własnego auta, gdy ujrzał stojący na parkingu samochód dziennikarza. Wówczas postanowił z nim porozmawiać, choć w mniemaniu Olivera – który jednak nie rozumiał ani słowa – była to bardziej kłótnia aniżeli

luźna pogawędka. Istotnie, nie mylił się. Gdyby bowiem znał nieco francuski, wiedziałby już, że Jérémie mimo wcześniejszych ostrzeżeń Malinota nie miał zamiaru zaprzestać prowadzenia własnego śledztwa. Monroe niechętnie zgasił papierosa i zbliżył się do nich.

– Chciałbym przedstawić ci inspektora François Malinota.

– Miło mi. – Oliver podał mu rękę.

– Uczy pan w szkole? – zapytał Malinot lekceważąco.

– Na uniwersytecie – poprawił go Monroe. – Wykładałem kilka przedmiotów dotyczących głównie...

– Świetnie – przerwał inspektor i zwrócił się do Blanca. – Tego właśnie potrzebowaliśmy. Może powinienem odwołać wszystkich ludzi i powierzyć śledztwo nauczycielowi?

– Uspokój się...

– Nie! Pewnie jeszcze opowiedziałeś mi o wszystkich morderstwach, tak?

– Było to konieczne – odparł dziennikarz, a Malinot przewrócił oczami. – Inaczej nie będzie mógł nam pomóc.

– Najpierw ta od historii sztuki, teraz archeolog. Dobrze, że jesteśmy w kościele, bo inaczej pewnie byś mi księdza przyprowadził.

Inspektor skierował wzrok na Olivera. Profesor starał się zachować spokój, choć już po samym tonie Malinota poznał, że nie jest tu mile widziany. Zignorował jednak jego kąśliwe komentarze, jako że zainteresowała go wzmianka o Kate. Najwyraźniej policjant kontaktował się z nią przed jej zniknięciem. Monroe postanowił więc pójść tym tropem.

– Widział się pan z Kate?

– Widziałem ją, ale to wszystko, co mogę powiedzieć o tej znajomości. Raz może ze mną rozmawiała. Nic nie robiła, tylko oglądała witraże, coś tam pisała, przerysowywała. Nie wydawała

się zainteresowana śledztwem. Jak widać, Blanc przyprowadza mi samych artystów, a ja potrzebuję detektywów. Ale może pan okaże się bardziej przydatny.

Oliver rozczarowany spuścił wzrok.

– Jednakże inspektorze – wtrącił się Blanc – ma pan z pewnością bardzo dużo pracy i właśnie wraca pan do Carcassonne, prawda?

Malinot popatrzył na niego z zażenowaniem.

– Mimo wszystko zostanę i was przypilnuję – odpowiedział. – Nie chciałbym, żebyście zatarli ślady.

– Niech tak będzie. – Blanc z entuzjazmem przyjął propozycję inspektora. – Chodźmy do środka i rozejrzyjmy się.

ROZDZIAŁ 17

Oliver poczuł się niezręcznie, gdy zauważył niezdrową atmosferę panującą między mężczyznami. Nie wypadało mu jednak komentować ich wzajemnej niechęci do siebie, toteż bez słowa podążył ich śladem w stronę kościoła. Cofnęli się pieszo do skrzyżowania i skręcili w lewo. Gdy tylko zbliżyli się do wejścia, Monroe przystanął, kierując wzrok ku górze na niezwykley daszek okrywający portal, którego spadziste brzegi okolone były żółtymi dachówkami. W jego głębi znajdował się portal z frontonem, w obrębie którego umieszczono figurę Marii Magdaleny trzymającej w dłoniach pochylony krzyż, łudząco podobny do krucyfiksu widniejącego w koronie Habsburgów. Pod nią umieszczony został dłuższy tekst, a jeszcze niżej tajemniczy napis mówiący przybyłym: *terribilis est locus iste – miejsce to jest straszne*. To krótkie stwierdzenie napawało turystów strachem, ale i fascynowało ich. Trudno było bowiem oprzeć się pokusie wejścia do kościoła, którego portal zwieńczony był tak diabelską sentencją. Ta dychotomiczna natura dziwnej inskrypcji sprawiła, że Oliver przywołał w myślach napis wyryty czarnymi literami na bramie piekieł: *porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy wchodzicie*, który ujrzał Dante, gdy wraz z Wergiliuszem zstępował do otchłani. Nieprzypadkowo zatem Oliver otrzymał od Kate enigmatyczny cytat ze *Zstąpienia do Piekieł* Nikodema, a Blanc dwuwiersz z *Boskiej komedii* Dantego. Wkraczając do świątyni, profesorowi w rzeczy samej zdało się, jakby właśnie mijał bramy piekieł.

– I co pan o tym powie?

Monroe usłyszał głos inspektora, który wyrwał go z zadumy. Malinot stał kilka kroków przed nim i wskazywał na coś po lewej stronie od wejścia. Oliver zbliżył się do niego pospiesznie.

– Asmodeusz... – powiedział, ale policjant nie dał mu dokończyć.

– To wiemy, ale może oświeci nas pan, dlaczego nie ma głowy ani ramion?

– François... – wtrącił się Blanc.

– Przypominam ci, że w pracy jestem dla ciebie inspektorem Malinotem, czy to jasne?

Blanc tylko wzruszył ramionami.

– Kimkolwiek jesteś, daj się profesorowi rozejrzeć, na pewno na coś wpadnie.

Monroe niewerbalnie podziękował dziennikarzowi i zaczął uważnie oglądać posąg. Diabłu brakowało głowy i ramion, a jedyną pozostałością po nich były pazury lewej dłoni wbite w prawe udo tuż przy kolanie. Ponadto kropielnica dzierzona wcześniej na barkach demona zdawała się teraz wisieć w powietrzu, utraciwszy swą podporę.

– Kim był Asmodeusz, profesorze? – zapytał go Blanc.

– Demonem, a według niektórych nawet władcą demonów – zaczął Oliver. – Był upadłym aniołem, który zgodnie z księgą Tobiasza zabił siedmiu kolejnych mężów Sary, bo jej pożądał. Inna wersja mówi, że zamordował ich, ponieważ nie pochodzili z rodzimego plemienia Żydówki i w ten sposób łamali prawo. Oprócz tego uznawany jest za strażnika skarbu króla Salomona, który zresztą zmusił go podstępem do uległości w czasie budowy pierwszej Świątyni. Istnieją właściwie dwie legendy tłumaczące sposób, w jaki królowi udało się zapanować nad demonem. Jedna wersja mówi, że upił go winem, dzięki czemu ten wyjawiał mu

miejsce przebywania robaczka Szamira, który miał zdolność rozłupywania kamieni, przez co okazał się bardzo przydatny królowi. Z kolei według drugiej hipotezy...

– Profesorze, szybciej – ponaglił go zniecierpliwiony Malinot. – Przejdźmy do sedna. Dlaczego ktoś mógł pozbawić go głowy i co to oznacza w kontekście tego miejsca?

– Salomon zmusił Asmodeusza do dzierżenia kropielnicy z wodą święconą i w ten sposób okiełznał demona, by ten nie czynił szkód w trakcie budowy i nie przeszkadzał robotnikom. Zgodnie z legendą tak samo postąpił Saunière, który uczynił Asmodeusza strażnikiem odkrytego przez siebie skarbu...

– Chryste... – westchnął inspektor. – Czy to miejsce uwolni się kiedykolwiek od tej bajki?

– Tego nie wiem, ale faktem jest, że właśnie ktoś zerwał łańcuchy krępujące demona, a tym samym go uwolnił – odparł Monroe i nie przejmując się poirytowaniem Malinota, kontynuował swoją historię. – Ten posąg, jak zresztą wszystkie rzeźby i reliefy w kościele, został wykonany przez rzeźbiarza z Tuluzy, Giscarda. Proszę zwrócić uwagę na dłonie demona... a raczej na miejsce, w którym powinny się znajdować. Po pozostałościach pazurów na prawym kolanie łatwo poznać, że spoczywała na nim lewa dłoń Asmodeusza. Ważna jest w tym kontekście symbolika dłoni w kulturze. Lewa dłoń wiąże się z tym, co ukryte. A lewa dłoń na prawym kolanie oznacza przynależność do tajemnych organizacji.

Inspektor popatrzył na Olivera uważnie, ale nie odezwał się. Blanc dostrzegł zmieszanie policjanta.

– Mamy więc do czynienia z jakimś sekretnym stowarzyszeniem, profesorze? – zapytał dziennikarz.

– Nie wiem. Te znaki świadczą jedynie o tym, że Saunière zarówno w trakcie projektowania kościoła, jak i podczas samej jego

budowy inspirował się wieloma symbolami, niekoniecznie chrześcijańskimi – odparł Monroe. – Ale to powszechna wiedza, nie odkryłem niczego nowego, wszyscy o tym wiedzą.

Obaj mężczyźni przytaknęli, choć nie sprawiali wrażenia świadomych symboliki tego miejsca. Monroe zwrócił na to uwagę i postanowił przejść do rzeczy bardziej przyziemnych.

– Znaleźiono głowę i ramiona?

– Ramiona znaleźliśmy pod jedną z ławek, ale po głowie nie ma śladu, choć sprawdziliśmy każdy zakątek kościoła – odparł Malinot.

– Bardzo mnie to dziwi. Po co morderca miałby zabierać ją ze sobą?

– Morderca? – wtrącił się Blanc. – Skąd masz pewność, że osoba, która wbiła temu księdzu krzyż w gardło, jest tą samą, która zniszczyła posąg?

Inspektor spojrzał na dziennikarza podejrzliwie.

– Wcale tego nie powiedziałem. Ale skąd wiesz, że znaleźliśmy Babineaux z krucyfiksem w tchawicy? Jego zwłoki odnaleziono jakieś dwie godziny temu i o ile dobrze pamiętam, nie było cię przy tym.

Blanc westchnął, a Malinot niecierpliwie oczekiwał odpowiedzi.

– No dobrze – wydusił wreszcie. – Dzwonił do mnie.

– Kto? – drążył inspektor, jako że nie podobała mu się odpowiedź dziennikarza.

– Lachapelle. Powiedział mi o morderstwie. Zdawał się przejęty, podobno nie miał do kogo zadzwonić, więc zatelefonował do mnie. Pamiętasz, Oliverze? – zwrócił się do profesora. – Kiedy byliśmy u mnie, dostałem telefon. To był właśnie Lachapelle.

Monroe musiał przyznać mu rację, choć nie wiedział zupełnie, kim jest wspomniany Lachapelle.

– To prawda – powiedział.

– Widzisz? – Blanc ponownie skierował uwagę na Malinota. – Przestań wszystkim podejrzewać.

– Dobra, niech ci już będzie. Ale mówiłem ci, żebyś tu nie węszył. Jak coś wiem, to ci mówię, choć nie mam takiego obowiązku.

– Kim jest Lachapelle? – zapytał w końcu Oliver, przerywając kłótnię inspektora i dziennikarza.

– Philippe Lachapelle – odpowiedział mu Malinot. – Odprawiał msze na zmianę z Babineaux. Do tej pory był tylko zwykłym księdzem, ale teraz pewnie zostanie proboszczem. Choć patrząc na to, jak skończyli trzej ostatni, nie wiem, czy będzie to dla niego powód do radości. To on znalazł Babineaux i nas zawiadomił. Pewnie go pan pozna, niedługo powinien tu być. Był tak przerażony, że kazałem mu iść do domu, uspokoić się i wrócić za dwie godziny, jak sprzątniemy zwłoki. Nie chciałem, żeby widział je ponownie.

– Już zabraliście Babineaux? – odezwał się Blanc.

– Tak, jakieś pół godziny temu wywieźli go do kostnicy, gdzie poczeka na sekcję.

– Miał oczy? – zapytał dziennikarz, a inspektor się zmieszał.

– Miał, i to jest jedyna rzecz, która mi w tym wszystkim nie pasuje – odparł i zwrócił się do Olivera, chcąc wytłumaczyć mu sytuację. – Dwaj poprzedni proboszczowie mieli wydłubane oczy, ale nigdy sprawca nie niszczył wnętrza kościoła. Jedynie zabijał. Teraz mamy martwego księdza z oczami, ale za to w bonusie dostaliśmy zdemolowany kościół. Dlatego uważam, że morderca Babineaux może nie być tym samym człowiekiem, który zabił Daquina i Gauthiera. Blanc mówił panu, jak zginęli ci dwaj?

– Wspominał, że Daquina spalono, a Gauthierowi wyrwano serce – odparł Monroe.

– Tak, to prawda – potwierdził Malinot. – A teraz Babineaux zginął z krzyżem w gardle. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem.

– Płomień, serce i krzyż... – Oliver nieświadomie wypowiedział te trzy słowa na głos, choć wcale nie chciał, żeby dwaj mężczyźni poznali jego myśli.

– Uważasz, że te symbole mają znaczenie? – Dziennikarz podchwycił temat, ale profesor natychmiast się poprawił:

– Po prostu głośno myślę. Chciałbym, żebyście mnie dobrze zrozumieli: nie ma żadnych dowodów na to, że ten zniszczony posąg miał dla sprawcy jakieś większe znaczenie. Mógł to być zwykły akt wandalizmu. Tak samo jak okoliczności śmierci tych trzech księży mogły być jedynie chorym sposobem mordercy na uatrakcyjnienie swojego dzieła. Ilu przecież było takich psychopatów w historii...

– Jest coś jeszcze, profesorze – przerwał mu Malinot, który przez ostatnie kilka minut widocznie zmienił swoje nastawienie do Olivera. Profesorowi zdało się, że policjant przestał traktować go lekceważąco. Najwidoczniej dotarło do niego, że w świetle braku jakichkolwiek wskazówek prowadzone przez niego śledztwo stało w martwym punkcie. Nie zanosilo się również na to, że szybko odnajdą zabójcę. Postanowił zatem dać Monroe'owi szansę. – Przejdźmy do ołtarza.

Minęli konfesjonał i ruszyli zwawym krokiem w kierunku wskazanym im przez Malinota. Kościół zdawał się opustoszały, gdyż oprócz inspektora, dziennikarza i profesora nie było w nim nikogo. Monroe szedł nieco z tyłu, co rusz się rozglądając. Nigdy wcześniej bowiem nie dane mu było zwiedzić tego miejsca. Teraz miał ku temu okazję, szkoda jednak, że w tak makabrycznych okolicznościach. Nie starał się ukryć swego zachwyty nad aranżacją

wnętrza kościoła. Jakkolwiek niewłaściwe byłoby nazwanie go cudem architektury sakralnej, miał w sobie coś, co wzbudziłoby najskrytszy płomyk podziwu w nawet najbardziej zatwardziałym sercu; bo choć kompletnie nie trafiony dobór barw i kształtów na malowidłach zdobiących potężne kolumny mógł na pierwszy rzut oka przyprawiać o zawrót głowy i podawać w wątpliwość trzeźwość umysłu artysty, to pozorna losowość w ich selekcji i układzie była na swój sposób imponująca.

Minęli pierwszą kolumnę, na której widniały w pewnych odstępach od siebie siedmioramienne świeczniki na jasnoniebieskim tle, w niczym nieprzypominające jednak żydowskich menor. Drugi filar ozdobiony został żółtymi okręgami, w centrum których umieszczono rozchodzące się promieniście cztery liście klonu lub cztery kwiaty lilii – tego Oliver nie był w stanie rozstrzygnąć. Dolne części kolumn oraz ściany biegnące od jednego filaru do drugiego obite były boazerią, nad którą znajdowały się okolone różnokolorowymi ramami płaskorzeźby przedstawiające kolejne stacje drogi krzyżowej. Pomiedzy nimi – na wyrastających ze ścian podwyższeniach – umieszczono posągi świętych, a tuż nad nimi profesor spostrzegł witraże o zaokrąglonych szczytach, spoczywające w oknach blisko stropu świątyni, który zawijał się łukowato po obu stronach.

Przeszli obok kazalnicy wspartej na czterech niewielkich filarach i zbliżyli się do wiekowych, metalowych barierek odgradzających nawę od prezbiterium. Wówczas Oliver spojrzawszy w lewo i za amboną zauważył kolejną kolumnę i widniejące na niej malowidło przedstawiające serce. Płomień, serce i krzyż – przemknęło mu przez myśl. Nie widział jednak ani płomienia, ani krzyża, toteż obecność owego malunku na kolumnie wydała mu się zwykłym zbiegiem okoliczności.

– Proszę zobaczyć. – Malinot wyrwał go z zamyślenia. – Niech pan spojrzy na relief na przedniej ścianie ołtarza.

Monroe rzucił okiem na płaskorzeźbę, po czym przekroczył barierki, by przyjrzeć się jej z bliska. Przedstawiała klęczącą w grocie kobietę w złotej szacie i o długich włosach, u stóp której spoczywała czaszka, nieco wyżej modlitewnik, a obok wyrastał krzew z gałązkami ułożonymi na kształt krzyża. Z kolei w lewym górnym rogu płaskorzeźby widoczne były zarysy piramidalnej formacji z towarzyszącymi jej ruinami w kształcie odwróconej litery U oraz niewielki filar wyrastający tuż obok niej. Wszystko to umieszczono na tle pomarańczowo-czerwonego nieba zwiastującego zachód słońca. Oliver z niepokojem stwierdził, że ktoś mocnym uderzeniem wybił dziurę w reliefie w miejscu, w którym niegdyś znajdowała się głowa kobiety.

– Maria Magdalena – powiedział.

– Skąd pan wie? – zapytał Malinot, a profesor zwrócił na niego wzrok.

– Bo to kościół Świętej Marii Magdaleny. Zresztą mamy tu trzy Marie Magdaleny.

– Jak to? – zdziwił się inspektor.

– W Nowym Testamencie cztery Ewangelie przedstawiają trzy kobiety w trzech różnych kontekstach. Łukasz w swej Ewangelii wspomina o grzesznicy, z której Chrystus wypędził siedem złych duchów. W Ewangelii Jana mowa o Marii z Betanii, która drogocennym olejkiem namaściła nogi Chrystusa, a potem otarła je własnymi włosami. I wreszcie w tej samej Ewangelii Jana opisywana jest Maria z Magdali, która nazajutrz po ukrzyżowaniu Jezusa zastała jego grób pusty. Ta ostatnia jest znaną nam z nazwy Marią Magdaleną, która w Ewangelii Mateusza wraz z drugą Marią

jest obecna przy zmartwychwstaniu Chrystusa. Słowo *Magdalena* oznaczało, że pochodziła ona z miasta Magdala w Galilei.

– Saunière inspirował się tym, budując wieżę Magdala i willę Béthanie, w której mieszkał? – zapytał Blanc.

– Właśnie tak.

– I gdzie są te trzy Marie? – wtrącił Malinot.

– Pozbawiona głowy kobieta z reliefu z przedniej strony ołtarza to nawrócona grzesznica. Ta widoczna na płaskorzeźbie przy dwunastej stacji drogi krzyżowej jest Marią z Magdali, która w rzeczy samej była obecna przy śmierci Chrystusa na krzyżu. Ostatnią z nich, Marię z Betanii, widzimy na okrągłym witrażu za ołtarzem, gdy klęcząc u stóp Chrystusa, osusza je własnymi włosami. Przy czym można dopatrzeć się w tym pewnej nieścisłości, ponieważ ten witraż przedstawia scenę Ostatniej Wieczerzy, a Maria Magdalena w niej nie uczestniczyła.

Wskazał na wypełnione kolorowym szkłem niewielkie okno umieszczone w tyle nad prezbiterium. Przedstawiało Chrystusa ze swoimi czterema uczniami podczas Ostatniej Wieczerzy. Oliver nie miał jednak na myśli żadnego z apostołów, chodziło mu o kobietę, która klęcząc, nachylała się w kierunku namaszczonego olejkiem stóp Jezusa i ocierała je włosami. Jego uwagę zwrócił nimb otaczający jej głowę.

– Ale w rzeczywistości jest to jedna i ta sama osoba – kontynuował. – To papież Grzegorz I w swej homilii wygłoszonej pod koniec szóstego wieku przedstawił ją jako kobietę, z której Jezus wypędził siedem demonów i jednocześnie jako tę, która olejkiem namaściła jego nogi. Połączył zatem wizję Marii z dwóch Ewangelii, Łukasza i Jana. Niestety, dla pospolitego ludu była to zbyt niezrozumiała i pokrętna interpretacja. Łatwiej było im uznać ją za ladacnicę, którą Chrystus nawrócił na właściwą drogę. I choć

jest ona wspominana dwunastokrotnie we wszystkich czterech Ewangeliach Nowego Testamentu, utożsamiamy ją z prostytutką tylko ze względu na jeden krótki werset z Ewangelii Łukasza, który notabene nie wspomina nic a nic o cudzołożeniu.

Mężczyźni słuchali z uwagą w ciszy.

– Popatrzcie na palce Marii z reliefu na ołtarzu. – Zignorował całkowicie ich milczenie. – Zwróćcie uwagę, jak są skrzyżowane.

W rzeczy samej palce świętej Kościoła nienaturalnie zachodziły na siebie, krzyżując się pod niefizjologicznym kątem.

– Mogłoby wydawać się to dziwne – kontynuował Oliver, demonstrując każdy omawiany gest. – Zwykle bowiem kiedy składamy dłonie do modlitwy, stykamy je wewnętrznymi stronami do siebie, trzymając palce wyprostowane. Ten gest jest praktykowany od trzynastego wieku i wywodzi się z tradycji wzajemnych stosunków pomiędzy podwładnym a władcą, między wasalem a seniorem. Władca obejmował swymi dłońmi złożone jak do modlitwy dłonie poddanego, który w ten sposób okazywał mu lojalność i ślubował wierność. Kościół przejął tę czynność i nadał jej znaczenie spirytualne. Symbolizuje on poddanie się Bogu i całkowite zaakceptowanie Jego woli. Natomiast palce skrzyżowane w ten sposób – tu odtworzył gest Marii Magdaleny z płaskorzeźby – symbolizują scenę śmierci Chrystusa i pogodzenie się z jej beznadziejnością. Nie są wcale czymś unikalnym dla tego konkretnego reliefu, ale...

– Tak, profesorze? – dopytał Blanc, spostrzegając, że Monroe ucichł.

– Ale można powiedzieć, że jest to gest typowy dla Marii Magdaleny. W wielu kościołach są witraże przedstawiające ją dokładnie w tej pozie, czyli przykucniętej w grocie ze skrzyżowanymi palcami. Nawet niedaleko Carcassonne,

w Puichéric, znajduje się podobny. Natomiast na obrazie Caravaggia *Pocałunek Judasza* to nie Maria Magdalena, a sam Chrystus trzyma dłonie z palcami skrzyżowanymi w ten sposób. Jest to więc szeroko rozpowszechniony gest i bardzo popularne przedstawienie. Właściwie cała ta płaskorzeźba wygląda, jakby została skopiowana z innego dzieła, obrazu lub witraża. Jediną rzeczą różniącą ją od innych jej podobnych, jest krajobraz w tle.

To mówiąc, wskazał na lewy górny róg reliefu.

– Piramida i dziwne ruiny na tle zachodzącego słońca... – dodał.

– Więc te skrzyżowane palce nic wielkiego nie znaczą? – Blanc prędko powrócił do poprzedniego tematu.

– Tego nie powiedziałem – kontynuował Monroe. – Tak nakładające się na siebie palce przywodzą na myśl trzy litery X, tworząc znak XXX. Według niektórych podań symbolizuje on rzeczy ukryte i sekrety...

Oliver znów zamilkł, tym razem jednak jego uwagę zwróciły dwa otwory w dolnej części ołtarza, tuż pod posągami Marii Magdaleny. Zostały umieszczone w poziomie w jednej linii, jak gdyby stanowiły pozostałość po gwoździach lub wkrętach, za pomocą których do podstawy ołtarza przymocowana była tabliczka.

– Co tu było? – wskazał palcem na to miejsce.

– Drewniana płyta z jakimś napisem po łacinie – odpowiedział mu Malinot. – Ale z polecenia Babineaux została przesłana do Tuluzy na renowację. Nie wiem, co tam było do poprawienia, ale widocznie ksiądz widział taką potrzebę.

Oliver nie drążył tematu, czuł jednak, że powinien przyjrzeć się tabliczce, gdy ta wróci już z Tuluzy.

– Wypuściliście już Ebelinga? – Blanc niespodziewanie zmienił temat.

– Tak, powiedziałem dwóm swoim, żeby go przywieźli – odparł Malinot. – Dałem im znać chwilę przed tym, jak przyjechaliście, więc niedługo powinni tu być.

– Dlaczego go zatrzymaliście? – zapytał Oliver.

– To on znalazł zwłoki Daquina pod wieżą Magdala i nas zawiadomił. Również w przypadku śmierci Gauthiera to on dostrzegł, że ktoś umieścił rękę i serce księdza w dzwonie. Był jedyną osobą, jaka miała związek z tą sprawą. Wyszlibyśmy na naiwnych, gdybyśmy go nie podejrzewali.

– A Lachapelle?

– Lachapelle jest w Rennes-le-Château dopiero od miesiąca. Przyjechał zaraz po śmierci Gauthiera, kiedy zaczęło brakować księży. Musi pan wiedzieć, profesorze, że Daquin zginął siedemnastego stycznia, w dzień błękitnych jabłek^[8], Gauthiera zamordowano dwa miesiące później, dwudziestego trzeciego marca. A dzisiaj, w Święto Bożego Miłosierdzia, śmierć poniósł Babineaux.

– Masz rację – wtrącił Blanc, ignorując pytanie Monroe'a o Lachapelle'a. – Zamiast wyjść na naiwnych, wyszliście na niekompetentnych.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że musie...

Malinot w połowie zdania przerwał, ponieważ zorientował się, że nie są sami w kościele.

– Ojcie Lachapelle, proszę do nas. *Allez-y, mon père.*

Inspektor zawołał do stojącego przy konfesjonale człowieka, który w tym samym momencie zaczął zbliżać się chwiejnym krokiem w stronę prezbiterium. Gdy podszedł na tyle blisko, że Oliver był w stanie dostrzec jego twarz, przystanął. Profesor ze zdziwieniem stwierdził, że Lachapelle był wyjątkowo młodym księdzem; wyglądał na nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Najpewniej niedawno skończył seminarium i dopiero co uzyskał

święcenia kapłańskie. Oliverowi zrobiło się żal chłopaka, który już na początku swojej posługi musiał doświadczyć tak potwornych przeżyć, widząc Auguste'a Babineaux martwym. Dopiero po kilku sekundach niezręcznego wpatrywania się w stojącego bez słowa blondyna o krótkich włosach Monroe spostrzegł, że ksiądz dzierżył pod pachą niewielkie zawiniątko.

– Wszystko w porządku? – Ciszę na powrót przerwał głos Malinota.

Najwyraźniej Lachapelle wciąż był w szoku, ponieważ nie odezwał się ani słowem. Zamiast tego ruszył nerwowym krokiem w kierunku ołtarza, przekroczył barierki i ominął stojących za nimi mężczyzn. Obszedł ołtarz dookoła i stanął za nim, wlepiając ślepią w podłogę. Trzej mężczyźni nie pojęli zrazu takiego zachowania księdza, a każdy z nich zastanawiał się nad zawartością płócienną torby trzymanej przez Lachapelle'a. Niemal bezzwłocznie dołączyli do niego, by sprawdzić, co tak bardzo zainteresowało młodego księdza. Oliver, okrążając ołtarz, dostrzegł na okrywającym go obrusie kilka niewielkich punktów koloru ciemnobrązowego. Przypominały mu one stare plamy krwi.

Lachapelle wpatrywał się w rozległą plamę czerwonej, lekko wysuszonej na krawędziach posoki, pozostawioną w miejscu, w którym leżał wcześniej Babineaux. Bez słowa i nie odrywając wzroku od posadzki, wręczył Blankowi trzymane zawiniątko. Dziennikarz powoli zdjął sznurek, którym przewiązana była torba, i z zaskoczeniem odkrył kryjącą się wewnątrz głowę Asmodeusza. Dokładnie tę samą, której brakowało demonicznemu posagowi.

Blanc i Oliver nie wyrzekli słowa, za to Malinot chciał jak najszybciej wyjaśnić, jak fragment figury znalazł się w posiadaniu Lachapelle'a.

– Skąd ksiądz to ma?

Młodzieniec spojrział na inspektora. Zdawał się półprzytomny i złęczony, choć nikt z obecnych nie wiedział, czy jego dziwne zachowanie było wynikiem wcześniejszych przeżyć, czy może Lachapelle doświadczył czegoś o wiele gorszego w drodze do kościoła.

– *Je l'ai trouvée.*

Mężczyźni popatrzyli na niego ze zdziwieniem. Oliver, niestety, nie rozumiał.

– Proszę mówić po angielsku, jest z nami profesor Monroe, który chce nam pomóc, ale on nie zna francuskiego. Gdzie dokładnie ksiądz znalazł głowę demona? – drążył dalej Malinot z racji tego, że Lachapelle nie wydawał się skory do rozmowy.

– Znalazłem ją... w ogrodzie, na stopniu pod krzyżem *le calvaire*^[9].

– Co ksiądz tam robił?

– Siedziałem.

Inspektor spostrzegł, że nie jest to najlepszy moment na rozmowę z Lachapelle'em i wiele się od niego nie dowie. Podjął decyzję, że nie będzie go dalej wypytywał o głowę Asmodeusza, która dziwnym trafem znalazła się w jego rękach.

– Proszę za mną, odprowadzę księdza do domu.

Malinot objął młodzieńca ramieniem, a drugą dłońią wskazał mu drogę do wyjścia. Gdy Lachapelle przekraczał barierki, inspektor zwrócił się do Monroe'a:

– Spotkamy się później, proszę się tu rozejrzeć. Może coś jeszcze pan znajdzie.

Blanc włożył z powrotem głowę posągu do płóciennej torby i przekazał ją policjantowi. Malinot wraz z Lachapelle'em odeszli w stronę konfesjonału, by po chwili skręcić w lewo, znikając Blankowi z pola widzenia. Kiedy dziennikarz był pewny,

że Lachapelle znajduje się zbyt daleko, by cokolwiek usłyszeć, rzekł do profesora:

– Młody jest przerażony. Niczego nam nie powie.

– Nie dziwię mu się – odparł profesor. – Ty byś nie był?

Dziennikarz wzruszył ramionami.

– O jakim ogrodzie on mówił? – zapytał Monroe.

– Chodziło mu o Jardin du Calvaire^[10], który jest tuż przy wyjściu z kościoła. Ale nie sądzisz, że po prostu bredził w amoku?

– Mamy tak mało informacji, że trzeba sprawdzić wszystko – odparł Oliver. – Pokażesz mi, gdzie to jest?

– Pewnie, chodźmy.

Blanc ruszył w stronę wyjścia, lecz Monroe nie podążył od razu jego śladem. Zamiast tego odwrócił się i raz jeszcze zerknął na Marię Magdalenę klęczącą w grocie, by po chwili skierować wzrok na tę z witrażu nad ołtarzem, której głowę otaczał złoty nimb.

– Dlaczego zginąłeś właśnie tutaj? – wyszeptał pod nosem. Na nieszczęście Olivera Babineaux zabrał odpowiedź na to pytanie do grobu.

Mimo braku przekonujących dowodów profesor postawił sobie za cel rozwiązanie enigmatycznej sprawy morderstw proboszczów kościoła Świętej Marii Magdaleny w Rennes-le-Château. Nie chciał tego dokonać dla sławy, nie kierował się również chęcią pomocy miejscowej policji. Jego motywacją było to, że jedyna droga do odnalezienia Kate wiodła przez tajemnicę kryjącą się za śmiercią księży. Przez sekret do sedna.

ROZDZIAŁ 18

– Lachapelle mówił, że to tu znalazł głowę Asmodeusza.

Blanc wskazał na stopnie wiodące ku krzyżowi umieszczonemu na podwyższeniu w samym centrum Jardin du Calvaire. Aby dotrzeć do ogrodu, wystarczyło podążyć tą samą drogą, którą wcześniej obrali Malinot i młody ksiądz, a po wyjściu z kościoła natychmiast skręcić w lewo. Wysypana żwirem ścieżka prowadziła w prostej linii pod sam piedestał z górującym nad nim krzyżem. Monroe wkroczył po stopniach na szczyt i stanął przed kamienną płytą z wygrawerowaną inskrypcją w języku francuskim.

– Możesz przetłumaczyć? – poprosił dziennikarza.

– To tablica pamiątkowa. Napis na niej wspomina wizytę biskupa Carcassonne Féliksa Arsène’a Billarda w Rennes-le-Château szóstego czerwca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego siódmego roku...

– ...który przyjechał tu, żeby pobłogosławić kościół po zakończeniu prac renowacyjnych zleconych przez Saunière’a – dokończył profesor. – A to drugie nazwisko na płycie?

– R.P. Mercier, był lazarystą, czyli członkiem Zgromadzenia Księżych Misjonarzy.

– Dlaczego morderca akurat tutaj zostawił głowę?

– Zakładasz, że zabójca był tą samą osobą, która zniszczyła posąg i relief na ołtarzu? – zapytał Blanc. – Wbrew podejrzeniom Malinota, który twierdzi, że było inaczej?

– Nie, tego nie wiem – odparł Monroe. – Mogło być ich więcej, ale i tak wciąż uważam, że musieli współpracować. Sądzę, że chcieli nie tylko zabić Babineaux, ale również zostawić wiadomość.

– Więc zgadzasz się z Ebelingiem, według którego morderca zostawia za sobą ślady, by ktoś go odnalazł. Wiem, że sam wcześniej powiedziałem ci o jego przypuszczeniach, ale szczerze mówiąc, mnie ta teoria nie przekonuje. Po co mieliby pozostawiać za sobą ślady? Chcieli dać się złapać? To irracjonalne.

Oliver spojrział ukradkiem na Blanca, ale nie odpowiedział od razu. Zamiast tego odwrócił się w stronę żwirowej ścieżki, którą szli wcześniej. Spostrzegł wówczas, że biegnie ona w jednej linii z podobną do niej dróżką leżącą po drugiej stronie drogi prowadzącej do portalu kościoła. Na jej końcu umieszczono filar, na którym stał posąg Matki Boskiej. Monroe'a zaciekawiło to, że figura znajdowała się dokładnie naprzeciwko krzyża, przy którym stali, a ścieżka wysypana żwirem łączyła posąg i krzyż w prostej linii.

– Może nie zwróciłeś uwagi, ale to miejsce nie jest normalne. – Profesor ściszył głos. – Każdy metr tej ziemi jest zaprojektowany w sposób, który wymyślił Saunière. Niektórzy sądzą, że to on sporządził wszystkie szkice, rysunki i plany architektoniczne, na podstawie których robotnicy wykonywali kolejne etapy prac, ale to nieprawda. Mimo że posiadał pewne zdolności artystyczne, wbrew powszechnie panującej opinii nigdy sam nie zaprojektował żadnego elementu swojej, jak to określiłeś, *domaine*. Ale to nie znaczy, że nie brał czynnego udziału w tworzeniu tego miejsca. Wręcz przeciwnie. Wieża Magdała, willa Béthanie, każdy posąg w kościele, a nawet ten ogród powstały z polecenia Saunière'a i zostały wykonane zgodnie z jego wskazówkami. Mamy dostęp do korespondencji, którą prowadził z architektami i są tam zawarte

dokładne wytyczne Saunière'a odnośnie do każdego witraża, posągu czy murka. Nawet ten filar stojący pod ścianą willi Béthanie został umieszczony tam z polecenia proboszcza. Tam, przy ścianie. Widzisz?

Oliver wskazał na obiekt, który chwilę wcześniej tak go zaniepokoił.

– Tak – odparł Blanc.

– Rzućmy na niego okiem.

Wrócili zwirową ścieżką do głównej drogi wiodącej do kościoła, przemierzali ją w poprzek i po chwili stali już pod filarem z figurą Matki Boskiej na szczycie.

– *Notre-Dame de Lourdes* – zauważył dziennikarz.

– Właśnie tak – potwierdził Monroe. – Pewnie wiesz, że w czasie prac remontowych kościoła pod jednym z filarów podtrzymujących ołtarz Saunière znalazł małą szkatułkę.

– Skarb, który umożliwił mu dokończenie renowacji kościoła – powiedział Blanc, ale Monroe ruchem głowy zaprzeczył.

– Nie, skarb pochodził z krypty ciągnącej się pod kościołem, do której wejście w czasach Saunière'a znajdowało się w podłodze za ołtarzem. Dokładnie tam, gdzie dzisiaj rano znaleziono martwego Babineaux.

– Dlaczego teraz nic tam nie ma?

– Saunière po odkryciu krypty starannie ukrył wejście, kładąc nową posadzkę. Krypta wciąż jest pod kościołem, ale wejście do niej już nie istnieje.

Dziennikarz wydawał się zaskoczony odpowiedzią Olivera.

– W każdym razie – kontynuował profesor – Saunière pod filarem znalazł szkatułkę, w której były kości, wysuszone kwiaty i trzy pergaminy. Znalezienie kości nie było niczym dziwnym. Zgodnie

z ówczesnym zwyczajem często pod ołtarzem umieszczano relikwie świętych. Z kolei pergaminy...

– ...zawierały zaszyfrowane wiadomości – dokończył Blanc.

– To prawda, ale nie o nie mi chodzi. – Przełknął ślinę, jak gdyby szykując się na dłuższą opowieść. – Kiedy Saunière zaaranżował kościół po swojemu, nie zamierzał wyrzucić starego filaru, pod którym znalazł tak ważne dla siebie dokumenty. Zdecydował się przenieść go do ogrodu i umieścić dokładnie w tym miejscu, jak gdyby na pamiątkę własnego odkrycia. Tak więc filar, który tu widzisz, jest tym samym, w którym znajdowały się tajemnicze pergaminy odnalezione przez Saunière'a. Ale przenosiny nie obyły się bez nuty dziwactwa, jak to miał w zwyczaju proboszcz. Zwróć uwagę na krzyż widniejący na kolumnie: jest dłuższym ramieniem skierowany do góry. Świadczy to o tym, że Saunière z nieznanym nikomu przyczyn kazał robotnikom odwrócić filar do góry nogami i umieścić go w tej pozycji pod ścianą. Dlaczego tak bardzo zależało mu na tym, żeby kolumna była odwrócona, tego nie wiemy. Jakiś czas później zorganizował procesję, w trakcie której postawiono na jej szczycie figurę Matki Boskiej z Lourdes. To wydarzenie zostało upamiętnione napisem *Mission 1891* widniejącym na filarze.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytał Blanc.

– Od ojca – odparł Oliver, który sam się sobie dziwił, że mimo upływu lat pamiętał bardzo dokładnie historię Rennes-le-Château. Wyglądało na to, że jego wspomnienia odżyły pod wpływem emocji towarzyszących wizycie w dziwnej miejscowości w tak niecodziennych okolicznościach. – Fascynował się tym miejscem, choć może... Fascynacja nie jest odpowiednim słowem. Jego zainteresowanie siedzibą Saunière'a właściwiej byłoby określić mianem manii albo obsesji.

– Widzę, że nie popełniłem błędu, stawiając na ciebie, Oliverze.

Monroe usłyszał niski głos dobiegający z za jego pleców. Odwrócił się prędko i spostrzegł przed sobą w odległości kilku metrów mężczyznę w wieku około siedemdziesięciu lat, o niepasujących do jego zaawansowanego wieku bujnych i czarnych jak smoła włosach. Starzec kroczył w jego stronę, podpierając się drewnianą laską. Profesor nie wyrzekł słowa, tymczasem nieznajomy kontynuował:

– Ale w jednej rzeczy się mylisz odnośnie do tego filaru.

Oliver zmarszczył brwi, co było równoznaczne z zadaniem pytania. Nieznajomy przystanął.

– Filar, który Saunière umieścił w tym miejscu ponad sto lat temu, nie jest tym samym, który stoi tu teraz.

– Jak to? – zdziwił się profesor.

– Ależ tak. – Mężczyzna sprawiał wrażenie zadowolonego, że wie więcej w tej kwestii od Monroe'a; jednocześnie mówił bez nadmiernej ekscytacji, dawkując słowa. – Siedemnaście lat temu oryginalny filar został przeniesiony do muzeum mieszczącego się na plebanii przylegającej do kościoła. Ten, który widzisz tutaj, został wykonany na jego podobieństwo, aczkolwiek nie jest doskonałym odwzorowaniem oryginału. Otóż Saunière kazał na oryginalnym filarze wygrawerować nie tylko zwrot *Mission 1891*, ale i dwa inne słowa. Zwróć uwagę na inskrypcję znajdującą się w górnej części filaru. Inskrypcja ta składa się z dwukrotnie powtórnego słowa *pénitence* oznaczającego pokutę. Na oryginalnym filarze napis ten jest bardzo podobny, ale drugie *pénitence* Saunière kazał zapisać przez S zamiast C. Zarówno to, dlaczego odwrócił kolumnę, jak i to, z jakiego powodu zapisał to słowo nieprawidłowo, pozostaje dla nas zagadką. Ale ty nie mogłeś wiedzieć o przeniesieniu filaru do muzeum. Pewnie znasz opowieść o Saunière w wersji, którą przekazał ci ojciec, gdy byłeś jeszcze małym chłopcem, a to było,

o ile się nie mylę, przed rokiem dwutysięcznym. Wówczas można było jeszcze podziwiać w tym miejscu oryginalną kolumnę.

Nieznajomy uśmiechnął się, gdy skończył swój wywód. Profesor popatrzył raz jeszcze na filar. W rzeczy samej widniała na nim inskrypcja, o której mówił przybysz. Tymczasem Blanc podszedł do mężczyzny i uścisnął mu dłoń.

– *Tout va bien, Victor? On verra si...*

Po krótkiej wymianie zdań, z której Oliver nie zrozumiał ani słowa, dziennikarz zwrócił się do niego:

– Profesorze, to jest właśnie Victor Ebeling, o którym ci mówiłem. Jak zdążyłeś zauważyć, jest równie gadatliwy, co ty, więc powinniście przypaść sobie do gustu.

Monroe przywitał się z człowiekiem, o którym tyle słyszał zarówno z ust Blanca, jak i Malinota. Skłamałby, gdyby powiedział, że dokładnie takim go sobie wyobrażał. Był przekonany, że mężczyzna, który zostaje posądzony przez policję o morderstwo trzech księży musi być dobrze zbudowany i w świetnej kondycji. Tymczasem Ebeling z trudem utrzymywał się w pozycji stojącej, gdy podparty na swej lasce ścisnął dłoń Olivera.

– Znał się pan z moim ojcem?

Profesor zapytał o rzecz, która najbardziej zaciekała go we wcześniejszej wypowiedzi domniemanego organisty kościoła w Rennes-le-Château, który – jak na zwykłego muzyka – wiedział dość sporo o historii miasta.

– Oczywiście, że tak – odparł Ebeling. – Choć jestem przekonany, że twój ojciec ani razu o mnie nie wspominał.

– Nie zdarzyło mu się, to prawda.

– Wcale mnie to nie dziwi. – Roześmiał się. – Z drugiej strony to nie taka wielka strata, że nic o mnie nie mówił... Kto by chciał pamiętać o kimś takim jak ja. Wcale nie czuję się źle z racji tego,

że Felix nigdy ci o mnie nie opowiadał. Za to bardzo mnie cieszy, że usłyszałeś z jego ust o dziejach tego miejsca i o jego sekretach.

– To było dawno temu, bardzo mało pamiętam – bronił się Oliver.

– Zresztą to były tylko opowieści przed snem...

– Pamiętaj, mój chłopcze... – Mężczyzna spoważniał. – Nigdy nie lekceważ opowieści, które słyszysz, bo z każdej z nich można wyciągnąć coś prawdziwego. Czasem jest to łyżka stołowa prawdy, a czasem całe jej wiadro. To samo tyczy się snów.

Monroe był zaskoczony tak nagłą zmianą humoru swego rozmówcy, ale przytaknął uprzejmie.

– Będę pamiętał – odparł.

– No dobrze. – Na twarzy Ebelinga znów zagościł przyjazny uśmiech. – Skoro tak, to może jesteś zainteresowany poznaniem takiej historii sławnego Saunière'a, jaka rzeczywiście miała miejsce?

ROZDZIAŁ 19

Zeszli w dół wąską drogą ciągnącą się od portalu kościoła w kierunku skrzyżowania. Minęli stojący przy ulicy sklepik z pamiątkami i zniknęli za budynkami zbaczącej nieco na prawo Rue des Marronniers. Monroe i Blanc szli wolnym krokiem, dostosowując tempo chodu do poruszającego się o lasce Ebelinga.

Może wydawać się dziwne, że Oliver w ciągu ostatniej godziny, którą spędził z Blankiem i Malinotem, analizując wystrój wnętrza kościoła i przylegającego do niego ogrodu, ani razu nie pomyślał o Kate. Poczuł się z tego powodu zawstydzony, jakkolwiek nie mógł ot tak porzucić myśli o tajemniczych morderstwach i zacząć bez opamiętania szukać na oślep swej przyjaciółki. Nie było wątpliwości, że Kate usilnie poszukiwała czegoś w tym miejscu, próbując rozwiązać zagadkę zabójstwa księży, a cała ta sprawa najprawdopodobniej ją przerosła. Dlatego też profesor uznał, że najlepszym sposobem na jej odnalezienie będzie podążenie drogą, którą obrała, i kierowanie się pozostawionymi przez nią wskazówkami. Tak radykalna zmiana nastawienia Olivera, który przecież poprzysiągł sobie, że udaje się do Rennes-le-Château tylko po Kate i rychło wraca, nastąpiła najprawdopodobniej pod wpływem jego wcześniejszej rozmowy z Blankiem. Dziennikarz słusznie stwierdził, że *droga do odnalezienia Kate wiedzie przez ślady, które za sobą zostawiła*. Problemem pozostawał jednak

sposób komunikacji pomiędzy nią a Oliverem, którego telefon się rozładował, a ładowarka została w walizce w mieszkaniu Blanca.

Uświadomienie sobie związku między zniknięciem Kate a morderstwami proboszczów kościoła Świętej Marii Magdaleny kazało profesorowi całkowicie poświęcić się pomocy miejscowej policji, co przecież z początku nie wchodziło w grę. Jednakże liczba niewiadomych w tym śledztwie przyprawiała go o zawrót głowy i najprościej mówiąc – nie wiedział, jak sobie z nią poradzić. Słowa Ebelinga, który nakazał mu pod żadnym pozorem nie lekceważyć snów, przypomniały mu o dziwnej marze nawiedzającej go każdej nocy. Grająca na rogu kobieta jeździec i tajemniczy wierzchowiec nie dawały mu spokoju, a wspomnienie opowieści ojca, do których nieustannie wracał przy każdym niemal posągu i fresku w kościele, dokładało gorzką cegiełkę do jego i tak już tragicznego samopoczucia. W dodatku dziwaczne atrybuty towarzyszące śmierciom kolejnych księży nijak się miały do reszty wskazówek, a już na pewno nie mogły służyć za dowody w sprawie. Oliver tak usilnie rozmyślał nad przekłętymi symbolami płomienia, serca i krzyża, że był święcie przekonany, iż pojawią się one w jego następnym śnie, o ile w ogóle dane mu będzie zasnąć kolejnej nocy.

Zatrzymali się przy murku z poźółkłych i starannie wygładzonych kamieni, nad którym zwisały korony okolicznych drzew tak, że nie sposób było dostrzec, co się za nim kryje. Wejście na teren posiadłości znajdowało się od strony Rue Saint-Pierre, toteż byli zmuszeni obejść murek dookoła. Ebeling uchylił bramkę prowadzącą do krótkiego przejścia biegnącego wzdłuż fasady budynku. Podążyli tą ścieżką, by po chwili stanąć przed drewnianymi drzwiczkami, które organista otworzył za pomocą klucza.

– Miesiąc mnie tu nie było – powiedział, wyraźnie uradowany. – Najpewniej wygląda tak samo, jak tego dnia, gdy zaciągnęli mnie siłą do komisariatu.

Zapalił światło w sionce i gestem ręki zaprosił Blanca i Monroe'a do środka, po czym zamknął za nimi drzwi.

– Niestety, niczym szczególnym cię nie ugoszczę, Oliverze – wyrzekł do odwróconego plecami do niego profesora. – Co najwyżej możesz sobie nalać wody z kranu.

– Dziękuję – uprzejmie odmówił Monroe.

– Chodźmy więc do mojej pracowni.

Ebeling skierował się w stronę schodów prowadzących w dół do piwnicy. Oliver tymczasem zastanowił się nad jego słowami, które poniekąd go zaskoczyły. Nie sądził bowiem, że ktoś pobierający pensję organisty może sobie pozwolić na posiadanie własnej pracowni. Wówczas dopiero przypomniał sobie, że Blanc podczas ich feralnej przejażdżki wspominał o przeszłości naukowej Ebelinga, który – jeśli wierzyć słowom dziennikarza – miał niegdyś pracować na uniwersytecie w Liège jako doktor nauk. Blanc nie zdradził mu jednak obszaru zainteresowania Ebelinga, który profesor miał nadzieję za chwilę poznać.

Zeszli po schodach do piwnicy, gdzie zastali jedynie ciemność. Gdy jednak ich przewodnik zapalił światło, oczom całej trójki ukazał się potworny widok. Oliver cudem nie zwymiotował na starannie wyłożoną białymi płytkami podłogę. Otóż piwnica w mieszkaniu Ebelinga ograniczała się do niewielkiego pomieszczenia, z małym oknem naprzeciwko drzwi, które jednak było tak brudne, że nie wpuszczało do środka ani krzty światła. Przy jednej ze ścian – tej, w którą wbudowane zostało bezużyteczne okienko – stało biurko, przy innych natomiast umieszczono sięgające aż do samego sufitu regały, a na ich półkach

porozstawiane były gęsto słoiki zawierające... gałki oczne. To właśnie widok setek, a może nawet i tysięcy par oczu wgapionych w profesora sprawił, że naszły go mdłości i zebrało mu się na wymioty, do których na całe szczęście nie doszło. Zrobiło mu się jednak słabo i zaczął żałować, że nie nalał sobie szklanki wody, gdy mu ją proponowano.

– Nie jest to może godne miejsce do przyjęcia gości, ale tu najlepiej mi się myśli – powiedział Ebeling, siadając na krześle stojącym tuż przy biurku. – No i panuje tu świetna atmosfera do snucia opowieści.

Monroe spojrział na Blanca, który również wydawał się nie podzielać zdania właściciela tego przybytku grozy. Widać było jednak, że dziennikarz był przyzwyczajony do niecodziennego wystroju pracowni Ebelinga. Skinieniem głowy dał znać Oliverowi, że Victor jest człowiekiem ekscentrycznym i jego fascynacja tego typu upiornymi sceneriami nie powinna w żaden sposób profesora dziwić.

– Profesorze – zwrócił się oficjalnym tonem do Monroe'a – tak, jak już mówiłem, cieszę się, że twój ojciec opowiedział ci historię tego miejsca. Wierz lub nie, ale byłem pewny, że to zrobi, ponieważ...

Nagle trzech mężczyźni usłyszeli głuchy dźwięk dobiegający z dołu, który przypominał szuranie. Oliver popatrzył na wyłożoną kafelkami podłogę, która w miejscu największego natężenia dźwięku przykryta była dywanem. Do tej pory sądził, że piwnica jest najniższym poziomem tego budynku, ale najwidoczniej pod nią znajdowało się jeszcze jedno pomieszczenie.

– To szczury, ciągle mam z nimi problem – rzucił Ebeling, bagatelizując nasilający się hałas, który po kilku chwilach ustał.

– Skąd znał pan mojego ojca? – Monroe przerwał ciszę.

– To długa i burzliwa znajomość – odparł zapytany. – Znamy się jeszcze z czasów, gdy Felix był adiunktem pracującym na Uniwersytecie Browna w katedrze literatury porównawczej. Ja z kolei zajmowałem stanowisko asystenta na wydziale nauk ścisłych Uniwersytetu w Liège. To, co dokładnie tam robiłem, nie ma większego znaczenia, nie były to rzeczy pasjonujące i wystarczy ci wiedzieć, że zajmowałem się szeroko pojętą fizyką. Ale do rzeczy... Pewnego dnia dostałem propozycję wyjazdu na staż na uczelnię twojego ojca. Przyjąłem ją i niezwłocznie udałem się do Providence, gdzie spędziłem kilka miesięcy, prowadząc własne badania. Tak się złożyło, że kompletnym przypadkiem trafiłem tam na Feliksa. Nasze drogi się skrzyżowały. Znajomość z twoim ojcem prędko przekształciła się w przyjaźń, a nasze spotkania wieczorami były dla mnie miłą odskocznią od pracy naukowej, w której szczerze mówiąc, czułem się nieco samotny. Nasze więzi tak bardzo się zacieśniły, że gdy mój staż dobiegał końca, zaproponowałem Feliksowi kilkutygodniowy pobyt na mojej Alma Mater. W tamtym okresie wydział filozofii i literatury poszukiwał kogoś na zastępstwo za jedną panią doktor wykładającą literaturę angielską, która ze względów zdrowotnych potrzebowała dłuższego odpoczynku. Uznałem, że to idealna okazja, by podtrzymać naszą przyjaźń. Ku mojej uciechu twój ojciec się zgodził i nawet przylecieliśmy do Belgii tym samym samolotem.

Oliver sprawiał wrażenie zaskoczonego. Bo choć jego ojciec opowiadał mu, że jakiś czas spędził w Liège, prowadząc na tamtejszym uniwersytecie zajęcia dla studentów angielskojęzycznych, to nigdy nie wspominał o znajomości z tajemniczym Victorem Ebelingiem.

– Wówczas praca na uniwersytecie go pochłonęła – kontynuował.
– Zresztą mnie również. Mimo to wciąż mieliśmy czas na nasze

wieczorne pogawędki. I wiesz, Oliverze, nasza znajomość stała się wówczas wyjątkowa. Felix był właściwie moim jedynym przyjacielem i jedyną osobą, której ufałem. Dlatego chciałem zdradzić mu swój sekret.

– Sekret? – powtórzył profesor, gdy mężczyzna przerwał monolog.

– Tak – odparł. – Niewiele osób o tym wie, ale w podziemiach Uniwersytetu w Liège było kiedyś pomieszczenie, które zaadaptowałem na potrzeby swoich badań. Było to kilka tygodni przed tym, jak wyjechałem na staż do Providence. Po powrocie kontynuowałem swoje prace badawcze w jeszcze większym ukryciu. Jednak w tym samym czasie moja przyjaźń z twoim ojcem była na tak zaawansowanym poziomie, że zdecydowałem się go wtajemniczyć w to, co robię.

Ciekawość Monroe'a narastała. Blanc słuchał z nieco mniejszym zainteresowaniem, jak gdyby znał już tę historię. Pytanie samo cisnęło się profesorowi na usta:

– Ale w co wtajemniczyć?

Ebeling uśmiechnął się pod nosem.

– Znasz metodę optogramów, Oliverze? – odpowiedział zwodniczo, co zbiło Monroe'a z tropu.

– Nigdy o niej nie słyszałem.

– Opowiem ci zatem – odrzekł Victor, wyraźnie podekscytowany.

– W drugiej połowie dziewiętnastego wieku na Uniwersytecie w Heidelbergu pracował naukowiec, którego obsesja na punkcie oczu była wręcz zatrważająca. Nazywał się Wilhelm Kühne i był profesorem fizjologii zafascynowanym mechanizmami leżącymi u podstaw powstawania obrazu na siatkówce. Nie interesowało go jednak, w jaki sposób mózg przetwarza informacje docierające do niego z siatkówki, ale to, jak sama siatkówka rejestruje obraz. Kilka lat swojego życia poświęcił badaniu hipotezy, według której

ostatnia rzecz, jaką widzisz przed śmiercią, zostaje odcisnięta na twojej siatkówce. Postawił sobie za cel sprawdzenie, czy jest możliwe za pomocą określonych metod chemicznych odtworzenie ostatniego obrazu widzianego przed śmiercią, mając do dyspozycji samą tylko gałkę oczną zmarłego. Uważał, że jeśli istniałaby taka możliwość, to bez problemu można by było zidentyfikować mordercę na podstawie obrazu otrzymanego z siatkówki. Ten hipotetyczny obraz Kühne nazwał optogramem. Przeprowadził wiele doświadczeń na żabach i na królikach, a wyniki uznał za wystarczające, by spróbować podobnej metody na oczach ludzkich. Jednak uzyskany w przypadku człowieka obraz nie był zadowalający i nie przedstawiał właściwie niczego. Wyniki tego eksperymentu tak bardzo rozczarowały naukowca, że nawet on sam w swej pracy powstrzymał się od interpretacji otrzymanego obrazu. W ten sposób porzucono metodę optogramów, która nie znalazła nigdy zastosowania w medycynie sądowej.

Oliver był zmieszany i podawał w wątpliwość celowość przytaczania tej opowieści, jako że nie wyjaśniała ona w żaden sposób tajemniczych badań prowadzonych przez Ebelinga w podziemiach Uniwersytetu w Liège.

– I jaki to ma związek z tym, co pan robił?

– Otóż uważam, że profesor Kühne popełnił błąd interpretacyjny.

– Co to oznacza? – zapytał Monroe nieco zniecierpliwionym głosem; musiał jednak przyznać, że Ebeling był mistrzem w budowaniu niepotrzebnego napięcia.

– Powiedzmy, że Kühne źle ocenił wartość wyników swoich badań oraz przydatność podobnych eksperymentów przeprowadzonych przez naukowców, którzy zajmowali się tą metodą przed nim. Skup się, Oliverze, bo to istotne. Aby doszło do powstania optogramu, konieczne jest silne światło i to, żeby

badana osoba przez dłuższy czas wpatrywała się w dobrze oświetlony przedmiot. Wówczas w miejscu, gdzie na siatkówkę pada strumień światła o dużej intensywności, dochodzi do zmian w strukturze rodopsyny występującej w pręcikach tejże części oka. To skutkuje dostrzegalną makroskopowo zmianą barwy siatkówki z czerwono-fioletowej na białą, ale tylko w miejscu, gdzie pada na nią wiązka światła. W efekcie otrzymujemy biały wzór, który świetnie kontrastuje na tle otaczającej czerwieni. Jeśli chciałbym do jego nazwania użyć twojego archeologicznego słownictwa, zamiast słowa *wzór* powiedziałbym *symbol*.

– Do czego pan zmierza? – Oliver wciąż nie rozumiał.

– Pomyśl! – Ebeling niespodziewanie krzyknął. – Profesor z Heidelbergu dążył do uzyskania czystego obrazu, całej twarzy, całego otoczenia... Nie ma jednak takiej możliwości, metoda optogramów w tym kontekście jest bezużyteczna i nie pozwala na dokładne odzwierciedlenie tego, co ktoś widział przed śmiercią. Pozostaje jednak idealnym sposobem do przekazywania ukrytych wiadomości, krótkich tekstów i pojedynczych znaków.

W tym momencie na twarzy Ebelinga zagościł szeroki uśmiech wyrażający ogromne podekscytowanie. Wychylił się w stronę Olivera, któremu zdało się, że ekscytacja mężczyzny narastała z każdym kolejnym słowem, a teraz sięgnęła zenitu.

– Oliverze, powiedz mi, całkowicie hipotetycznie, czy jeśli miałbyś powód, żeby kogoś zabić, to chciałbyś, żeby nikt nigdy nie poznał twojej motywacji? Chciałbyś wyjść na psychopatę mordującego trzech księży, którego jedynym motorem napędowym było własne widzimisię, czy wolałbyś jednak tchnąć w swe dzieło nieco ducha i wykazać się fantazją? Czy naprawdę sądzisz, że tak zmyślnie zaplanowane zbrodnie są dziełem jakiegoś pomyleńca? Bo moim zdaniem mamy do czynienia z bardzo inteligentnym

człowiekiem, który doskonale wie, co robi, i który przemyślał każdy swój krok. A wszystko po to, by zostawić wiadomość, którą my teraz jesteśmy w stanie poznać dzięki metodzie profesora Wilhelma Kühne'ego, nad którą sam pracowałem przez ostatnie trzydzieści pięć lat. Najpierw w małym pokoiku w podziemiach Uniwersytetu w Liège, do którego dostęp miałem tylko ja i w późniejszym okresie również twój ojciec, a następnie w tej skromnej piwnicy, którą zaadaptowałem na swoją pracownię. Przez ten czas udoskonaliłem metodę optogramów do tego stopnia, że jestem w stanie wyczytać z siatkówki wypreparowanej z gałki ocznej naprawdę bardzo wiele. Dzięki niej mogę poznać, kto kryje się za zabójstwami księży, mając do dyspozycji tylko ich... oczy.

– Czy ty...

Oliver zająknął się. Wreszcie zrozumiał sens dziwnej opowieści Ebelinga o optogramach. Niemal równocześnie przypomniał sobie okoliczności śmierci proboszczów Daquina i Gauthiera, których zwłoki w momencie odnalezienia przez policję pozbawione były gałek ocznych. Profesor był jednak tak przejęty strachem, że żadne słowo nie mogło wówczas przejść przez jego gardło.

– Nieprzypadkowo mówi się, że oczy są zwierciadłem duszy, Oliverze...

Gdy usłyszał szept Ebelinga, zrobił krok w tył i spojrzał na przerażającą wystawę złożoną z setek słoików rozstawionych na butwiejących regałach. Każda z tysiąca par gałek ocznych umieszczonych wewnątrz słoik patrzyła wprost na niego. Nagle uświadomił sobie, że są wśród nich również te należące do zamordowanych w bestialski sposób proboszczów kościoła Świętej Marii Magdaleny w Rennes-le-Château.

ROZDZIAŁ 20

Gdy tylko domyślił się prawdy, którą Ebeling tak zgrabnie wplótł w szaloną opowieść o optogramach, zapragnął wyrwać się z tego przesiąkniętego grozą miejsca. Każde spojrzenie na wypełnione mętnym płynem słoje wzbudzało w nim niepoohamowaną chęć ucieczki, a przed rzeczywistym jej podjęciem powstrzymał go jedynie paraliż, który niespodziewanie ogarnął całe jego ciało. Słowa Ebelinga i jego chore podekscytowanie własnymi eksperymentami łudząco przypominały mu opowieści snute przez Blanca w czasie ich wspólnej podróży, która rzekomo nie skończyła się tak, jak profesor ją zapamiętał.

W głowie Olivera panował chaos niepozwalający mu racjonalnie rozumować. Z jednej strony Ebeling przyznał się do posiadania gałek ocznych dwóch zamordowanych księży, Roberta Daquina i Igora Gauthiera, co pozwalało na postawienie mu zarzutu zbezczeszczenia zwłok, jak również kazało podejrzewać go o udział w zabójstwie. Należy mieć jednak na uwadze, że w momencie śmierci trzeciego proboszcza, Auguste'a Babineaux, Ebeling przebywał w więzieniu podejrzany o podwójne morderstwo. Jeśli więc założyć, że te trzy zbrodnie były ze sobą powiązane i zostały popełnione przez tego samego sprawcę, z łatwością można dojść do konkluzji, że to nie Victor był zabójcą. Za jego niewinnością przemawiało również to, że znalezione przez Lachapelle'a zwłoki Babineaux były kompletne, to znaczy nie miały usuniętych gałek

ocznych. Przebywający za kratkami Ebeling nie mógł znaleźć się wówczas w kościele i dopełnić makabrycznego dzieła, bezczeszcząc zwłoki starca. Z tego rozumowania wynikało, że Ebeling nie był odpowiedzialny za śmierć księży, ale to on wyłupywał im oczy, które – jak sam stwierdził – zamierzał wykorzystać w celu ustalenia tożsamości rzeczywistego mordercy. Mimo dowodów na jego niewinność w kwestii zarzucanych mu morderstw faktem było, że pozyskiwał nielegalnie gałki oczne do swoich celów, czego nie wyznał policji. Dlatego Monroe nie wiedział już, czy może ufać mężczyźnie, który dopuścił się tak szalonego i bezbożnego czynu.

Co gorsza – wyglądało na to, że ojciec Olivera mógł mieć swój udział w zbrodniczym procederze praktykowanym przez Ebelinga w podziemiach Uniwersytetu w Liège. Ta sprawa również wymagała wyjaśnienia.

– Policja wie, co tutaj robicie? – zapytał krótko Oliver, budząc się z osłupienia.

– Gdyby wiedzieli, z pewnością nie pozwoliliby mi wrócić dzisiaj do domu – odparł Ebeling. – Gwoli ścisłości, tylko ja się tym zajmuję. Wtajemniczyłem Jérémięgo, ale on nie bierze udziału w moich doświadczeniach.

Blanc skinął głową twierdząco.

– Ale jak przeszukiwali dom w trakcie zatrzymania, musieli chyba sprawdzić też piwnicę, prawda?

– Sprawdzali, sprawdzali... Ale naprawdę uważasz, że interesowała ich zawartość tych słoików? Na początku się zdziwili, może i przestraszyli, ale szybko wytłumaczyłem im, o co chodzi. Otóż większość gałek ocznych, które widzisz tutaj, pochodzi od zwierząt. A ci policjanci z inspektorem na czele nie potrafią odróżnić oka konia od oka świni! Tym bardziej więc nie rozpoznałoby ludzkich gałek ocznych.

– Przecież musieli zrobić jakieś testy, sprawdzić każde oko, czy przypadkiem nie należy do któregoś z księży...

Ebeling roześmiał się.

– Chyba śniesz, Oliverze. Zdajesz sobie sprawę, ile tu jest gałek ocznych? Tysiące, a sprawdzenie każdej zajęłoby im mnóstwo czasu. Prościej było zapytać mnie o ich pochodzenie.

– Dali wiarę komuś, kto był podejrzany o podwójne morderstwo?

– Monroe nie wierzył własnym uszom.

– A tam, od razu podejrzany. – Victor nonszalancko machnął ręką.

– Po prostu musieli kogoś zatrzymać, bo jak by to wyglądało w papierach, że dwa miesiące mijają, a oni wciąż nie mają nikogo na dołku? Padło na mnie, ale wszyscy od początku wiedzieli, że nie mam ze zgonami księży nic wspólnego. Zamknęli mnie chyba tylko dlatego, że to ja za każdym razem znajdowałem zwłoki. Trochę marny dowód, prawda? A poza tym, Oliverze, francuska policja, a już zwłaszcza ta z południa kraju, nie jest zbyt dociekliwa.

Profesor zdążył już się uspokoić, choć wciąż oddychał ciężko. Zdecydował, że najwyższy czas zapytać o Feliksa.

– Co mój ojciec miał z tym wszystkim wspólnego?

– Właściwie to nie angażował się w mój projekt jakoś intensywnie – odparł Ebeling. – Pewnego wieczoru zaprosiłem go do swojej pracowni w Liège i opowiedziałem mu o wszystkim w ten sam sposób, co tobie przed chwilą. Powiedziałem mu o profesorze z Heidelbergu, o jego teorii, odniesionej przez niego porażce i następnym porzuceniu badań nad metodą optogramów. Pokazałem mu wiele obrazów, które sam otrzymałem z siatkówek psów, kotów i świń. Wyraził wielki podziw dla wyników moich prób i wyjątkowej jakości przygotowanych przeze mnie optogramów. Mimo że nie miał wystarczająco rozległej wiedzy z pewnych dziedzin fizyki i chemii, by w pełni zrozumieć metodykę

moich badań i ich znaczenie, odniosłem wrażenie, że doceniał moją pracę i był nią zachwycony. Prowadziłem bowiem liczne eksperymenty, testując między innymi ilość i złożoność znaków, jakie można dostrzec na tych obrazach i wyniki dosłownie mnie zszokowały. Wyobraź sobie, Oliverze, że wykorzystując odpowiednio silną i skupioną wiązkę światła, można na takiej siatkówce zmieścić niezliczoną liczbę symboli!

Monroe miał wrażenie, że Ebelinga ogarnia ogromna radość za każdym razem, gdy wspomina o swoich odkryciach, a kiedy zaczyna mówić o Feliksie, to uczucie gaśnie, a na jego twarzy pojawia się wrogi grymas. Ta niezgodność pomiędzy słowami a znakami niewerbalnymi wysyłanymi przez Victora była w odczuciu Olivera co najmniej podejrzana.

– Dlaczego przerwał pan pracę w Liège i przeniósł się tutaj?

– Nie zrobiłem tego z własnej woli – odpowiedział. – Pewnego razu jacyś studenci zapuścili się do podziemi uniwersytetu. Byli pijani, bawili się. Zgodzisz się, że w stanie upojenia alkoholowego wszystko brzmi jak dobry pomysł. Stwierdzili zatem, że wyważą drzwi do jednego z pokoiów, pech chciał, że to była moja pracownia. Możesz sobie wyobrazić, jaki strach ich ogarnął. W ciągu jednej nocy wszyscy dowiedzieli się o ich odkryciu, a rankiem informacja na temat moich doświadczeń dotarła również do władz uczelni. Zrobili kontrolę, po której zostałem zwolniony.

– Za trzymanie zwierzęcych oczu w słoikach?

Oliver wpatrywał się w starca naiwnym spojrzeniem.

– Niestety, belgijska policja jest nieco bardziej zaradna w takich sprawach. Sprawdzili pochodzenie tych preparatów i niestety dowiedzieli się, że...

– Że są wśród nich również ludzkie gałki oczne? – dokończył profesor.

Ebeling skinieniem głowy potwierdził obawy Monroe'a.

– Właściwie – kontynuował – nie tyle chodziło im o to, że pochodzą od człowieka, ile o to, że nie miałem zezwolenia na prowadzenie takich badań. Pozyskiwałem bowiem gałki oczne między innymi z handlu zwłokami pochodzącymi z Chin. Jak się pewnie domyślasz, nie była to legalna działalność, ale w tamtych czasach taki handel zwłokami był powszechnym sposobem zaopatrywania prosektorów na uczelniach medycznych. Zdecydowałem się wykorzystać swoją szansę i również spróbować zdobyć w ten sposób potrzebne mi preparaty. Niestety, przyłapano mnie i musiałem wyjechać. Tak się złożyło, że wybrałem Rennes-le-Château. Piękne miejsce ze straszną historią...

– Co się stało z moim ojcem, kiedy to wszystko się skończyło?

– Wyjechał. Wrócił do Providence. Więcej go nie widziałem. Mam nadzieję ujrzeć go jeszcze kiedyś. Może gdy to wszystko się skończy, odwiedzę was w Ameryce?

– To będzie raczej niemożliwe – odparł Monroe. – Felix nie żyje.

Profesorowi zdało się, że wypowiedziane przez niego słowa nie wywołały współczucia ze strony Ebelinga, a raczej wzbudziły jego zainteresowanie.

– Jak to? – zapytał. – Kiedy zmarł?

– Trzy tygodnie temu.

– Przykro mi, Oliverze.

Monroe odpowiedział milczeniem.

– To pewnie trudny moment dla ciebie – kontynuował Victor. – Ale nie mamy teraz czasu na wspomnianie dawnych dziejów. Musimy się spieszyć, bo z każdą minutą maleją nasze szanse na złapanie mordercy.

Podniósł się ciężko i podszedł do komody stojącej w rogu pokoju. Była niewysoka i dość wąska, przez co wciśnięta pomiędzy dwa

ogromne regały uszła wcześniej uwadze profesora. Ebeling otworzył pierwszą od góry szufladę i wyjął z niej cienką aktówkę. Cofnął się do biurka, usiadł i otworzył teczkę, która z początku zdawała się pusta. Jednak po kilku chwilach Monroe zauważył, że kryła w sobie dwa małe zdjęcia zgięte na pół w ten sposób, że biel ich tylnych stron wpasowywała się idealnie w kolor aktówki. Z daleka spostrzegł, że przednie strony zdjęć przedstawiały okrągłe czerwone figury z małymi liniami koloru białego leżącymi w centrum kolistych kształtów.

– Podejdźcie. – Victor zwrócił się do mężczyzn, którzy wnet się zbliżyli. – Jérémieu pokazywałem już te fotografie, ale ty, Oliverze, widzisz je po raz pierwszy. To są właśnie zdjęcia przedstawiające optogramy, które uzyskałem z oczu Daquina i Gauthiera. Zawsze uwieczniam te obrazy na zdjęciach, bo pierwotne preparaty są dość nietrwałe i bardzo szybko blakną.

Gdy profesor spojrział przez ramię Ebelinga na dwie identyczne na pierwszy rzut oka fotografie, spostrzegł, że jedna z nich była podpisana inicjałami proboszcza Daquina, a druga Gauthiera. Oba zdjęcia były bardzo podobne; każde z nich przedstawiało kolistą lub lekko eliptyczną figurę koloru wypłowiałej czerwieni, a w jej środku znajdowały się jasne plamy i linie. Monroe ze zdziwieniem stwierdził, że biała linia na optogramie sporządzonym z oczu Daquina zaginała się dziwnie niczym podkowa, układając się w kształt litery C; z kolei na obrazie otrzymanym z siatkówki Gauthiera widniały dwie grube, białe kreski ustawione pod kątem ostrym w stosunku do siebie, ze sporym wybrzuszeniem w miejscu ich skrzyżowania, przywodząc na myśl literę R.

– Widzisz? – zapytał Ebeling podekscytowany. – Widzisz litery? Jakże wyraźne!

Monroe raz jeszcze spojrział na fotografię. W rzeczy samej jasne znaki C i R były wyjątkowo dobrze widoczne na czerwonym tle.

– To może być zwykły przypadek – stwierdził lekceważącym tonem, na co Ebeling się oburzył.

– Jaki przypadek? – zapytał retorycznie. – Przecież dokładnie widać litery! Posłuchaj, Oliverze, tłumaczyłem ci przecież, jak tworzą się optogramy. Nie byłoby możliwe uzyskanie takiej jakości znaków, gdyby ktoś nie chciał umyślnie wypalić ich na siatkówce! Wszyscy trzej księża ginęli w kościele lub jego okolicach i za każdym razem miało to miejsce w nocy. Zabójcy chodziło o to, żeby było całkowicie ciemno, bo tylko w takich warunkach silna i skupiona wiązka światła jest w stanie spowodować powstanie optogramów tej jakości. Jednocześnie morderca za każdym razem zostawiał zwłoki na widoku tak, aby ktoś jak najszybciej je odnalazł, ponieważ wiedział, że znak na siatkówce bardzo szybko znika i po kilku godzinach trudno jest go odtworzyć.

– Dobrze, ale co mają niby oznaczać te symbole? – zapytał Oliver, nie dowierzając w sensowność teorii starca. – Sugerujesz, że morderca ma zamiar ułożyć z tych liter własne nazwisko i na końcu do wszystkiego się przyznać?

– Victor uważa, że...

Blanc, który do tej pory milczał, chciał wreszcie zabrać głos, lecz Ebeling gestem dłoni dał mu znać, że sam pragnie opowiedzieć profesorowi o swojej hipotezie, kiedy przyjdzie na to pora.

– Oliverze, obiecuję, że dokładnie ci wszystko wytłumaczę, ale nie teraz. Nie mamy po prostu na to czasu – odparł ściszym głosem. – Jak zapewne pamiętasz, w trakcie zabójstwa Babineaux byłem w więzieniu w Carcassonne, przez co nie mogłem zdobyć jego oczu. A nie muszę ci przecież tłumaczyć, jak bardzo ich potrzebujemy. Pokazałem ci optogramy z siatkówek Daquina i Gauthiera,

widziałeś je na własne oczy, więc wiesz, że nie kłamię! Są naszym jedynym dowodem i jedyną wskazówką, dzięki której możemy się dowiedzieć, kto zabija księży. Mamy jednak potwornego przeciwnika do pokonania, którym jest czas.

Przerwał, by zaczerpnąć tchu.

– Otóż metoda profesora Kühne’ego pozwalała na uzyskanie dobrej jakości obrazów pod warunkiem szybkiego wypreparowania siatkówki i poddania jej obróbce chemicznej bezpośrednio po śmierci – kontynuował. – W jego czasach należało więc bardzo się spieszyć ze wszystkimi czynnościami, a nawet jeśli wykonało się je prawidłowo, obraz nie zawsze wychodził taki, jakiego się spodziewano. Ale mówiłem ci już, że przez te trzydzieści pięć lat dużo pracowałem nad metodą optogramów, udoskonalając ją. Udało mi się dopracować ją do tego stopnia, że obecnie jestem w stanie uzyskać dobrej jakości obraz z siatkówki wypreparowanej nawet do czternastu godzin po śmierci! Zakładam, że Babineaux zginął mniej więcej w tych samych godzinach, co poprzedni dwaj księża, czyli około godziny dwudziestej trzeciej wczoraj wieczorem. Teraz jest prawie jedenasta, co oznacza, że mamy tylko dwie godziny, żeby poznać trzecią literę. Jeśli się spóźnimy, wskazówka przepadnie, a my zostaniemy z niczym. Ciało Babineaux zabrali już do Carcassonne, potrzeba czterdziestu minut, żeby dotrzeć tam z Rennes-le-Château i tyle samo, żeby wrócić.

Starzec nagle przerwał, a w pomieszczeniu zapanowała cisza.

– I co w związku z tym? – zapytał profesor. – Chyba nie zamierzacie ukraść zwłok Babineaux?

To stwierdzenie wydawało mu się zabawne, lecz ani Blanc, ani Ebeling nie widzieli w słowach Olivera niczego śmiesznego. Popatrzyli na niego śmiertelnie poważnie.

– Nie potrzeba nam całych zwłok – odezwał się dziennikarz. – Wystarczy choćby jedno oko.

– Właściwie, Jérémie, lepiej dwa, bo z jednym nigdy nie wiadomo – dodał Ebeling.

Monroe spojrział na nich jak na kompletnych wariatów. Po chwili jednak zorientował się, że mężczyźni nie żartowali i – co gorsza – najwidoczniej chcieli, żeby to on zdobył gałki oczne zmarłego proboszcza.

– Nie – powiedział, cofając się o krok. – Nie zrobię tego.

– Spokojnie, przecież ci pomogę – dodał Blanc. – Nie zostawię cię z tym samego.

– Nie! – powtórzył. – Nie rozumiecie, że tego nie zrobię? Nie popełnię przestępstwa, nie złamię prawa dla waszej śmiesznej teorii! I do tego w obcym kraju! Przyjechałem tu tylko po Kate, chcę ją znaleźć i wynosić się stąd jak najdalej.

– Ach, panna Evans... – Ebeling westchnął. – Odwiedzała mnie w więzieniu i kilka razy rozmawialiśmy. I wiesz co, Oliverze? Wierzyła mi. Jak powiedziałem jej o metodzie optogramów, była tak przejęta, że nie mogła doczekać się kolejnego morderstwa, żeby się upewnić, że się nie mylę.

Monroe zmarszczył brwi.

– Nie mogła doczekać się kolejnego morderstwa? – Zdziwił się. – Przecież to wcale do niej niepodobne! Nigdy by czegoś takiego nie powiedziała.

– Oczywiście, że tego nie powiedziała – tłumaczył się starzec. – Ale czułem, że tak myśli! Widziałem fascynację w jej oczach! Ale wybac, jeśli cię uraziłem, rzeczywiście trochę przesadzam. Najważniejsze teraz jest to, żebyśmy się pospieszyli, Oliverze. Nie możemy zmarnować takiej szansy. Proszę.

– To nielegalne. – Profesor uświadomił sobie, że kończą mu się argumenty.

– Myślę, że jak złapiemy mordercę, Malinot osobiście uściśnie ci dłoń – wtrącił dziennikarz.

Profesor przewrócił oczami i głęboko westchnął. Jakkolwiek nie wierzył w prawdziwość teorii ekscentrycznego Victora Ebelinga, to z jakiejś niezrozumiałej przyczyny jego szalona hipoteza go zaciekała. Toteż po kilku sekundach namysłu ostatecznie uległ pod naporem błagań mężczyzny. Właściwie w tej sytuacji nie pozostało mu nic innego, jak tylko przystać na absurdalną propozycję starca.

– To jak zdobędziemy te oczy?

– Wiedziałem, że się zgodzisz! – Ebeling z radości uderzył mocno dłoń w blat biurka. – Posłuchaj, zrobimy tak...

ROZDZIAŁ 21

*CARCASSONNE,
23 KWIETNIA 2017 ROKU, GODZINA 11.40*

Blanc zatrzymał się przy alei Henriego Goûta tuż przed bramą wjazdową na parking. Wsiadł z samochodu, odsunął rygiel i otworzył bramę na oścież, po czym wrócił do auta, gdzie czekał na niego Oliver. Dziennikarz popatrzył na profesora, który był cały zlany potem. Oddychał ciężko i wodził półprzytomnym wzrokiem po ludziach przechadzających się chodnikiem.

– Spokojnie – zwrócił się do niego. – Będzie dobrze, tylko trzymaj się planu.

Monroe pokiwał głową. Plan, choć trzyetapowy, był dosyć prosty. Zakładał wizytę u inspektora Malinota, podczas której Oliver miał przekonać go do pokazania mu zwłok Babineaux pod pretekstem poszukiwania dodatkowych śladów, takich jak znaki na ciele, czy szczególne obrażenia mogące sugerować motyw rytualny zbrodni. Gdy Malinot zgodzi się udostępnić profesorowi zwłoki, wszyscy trzej zejdą do kostnicy, gdzie po kilku minutach rozmowy Blanc poprosi inspektora, aby ten udał się z nim na górę w celu pobrania próbek krwi ze stuły rzekomo znalezionej przez dziennikarza po odjeździe policjantów. W rzeczywistości owa stuła

została wcześniej umoczona we krwi bydlęcej przez Ebelinga, który dobrze przemyślał tę część planu.

Wówczas to właśnie Monroe – pozostawiony sam na sam ze zwłokami księdza – ma dokonać zbrodniczego procederu. Użyje do tego zwykłej łyżki, a cały zabieg – choć profesjonalnie zwany enukleacją – w wykonaniu Olivera będzie miał charakter istnie rzeźniczy. Jego zadaniem będzie zdobycie obu gałek ocznych, chyba że sytuacja się skomplikuje, zmuszając go do szybkiego zakończenia pracy. Ebeling szacował, że będzie potrzebował nie więcej niż dziesięciu sekund na jedną gałkę oczną, w co Monroe nie chciał uwierzyć. Miał jedynie nadzieję, że nie zemdleje w trakcie samej czynności.

Gdy ta część planu się powiedzie, a w mniemaniu profesora marne były na to szanse, miał on zablokować prowadnicę tacy, na której spoczywają zwłoki, za pomocą specjalnie przygotowanego do tego celu kawałka drutu. W zamyśle Ebelinga miało to przysporzyć dodatkowych trudności laborantowi sekcijnemu i tym samym opóźnić odkrycie przez niego faktu, że ktoś pozbawił Babineaux oczu. Monroe zdawał sobie sprawę, że bez wątpienia podejrzenie padnie na niego i bardzo szybko w Rennes-le-Château zjawią się policjanci chcący go aresztować. Zablokowanie wysuwanej tacy miało dać Ebelingowi odpowiednią ilość czasu potrzebnego na wykonanie całej procedury uzyskiwania optogramu, a Monroe'owi – na ucieczkę z Carcassonne.

Dziennikarz zajął miejsce na parkingu pomiędzy dwoma innymi samochodami i zgasił silnik. Opuścili razem auto i skierowali się w stronę drugiego wejścia do komisariatu, znajdującego się na tyłach budynku. Prędko pokonali niewielki skwer wciśnięty między trzy kilkupiętrowe bloki i weszli do środka, nie odzywając się do siebie ani słowem. Monroe był tak zdenerwowany, że nie

potrafił opanować drżenia rąk, toteż włożył je do kieszeni. Miał nadzieję, że choć w małym stopniu wyglądał dzięki temu naturalniej, lecz po chwili Blanc zwrócił mu uwagę, żeby lepiej splótł je za plecami, aniżeli trzymał w kieszeni.

Wciąż potwornie się pocił, dlatego też gdy tylko ujrzał tabliczkę z napisem *Toilettes*, poprosił dziennikarza, żeby ten dał mu chwilę.

– Dobrze, tylko szybko – odpowiedział.

– Zaraz wracam – wycedził profesor przez zaciśnięte z nerwów zęby, wchodząc do toalety.

Zamknął za sobą drzwi i doczłapał się do umywalki. Odkręcił kran i opłukał twarz wodą, po czym spojrzął w lustro.

– Chryste, co ja robię – wyszeptał pod nosem, patrząc na swoje odbicie. – Jak nic pójdę za to siedzieć.

– Profesor Monroe? – usłyszał zza pleców znajomy głos. Spojrzął w lustro i dostrzegł zbliżającego się inspektora Malinota. Odwrócił się prędko.

– Pan inspektor – powiedział. – Dzień dobry.

– Dobrze, że pan przyjechał – mówił Malinot, myjąc ręce. – Chciałem pokazać panu protokół z zeznań, jakie złożyli ci trzej biedacy. W życiu nie czytałem takich farmazonów, ale może pana zaciekawia. A właściwie co pan tu robi? Odkryliście coś nowego z Blankiem?

Monroe zawiesił się. Poczował, jak coś staje mu w gardle, uniemożliwiając odbycie normalnej konwersacji.

– My... On... On tu jest, na korytarzu. – Z trudem udało mu się wybełkotać te kilka słów.

– Ma jakąś sprawę do mnie? Czy to pan chciałby o czymś porozmawiać, a on tylko pana podwiózł?

– My... Razem... Razem mamy pewną sprawę do załatwienia tutaj.

Malinot do tej pory ignorował dziwne zachowanie Olivera, ale w końcu zaczął się o niego niepokoić. Zmarszczył brwi i dokładnie przyjrzał się profesorowi. Był cały mokry, pochłapał wodą nawet koszulę, którą otrzymał tego ranka od pani Martínez.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak, tak, oczywiście. – Mimo że starał się opanować, jak do tej pory nie szło mu za dobrze. – Po prostu nie jestem przyzwyczajony do tych temperatur. U nas nigdy kwiecień nie był tak gorący. Może przejdźmy na korytarz, tam porozmawiamy?

– Dobrze, chodźmy więc.

Monroe odetchnął z ulgą. Wiedział, że Blanc lepiej panuje nad emocjami, toteż miał nadzieję, że dziennikarz poprowadzi rozmowę z Malinotem w bardziej naturalny sposób niż on przed chwilą. Bez wątplenia nie zrobił dobrego wrażenia na inspektorze.

Opuścili łazienkę. Niemal natychmiast natknęli się na Blanca czekającego pod drzwiami. Wydawał się zaskoczony, widząc Olivera w towarzystwie Malinota.

– Witaj, inspektorze – powiedział, uśmiechając się.

– Cześć. Słuchaj, bo profesor Monroe mówił, że macie do mnie jakąś sprawę. O co chodzi?

Dziennikarz spojrzał na Olivera, jak gdyby dając mu znać, że sam wszystko załatwi.

– Wiesz, przywiozłem tu profesora, bo chciał obejrzeć zwłoki Babineaux. Jeśli się zgodzisz, oczywiście. Profesor Monroe sądzi, że warto poszukać na ciele księdza jakichś dodatkowych wskazówek, być może nawet znaków.

– Uważacie, że morderca mógł go napiętnować? – zdziwił się Malinot. – W czasie sekcji dwóch poprzednich księży lekarz sądowy nie stwierdził niczego niezwykłego, więc dlaczego teraz miałyby być inaczej?

– Niby tak, ale sam przyznasz, że ta zbrodnia jest inna niż dwie poprzednie. – Blanc upierał się przy swoim. – Zniszczony kościół, oczy, których nikt nie wydłubał..

– Jest pan pewny, że chce widzieć zwłoki? – Inspektor zwrócił się do Olivera. – Nie musi pan. Sekcja zaplanowana jest na dzisiaj na trzynastą i jeśli bardzo panu zależy, mogę bez problemu udostępnić kopię protokołu sekcyjnego. Nie do końca jest to legalne, ale dla pana zrobię wyjątek.

– Tak, ale...

– Profesor chciałby zobaczyć zwłoki na własne oczy – przerwał mu dziennikarz.

– Czy możesz dać mu się wysławić, zamiast ciągle przerywać? – Malinot był poirytowany zachowaniem Blanca, w przeciwieństwie do Olivera, wdzięcznego za to, że dzięki niemu nie musiał się odzywać. – To jak będzie? Chce pan zobaczyć te zwłoki czy nie?

– Tak, chcę.

– Dobrze, musimy zejść do kostnicy. – Gestem ręki wskazał im kierunek. – Ale poczekajcie jeszcze chwilę, wezmę teczkę z dokumentami, żeby mógł pan, panie Monroe, zobaczyć zeznania tych księży.

Gabinet Malinota znajdował się tuż za zakrętem. Inspektor otworzył drzwi i wszedł do środka. Wówczas Blanc odezwał się do Olivera:

– Jest dobrze, wszystko idzie zgodnie z planem.

– Przecież oni od razu będą wiedzieli, że to ja zrobiłem! – wyszeptał Monroe, cały w nerwach. – Nie słyszałeś? Sekcja jest już o trzynastej, a wtedy to my będziemy dopiero wracać stąd do Ebelinga!

– Damy radę – uspokajał go Blanc. – Jak dobrze pójdzie, będziemy mieli godzinę przewagi nad nimi. A to wystarczy

Victorowi na...

Nagle zamilkł, gdy spostrzegł Malinota wychodzącego z gabinetu z aktówką pod pachą.

– Chodźmy na dół – powiedział do mężczyzn i sam ruszył przodem.

Minęli dwóch policjantów, którzy zajęci własnymi sprawami nie zwrócili na nich uwagi. Gdyby jednak unieśli wzrok znad przeglądanych w biegu dokumentów, ujrzeliby Olivera, a jego rozszerzone źrenice i mokra od wody oraz potu twarz o hipokratesowych rysach przyprawiłyby ich o dreszcze. Już sam wygląd i zachowanie profesora czyniły go podejrzanym o bliżej nieokreślony nieczny czyn, dlatego też w rzeczy samej miał miejsce dziw nad dziwy, że inspektor nie przewidział jego haniebnych zamiarów.

Skręcili w lewo i stanęli przed windą. Malinot wcisnął przycisk i po kilku sekundach drzwi stanęły otworem. Cała trójka weszła do środka, a winda zjechała jeden poziom w dół do piwnicy. Piwnica miała podobny układ korytarzy co wyższe piętra, które w ogólnym zarysie przypominała, z tą jednak różnicą, że wyglądała od nich bardziej schludnie; ściany – podobnie zresztą jak podłoga – były w całości wyłożone białymi kafelkami. Podziemia sprawiały wrażenie pustych, a oślepiające jarzeniówki zdawały się palić tu tylko dla zasady. Dopiero gdy mężczyźni skręcili w jeden z korytarzy, ujrzeni na jego końcu uchylone drzwi do pomieszczenia, w którym krzątała się ubrana w biały fartuch kobieta.

– To Judith, nasza laborantka – odezwał się Malinot, nim wkroczyli do prosektorium.

Monroe i Blanc popatrzyli na siebie wzrokiem wyrażającym zdenerwowanie i obawę. Sprawy zaczęły się komplikować. Plan Ebelinga zakładał bowiem, że Oliver zostanie sam na sam

z Babineaux, gdy tylko dziennikarz wywabi Malinota z kostnicy. Nie uwzględniał występowania czwartej osoby, która mogła samą tylko swoją obecnością zniweczyć całe przedsięwzięcie. Mimo że dwaj mężczyźni nie byli tego świadomi, wówczas w ich głowach zaświtała ta sama myśl, każąca im postępować zgodnie z ustalonym wcześniej planem i jednocześnie liczyć na łut szczęścia, że laborantka opuści prosektorium choćby na pół minuty.

– *Bonjour, Judith.* – Inspektor zwrócił się do kobiety. – To profesor Monroe. Jérémie go wezwał w nadziei na to, że pomoże nam rozwiązać sprawę zabójstw z Rennes-le-Château. Pokażesz mu zwłoki, które rano przywieźliśmy?

– Pewnie – odpowiedziała. Była atrakcyjną kobietą o krótkich, brązowych włosach, czego Oliver jednak nie zauważył, zbyt zestresowany, by zachwycać się urodą laborantki.

Kobieta sprawdziła karty identyfikacyjne wiszące na klamkach komór chłodniczych i po chwili otworzyła jedną z nich. Gdy Monroe spostrzegł czarny worek wystający z głębi komory, poczuł, że robi mu się słabo. W czasie, gdy on przeżywał katusze, Blanc zwrócił uwagę na sposób ułożenia zwłok w komorze. Były zwrócone głową w stronę głębi komory, a nogami w kierunku drzwiczek. Dzięki takiemu ułożeniu istniała spora szansa, że lekarz sądowy wykonujący sekcję Babineaux nie zorientuje się tak szybko, że ktoś pozbawił księdza gałek ocznych, jeśli tylko Oliverowi uda się odpowiednio zablokować prowadnicę tacy. Profesor nie myślał jednak tak trzeźwo jak dziennikarz; na całe szczęście jakimś cudem utrzymał się na nogach i po chwili niechętnie zbliżył się wolnym krokiem w stronę okrytych workiem zwłok. Podobnie uczynili Blanc i Malinot.

– Mam tylko prośbę, czy możemy nie przekładać denata na stół, tylko zostawić go na tej tacy? – zapytała, wysuwając zwłoki

z komory. – Mamy jeszcze jedną sekcję do zrobienia przed nim, a nie chciałabym musieć go wkładać i wyciągać z powrotem.

– Nie ma sprawy – odpowiedział Oliver, zasłaniając nos i usta; robił to bardziej z obrzydzenia niż z powodu rzeczywistego zapachu panującego w prosektorium, który o dziwo nie był wcale tak uciążliwy.

– To otwieramy – rzucił Malinot, wskazując Judith, żeby rozpięła zamek błyskawiczny.

Monroe czuł, że nie jest na to gotowy i nie mylił się. Gdy tylko laborantka pociągnęła za suwak, odsłaniając zwłoki, jego oczom ukazał się widok makabryczny. Chociaż profesor nie znał Babineaux i nie wiedział, jak ksiądz wyglądał za życia, to po jego obecnym stanie nie mógł się nawet tego domyślać. Jego skóra była tak blada, że wyglądała, jakby coś wysssało z niego całą krew. Wyostrome rysy i twarz zastygnięta w dziwnym grymasie zdawały się skutkiem nadmiernej utraty wody, podobnie jak zapadnięte gałki oczne, ledwo widoczne przez półprzymknięte powieki. Całość przywodziła na myśl figurę woskową wykonaną przez najznakomitszego mistrza w swoim fachu. Jedynie kilkucentymetrowy ubytek w szyi tuż ponad rękojęścią mostka i skóra w okolicy powalana krwią kazały podawać w wątpliwość maestrię artysty.

Po ujrzeniu trupa profesorowi zdało się, że zemdlał, ale jakimś dziwnym trafem wciąż utrzymywał się na nogach. Ta chwilowa utrata przytomności umysłu trwała do momentu, gdy odezwał się Blanc, który najpewniej dostrzegł marazm ogarniający Olivera.

– Obejrzyjmy całe ciało, profesorze.

– Tak – odpowiedział Monroe, budząc się z zamroczenia. – Poszukajmy czegoś istotnego.

Zaczął dokładnie oglądać zwłoki, a raczej udawać, że to robi, dając tym samym czas Blankowi, aby ten wywabił Malinota z pomieszczenia. Nim jednak dziennikarz zdążył zainicjować jakąkolwiek rozmowę, inspektor przerwał oględziny prowadzone przez Monroe'a. Zdawał się czymś zainteresowany.

– Niech pan zaczeka, profesorze – powiedział, zakładając jednorazowe rękawiczki. – Przewróćmy go na brzuch, chcę coś sprawdzić.

Wręczył Oliverowi parę lateksowych rękawiczek. Profesor próbował je założyć, ale miał tak spocone ręce, że nijak mu się to nie udawało. W końcu jakoś zdołał to uczynić, jakkolwiek zrobił to w sposób wysoce nieprofesjonalny. Malinot chwycił za nogi i skrzyżował je tak, aby przewrócić Babineaux przez prawy bok. Monroe z odrazą złapał za lewy bark księdza i uniósł go do góry, a potem pchnął w przeciwną stronę. Zapomniał jednak o głowie, która w momencie przewracania odchyliła się pod niefizjologicznym kątem, przez co profesor musiał ją poprawić. Zrobił to bardzo niechętnie, ale ostatecznie po kilku sekundach Babineaux leżał już na brzuchu w całkiem poprawnej pozycji.

Oliverowi ulżyło, że przynajmniej przez krótką chwilę nie będzie musiał oglądać potwornej twarzy księdza. Malinot z kolei nachylił się nad zwłokami, przypatrując się uważnie plecami nieboszczyka. Profesorowi zdało się wówczas, że inspektor szukał czegoś bliżej nieokreślonego, chociaż skóra w tym miejscu była porcelanowo biała i – najprościej mówiąc – nieskazitelnie czysta. Mimo iż już na pierwszy rzut oka widać było, że nie miała nawet zadraśnięcia, inspektor niestrudzenie próbował doszukać się na niej jakiejś znanej tylko jemu zmiany patologicznej. Przez prawie minutę oglądał plecy księdza od góry do dołu, po czym z nieskrywanym rozczarowaniem odstąpił od zwłok i powiedział do Olivera:

– Dobrze, już się upewniłem. Może pan kontynuować. Chce pan go z powrotem położyć na plecach?

– Tak, proszę – odrzekł profesor, po czym powtórzyli wcześniejszą czynność, ale tym razem przewrócili Babineaux przez lewy bok.

Blanc, który do tej pory tylko przypatrywał się manipulacjom wykonywanym na trupie, stwierdził, że czas najwyższy rozpocząć drugi etap planu.

– Ach, bym zapomniał – zaczął. – Ja też mam do ciebie sprawę, inspektorze.

– O co chodzi? – Malinot zmarszczył brwi.

– Kiedy was już nie było, a ja i Oliver przeszukiwaliśmy kościół, w zakrystii wpadliśmy na coś dziwnego.

– Co takiego?

– Stułę, wydaje mi się, że może należeć do Babineaux. Jest cała we krwi.

– Trzeba to sprawdzić – odrzekł inspektor. – Daj tę stulę, przekażę ją do laboratorium.

– Właśnie o to chodzi, że zapomniałem zabrać ją z samochodu. Może przejdziemy się na górę i od razu damy ją do analizy?

– Czemu sam po nią nie pójdziesz? Wolałbym tu zostać na wypadek, gdyby profesor potrzebował pomocy albo chciał o coś zapytać.

Blanc spojrział na Olivera sugestywnym wzrokiem.

– Nie ma problemu – odezwał się Monroe. – Proszę się nie przejmować. Jeśli będzie mi coś potrzebne, poproszę o to panią Judith.

Laborantka odwróciła się i uśmiechnęła do mężczyzn.

– Myślę, że możesz iść, François – powiedziała. – Damy sobie radę.

Malinot nie wydawał się przekonany, ale ostatecznie przystał na popartą przez pozostałych propozycję Blanca. Wzruszył ramionami, rzucił standardowe *jak chcecie* i w towarzystwie dziennikarza skierował się do drzwi. Gdy miał już wychodzić, odwrócił się na pięcie, mówiąc do Olivera:

– Bym zapomniał, panie Monroe. Tam ma pan teczkę z zeznaniami księży. Niech pan rzuci na nie okiem w wolnej chwili. Uprzedzam, że są dziwne i nie należy ich brać na serio.

Profesor spojrział na aktówkę leżącą na metalowym stoliku tuż obok laborantki. Skinieniem głowy dał znać inspektorowi, że zapozna się z zeznaniami proboszczów. Wówczas Malinot i Blanc opuścili prosektorium, a Monroe został w nim sam na sam z Judith i – rzecz jasna – zwłokami Babineaux. Zapanowała między nimi cisza, którą przerwała w pewnym momencie laborantka.

– Dziwna sprawa, prawda? – zapytała. – Kto by chciał zabijać starych księży.

– Wyjątkowo dziwna – odpowiedział Oliver, który w tamtym momencie o niczym tak bardzo nie marzył, jak tylko o tym, żeby kobieta dostała wezwanie od swoich przełożonych albo z innego powodu musiała zostawić go samego z Babineaux przynajmniej na minutę.

– Każda sekcja jest inna – kontynuowała. – Jak pierwszego przywieźli, to w sumie się ucieszyłam, bo od razu wiadomo było, jak zginął. Sprawa była prosta. Ale wiadomo, że zawsze musimy wykonać pełną sekcję, żeby się upewnić. I całe szczęście, że to zrobiliśmy, bo dopiero po kompletnej sekcji stwierdziliśmy, że nie miał gałek ocznych. Ktoś musiał mu je wydłubać, jak jeszcze żył.

Monroe wzdygnął się, słysząc o tym.

– Chwila, sugeruje pani, że w momencie, gdy Daquinowi usuwano gałki oczne, on jeszcze żył?

– To właśnie powiedziałam.

– Czyli jest możliwe stwierdzenie, czy dane obrażenie powstało za życia, czy po śmierci? – Oliver zainteresował się słowami laborantki. Jedna rzecz mu się w nich nie zgadzała, ale miał nadzieję się mylić.

– Tak – odrzekła. – Istnieją pewne cechy, które świadczą o przyżyciowości zmian. Krótko mówiąc, jesteśmy w stanie ocenić, czy denat był żywy, czy martwy w trakcie powstania danego obrażenia. Co więcej, czasem potrafimy powiedzieć nawet, kiedy dany uraz powstał, oczywiście w dużym przybliżeniu.

– A oczy Gauthiera? – Musiał się upewnić. – Też wydłubano je przed śmiercią?

– Jeśli ma pan na myśli tego drugiego księdza, co zginął, to tak. Dlatego zdziwiło mnie, że ten z dzisiaj wciąż ma gałki oczne na swoim miejscu.

Ta niespodziewana wiadomość spadła na Olivera jak grom z jasnego nieba. Dlaczego więc Ebeling go okłamał? Dlaczego przyznając się do usuwania księżom oczu, nie wspomniał nic a nic o tym, że tę makabryczną czynność wykonywał tuż przed ich śmiercią? Gdyby nie laborantka, Monroe nigdy nie dowiedziałyby się o kłamstwie starca, który sprytnie obmyślił taki bieg wydarzeń, jaki miał mu pozwolić na jak najdłuższe utrzymanie profesora w niewiedzy. Nie przewidział jednak w swym planie tego, że kobieta sekcjonująca dwóch poprzednich księży będzie akurat w prosektorium. To przypadkowe odkrycie dokonane przez profesora dzięki Judith jasno wskazywało na obecność Ebelinga przy zabójstwie dwóch pierwszych proboszczów, stanowiąc tym samym niezbity dowód na jego udział w obu zbrodniach. W jednej chwili stało się dla Olivera oczywiste, że skoro starzec osobiście pozbawiał księży gałek ocznych, a działo się to tuż przed ich

zgonem, musiał on nie tylko znać zabójcę, ale i z nim współpracować.

Wybrzmiał dzwonek telefonu. Judith wyciągnęła komórkę z kieszeni fartucha i odebrała. Rozmawiała w języku francuskim przez kilka sekund, po czym odsunęła telefon od ucha i zwróciła się do Olivera:

– Muszę na chwilę wyjść do laboratorium obok, proszę mnie o wycinki, które pobrałam w trakcie poprzedniej sekcji. Mogę pana zostawić samego na pół minuty, profesorze? Tylko zaniosę preparaty i wracam.

Monroe z początku rzucił kobiecie spojrzenie wyrażające litościwe błaganie, by ta nie zostawiała go samego. O ile bowiem jeszcze kilka minut wcześniej liczył na jej rychłe opuszczenie prosektorium, o tyle obecnie miał szczerą nadzieję, że jednak do tego nie dojdzie. Nie miał zamiaru wydłubywać oczu Babineaux i narażać się w ten sposób na długoletnią odsiadkę w więzieniu. Nie chciał ryzykować własnej wolności tylko po to, by pomóc Ebelingowi w realizacji jego szalonej planu. Nie widział powodu, by wspierać człowieka, który kłamstwem nakłonił go do współudziału w przestępstwie. Mimo to skinieniem głowy i udawanym uśmiechem dał znać kobiecie, że sobie poradzi. Judith ponownie przyłożyła wówczas telefon do ucha i kontynuując rozmowę, wyszła z prosektorium, zostawiając profesora samego ze zwłokami.

Trzydzieści sekund – tyle czasu dzieliło go od powrotu laborantki. Nie wiedział, co począć. Był rozdarty pomiędzy chęcią rozwiązania tajemnicy mordów księży a perspektywą długiej odsiadki we francuskim więzieniu lub nie mniej przerażającą wizją ekstradycji do Stanów Zjednoczonych.

Dwadzieścia pięć sekund. Z jakiego powodu Ebeling skłamał? Czy to możliwe, że wysłał Olivera na tę samobójczą misję, ponieważ

chciał go zrobić w zabójstwa proboszczów? Nie ulegało bowiem wątpliwości, że jeśli ktoś przyłapie profesora na gorącym uczynku, dla francuskiej policji stanie się on głównym podejrzanym i na nic się nie zdadzą jego zapewnienia o własnej niewinności. Malinot z pewnością nie uwierzy mu w to, że dopiero co przyleciał z Providence, a już na pewno nie będzie zwracał sobie głowy sprawdzaniem setek słoików w piwnicy Ebelinga w poszukiwaniu ludzkich gałek ocznych. A kiedy już go złapią, zostanie całkowicie sam, porzucony i zdany tylko na siebie. Będzie nawet bardziej samotny niż wtedy, gdy przed sześcioma laty został uwięziony przez esseńczyków w dziwnej wieży w centrum Jerozolimy. Zostanie zapomniany przez wszystkich – zupełnie jak Kate Evans, po której śluch zaginął, gdy miesiąc temu opuściła dom pani Martínez. Wyobraził ją sobie w tamtej chwili, czekającą gdzieś w osamotnieniu z nadzieją, że on przybędzie jej na ratunek.

Nie mógł jej zostawić. Przecież to dla niej pokonał ocean. Powtarzał w myślach jak mantrę słowa wbite mu do głowy przez Blanca, że droga do odnalezienia Kate wiedzie przez pozostawione mu ślady i przez dziwną zagadkę, której rozwiązanie spoczywało w siatkówce Babineaux.

Dwadzieścia sekund – tyle czasu potrzebował na wyłuszczenie gałek ocznych Babineaux z jego oczodołów, a tym samym na zdobycie jedynej wskazówki, dzięki której będzie w stanie odnaleźć swoją przyjaciółkę.

– Nie robię tego dla ciebie, Ebeling, tylko dla Kate – wyszeptał przez zaciśnięte zęby, wyciągając łyżkę z kieszeni marynarki.

ROZDZIAŁ 22

Nie potrafił zapanować nad trzęsącymi się dłońmi. Stojąc nad zwłokami Babineaux z łyżką w ręce, przypominał rzeźnika, który tasakiem zamierza się na tuszę wieprzową. Palcem wskazującym i kciukiem lewej ręki rozwarł powieki prawego oka i umieścił łyżkę pomiędzy gałką oczną a oczodołem. Ebeling poinstruował go, żeby nie zastanawiał się za długo, tylko mocnym pchnięciem wbił łyżkę w oczodół tak, jakby chciał przebić się do mózgu. Jako że nigdy w swoim życiu nie znalazł się w sytuacji wymagającej od niego dostania się do czyjegoś mózgu, postanowił w tej kwestii zdać się na doświadczenie Victora, licząc na to, że mężczyzna tym razem go nie okłamał.

– Boże, dopomóż – szepnął pod nosem i zamknął oczy, jednocześnie wykonując mocne pchnięcie.

Spodziewał się usłyszeć odgłosy zrywanych powięzi, przerywanych mięśni i pękających kości oczodołu, ale ku jego zaskoczeniu nic takiego nie miało miejsca. Dopiero kiedy podważył sztucem gałkę oczną, uchwycił delikatny szelest i subtelne trzeszczenie, jak gdyby rozklejał właśnie dwie złączone ze sobą kartki papieru. Wówczas otworzył oczy i ujrzał, że na łyżce spoczywa niemalże całe oko księdza. Zebrało mu się na wymioty, ale mimo to nie rozluźnił chwytu. Zamiast tego przesunął powoli sztuciec na przeciwległy biegun oczodołu i podważył gałkę oczną z drugiej strony. Dostrzegł wówczas, że trzymała się już tylko na resztkach mięśni pozagałkowych i wcale nie grubej taśmie, która

– zgodnie ze słowami Ebelinga – była nerwem wzrokowym. Chwycił ją wtedy ostrożnie i wyrwał z oczodołu.

Przez ułamek sekundy patrzył na spoczywającą w jego dłoni gałkę oczną Babineaux. Była nieco wyschnięta i miała błękitną tęczę. Nie poświęcił jej jednak wiele uwagi. Z odrazą umieścił ją w uprzednio przygotowanym woreczku foliowym, który następnie włożył do kieszeni marynarki i niemal natychmiast przystąpił do usuwania drugiego oka. O dziwo, poszło mu sprawniej niż przy poprzednim. Zdawać by się mogło, że nabrał wprawę w wydłubywaniu oczu, miał jednak nadzieję, że nigdy więcej nie przyda mu się ta umiejętność.

Przez cały czas wsłuchiwał się w dobiegające z korytarza dźwięki, które mogły zwiastować nadchodzącą laborantkę. Na jego szczęście Judith wciąż nie wracała. Gdyby jednak wyrobiła się w zakładane początkowo trzydzieści sekund, Oliver byłby pogrzebany. Za żadne skarby świata nie zdołałby wykonać całej czynności w tak krótkim czasie. Do tej pory wszystko mu się udawało, ale wiedział, że to nie koniec. Mimo dotychczasowego sukcesu, jego praca nie była skończona. Musiał jeszcze zablokować prowadnicę tacy, na której leżał Babineaux.

Włożył drugie oko do woreczka, po czym prędko nakrył zwłoki workiem i zasunął zamek błyskawiczny. Następnie wsunął trupa w głąb komory tak, że wystawały z niej jedynie stopy Babineaux i kilkudziesięciocentymetrowy fragment tacy. Sięgnął do kieszeni po kawałek drutu i zajrzał do wnętrza komory w poszukiwaniu czegoś, o co można by go zahaczyć, uniemożliwiając w ten sposób ponowne wysunięcie z niej nieboszczyka. Niczego takiego jednak nie znalazł. Okazało się, że prowadnice były okryte metalowymi obudowami tak, że dostęp do nich był możliwy jedynie po pełnym wysunięciu zwłok.

Wpadł w panikę. Błyskawicznie pociągnął za uchwyt, wyciągając Babineaux na powrót z komory. W mgnieniu oka zgiął kawałek drutu, formując z niego mały kłębek, który następnie wsunął w metalową obudowę jednej z przewodnic. Nagle usłyszał kroki dobiegające z korytarza. Jednym ruchem wepchnął tacę ze zwłokami z powrotem do komory i zamknął ją. Gdy tylko zdążył zatrzaskać drzwiczki, w progu pojawiła się Judith.

– Już pan skończył, profesorze? – zapytała. – Wszystko w porządku? Czemu tak się pan denerwuje?

– To nic – odpowiedział Oliver wyczerpany. – Zdenerwowałem się, bo niczego nie znalazłem. Miałem nadzieję na jakieś znaki na ciele, symbole...

– Podczas sekcji zwracamy na takie rzeczy uwagę, panie Monroe. – Kobieta zdawała się urażona słowami Olivera.

– Wiem, że państwo z pewnością dobrze wykonują swoją pracę – odrzekł. – Po prostu chciałem sam zobaczyć zwłoki.

– Dobrze – uśmiechnęła się. – Już pan idzie?

– Tak, będę się zbierał. – Ściągnął rękawiczki, otarł czoło z potu i skierował się w stronę drzwi. – Do widzenia.

– Proszę zaczekać.

Słyszając te słowa, momentalnie przystanął, a serce podeszło mu do gardła i odniósł wrażenie, że na chwilę przestało bić. Spodziewając się najgorszego, odwrócił się z wolna i popatrzył na laborantkę.

– Inspektor Malinot zostawił dla pana jakieś dokumenty na stole i chyba chciał, żeby pan się z nimi zapoznał – powiedziała, wskazując na teczkę leżącą na stoliku na kółkach.

Monroe odetchnął z ulgą.

– Oczywiście, dziękuję. Gdyby nie pani, zapomniałbym o nich całkowicie.

Zabrał aktówkę i wyszedł. Dopiero na korytarzu poczuł, jak kamień spadł mu z serca. Była to jednak tylko przejściowa ulga, bowiem prawdziwe piekło miało się zacząć, gdy laborantka odkryje, że Babineaux brakuje oczu. Powiadomi wówczas Malinota, który w przeciągu czterdziestu minut będzie w Rennes-le-Château, by nałożyć kajdanki na nadgarstki Olivera. Profesor był w pełni świadomy, że zasługuje na karę, popełnił przecież przestępstwo, od którego nie było już odwrotu. Jedyna jego nadzieja leżała w hipotezie Ebelinga, która – jeśli okazałaby się prawdziwa – mogła przynajmniej w niewielkim stopniu uzasadnić potworny czyn, jakiego się dopuścił.

Wszedł do windy i nacisnął odpowiedni przycisk. Gdy drzwi się zamknęły, zdał sobie sprawę, że przez cały czas ścisnął nerwowo w dłoniach teczkę. Spojrzał na okładkę, na której widniał napis: *Rennes-le-Château, 2017*. Z wolna odwiązał tasiemki zabezpieczające teczkę przed otwarciem i wyciągnął jej zawartość na wierzch. Były tam jedynie cztery pliki papierów; dwa z nich stanowiły protokoły przesłuchań dwóch pierwszych księży, a kolejne dwa zawierały zeznania Babineaux. Monroe zdziwił się, że był on przesłuchiwany dwa razy, podczas gdy Daquin i Gauthier dostąpili tego zaszczytu tylko raz. Po pospiesznym przeglądzie papierów przełożył protokół z przesłuchania Daquina z powrotem na wierzch i zaczął czytać.

Z początku zdawał się spokojny, lecz z każdą chwilą jego palce coraz mocniej zaciskały się na kartkach papieru, na których spisane były zeznania księdza. Jeśli tylko ktoś jeszcze byłby wówczas obecny w windzie i spojrzał na profesora, dostrzegłby człowieka ogarniętego strachem. Monroe rozwarł usta, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale było to tylko złudzenie; w rzeczywistości żadne słowo nie przeszłoby mu w tamtej chwili przez gardło. Jego nienaturalnie rozszerzone źrenice, uginające się kolana i z każdą

chwilą coraz bardziej trzęsące się dłonie były dowodem na to, że przeżywa właśnie najgorszy koszmar, jakiego kiedykolwiek przyszło mu doświadczyć.

Przerzucił prędko papiery z zeznaniami Daquina na spód i zaczął nerwowo przeglądać następny w kolejności protokół z przesłuchania Gauthiera. Dosłownie po sekundzie przełożył również na koniec, po czym błyskawicznie przekartkował zeznania Babineaux w poszukiwaniu jednego przerażającego fragmentu, który w szczególny sposób zwrócił jego uwagę. Gdy utwierdził się w swym makabrycznym odkryciu, upuścił teczkę i pliki z papierami na ziemię tak, że przykryły one podłogę w windzie niczym dywanem. Uświadomił sobie, jak bardzo Blanc się mylił, nazywając bredniami opowiadania snute przez księży na dobę przed śmiercią; podobnie Malinot nie miał racji, gdy twierdził, że owe majaki są dziwne i nie należy brać ich na poważnie. Profesor uważał zgoła inaczej. Nie widział bowiem przypadku w tym, że w zeznaniach Daquina, Gauthiera i Babineaux powtarzał się nieustannie jeden i ten sam fragment:

Mężczyzna zeznaje, że bezpośrednią przyczyną wizyty na komisariacie była wizja, która nawiedziła go minionej nocy, gdy zmęczony ułożył się do snu. Przekonany o prawdziwości swoich słów twierdzi, że w owym momencie w jego dormitorium znajdującym się na pierwszym piętrze willi Béthanie w miejscowości Rennes-le-Château w departamencie Aude oprócz niego obecna była również postać grającej na rogu kobiety, której towarzyszył wierzchowiec. Mężczyzna nie jest jednak w stanie podać tożsamości widzianych postaci ani ich opisać. Jednocześnie zapewnia, że były one prawdziwe, choć nie potrafi powiedzieć, czy w momencie ich ujrzania był w pełni świadomy, czy raczej pozostawał wciąż pogrążony we śnie.

Utrzymuje, że owa amnezja jest wynikiem dźwięku wydobywającego się z rogu kobiety, który opisał jako „ogłuszający i pozbawiający zmysłów, którego nie zniosłyby nawet najpodlejsze demony”.

ROZDZIAŁ 23

Gdy rozsunęły się drzwi windy, dwoje policjantów stojących wówczas na korytarzu ogarnęło niemałe zdumienie. Nie zdziwił ich jednak widok papierów rozrzuconych po całej kabinie – konsternację wzbudził w nich mężczyzna, który zaraz po otwarciu drzwi wystrzelił jak błyskawica i pewnym krokiem ruszył w ich stronę. Odezwał się dopiero, gdy miał ich tuż przed sobą.

– Inspektor Malinot jest u siebie?

– Tak, ale zdaje mi się, że z kimś rozmawia...

Monroe nie czekał, aż policjantka dokończy zdanie, zamiast tego ominął ją w okamgnieniu i skręcił w sąsiedni korytarz, na którym znajdował się gabinet Malinota. Wystarczyło kilka większych kroków i już po chwili stał przed jego drzwiami. Nie pukając, nacisnął klamkę i wparował do środka niczym burza.

– Inspekto...

Nagle przerwał, zorientowawszy się, że przybył nie w porę. Natychmiast wycofał się i zamknął za sobą drzwi, żałując, że zapomniał zapukać przed wejściem. Złapał się za głowę i zdecydował, że lepiej będzie poczekać, aż Malinot lub przebywający z nim Blanc zaproszą go do środka. Nie chciałby ponownie zastać ich w niedwuznacznej sytuacji i ujrzeć, jak mężczyźni obejmują się w więcej niż przyjacielskim uścisku.

Po chwili drzwi się uchyliły, a ze środka wyrzwał inspektor.

– Zapraszam, panie Monroe. – Jego głos było o dziwo spokojny, a on sam sprawiał wrażenie opanowanego.

Profesor wkroczył nieśmiało do gabinetu, gdzie na jednym z foteli pod ścianą siedział dziennikarz. Mężczyzna uniósł brwi w geście zapytania, na co Oliver tylko kiwnął twierdząco głową. Wydawało się, że obaj należycie wywiązali się ze swych obowiązków. Monroe nie mógł jednak oprzeć się wrażeniu, że Blanc zbyt dosłownie potraktował swoją część zadania i aż za dobrze odwrócił uwagę Malinota.

– I jak, profesorze? – zaczął inspektor. – Znalazł pan jakieś znaki, symbole? Przeczytał pan zeznania tych księży?

– Niczego nie znalazłem... Tak, przeczytałem, ale... – zająknął się. – Nie wszystko jest dla mnie jasne i mam parę pytań. Chciałbym wiedzieć dokładnie, co się działo, kiedy Babineaux przyszedł do was. Co mówił, kiedy dotarł do komisariatu?

– Nic szczególnego – odrzekł Malinot. – Jego zeznania były tak dziwne, że moi policjanci zdecydowali się spisać je dwa razy, sam pan zresztą widział. Nie wiem, czy było to zasadne, w każdym razie kiedy chciałem, żeby opowiedział mi o wszystkim osobiście, wyszedł.

– Wyszedł? – powtórzył Oliver.

– Tak. Nie przejąłem się nim za bardzo, choć może powinienem. Szczerze mówiąc, nawet trochę się ucieszyłem. To była długa noc na służbie i byłem zadowolony, że już się kończy. Nie miałem siły wysłuchiwać jego bajek i było mi na rękę, że sobie poszedł. Ale na moje nieszczęście potem wrócił.

– Chce pan powiedzieć, że Babineaux przyszedł do was dwa razy tamtej nocy?

– Nie do końca tak było, może źle się wyraziłem. Za drugim razem nie przyszedł tu wcale z własnej woli. To jeden z moich ludzi,

Adrien Cartier, znalazł go gdzieś w pobliżu komisariatu. Był cały roztrzęsiony, miał na sobie podartą sutannę, na dodatek ktoś ogolił mu głowę, a potem z niewiadomych powodów puścił wolno. Cartier przyprowadził go do mnie, wydałem rozkaz swoim, żeby zawieźli go do szpitala, ale jakimś dziwnym trafem nagle mu się poprawiło i chciał wracać do siebie, dlatego nie nalegałem na jego wizytę na pogotowiu.

– I co dalej? – Monroe szukał w słowach inspektora jakiejś nieokreślonej wskazówki, która mogłaby rzucić nowe światło na to, co przed chwilą przeczytał w protokole z przesłuchania Babineaux.

– Właściwie to nic. Osobiście odwiozłem go do Rennes-le-Château i tam zostawiłem. Kazałem dwóm policjantom nie spuszczać go z oczu i zgłaszać mi każde dziwne zdarzenie mające miejsce w pobliżu.

– Zostawił go pan na pewną śmierć? – oburzył się profesor. – Nie przetrzymaliście go chociaż do rana?

– Ależ tak, zanim moi podwładni dwukrotnie spisali jego zeznania, upłynęło kilka godzin. Ja przyszedłem dopiero o wpół do siódmej, żeby jeszcze raz go przesłuchać – odparł Malinot. – Dopiero w trakcie naszej rozmowy Babineaux wstał i wyszedł. Nic nie mogłem poradzić, skoro sam nie chciał jechać do szpitala, a tym bardziej zostać tu, w komendzie. Jedyne, co mogłem zrobić, to dać mu dwóch ludzi do ochrony.

– Widocznie nie okazali się pomocni, skoro Babineaux leży teraz piętro niżej w komorze chłodniczej! – Monroe wybuchł.

Blanc, który do tej pory przysłuchiwał się wymianie zdań dwóch mężczyzn, postanowił interweniować, gdy spostrzegł, że Oliver przestaje nad sobą panować.

– Profesorze, chyba powinniśmy już iść – powiedział.

– Nie, jeszcze jedno pytanie. – Monroe pomiarkował się, uznając, że istotnie zanadto się uniósł. – Czy w trakcie drugiej wizyty Babineaux w komisariacie tamtego poranka zdarzyło się coś dziwnego? Coś, co jakoś szczególnie zapadło panu w pamięć?

Malinot wziął się pod boki i popatrzył na Olivera. Tak go zaskoczyła nagła zmiana zachowania Monroe'a, że zrazu nie odpowiedział. Ciekawiło go, co niezwykłego profesor znalazł w protokołach z przesłuchań księży, że po ich przeczytaniu zmienił się z człowieka jękającego się i zdenerwowanego w pewnego siebie i poniekąd bezczelnego.

– Co właściwie chce pan usłyszeć? – zapytał. – O co pyta? Dla pana te bajki opowiadane najpierw przez Daquina i Gauthiera, a potem przez Babineaux nie są wystarczająco dziwne? Niech pan posłucha, profesorze. Jeśli oczekuje pan, że powiem coś, co będzie bardziej kuriozalne od majaków tych księży, to grubo się pan myli. Przez całe lata swojej pracy nie spotkałem się ze sprawą, która byłaby choćby w połowie tak cudaczna jak ta. Nic, powtarzam, nic nie pasuje mi w tym śledztwie. Każde zabójstwo jest oddzielną sprawą, nie ma żadnego dowodu, który wiązałyby je w jakąś spójną całość. Całe dni głowię się nad rozwiązaniem, a gdy znajduję wreszcie jakieś konotacje pomiędzy dwoma morderstwami, to nagle okazuje się, że zupełnie nijak mają się one do trzeciego zabójstwa. Te oczy, przykładowo. Dlaczego morderca nie pozbawił ich Babineaux? Kompletnie mi to nie pasuje do morderstw Daquina i Gauthiera, których zwłoki nie miały przecież gałek ocznych w momencie znalezienia. Ta sprawa jest nierozwiązywalna i koniec.

Monroe dostrzegł zdenerwowanie mężczyzny, ale nie zamierzał dać za wygraną.

– Niech pan sobie przypomni, co się działo, jak pana człowiek przyprowadził Babineaux do komisariatu. Co mówił ksiądz? Proszę,

inspektorze, to ważne.

Malinot posłał mu zrezygnowane spojrzenie.

– Nigdy pan nie odpuszcza, co? – powiedział cichym głosem. – Tak. Właściwie tak, coś mówił, ale to były jakieś kompletne bzdury.

– Proszę powtórzyć jego słowa, to naprawdę może być ważne – rzekł Monroe błagalnie, a inspektor westchnął.

– Zapytałem go o ostatnią rzecz, jaką pamięta, a on wtedy powiedział, że pamięta błysk i muzykę, a między nimi słowa, ale nie do końca zrozumiałem jego mamrotanie. To brzmiało jak... *esem, esem, esem...* Albo coś podobnego. W każdym razie nie ma takiego słowa w języku francuskim, więc zbagatelizowałem ten bełkot. I to tyle.

– To na pewno wszystko, inspektorze?

– Tak.

Malinot nie mówił jednak całej prawdy. Doskonale pamiętał, co ujrzał wówczas na plecach proboszcza. Mimo to stwierdził, że nie powinien dzielić się tym wspomnieniem z Oliverem. Nie chciał wyjść na człowieka niespełna rozumu, za którego z pewnością uznałby go profesor po usłyszeniu niewiarygodnej historii o pojawiających się i znikających ranach na skórze księdza, które układały się w nieznanym mu symbol. Zresztą – po upływie ponad doby od tamtej sytuacji inspektor sam doszedł do wniosku, że najbardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem owego incydentu było zwykłe przemęczenie, a wszystko, co zobaczył na plecach Babineaux, po prostu mu się przywidziało. Szczególnie że zbadał je skrupulatnie, gdy wraz z profesorem i dziennikarzem byli w prosektorium i nie spostrzegł wówczas niczego, co mogło świadczyć o prawdziwości jego wcześniejszych zwiadów.

– No to chyba wszystko już sobie wyjaśniliśmy – wtrącił Blanc, który wyraźnie się niecierpliwił, gdy rozmowa się przedłużała, a oni

tracili cenny czas. – Dziękujemy, inspektorze, na nas pora. Musimy jeszcze zajechać z powrotem do Rennes-le-Château, żeby sprawdzić kilka rzeczy. Prawda, Oliverze?

– Tak, będziemy się zbierać – odpowiedział Monroe. – Dziękuję.

– Służę pomocą – rzucił Malinot i usiadł za biurkiem, podczas gdy profesor i dziennikarz skierowali się w stronę drzwi. – A, i jeszcze jedno.

Mężczyźni odwrócili się.

– Może pan oddać mi teczkę z dokumentami na temat śledztwa, profesorze? – zapytał inspektor. – Jest mi potrzebna.

– Ach, no tak... – Oliver się zająknął. – Zostawiłem ją w windzie.

– Gdzie? – Malinot uniósł brwi ze zdziwienia.

– W windzie – powtórzył Monroe. – Chyba mi wypadła.
Do widzenia.

Zamknął za sobą drzwi, a Malinot jeszcze przez dłuższą chwilę zastanawiał się, czy na pewno dobrze zrozumiał profesora.

ROZDZIAŁ 24

Nie rozmawiali ze sobą, dopóki nie znaleźli się w samochodzie. Oliver nie miał ochoty wdawać się w dyskusję z kimś, kto najprawdopodobniej współpracował z Ebelingiem. Ten przecież okazał się nie tylko kłamcą, ale i człowiekiem poważnie uwikłanym w zabójstwa księży. Kiedy profesor myślał nad całą tą sprawą, zdało mu się, że wszystko już wie. Starzec bez wątplenia współpracował z rzeczywistym mordercą i był przy zgonach dwóch pierwszych proboszczów, od których pozyskiwał gałki oczne do swych chorych eksperymentów. Nie mógł być jednak obecny przy ostatnim morderstwie, ponieważ przebywał wówczas w więzieniu. Z tego powodu morderca Babineaux wykonał swoją robotę, ale pozostawił gałki oczne księdza na miejscu, bo po prostu ich nie potrzebował. To wskazywało jednoznacznie, że Ebeling zawarł z nim swego rodzaju kontrakt, na mocy którego oprawca mordował we własnym celu, a starzec – jak gdyby przy okazji – zdobywał preparaty wykorzystywane potem w potwornych badaniach. Ten układ był przykładem idealnego, na pierwszy rzut oka, komensalizmu pomiędzy mordercą a Ebelingiem.

Jedna rzecz poszła nie tak w tej relacji. Mianowicie starzec nie przewidział, że Oliver odkryje jego rolę w tym układzie i w ten sposób domyśli się, że został przez niego oszukany. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że Ebeling wykorzystał profesora do zdobycia oczu Babineaux. W świetle tego nie należałoby się dziwić, gdyby

ostatecznie wyszło na jaw, że cała historia o tajnej wiadomości ukrytej w optogramach uzyskanych z siatkówek księży została sprytnie zmyślona przez starca tylko po to, by zwieść Monroe'a. Ale jakim cudem w takim razie Ebeling dysponował zdjęciami domniemanych optogramów Daquina i Gauthiera, które wyraźnie przedstawiały dwie litery: *C* i *R*? Czy to również mogło być perfidną mistyfikacją zaplanowaną przez starca? Tego Oliver nie wiedział.

Ponadto do tej pory nie udało się profesorowi ustalić tożsamości mordercy. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że musiał być nim ktoś z bezpośredniego otoczenia Ebelinga, kto dodatkowo miał poważny powód, by popełnić tak przerażającą zbrodnię. Z początku podejrzewał Blanca, ale prędko zarzucił ten pomysł. Choć w rzeczy samej nie ufał dziennikarzowi w równym stopniu, co Ebelingowi, i do obu mężczyzn żywił podobną niechęć, nie wierzył w to, że Blanc najpierw zabijał księży, a potem jak gdyby nigdy nic pokazywał się razem z nim na komisariacie. Byłby to przykład wyjątkowej bezczelności ze strony dziennikarza. Zarówno to, kim był morderca, jak i powód, dla którego owa osoba dokonywała tych okropnych mordów, pozostawały zatem kwestiami otwartymi.

I jeszcze sprawa najbardziej osobista dla Monroe'a. To, co przeczytał w protokołach z zeznań księży, zszokowało go bardziej niż jakakolwiek inna wiadomość tego dnia. Nie był w stanie pojąć, dlaczego nawiedzający go od trzech tygodni w snach kobieta jeździec i jej wierzchowiec pojawili się również w urojeniach proboszczów. I chociaż wydawało się to irracjonalne, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że pomiędzy jego snem a zabójstwami księży istniał jakiś nie do końca jasny związek. Nie wiedział, czy to możliwe, że owo zatrważające podobieństwo między nimi było jedynie przypadkiem. A co, jeśli okazałoby się, że jakimś cudem

zbieżność ich fantazji nie była przypadkowa? Profesor nie chciał nawet myśleć o konsekwencjach takiego obrotu zdarzeń. Starał się przynajmniej przez chwilę nie zaprzętać sobie głowy wizją kobiety dzierzącej w dłoni róg, z którego ulatywał dźwięk *ogłuszający i pozbawiający zmysłów, którego nie zniosłyby nawet najpodlejsze demony...*

Ni stąd, ni zowąd, gdy szybkim krokiem kierowali się do samochodu, Monroe wpadł na genialny pomysł. Uświadomił sobie, że przecież Ebeling nie ma bladego pojęcia o tym, że ktoś wie o jego kłamstwie. Dzięki temu profesor mógł u boku dziennikarza udać się do starca i udawać, że wierzy w niestworzone opowieści o optogramach i w jego rzekome pragnienie odnalezienia przestępcy, jednocześnie wyczekując idealnej okazji, by naruszyć swój status quo. Plan wydawał się bez zarzutu, ale jego wykonanie mogło nie być tak proste, jak zrazu myślał.

Oliver usiadł na miejscu pasażera i zapiął pasy. Blanc, który do tej pory podobnie jak profesor nie czuł potrzeby inicjowania rozmowy, zajął miejsce za kierownicą i odpalił silnik. Podczas gdy z Monroe'a zdążyło już zejść całe napięcie towarzyszące mu od czasu przekroczenia progu komisariatu, dziennikarz zdawał się wciąż spięty i podenerwowany.

– Masz to? – rzucił bez ogródek.

– Tak.

Profesor sięgnął do kieszeni, by pokazać dziennikarzowi swoją zdobycz, ale ten chwycił go za przedramię, wstrzymując jego dłoń.

– Nie wyciągaj tego! – krzyknął stłumionym głosem. – Przecież tu wszędzie są kamery!

– Zaraz i tak zrobią sekcję i zorientują się, że Babineaux nie ma oczu – odpowiedział Monroe. – I jak myślisz, kogo będą

podejrzewać? Kto został sam ze zwłokami, kiedy ty spędzałeś miło czas z inspektorem?

Blanc popatrzył na niego groźnym wzrokiem.

– Pamiętaj, że to nie twoja sprawa – powiedział. – Dzięki tej znajomości wiem wszystko o każdym śledztwie, jakie prowadzi Malinot, i pasuje mi to. A zresztą gdyby nie moje układy z nim, nigdy nie moglibyśmy wejść do kostnicy, więc powinienś być mi wdzięczny.

– Wdzięczny? Zdajesz sobie sprawę z tego, że zaraz wszyscy będą nas szukać? Po co w ogóle wspominałeś Malinotowi o tym, że wracamy do Rennes-le-Château? Teraz znajdą nas jeszcze szybciej.

– Nie będą szukać nas, tylko ciebie, profesorze – odrzekł spokojnym głosem. – Ja nawet tych zwłok nie dotykałem.

Monroe zaniemówił.

– Ale nie martw się – kontynuował dziennikarz. – Nie zostawię cię, bo mi się to nie opłaca. Jeśli chodzi o czas, to mamy go jeszcze sporo. Jest dopiero dwunasta dwadzieścia, za czterdzieści minut zaczyna się sekcja Babineaux. Chwilę im zajmie, zanim się we wszystkim połapią i przyjadą do Rennes-le-Château. Mamy nad nimi około godziny przewagi, a to wystarczy.

– Wystarczy na co? – zapytał profesor.

– Na to, żeby otrzymać optogram z oczu księdza i żeby Ebeling opowiedział ci o swoich podejrzeniach.

Blanc skręcił w prawo i ruszył przed siebie, starając się wypaść naturalnie przed kamerami umieszczonymi na kolumnach po obu stronach bramy. Tego samego nie można było powiedzieć o Oliverze, który zdawał się nie tyle zdenerwowany, co poirytowany zawziętością dziennikarza. Zastanawiało go, dlaczego właściwie Blanc nie przejmuje się tym, że już za godzinę będą musieli tłumaczyć się przed Malinotem, a wszystkie nomen

omen oczy funkcjonariuszy z Carcassonne będą skierowane na nich. Wbrew temu, co mówił dziennikarz, nie tylko Oliver będzie podejrzany, ale on i Ebeling również. Jego brak zainteresowania własnym losem budził podejrzenia profesora, który zaczął intensywnie rozmyślać nad rolą, jaką odgrywa on w całej tej sprawie. Było prawie pewne, że tylko chęć zarobku albo uzyskania innych wymiernych korzyści mogły skłonić dziennikarza do podjęcia takiego ryzyka.

– Zrobiłeś tak, żeby nie mogli wyciągnąć Babineaux z komory? – zapytał Blanc.

– Nie dałem rady, przewodnice były obudowane jakimś metalem i nie było do nich dostępu. Ale zgiąłem parę razy ten drut i włożyłem go do środka. Może to wystarczy.

– Może.

Nie odezwali się do siebie słowem aż do momentu, gdy ujrzeli tabliczkę z napisem *Rennes-le-Château*. Monroe był pod wrażeniem, ponieważ Blanc w rzeczy samej chciał nadgonić stracony czas i pędził jak szalony przez niezliczone pola i lasy. Próżno było szukać na niebie gęstych obłoków, podobnie jak miejsca w tym sielskim krajobrazie, na które nie padałyby promienie bezlitosnego słońca. Żar lejący się z nieba stanowił kolejne utrapienie Olivera, który nie był przyzwyczajony do wysokich temperatur panujących na południu Francji i męczył się niezmiernie z tego powodu.

– Zawsze jest tu tak gorąco? – W końcu przerwał ciszę.

– Zwykle w kwietniu jest około dwudziestu, czasem dwudziestu pięciu stopni w południe, ale w tym roku, jak widać, grzeje trochę mocniej. Trochę dziwnie, bo akurat na dzisiaj zapowiadali burzę.

– Mam nadzieję, bo jak na razie jest okropnie parno. – Westchnął, ocierając pot z czoła. – Zostawiłeś moją walizkę w swoim

mieszkaniu?

– Nie, jest w bagażniku.

– Jak staniemy, wyciągnę z niej ładowarkę do telefonu. Chcę wiedzieć, gdy Kate postanowi coś napisać.

Skręcili w Rue des Marronniers i po chwili byli już pod domem Ebelinga. Oliver pierwszy wysiadł z auta i podszedł do bagażnika, żeby odebrać swoją walizkę. Zaraz po uniesieniu kłapy odnalazł ją wśród rzeczy należących do Blanca. Rozpiął boczny suwak i w kilka sekund wyciągnął ze środka ładowarkę. Włożył ją do kieszeni marynarki. Zamknął bagażnik i dołączył do dziennikarza, który był już za furtką, pukając do Ebelinga.

Nim drzwi stanęły otworem, Monroe spostrzegł ruch firanki w jednym z okien na parterze. Victor musiał wyczekiwać niecierpliwie ich przyjazdu, pewnie co rusz spoglądał na drogę przed domem. Po chwili starzec wyszedł na zewnątrz, ominął Blanca i kuśtykając, podskoczył do Olivera.

– I co? – zapytał. – Masz je?

– Tak, ale może wejdźmy najpierw do środka. – Profesor wolał nie chwalić się swą upiorną zdobyczą przed całym miasteczkiem.

– Daj mi je, teraz! – krzyknął starzec, lekceważąc propozycję Olivera. – Nie mamy czasu, za chwilę będą do niczego!

Monroe sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął z niej dwie gałki oczne należące niegdyś do Babineaux. Nim jednak zdążył wręczyć je Ebelingowi, starzec wyrwał mu je z rąk i popędził z powrotem do domu. Oliver rzucił Blankowi wymowne spojrzenie, po czym podążyli razem śladem ekscentrycznego staruszka do piwnicy.

Gdy wkroczyli do spowitego mrokiem pomieszczenia, Ebeling siedział już przy biurku, odwrócony plecami do wejścia. Zdawał się nie zwracać na nich uwagi. Był całkowicie skupiony na swojej

pracy. Monroe zbliżył się do niego i popatrzył mu przez ramię; dostrzegł jedynie kilka menzurek z dziwnymi odczynnikami o najróżniejszych barwach, dwie szalki Petriego, nożyczki, pęsetę i talerzyk ze spoczywającą na nim parą oczu. Nie miał zamiaru zagłębiać się w metodykę eksperymentu, ale obserwował uważnie poczynania starca. Po chwili zauważył, że Ebeling wziął jedną z gałek ocznych, po czym za pomocą nożyczek wykonał małe nacięcie na poziomie rąbka rogówki, a następnie wyciął mały okrąg w przedniej części oka, przez który ewakuował na zewnątrz soczewkę i ciało szkliste w postaci mętnej galaretki. Na koniec odłożył nożyczki i dwoma palcami wyrócił gałkę oczną na drugą stronę, uwidaczniając w ten prosty sposób siatkówkę. Profesora zdziwiło, że niemal cała jej powierzchnia była kompletnie czarna.

– To normalny kolor siatkówki czy zmiana pośmiertna? – zapytał.

– Normalny – odpowiedział zdawkowo starzec. Po chwili jednak dodał: – Siatkówka ma wiele warstw, z których większość tworzą ciała komórkowe i aksony neuronów szlaku wzrokowego. Ale jedna z warstw, zwana warstwą barwnikową, zawiera komórki ze zmagazynowanymi ziarnami czarnego barwnika, melaniny. Dzięki niej światło padające na siatkówkę jest praktycznie w całości pochłaniane i nie dochodzi do odbijania jego promieni wewnątrz gałki ocznej. To kluczowe dla ostrego widzenia.

Monroe w dalszym ciągu oglądał pracującego Ebelinga, podczas gdy Blanc krążył bez celu po pomieszczeniu.

– Długo to jeszcze potrwa? – odezwał się zniecierpliwiony dziennikarz.

– Tyle, ile trzeba – odburknął mu starzec i zwrócił się do Monroe'a: – Powiedz lepiej, Oliverze, jak ci się podobało wydłubywanie oczu? Co czułeś, gdy robiłeś to po raz pierwszy w swoim życiu?

Profesor spojrział na niego wzrokiem pozbawionym entuzjazmu, po czym odpowiedział sarkastycznie:

- Czułem się, jakbym nabierał łyżką gałki lodów.
- W rzeczy samej te dwie czynności są łądząco do siebie podobne.

Ebeling za pomocą pęsety złuszczył siatkówkę z jednej z gałek ocznych i umieścił ją na płytce Petriego zawierającej przygotowany uprzednio roztwór. Monroe wydawał się zaskoczony, że siatkówka wcale nie trzymała się mocno i dość łatwo odeszła od reszty oka. Starzec tymczasem powtórzył całą procedurę na drugim oku i gdy obie siatkówki były już zanurzone w dziwnych chemikaliach, odezwał się:

- No, teraz mamy chwilę na rozmowę. Preparaty muszą leżakować w tych odczynnikach przez co najmniej pół godziny, żebyśmy cokolwiek na nich zobaczyli. Usiądźcie, proszę.

Dwaj mężczyźni popatrzyli po sobie pytająco, jako że jedynym krzesłem w piwnicy było to, na którym siedział Ebeling. Starzec szybko pojął absurdalność swojej prośby i poprawił się:

- Możecie też stać, mnie to nie przeszkadza – rzekł, po czym wziął głęboki oddech i po chwili kontynuował: – Obiecałem, Oliverze, że jak wrócisz, opowiem ci o swoich podejrzeniach odnośnie do tej sprawy. Pamiętasz też pewnie, że kiedy spotkaliśmy się wcześniej w Jardin du Calvaire, zapytałem, czy chcesz poznać prawdziwą historię tego miejsca. Nie było w tym za grosz przypadku, bowiem moja hipoteza na temat zabójstw księży wiąże się ściśle z opowieścią o wilebnym Saunièrze i Rennes-le-Château, i żeby zrozumieć moją teorię, należy najpierw poznać dzieje owego księdza.

Oliver nie odezwał się ani słowem, starał się bowiem słuchać starca z uwagą, sprawiając przy tym wrażenie zaciekawionego.

Z trudem jednak powstrzymał się przed nazwaniem go kłamcą i obwieszczeniem, że zna całą prawdę i nie da się mamić jego zmyślonymi opowieściami. I choć dobrze wiedział, że Ebeling kolaborował z mordercą, to był zmuszony postępować zgodnie z przyjętym wcześniej planem, by za wszelką cenę utrzymać swój status quo.

– Nie martw się jednak – kontynuował starzec. – Nie usłyszysz ode mnie opowieści powtarzanej ci setki razy przez twego ojca. Opowiem ci taką wersję tej historii, której nigdy byś nie poznał, gdyby fortunny zbieg okoliczności nie przywiódł cię tutaj do mojej skromnej pracowni.

Fortunny zbieg okoliczności – powtórzył w myślach Oliver. Nie wiedział, czy powinien zachwycać się zdolnościami oratorskimi Ebelinga, czy raczej być nimi zażenowany. Sam nigdy bowiem nie nazwałby fortunnym zbiegiem okoliczności ciągu zdarzeń prowadzącego od zniknięcia Kate do jego rozpaczliwej podróży do Francji.

– Ale zacznijmy od początku – mówił dalej. – Może wydać ci się dziwne, że opowieść o tajemnicy księdza Saunière’a zaczyna się i kończy na spowiedzi. Uwierz mi jednak, że gdy wysłuchasz do końca tej historii, wszystko stanie się jasne. Pewnie ojciec opowiadał ci o Marie de Nègre d’Ables?

– Pewnie, że tak – odpowiedział Monroe. – Była markizą d’Hautpoul i wdową po François d’Hautpoul-Rennes, czyli ostatnim panu na Rennes-le-Château.

– Tak! W rzeczy samej, Marie urodziła mu trzy córki i jedynego syna Josepha, który niestety zmarł w dzieciństwie. Z tego powodu po śmierci François męska linia jego rodu wygasła. Sama markiza d’Hautpoul zmarła natomiast siedemnastego stycznia tysiąc siedemset osiemdziesiątego pierwszego roku. Na pierwszy rzut oka

nie ma w tym nic dziwnego, ludzie wszakże umierają. Jednak legenda głosi, że na łożu śmierci wyjawiała ówczesnemu proboszczowi Rennes-le-Château, Antoine'owi Bigou, pewien sekret dotyczący rodziny Hautpoul de Blanchefort. Zdecydowała się na taki krok, ponieważ Bigou był jedyną bliską jej osobą w tamtym momencie. Mąż dawno już nie żył, córki poniosło daleko od domu, a ona miała ostatnią szansę na to, by powierzyć komuś sekret swej rodziny. Tak wyszło, że przekazała go proboszczowi Bigou w czasie spowiedzi...

– Nie zaskoczyłeś mnie – wtrącił się profesor. – Każdy, kto choć trochę interesuje się Saunière'em, zna tę historię. Bigou, spowiadając Marie, poznał tajemnicę rodu Hautpoul de Blanchefort. Ksiądz z jednej strony nie chciał, by sekret został zapomniany, z drugiej zaś nie mógł nikomu go wyjawić, ponieważ obowiązywała go tajemnica spowiedzi. Znalazł jednak sposób, by obejść ten problem. W całym Rennes-le-Château zostawił swoim następcom wskazówki pozwalające im odkryć to, czego on dowiedział się podczas spowiedzi markizy d'Hautpoul.

– I kto je odnalazł, Oliverze? – zapytał Ebeling, choć dobrze znał odpowiedź na swoje pytanie.

– François Bérenger Saunière, a któż by inny? – odrzekł Monroe, nieco znużony powtarzaniem historii, którą katował go ojciec w dzieciństwie. – Pod kolumną podtrzymującą ołtarz znalazł zaszyfrowane pergaminy, a pod płytą rycerzy odnalazł skarb.

– Płytą rycerzy? – powtórzył pytająco Blanc. – Co to takiego?

– Tak nazwano kamienną płytę, którą przykryte było wejście do krypty pod kościołem. Po waszemu to będzie... *La dalle des chevaliers* – Monroe próbował wymówić te słowa z francuskim akcentem, ale nie wyszło mu to za dobrze. – Nazwa wzięła się stąd, że na płycie przedstawiono wyobrażenie dwóch rycerzy na jednym

koniu, zupełnie jak na pieczęci templariuszy. Mówiłem ci o tej krypcie.

– Pamiętam, ale o żadnej płycie rycerzy nie wspominałeś. Jak to możliwe, że dopiero Saunière uniósł tę płytę, żeby sprawdzić, co jest pod nią? Przecież tak niecodzienny grawer już wcześniej musiał kogoś zainteresować?

– Nie do końca – zaprzeczył profesor. – Otóż ktoś umieścił ją w ten sposób, że była zwrócona wizerunkiem rycerzy do dołu w kierunku wnętrza krypty. Natomiast wierzchnia strona płyty, widoczna od strony prezbiterium, była czysta i pozbawiona płaskorzeźb. Dlatego poprzednicy Saunière'a nie zorientowali się, że coś może być pod nią, choć każdego dnia w czasie mszy po niej stąpali.

Blanc namyślił się chwilę i zapytał:

– W krypcie był tylko skarb czy coś jeszcze?

– Krypta nie została zbudowana po to, żeby ukryć w niej jakiś skarb – włączył się do rozmowy nieco oburzonym głosem Ebeling.

– Pierwotnie stanowiła miejsce pochówku członków rodziny Hautpoul de Blanchefort.

– Więc Marie de Nègre d'Ables również tam spoczęła? – Blanc zdawał się zainteresowany.

– Nie. – Profesor uprzedził starca w odpowiedzi na to pytanie. – W krypcie mogli zostać pochowani jedynie mężczyźni potomkowie rodu. Marie spoczęła na przykościelnym cmentarzu. Oczywiście pogrzeb odprawił nie kto inny jak Antoine Bigou.

– Gdzie dokładnie jest jej grób? Możemy się tam przejść?

– To niemożliwe – odparł Ebeling. – Grób Marie został rozkopany przez Saunière'a w czasie jego poszukiwań.

– Czego szukał? – zapytał dziennikarz.

– Nie wiadomo – tłumaczył starzec. – Wiemy jednak, że rozkopanie cmentarza oburzyło lokalną ludność do tego stopnia, że ksiądz był zmuszony zaniechać poszukiwań. Chcąc usprawiedliwić swoje działania, mówił, że próbuje zwolnić nieco miejsca na cmentarzu, a szczątki ekshumowanych wiernych niezwłocznie umieści w nowo wybudowanym ossuarium, ale nikogo to nie przekonało.

– Wszystko robił sam?

– Nie. – Tym razem odpowiedział profesor. – Towarzyszyła mu jego wierna służąca, Marie Dénarnaud. Niektórzy nazywali ją nawet *kochanką Saunière'a*...

– Bzdura. – Ebeling machnął ręką. – Nie ma żadnych dowodów na to, że była dla Saunière'a kimś więcej niż tylko służącą.

– Może nie ma dowodów, ale przyznasz, że przepisywanie całego swojego majątku na służącą było nieco dziwne. Podobnie jak to, że Marie była najprawdopodobniej jedyną osobą, która w rzeczywistości poznała sekret Saunière'a. Ten sam sekret, który chciała przekazać Noëlowi Corbu, którego uczyniła swoim zapisobiercą. Nim jednak zdążyła cokolwiek mu wyjawić, spotkała ją śmierć. Te rzeczy, które rozpowiadała wszystkim wokół na temat skarbu, również świadczą o tym, że coś o nim wiedziała...

– Jakie rzeczy? – dopytał dziennikarz.

– Mawiała... – kontynuował Monroe – *...Nawet nie zdajecie sobie sprawy, że dzień w dzień stąpacie po ukrytym tu skarbie.*

– To, co mówiła Marie, było tak samo prawdziwe, jak te wszystkie kłamstwa, które po jej śmierci rozpowszechniał Noël Corbu, żeby tylko zwiększyć popularność Rennes-le-Château i zachęcić turystów do przyjeżdżania tutaj – odparł Ebeling. – Skoro wiedziała o miejscu ukrycia skarbu, to dlaczego do końca swoich dni żyła w biedzie? Zmarła w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym

trzecim roku, to jest trzydzieści sześć lat po śmierci Saunière'a, i przez cały ten czas żyła w kompletnym ubóstwie. Twierdzenie, że Marie miała dostęp do bogactwa należącego wcześniej do księdza, jest irracjonalne.

– Może z szacunku do Saunière'a nie chciała korzystać z tych dóbr – stwierdził profesor.

– Nie, Oliverze – zaprzeczył starzec. – Bez względu na to, jak bliska mu była Marie, nie zdradziłby jej sekretu. Wiązała go bowiem obietnica. Nie musisz wierzyć w to, co mówię. Wystarczy, że zapoznasz się z pewnym dokumentem, który potwierdzi moje słowa.

Ebeling wstał i podpierając się laską, podszedł do komody stojącej w rogu pomieszczenia; tej samej, z której wcześniej wyjął aktówkę ze zdjęciami optogramów Daquina i Gauthiera. Tym razem jednak sięgnął do drugiej szuflady i wyciągnął z niej grubą teczkę pełną dokumentów. Wrócił na poprzednie miejsce i nie zwlekając ani chwili, otworzył aktówkę, a jej zawartość rozłożył na biurku tak, aby Monroe i Blanc mogli przyjrzeć się dokumentom. Były tam głównie stare dzienniki nadgryzione zębem czasu, kilka luźnych pożółkłych kartek i nieco pognieciona koperta. Starzec wziął kopertę i wyciągnął z niej list spisany na tłoczonym papierze. Rozprostował kartkę, a oczom pozostałych ukazała się ściana tekstu zapisana wyjątkowo drobnym pismem. Wnet ujrzeli, że ostatni paragraf owego listu był delikatnie zakreślony ołówkiem. Od razu wiedzieli, że to o niego chodziło Ebelingowi.

– Przeczytam ci ten ustęp – zaczął starzec. – *Ils voudront savoir la source qui a laissé couler dans tes mains des flots d'or, tu leur diras que tu as eu des dons et qu'il t'est impossible de divulguer les noms de ces personnes charitables, le faire serait jeter la discorde dans leur*

ménage. Si Monseigneur veut t'entendre en confession tu lui révéleras tout mais là seulement^[11].

Podczas gdy Blanc otworzył oczy ze zdumienia, Monroe zdawał się niewzruszony – nie rozumiał bowiem ani słowa z fragmentu przytoczonego przez starca.

– To teraz poproszę po angielsku – odezwał się.

Ebeling odchrząknął i przetłumaczył zacytowany paragraf na prośbę Olivera:

– Będą chcieli poznać źródło tych bająnskich sum, jakie zwykłeś wydawać. Zapewnisz ich wówczas, że wszystko to były darowizny i nie wypada ci wyjawiać imion twych hojnych darczyńców. Gdy tak im oznajmisz, nabiorą jeszcze większych podejrzeń, ale nawet wówczas nie wyjawisz im niczego. Jeśli jednak sam biskup będzie chciał cię wyspowiadać, zgodzisz się i u spowiedzi opowiesz mu, jak było naprawdę, ale tylko u spowiedzi, nigdy w innych okolicznościach^[12].

Zapanowała cisza, którą przerwał dopiero głos Ebelinga:

– To fragment listu, który napisał do Saunière'a Pierre Louis Gazel, ówczesny proboszcz miasta Floure niedaleko Carcassonne.

– Ten list jest prawdziwy? – zapytał profesor, nie ukrywając, że zdziwiła go treść korespondencji pomiędzy Saunière'em a tajemniczym Gazelem. – Jeśli tak, to dlaczego nigdy o nim nie słyszałem?

– Może dlatego, że list spoczywający właśnie w moich rękach jest oryginałem, którego kopii nikt nigdy nie zrobił, a do niedawna jedynymi osobami, które kiedykolwiek go widziały, byli Saunière, Gazel i ja. – W tym miejscu starzec uniósł kartkę papieru do góry, chwając się swoją własnością. – A teraz wtajemniczyłem ciebie i Blanca. Jak widzisz, Oliverze, ten list stanowi twardy dowód na to, że nikt nie wiedział o sekrecie Saunière'a, nawet bliska mu Marie

Dénarnaud. Ale to nie wszystko. Jeśli przeczytasz uważnie ten krótki fragment, pojmiesz jego ukryte znaczenie...

Ebeling przerwał i wziął głęboki wdech, jak gdyby przygotowując się na najciekawszą część swej historii.

– Z listu wynika bowiem, że Saunière dostał polecenie, by nie zdradzać nikomu źródła swego finansowania – kontynuował. – Jedynym wyjątkiem była spowiedź. Spowiadającemu go księdzu mógł wyjawić wszystko, począwszy od tego, co znalazł w krypcie pod kościołem, przez powód zniszczenia przez siebie grobu, w którym spoczywała Marie de Nègre d’Ables, aż po miejsce ukrycia reszty skarbu. To wszystko wolno mu było wyjawić tylko u spowiedzi. Mimo to ówczesny biskup Carcassonne, Beuvain de Beauséjour, nie zdążył albo nie chciał go wyspowiadać. Saunière zmarł dwudziestego drugiego stycznia tysiąc dziewięćset siedemnastego roku, tuż po tym, jak pięć dni wcześniej doznał zawału serca. Jednakże dzień przed swoim zgonem, jak gdyby przeczuwając nadchodzącą śmierć, wezwał do siebie księdza z Espérazy, miasta leżącego niecałe dziesięć kilometrów stąd. Ksiądz ten nazywał się Jean Rivière i miał udzielić Saunière’owi ostatniego namaszczenia. Najpierw jednak chciał go wyspowiadać i tak też uczynił. Legenda głosi, że po wysłuchaniu spowiedzi Saunière’a Rivière odmówił udzielenia mu ostatniego sakramentu. Ponadto liczne podania głoszą, że przez resztę życia towarzyszyły mu smutek i zaduma. Po wyspowiadaniu Saunière’a zmienił się nie do poznania, pozostał zamyślony, zafrasowany i przepełniony trwogą aż do swojej śmierci w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku.

Oliver nie znał tego wątku historii tajemniczego księdza, toteż do tej pory słuchał z nieskrywaną ciekawością. Gdy jednak Ebeling urwał, profesor wlepił w niego bystre spojrzenie i zapytał:

– I co działo się dalej?

– Reszta to domysły, ale zastanów się – kontynuował starzec. – Co takiego mógł usłyszeć Rivière od Saunière’a, że zmienił się z pogodnego księdza w ponurego klechę? Co mogło nim wstrząsnąć do tego stopnia, że był w stanie odmówić Saunière’owi ostatniego namaszczenia? Moim zdaniem Saunière opowiedział mu o źródle swego bogactwa, wyjawiał mu wszystko zgodnie z przyzwoleniem uzyskanym wcześniej w liście od Gazela, który pisał mu: *Jeśli jednak sam biskup będzie chciał cię wyspowiadać, zgodzisz się i u spowiedzi opowiesz mu, jak było naprawdę, ale tylko u spowiedzi, nigdy w innych okolicznościach.* Być może Rivière nie był biskupem, ale Gazelowi chodziło raczej o samą spowiedź, a nie o osobę, która będzie jej słuchać.

Oliver nie odezwał się, Blanc również nie wyrzekł słowa.

– Na tym opiera się moja teoria, do której przez cały czas dążyłem w rozmowie z tobą, Oliverze – powiedział spokojnie starzec. – Przypomnij sobie, że Antoine Bigou po wyspowiadaniu markizy d’Hautpoul nie mógł wyznać nikomu sekretu jej rodu, bowiem obowiązywała go tajemnica spowiedzi. Dlatego zostawił wskazówki, które potem odnalazł Saunière, a krótko po tym się wzbogacił. Z tego samego powodu Jean Rivière nie mógł wyznać nikomu sekretu Saunière’a, który ten powierzył mu u spowiedzi... Dwie spowiedzi... Rozumiesz już, Oliverze?

Monroe w kilka sekund poskładał w całość fragmenty zagadki i zorientował się, o co chodziło Ebelingowi.

– Sugerujesz, że Rivière, podobnie jak wcześniej Bigou, zostawił wskazówki, które mają pozwolić komuś odkryć tajemnicę, jaką przekazał mu Saunière u spowiedzi? – Profesor był tak zaskoczony hipotezą Ebelinga, że nieumyślnie przeszedł z nim na ty.

– To mniej więcej miałem na myśli – odpowiedział starzec. – Sądzę jednak, że Rivière nie bawił się w wymyślanie wskazówek i łamigłówek, które jak po nitce prowadziłyby do rozwiązania zagadki. Nic z tych rzeczy. Myślę, że Rivière po prostu spisał treść spowiedzi Saunière’a na zwykłej kartce papieru, a potem sprytnie ją gdzieś ukrył.

Zapadła wymowna cisza.

– Dobrze, ale skoro Saunière wyjawiał Rivière’owi miejsce ukrycia skarbu, to dlaczego Rivière nagle posmutniał? Przecież ta wiadomość powinna go ucieszyć, nieprawdaż? – zapytał Oliver. – I dlaczego odmówił udzielenia mu ostatniego namaszczenia?

– Ale ja wcale nie mówiłem, że sekretem Saunière’a było miejsce ukrycia odnalezionego przez niego skarbu – odparł spokojnie Ebeling. – Powiedziałem tylko, że Saunière zdradził Rivière’owi źródło swojego bogactwa. Przypomnij sobie napis nad portalem kryjącym wejście do kościoła: *miejsce to jest straszne*. Skąd możesz wiedzieć, czy skarb i jego pochodzenie nie są równie przerażające, jak całe to miasto? A jeśli chodzi o to, dlaczego Rivière odstąpił od udzielenia Saunière’owi ostatniego sakramentu... Być może w czasie spowiedzi dowiedział się czegoś tak potwornego, że jego wiara zabroniła mu rozgrzeszyć Saunière’a...

Na dworze pociemniało, choć ani Blanc, ani Ebeling, ani nawet sam Monroe nie byli w stanie tego dostrzec przez nieprzezierne okno. Zanosiło się na deszcz.

ROZDZIAŁ 25

*CARCASSONNE,
23 KWIECZNIA 2017 ROKU, GODZINA 13.05*

Gdy tylko Malinot otrzymał telefon od lekarza sądowego, poderwał się z krzesła i wybiegł z gabinetu. Raptem dwie minuty zajęło mu dotarcie do prosektorium, w którym zastał doktora Billarda i asystującą mu Judith. Z początku oślepił go blask lampy zwieszanej nad zwłokami Babineaux, która z nieznanego mu powodu świeciła w stronę drzwi wejściowych. W kompletnym milczeniu zbliżył się do stołu sekcyjnego. Chciał na własne oczy ujrzeć to, co chwilę wcześniej zszokowało doktora i zmusiło go do skontaktowania się z Malinotem.

Złapał za uchwyt od lampy i szybkim ruchem skierował ją na twarz nieboszczyka, która wydała mu się wówczas jeszcze bardziej upiorna niż przed kilkoma godzinami, gdy widział ją po raz pierwszy. Wystarczyło mu jedno krótkie spojrzenie, by upewnić się, że Billard nie żartował. Oczodoły Babineaux, częściowo zakryte obwisłymi i pomarszczonymi powiekami, w rzeczy samej były puste.

– Najpierw nie mogliśmy otworzyć komory. – Pierwszy odezwał się doktor. – Kiedy w końcu nam się udało, zobaczyliśmy to.

Inspektor nie wyglądał na zaskoczonego. I choć domyślał się, kto mógł dopuścić się tego haniebnego czynu, musiał utwierdzić się w swych podejrzeniach.

– Judith – zwrócił się do laborantki. – Byłaś tu przez cały czas z panem Monroe'em?

– Oczywiście, że... – Urwała, po czym dodała drżącym głosem: – O matko... Poszłam na chwilę do laboratorium, żeby zanieść wycinki do badań histopatologicznych... Ale nie było mnie dosłownie przez trzy minuty! Ja nie wiedziałam, naprawdę...

Malinot pokiwał głową, dając kobiecie do zrozumienia, że nie musi się tłumaczyć.

– To moja wina – odrzekł. – Dałem się zwieść. Najwyraźniej nie doceniłem naszego profesora... Kontynuujcie sekcję. Jakby czegoś jeszcze brakowało, dajcie mi znać.

Bez zastanowienia opuścił prosektorium i pognął z powrotem na górę.

ROZDZIAŁ 26

*RENNES-LE-CHÂTEAU,
23 KWIETNIA 2017 ROKU, GODZINA 13.15*

Mimo że niewielka żarówka niezmiennie oświetlała wnętrze piwnicy, Oliverowi w pewnym momencie zdało się, że bijący z niej blask nieco osłabł, a w pomieszczeniu zrobiło się mroczniej.

– Czy istnieje jakiś logiczny związek między twoją teorią a zabójstwami proboszczów? – dociekał. – Co z tajemnicą Saunière’a mieli wspólnego Daquin, Gauthier i Babineaux?

– Jeszcze nie do końca wiem, jaką rolę odgrywali w tej sprawie – odparł Ebeling, wyraźnie zmieszany pytaniem o zamordowanych księży. – Nie mam pojęcia, dlaczego musieli zginąć. Przypuszczam jednak, że zamordował ich ktoś, kto nie tylko doskonale zna historię Saunière’a, ale i jest z nią w pewien sposób związany. Sądzę, że ten człowiek rości sobie prawo do odnalezionego przed ponad stu laty skarbu Bérengera Saunière’a, czymkolwiek by ten skarb był. Pomyśl, Oliverze! Jeśli moja hipoteza okaże się prawdziwa, to odnajdując zabójcę, odkryjemy również sekret Saunière’a. Musimy odszukać tego człowieka, bowiem to on jest kluczem do rozwiązania zagadki!

Monroe nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Momentalnie wezbrała w nim złość, gdy tylko Ebeling stwierdził, że nie zna

tożsamości człowieka mordującego księży. Z jednej strony starzec perfidnie go okłamywał, z drugiej zaś bezczelnie namawiał do wspólnego poszukiwania mordercy. Jego zuchwałość i przekonanie o własnej bezkarności nie mogły pozostać bez reakcji profesora. Honor nie pozwalał mu dłużej utrzymywać status quo.

– Dobrze wiesz, kto ich zabił.

To krótkie stwierdzenie wypowiedziane szeptem przez Monroe'a wybrzmiało znacznie dosadniej niż najgłośniejszy krzyk i odbiło się echem od poszarzałych od brudu ścian, docierając w końcu do uszu Blanca i Ebelinga. Dziennikarz popatrzył na Olivera i zmarszczył brwi, nie mając pojęcia, o co mogło mu chodzić. Starzec z kolei kompletnie zbaraniał i prostując się na krześle, wysilił się jedynie na nic nieznaczące:

– *Pardon?*

– Nie udawaj, że nie rozumiałeś – kontynuował profesor, unosząc się gniewem. – Nie pytaj, w jaki sposób, ale dowiedziałem się, że oczy Daquina i Gauthiera zostały im wydłubane, kiedy obaj jeszcze żyli.

Monroe rzucił Ebelingowi nieufne spojrzenie, podczas gdy starzec wymownie spuścił wzrok, jak gdyby potwierdzając oskarżenia profesora.

– To nie tak, Oliverze, Ebeling po prostu... – Blanc starał się bronić mężczyzny, ale Monroe był nieugięty.

– A skoro to ty jesteś w posiadaniu ich gałek ocznych – mówił do starca, nie spuszczając z niego wzroku – to nie mam żadnych wątpliwości, że byłeś przy ich śmierci. Od początku wiedziałem, że coś z tobą jest nie tak... Ale nigdy bym nie pomyślał, że znasz mordercę i z nim współpracujesz!

Blanc spojrział na czarne od brudu okno, za którym rozszalała się już burza. Nawet w piwnicy słychać było grzmoty, a poprzedzające

je błyski co chwila rozświetlały brudną szybę.

– Byłeś przy zabójstwie Daquina i Gauthiera – kontynuował profesor. – Najpierw ty usuwałeś im oczy, a potem ktoś, kogo dobrze znasz, mordował tych Bogu ducha winnych księży. Wszystko szło po twojej myśli, dopóki cię nie złapali... Wówczas nie byłeś w stanie sam zdobyć gałek ocznych Babineaux, dlatego najpierw omamiłeś mnie zmyślonymi opowieściami o optogramach, a potem wysłałeś na tę samobójczą misję, żebym zdobył oczy księdza dla ciebie. Ale ja wiem, że to, co mówisz, to nieprawda... Wiem i nie dam się dalej oszukiwać. Zaraz pewnie będzie tu Malinot i opowiesz mu dokładnie, jak było...

– Dość! – krzyknął Ebeling. – Daj mi się wreszcie wytłumaczyć!

Wrzask starca sprawił, że Monroe zamilkł. Krzyk nie zrobił jednak na nim wrażenia, bowiem przygotował się na to, że mężczyzna będzie próbował bronić się na wszelkie możliwe sposoby. Postanowił jednak dać Ebelingowi szansę na wypowiedź, choć był przekonany, że nic nie jest w stanie go usprawiedliwić.

– Masz rację – zaczął. – Okłamałem cię. Okłamałem cię, za co przepraszam. Ale to nie tak, jak myślisz.

– Jak więc było? Powiedz mi.

Starzec westchnął.

– Rzeczywiście nie byłem z tobą do końca szczery, ale mylisz się, twierdząc, że brałem udział w tych morderstwach...

– Chyba zdążyłeś się już poznać na Victorze – wtrącił się Blanc. – Wiesz zatem, że lubi się przechwalać. Zwykle twierdzi, że wszystko planuje sam, a każdy genialny pomysł musi być jego...

– Co? – oburzył się starzec. – To nieprawda. Jestem po prostu pewny siebie.

– Czasem zbyt pewny siebie – dodał dziennikarz.

– Możecie przestać rozmawiać między sobą i powiedzieć mi wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi? – Oliver niecierpliwiał się, a dyskusja mężczyzn jedynie go drażniła. – Jeżeli naprawdę było inaczej, niż myślę, przekonajcie mnie.

– Otóż – zaczął Ebeling. – To nie ja wpadłem na pomysł z optogramami.

– Jak to? – zdziwił się Monroe. – Przecież sam mówiłeś, że...

– Tak, wiem – przerwał mu starzec. – Mówiłem, że zajmuję się metodą optogramów nieprzerwanie od trzydziestu pięciu lat. Ale w rzeczywistości nie robiłem tego od bardzo dawna. Ostatni optogram otrzymałem jakieś dziesięć lat temu. Większość tych słoi z gałkami ocznymi, które widzisz tutaj, przywiozłem ze sobą z Liège, kiedy mnie zwolnili. Wprawdzie gdy tu trafiłem, próbowałem coś eksperymentować na zwierzętach z Rennes-le-Château, ale prędko porzuciłem te doświadczenia. Zbyt urokliwe jest południe Francji, żeby całe dni ślęczeć w piwnicy nad próbkami i menzurkami. W ten sposób skończyłem z tym, uwolniłem się od swej dawnej obsesji... Możesz uznać moje tłumaczenia za infantylne, ale po prostu staram się uświadomić ci, że sam nigdy nie wpadłbym na pomysł, żeby eksperymentować na gałkach ocznych otrzymanych od tych księży. A nawet jeśli taki plan zaświtałby mi w głowie, nie miałbym wystarczająco odwagi, by go zrealizować. Bałbym się, że znowu mnie złapią i ponownie będę musiał się przeprowadzać, a w moim wieku człowiek raczej dąży do stateczności w życiu i stara się unikać ekscesów. W najgorszym wypadku wylądowałbym w więzieniu, a to nie jest miejsce dla mnie... Dlatego nie chciałem mieszać się w tę sprawę.

– Ale się wmieszalesz – dopowiedział Oliver, którego wciąż nie przekonywały tłumaczenia starca. – Co cię do tego skłoniło?

– Pamiętasz, że to ja znalazłem Daquina i Gauthiera? Za każdym razem byłem pierwszy na miejscu zbrodni...

– Tak. I co w związku z tym?

– Ich zwłoki już wówczas nie były kompletne.

– Co? – zdziwił się Monroe.

– To nie ja wydłubałem im oczy, Oliverze – odrzekł Ebeling ze spokojem. – Nie ja zbeczcziłem ich zwłoki.

– Więc kto to zrobił?

– Morderca – oznajmił starzec. – Ja po prostu znajdowałem te gałki oczne. W obu przypadkach leżały sobie ot tak, na ołtarzu. Najprawdopodobniej zabójca chciał, żeby łatwo było je znaleźć, dlatego zostawiał je na widoku.

Profesor przypomniał sobie wówczas, że podczas swej porannej wizyty w kościele Świętej Marii Magdaleny dostrzegł niewielkie plamy na obrusie, którym okryty był ołtarz. Przypominały mu one zaschniętą posokę, która zdążyła nasączyć tkaninę obrusu, pozostawiając na niej ciemnobrązowe ślady. Jeśli Ebeling mówił prawdę, widziane przez Olivera plamy były pozostałością po umieszczonych tam przez mordercę oczach Daquina i Gauthiera. Policjanci musieli przeoczyć te ślady w trakcie oględzin miejsca zbrodni.

– Ale jak wpadłeś na to, że chodzi o optogramy? – Monroe wciąż zdawał się wątpić w słowa starca.

– Wiesz już, że kiedy spłonął Daquin, ja znalazłem należące do niego gałki oczne na ołtarzu. Ale to nie wszystko. Była do nich dołączona kartka z napisem: *tu sais quoi faire*, co oznacza: *wiesz, co robić*.

Profesor wziął się pod boki i spuścił wzrok, ale nie wyrzekł słowa. Zdawał się intensywnie nad czymś zastanawiać.

– Oliverze, musisz mi uwierzyć – mówił dalej Ebeling. – Zresztą... przypomnij sobie śmierć Gauthiera. Jego rękę z zaciśniętym w dłoni sercem znalazłem w dzwonie, ale głowy nie byłem w stanie zlokalizować. Odnalazł ją dopiero Babineaux przed kolejną mszą, tydzień po śmierci Gauthiera, przez cały ten czas kościół był bowiem zamknięty. Leżała w tabernakulum i była pozbawiona gałek ocznych. Pomyśl! Przecież gdybym to ja wydłubał Gauthierowi oczy, wiedziałbym, gdzie zostawiłem jego głowę. Wiedziałbym i poinformowałbym o tym policję, żeby nie myśleli, że coś ukrywam... Uwierz mi, tym razem nie kłamię, naprawdę.

– Powiedziałaś, że do oczu Daquina morderca dołączył kartkę, na której zapisał: *wiesz, co robić* – głośno myślał Monroe, ignorując tłumaczenia starca. – Jednocześnie utrzymujesz, że nie znasz zabójcy, tak?

– Nie mam pojęcia, kim on jest, naprawdę – odpowiedział Ebeling żalonym głosem.

Profesor uśmiechnął się pod nosem.

– Ale on za to zna cię bardzo dobrze – stwierdził. – Podobno na długo przed morderstwem Daquina porzuciłeś pracę nad optogramami. A jednak zabójca doskonale wiedział, że kiedyś zajmowałaś się tą chorą metodą, w innym przypadku bowiem nie zostawiłby ci ani oczu, ani kartki z tym enigmatycznym sformułowaniem. Poza tym gdyby chciał zakomunikować coś szerszemu gronu, albo powiedziałby to wprost, albo skorzystałby z takiego szyfru, który jest w stanie złamać każdy. Jednak z jakiegoś powodu wybrał optogramy, które tylko ty potrafisz odczytać... W końcu to ma sens... Musiało mu bardzo zależeć na tym, żeby nikt poza tobą nie poznał tajemniczej wiadomości, którą on zakodował w oczach Daquina, Gauthiera i Babineaux... Victorze, miałeś rację, twierdząc, że morderca chce przekazać wiadomość. Z tym, że ta

wiadomość nie jest skierowana ani do policji, ani do nikogo z nas, tylko do ciebie.

Zarówno Blanc, jak i Ebeling zaniemówili, a w pomieszczeniu zapanowała cisza, czasem tylko przerywana coraz rzadszymi grzmotami świadczącymi o słabnącej burzy. Podczas tej krótkiej chwili Oliver mógł chełpić się swoją własną teorią, która w rzeczy samej doskonale tłumaczyła, dlaczego morderca wybrał akurat metodę optogramów, by przekazać wiadomość. Równocześnie jednak profesor musiał bić się w piersi, ponieważ zbyt pochopnie osądził Ebelinga, zarzucając mu udział w morderstwie. W jego oczach starzec w jednej chwili przestał być przestępcą, a stał się ofiarą. Wyglądało bowiem na to, że tym razem Ebeling nie kłamał, a przedstawiona przez niego wersja wydarzeń zgadzała się z tym, co w rzeczywistości miało miejsce. Ale czy jego wcześniejsza teoria wiążąca morderstwa księży z ponadstuletnią tajemnicą Saunière'a była również prawdziwa, tego profesor nie wiedział. Doszedł do wniosku, że sprawa, w którą został wplątany, była bardziej zagmatwana, niż mu się z początku zdawało.

– Powiedz mi jeszcze jedno – odezwał się znów po długim milczeniu. – Kiedy rozmawialiśmy o liście napisanym przez Gazela, stwierdziłeś, że nikt nie mógł wiedzieć o sekrecie Saunière'a, nawet jego droga Marie Dénarnaud. Ale przecież Gazel musiał znać pochodzenie bogactwa Saunière'a, skoro kategorycznie zabronił mu o tym mówić w innych okolicznościach niż spowiedź. Żeby wydawać Saunière'owi polecenia, Gazel musiał nie tylko być kimś ważnym, ale i w pewnym sensie stać nad nim w jakiejś dziwnej hierarchii. Kim więc był Pierre Louis Gazel, Victorze?

Nim jednak Ebeling zdążył odpowiedzieć na to pytanie, piętro wyżej rozległo się głośne walenie do drzwi słyszalne nawet w piwnicy. Trzej mężczyźni popatrzyli na siebie z nieskrywanym

lękiem w oczach. Owo łomotanie mogło świadczyć tylko o jednym:
Malinot już tu był.

ROZDZIAŁ 27

Ebeling podniósł się z wolna i ruszył w stronę schodów wiodących na parter. Po drodze skinął głową na Blanca, by ten zajął się Oliverem. Po chwili profesor stracił starca z oczu, a wśród nieustającego walenia do drzwi dobiegł go jedynie jego głos:

– Już idę, jestem stary i chodzę o lasce, potrzebuję trochę czasu, żeby dojść do drzwi...

Monroe spoglądał na dziennikarza spanikowanym wzrokiem, nie wiedząc, co począć w tej sytuacji.

– Musimy iść – odezwał się Blanc. – Spodziewaliśmy się, że Malinot przyjedzie, zanim skończymy rozmowę. Byliśmy przygotowani na tę ewentualność.

– To znaczy? – Oliver nie rozumiał.

– Schronimy się u Lachapelle’a. Mieszka w kamienicy kilka minut drogi stąd, ale musimy się pospieszyć.

– On też jest wtajemniczony w tę sprawę?

– Nie, nic nie wie. Dlatego bez problemu nas wpuści. Będziemy u niego bezpieczni przez godzinę lub dwie.

– Jak wyjdziemy, skoro jedyna droga ucieczki jest obstawiona przez Malinota?

– Nie jedyna – odparł dziennikarz. – Istnieje drugie wyjście przez piwnicę. Chodź za mną.

Oliver miał już podążyć śladem Blanca, gdy w ostatniej chwili przypomniał sobie o siatkówkach Babineaux, które Ebeling ponad

pół godziny wcześniej zanurzył w dziwnych roztworach. Prędko podskoczył do biurka i zerknął na płytki Petriego, próbując odczytać symbol zakodowany w oczach przez zabójcę. Ujrzał, że siatkówki księdza przybrały wygląd z grubsza podobny do tych należących do Daquina i Gauthiera, które Ebeling pokazywał mu na zdjęciach. Widocznie jednak preparaty wykonane z oczu Babineaux zbyt krótko przebywały w przygotowanych przez starca odczynnikach, ponieważ nie cała czerń siatkówki zdążyła ustąpić miejsca czerwieni. Mimo to wśród zmieszanych ze sobą odcieni czerni i czerwieni dało się dostrzec w centrum preparatu niewielkie przejaśnienie w kształcie okręgu. Ów znak był wystarczająco wyraźny, by Oliver mógł bez większych trudności skojarzyć go z konkretną literą alfabetu. Nie ulegało wątpliwości, że w pierwotnym założeniu mordercy tą literą miało być O.

– Idziemy! Szybko!

Krzyk Blanca wyrwał profesora z zamyślenia. Ruszył w kierunku schodów za dziennikarzem, który jednak ni stąd, ni zowąd przystanął i zwrócił wzrok na prawo. Poszarzałą ścianę przykrywała w tym miejscu płachta w identycznym kolorze, toteż Oliver zrazu jej nie zauważył. Blanc odchylił ją, a profesor z nieskrywanym zdziwieniem stwierdził, że przysłaniała wąskie, drewniane drzwiczki. Dziennikarz nacisnął niewielką klamkę i razem z Oliverem wkroczyli do ogarniętego mrokiem pomieszczenia, którego nie rozświetlała nawet poświata wlewająca się do wewnątrz przez uchylone drzwi.

Monroe nie był w stanie dostrzec, co znajdowało się w środku, toteż zaraz po wejściu zatrzymał się i zaczekał na Blanca. Mężczyzna zamknął drzwi, upewniając się wcześniej, że szara płachta zasłania je odpowiednio z drugiej strony. Wówczas w pomieszczeniu zrobiło się kompletnie ciemno, tak że dziennikarz utonął w mroku

i profesor już go nie widział. Nagle poczuł, jak trąca go dłoń Blanca, błądząca gdzieś w ciemności w poszukiwaniu bliżej nieokreślonego przedmiotu. Wówczas usłyszał odgłos zgrzytania czegoś ciężkiego o posadzkę, który ustał równie szybko, jak się pojawił.

– Zablokowałem drzwi. Musimy teraz iść prosto.

Monroe usłyszał szept mężczyzny i poczuł lekkie pchnięcie kierujące go dalej w głąb pomieszczenia. Z wolna posuwał się naprzód, aż w końcu wpadł na coś, co zdawało się ścianą. Wtenczas Blanc odsunął go na bok i zajął jego miejsce. Nagle Oliver usłyszał skrzypienie i krótki trzask, po czym ujrzał intensywne światło bijące ze szczeliny pomiędzy framugą a drzwiami, które właśnie otworzył Blanc.

Wyjrzeli na zewnątrz. Wciąż padała delikatna mżawka, a gdzieś w oddali słychać było stłumione grzmoty. Oliver z niepokojem stwierdził, że znaleźli się w ogrodzie na tyłach budynku, co oznaczało, że Malinot mógł bez problemu ich dostrzec przez jedno z okien na parterze.

– Przykucnij i idź za mną – odezwał się dziennikarz.

W mgnieniu oka pokonali wydeptaną ścieżkę wiodącą wśród pni drzew w stronę ogrodzenia. Blanc podsadził Olivera, który z trudem wgramolił się na siatkę ogrodzeniową, po czym zeskoczył w dół na ulicę. Nie dał rady utrzymać równowagi i wnet po kontakcie z ziemią upadł do tyłu na plecy. Dziennikarz wykazał się większą zwinnością i po chwili stanął nad Oliverem, podając mu dłoń.

– Lachapelle mieszka przy Grand Rue, naprzeciwko Château des Hautpoul, to jakieś dwieście metrów stąd – powiedział.

Monroe podźwignął się z pomocą Blanca i razem ruszyli szybkim krokiem w dół ulicy. Mężczyźni skierowali się wąską Rue des Marronniers do miejsca, w którym krzyżowała się ona z Grand Rue.

– Dlaczego Lachapelle nie mieszka w willi Béthanie razem z resztą księży? – zapytał profesor.

– Resztą księży? – zdziwił się Blanc. – Poza nim nie ostał się w Rennes-le-Château żaden ksiądz. Jeszcze trzy miesiące temu było ich trzech, Daquin, Gauthier i Babineaux, i wszyscy mieszkali w willi Béthanie. Kiedy zginął Daquin, zostało ich dwóch. Dopiero gdy miesiąc temu zamordowano Gauthiera, Babineaux ściągnął z powrotem Lachapelle'a do pomocy, ponieważ nie był w stanie sam sobie ze wszystkim poradzić. Oprócz tego był ciągle rozdrażniony i nadmiernie ostrożny, więc chyba dla własnego spokoju potrzebował czyjejś obecności. Philippe na razie przebywa w swoim dawnym mieszkaniu, ale niedługo pewnie przeprowadzi się do willi Béthanie, skoro ta stoi pusta.

– Powiedziałaś, że Babineaux ściągnął Lachapelle'a z powrotem? To znaczy, że już wcześniej tu był?

– Tak, mieszkał tu od dawna, ale trzy miesiące temu wyjechał gdzieś... Nie mam pojęcia gdzie i po co, ale nie było go przez dwa miesiące. Wcześniej zajmował się tu jakimiś podstawowymi sprawami, z rzadka tylko odprawiał msze. Zresztą mówił, że takim świeżo po święceniach zwykle przypada w udziale najnudniejsza praca.

– To dlaczego Malinot powiedział w kościele, że Lachapelle jest tu dopiero od miesiąca, nie wspominając nic o tym, że już wcześniej tu mieszkał?

– Nie wiem, może zapomniał – odparł Blanc. – Albo po prostu nie miał o tym pojęcia. Trzeba ci wiedzieć, że inspektor zaczął interesować się tą sprawą dopiero po śmierci Babineaux, wcześniej mało go ona obchodziła. Powinniśmy dziękować niebiosom, że w ogóle wie, kim jest Lachapelle.

Oliver zmarszczył brwi.

– Lachapelle wyjechał stąd trzy miesiące temu – odezwał się. – Kiedy to było dokładnie? Przed zabójstwem Daquina czy po nim?

Dziennikarz zastanowił się.

– Wydaje mi się, że kilka dni po tym, jak zginął Daquin. Tak, to na pewno było już po siedemnastym stycznia, a co?

– Nie wydaje ci się to dziwne? – zapytał profesor. – Lachapelle wyjeżdża zaraz po tym, jak ginie Daquin. Nie ma go dwa miesiące i nagle wraca dokładnie w momencie śmierci Gauthiera. Miesiąc po jego powrocie Babineaux zostaje zamordowany. Okres dwóch miesięcy, dzielący śmierć Daquina od zabójstwa Gauthiera odpowiada dokładnie tym dwóm miesiącom, podczas których nie było tu Lachapelle'a.

– Nie zastanawiałem się nad tym – odparł Blanc. – Ale chyba nie sugerujesz, że to Philippe jest zabójcą? Widziałeś przecież, jak zachowywał się w kościele, był przerażony. Naprawdę uważasz, że charakter i osobowość Lachapelle'a odpowiadają profilowi seryjnego mordercy?

– Nie wiem, nawet go nie znam. Po prostu głośno myślę.

– Nie, na pewno to nie był on. – Dziennikarz machnął ręką. – Zresztą twoja hipoteza ma jeden słaby punkt. Otóż Philippe wrócił do Rennes-le-Château dopiero po śmierci Gauthiera, to jest po dwudziestym trzecim marca. Nie było go tu w momencie zabójstwa księdza.

Monroe zamyślił się.

– Masz rację – odparł. – To nie mógł być on.

Dotarli do skrzyżowania i skręcili w prawo, wkraczając w Grand Rue.

– Dobrze, że pamiętałeś o optogramach, mnie kompletnie wyleciało to z głowy. – Blanc zmienił temat. – Co na nich było?

– Widziałem jakiś kształt... – odparł Monroe niepewnym głosem.
– Przypominał O.

– Więc mamy już trzy litery: C, R i O. Teraz wystarczy dowiedzieć się, co oznaczają. – Dziennikarz westchnął głęboko. – Jednocześnie nie mamy pewności, czy morderca już skończył swoje dzieło.

Oliverowi zaświtała w głowie pewna myśl, a jego oczy rozbłysły.

– Nie skończył swojego dzieła... To genialny pomysł! – popatrzył na Blanca. – Przypomnij sobie, gdzie został znaleziony Babineaux.

– Za ołtarzem – odpowiedział dziennikarz.

– Otóż to! Leżał za ołtarzem. Oznacza to, że w momencie śmierci stał albo klęczał z głową zwróconą w kierunku tabernakulum. A pamiętasz, co mówił Ebeling, kiedy opowiadał nam o optogramach? Powiedział: *aby doszło do powstania optogramu, konieczne jest silne światło i to, żeby badana osoba przez dłuższy czas wpatrywała się w dobrze oświetlony przedmiot.*

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Na pewno zauważyłeś, że kiedy byliśmy w kościele, moją uwagę zwrócił witraż znajdujący się nad prezbiterium. Chodzi mi o ten, który jednocześnie przedstawiał dwie różne sceny: scenę obmycia stóp Chrystusa przez Marię z Betanii i scenę Ostatniej Wieczerzy, w której ona nie uczestniczyła. Nie mówiłem wam o tym, ale zastanowiło mnie wtedy, dlaczego tylko Maria z Betanii i Chrystus mają wokół głów nimby, a czterej apostołowie już ich nie posiadają. Zastanów się, Jérémy. Nimb ma przecież kształt okręgu, podobnie jak litera O, którą morderca wypalił na siatkówkach Babineaux. Podejrzewam, że dobrze oświetlonym przedmiotem, o którym mówił Ebeling, był w przypadku Babineaux jeden z nimbów. Albo ten otaczający głowę Marii z Betanii, albo ten wokół głowy Chrystusa. To by wyjaśniało

ułożenie zwłok księdza w kościele, leżał przecież z głową zwróconą w kierunku tabernakulum, a więc i w stronę witraża!

Blanc przystanął, a Oliver wraz z nim.

– Uważasz, że morderca do tworzenia optogramów wykorzystuje istniejące elementy kościoła?

– Niekoniecznie muszą to być elementy kościoła. Może korzystać ze wszystkiego, co ma odpowiedni kształt. Posągów, witraży, skał, krzyży...

– Ale w jaki sposób je oświetla? – dociekał Blanc, krocząc powoli do przodu.

– Tego jeszcze nie wiem – odparł Monroe. – Ale nie to jest ważne. Posłuchaj, jeśli damy radę odgadnąć słowo, które ten ktoś próbuje ułożyć, to może na podstawie kolejnej litery uda nam się również odkryć miejsce, w którym zamierza popełnić następną zbrodnię. Dzięki temu będziemy mogli go uprzedzić.

Blanc popatrzył na profesora i odezwał się:

– Myślisz, że następny może być Lachapelle?

– To bardzo prawdopodobne – odrzekł Oliver. – Jest ostatni, a jeśli nie przyślą innego księdza, to on zostanie proboszczem, nawet mimo swojego młodego wieku. Ale jedna rzecz wciąż nie daje mi spokoju. Ciągłe zastanawiam się, dlaczego ci księża musieli zginąć? Kim byli, że morderca wybrał ich na swoje ofiary?

– Zastanowimy się nad tym później, teraz musimy jak najszybciej ostrzec Philippe'a. A, i pamiętaj, żeby nie mówić mu o tym, co zrobiliśmy z Babineaux. To mógłby być dla niego szok.

Oliver powiedział Blankowi o swoich wątpliwościach odnośnie do księży, jakkolwiek nie wspomniał o jeszcze jednej rzeczy, która go niepokoiła. Intrygowało go bowiem zachowanie Ebelinga w chwili, gdy zapytał go o związek między jego teorią a zabójstwami proboszczów. Dlaczego starzec tak się zmieszał,

słyszając to pytanie? Jego nienaturalne zachowanie wzbudziło podejrzenia Monroe'a, który wciąż nie wiedział, czy może mu w pełni zaufać.

Nie zdradził ponadto Blankowi, czego dowiedział się z zeznań księży. Uznał za wysoce nierozsądne wyjawianie, że ich treść pokrywa się z jego dziwnymi snami. Dziennikarz z pewnością nie potraktowałby poważnie jego słów i – co gorsza – doszedłby do wniosku, że profesor najwyuczajniej w świecie ubzdurał sobie całą tę historię. Być może sam Monroe powinien raz jeszcze przemyśleć, czy w rzeczy samej tak nie było. Wprawdzie z początku przestraszył się podobieństwa między majakami wielebnych a męczącą go marą, jednakże wraz z upływem czasu coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że owa zbieżność mogła być zwykłym przypadkiem, którym nie należało zaprzętać sobie głowy.

Przy Château des Hautpoul skręcili w boczną uliczkę odchodzącą od Grand Rue. Była to jedna z tych dróg, które ani na mapie, ani w rzeczywistości nie posiadają swojej nazwy. Mężczyźni podążyli nią pomiędzy budynkami i po chwili zboczyli w lewo. Na końcu niewielkiego przejścia znajdowały się otwarte na oścież drzwi. Ruszyli przez nie i dalej po schodach na pierwsze piętro, gdzie natrafili na krótki korytarz oświetlony łuną wpadającą przez jedno małe okienko. Po obu jego stronach znajdowało się dwoje drzwi. Blanc zapukał do pierwszych z prawej.

Po kilku sekundach usłyszeli odgłos klucza przekręcanego w zamku, drzwi otworzyły się, a w progu stanął młody mężczyzna, którego Oliver spotkał wcześniej w kościele. Wyglądał jednak zgoła inaczej niż przed kilkoma godzinami. Z człowieka ogarniętego strachem zmienił się w spokojnego i opanowanego młodzieńca.

– *Salut, Jérémie* – odezwał się do Blanca, spostrzegając jednocześnie Olivera, stojącego nieco bardziej z tyłu. – Profesorze,

przepraszam za moje wcześniejsze zachowanie. Proszę jednak zrozumieć, że byłem w szoku, gdy znalazłem ciało Auguste'a... Niech pan pozwoli, że się przedstawię i zaczniemy naszą znajomość od nowa. Philippe Lachapelle.

Podał Oliverowi rękę, a profesor odwzajemnił uścisk.

– Miło mi i niech ksiądz nie przeprasza, z pewnością był ojciec zdenerwowany.

– W rzeczy samej nieczęsto widuję takie sceny... Ale cieszę się, że pan mnie rozumie. Wejdźcie, proszę. Jesteście cali mokrzy, pewnie wam zimno.

Weszli do skromnego mieszkania, a gospodarz zamknął za nimi drzwi.

– Przejdźcie do salonu i czujcie się jak u siebie. Zaraz porozmawiamy i opowiecie, co was do mnie sprowadza. Ale najpierw dajcie mi swoje rzeczy, trochę je osuszę.

Jérémie zdjął marynarkę i przekazał ją Philippe'owi. Oliver dopiero wówczas zorientował się, że cały czas miał w kieszeni telefon i ładowarkę. Zapomniał o nich kompletnie podczas rozmowy z Ebelingiem. Wyciągnął oba przedmioty, a samą marynarkę oddał Lachapelle'owi. Ksiądz rozwiesił ubrania na suszarce i dołączył do mężczyzn w salonie.

– Czy mógłbym podładować telefon? – zapytał profesor, gdy tylko Philippe pojawił się w progu. – Czekam na ważną wiadomość, a jak na złość mi się rozładował.

– Oczywiście, nie ma problemu – odpowiedział ksiądz. – Kontakt jest w rogu pokoju.

Palcem wskazał Oliverowi kierunek, a ten udał się w to miejsce, uklęknął i podłączył komórkę do ładowania. Ekran rozjaśnił się nieco, ale telefon się nie włączył. Po chwili Monroe ujrzął na wyświetlaczu ikonę ładowania. Musiał zatem odczekać chwilę,

nim będzie mógł sprawdzić, czy Kate próbowała się z nim skontaktować.

– Zdaję sobie sprawę, że trudno to pomieszczenie nazwać salonem – odezwał się znów Lachapelle. – Ale mieszkam tu od bardzo dawna i lubię skromne warunki, jakie oferuje to mieszkanie. Może niedługo zamienię je na plebanię, chociaż na razie nie mam ochoty się przeprowadzać.

– Przytulnie tutaj – zawtórował mu profesor, podnosząc się z kolan.

– Chcieliśmy z księdzem porozmawiać. – Blanc zdecydował się od razu przejść do sedna sprawy. – Otóż w świetle wydarzeń, które miały ostatnio miejsce w Rennes-le-Château...

– Wiem, wiem – przerwał mu Philippe. – Chcecie mnie ostrzec albo nawet skłonić do wyjazdu stąd, mam rację?

– Tak byłoby najrozsądniej – odpowiedział dziennikarz.

– Być może byłoby to rozsądne – powtórzył Lachapelle. – Ale nie mogę pozwolić, by kierował mną strach o własne życie. Wiem, że chcecie dla mnie jak najlepiej, ale jeśli rozsądek oznacza ucieczkę, niestety jestem zmuszony odmówić.

– Może ksiądz zginąć – wtrącił Oliver.

– Akurat na śmierć jestem gotowy, ale na porzucenie swoich wiernych już nie. Przysiągłem sobie i Bogu, że będę ich strzegł. Wyszedłbym na hipokrytę, gdybym teraz się wycofał. Nikt mnie nie zmuszał do posługi, ale decydując się na nią, stałem się pasterzem, o którego Mojżesz prosił Boga: *O Panie, od którego zależy życie wszystkich istot, wyznacz do kierowania społecznością męża, który by na jej czele wychodził i wracał, wyprowadzał ich i przyprowadzał, by społeczność Pana nie była jak stado bez pasterza*^[13]. – Zamilkł na chwilę, po czym zwrócił się do Olivera: – Zna pan te wersety, profesorze Monroe?

Oliver, wywołany do odpowiedzi, odrzekł:

– Księga Liczb Starego Testamentu.

– Dokładnie tak – uśmiechnął się Lachapelle. – Zna pan Biblię, a mimo to nie wierzy pan w Boga. To typowe dla kogoś, kto zapoznał się z Jego słowem, ale stwierdził, że nie jest ono skierowane do niego.

– Skąd ksiądz wie, że jestem niewierzący? – zdziwił się Monroe.

Lachapelle zdawał się czekać na to pytanie i sprawiał wrażenie uradowanego, że Oliver w końcu je zadał.

– *Niewierzący* to niewłaściwe słowo, profesorze. Pan po prostu sądzi, że ma zbyt wiele liter przed nazwiskiem, by zawracać sobie głowę takimi rzeczami. Uważa pan, że człowiekowi wykształconemu nie przystoi wierzyć w rzeczy, których nie można opisać w sposób akceptowalny dla dowolnego czasopisma naukowego. Gdy byłem w Paryżu, poznałem wielu znakomitych naukowców pana pokroju, którzy wierzyli jedynie w to, co widzą, a jednocześnie mieli za nic to, co czują. Odniosłem wrażenie, że w miarę zdobywania kolejnych tytułów coraz bardziej oddalali się od swych pierwotnych wierzeń. Tak jakby wiedza stopniowo wypierała z ich serc całą wiarę. I dotyczy to większości osób z pana kręgów. Ale niech pan nie uzna moich słów za atak personalny, profesorze. Wszyscy rodzimy się z wiarą w sercu, ale to od nas zależy, czy umrzemy z nią, czy raczej zgubimy ją gdzieś po drodze.

Zbliżył się do Monroe'a tak, że profesor ujrzał zielone tęczęwki w jego bystrych oczach.

– Więc pytanie nie brzmi, czy jest pan wierzący, ale czy już stracił pan wiarę, czy jeszcze nie?

Oliver nie odpowiedział od razu. Odniosł bowiem wrażenie, że Lachapelle'owi nie chodziło tylko o wiarę w Boga, ale próbował on w swych słowach zawrzeć o wiele ogólniejszy przekaz. Monroe

wbił wzrok w podłogę, a po chwili znów spojrzął na księdza i powiedział:

– Nie straciłem wiary, tylko zmieniły się rzeczy, w które wierzę.
Lachapelle przytaknął, uśmiechając się.

– Niech panu będzie – odpowiedział. W tym samym momencie w pokoju rozległ się dźwięk telefonu Olivera. Najpewniej zdążył już podładować się w wystarczającym stopniu, by samoczynnie się włączyć. Monroe doskoczył do niego i ujrzał na wyświetlaczu nową wiadomość od Kate Evans. Odetchnął z ulgą. Jego przyjaciółka dała mu znak, że żyje. Otworzył wiadomość i ze zdziwieniem stwierdził, że Kate wysłała mu zdjęcie. Przedstawiało ono tabliczkę wyglądającą na pozłacaną, na której czarnymi literami zapisana była inskrypcja. Profesor odczytał ją w myślach:

JÉSU.MEDÈLA.VULNÉRUM
† SPES.UNA.PŒNITENTIUM.
PER.MAGDALENÆ.LACRYMAS
† PECCATA.NOSTRA.DILUAS.

– Co tam masz? – zapytał Blanc.

– Kate wysłała kolejną wskazówkę.

– Kolejny anagram?

– Nie wydaje mi się. – Oliver odłączył telefon od ładowarki i przekazał go dziennikarzowi. – A ty nic nie dostałeś?

– Nie. – Blanc spojrzął na zdjęcie i po chwili odezwał się: – A to nie jest przypadkiem napis spod reliefu na przedniej stronie ołtarza? Ten z tabliczki, po której w ołtarzu zostały tylko ślady po wkrętach?

– Z tej tabliczki, którą Babineaux wysłał do Tuluzy na renowację?

– Tak. – Dziennikarz potwierdził i dla pewności pokazał zdjęcie Philippe'owi. – Niech ksiądz zobaczy.

Trzej mężczyźni skupili się wokół telefonu Olivera.

– Tak. – Lachapelle też się zgodził. – To ta sama, chociaż najpewniej teraz wygląda już inaczej.

Monroe i Blanc popatrzyli na niego z zaskoczeniem.

– Jak to? – zapytał w końcu profesor.

– Ojciec Babineaux zlecił wprowadzenie pewnych zmian w inskrypcji na tabliczce. Mogę wam ją pokazać. Dzisiaj rano wróciła z Tuluzy.

Monroe wyglądał na zdziwionego. Wprawdzie Malinot tłumaczył mu, że Babineaux chciał nieco odnowić tabliczkę i w tym celu wysłał ją do Tuluzy, ale nie wspominał o nanoszeniu jakichkolwiek poprawek. Lachapelle opuścił salon i po chwili wrócił z długim, prostokątnym przedmiotem oklejonym czarną folią. Gdy zaczął go odpakowywać, profesor zwrócił się do niego:

– Skąd ksiądz wie, co Babineaux zmienił w tabliczce, skoro do tej pory była zapakowana?

– Nie wiem tego, jeszcze jej nie oglądałem – odparł Philippe. – Auguste powiedział mi tylko, że wysyła ją do Tuluzy, bo chce wprowadzić w niej pewne zmiany, ale nie sprecyzował, o co dokładnie mu chodziło. Zapytał mnie, czy mogą odesłać ją na mój adres. Zgodziłem się, bo czemu by nie.

Skończył odpakowywać tabliczkę i ułożył ją na podłodze zwróconą napisem w kierunku mężczyzn. Oliver stwierdził, że w rzeczy samej wyglądała niemal identycznie jak ta ze zdjęcia przesłanego mu przez Kate. Ponadto na pierwszy rzut oka zdało mu się, że nie wprowadzono żadnych zmian, a tabliczka została jedynie nieco odświeżona. Również widniejąca na niej inskrypcja była łudząco podobna do poprzedniej:

JESU.MEDELA.VULNERUM
† SPES.UNA.PŒNITENTIUM.

PER.MAGDALENÆ.LACRYMAS
† PECCATA.NOSTRA.DILUAS.

– Nie widzę różnicy pomiędzy tym napisem a inskrypcją z poprzedniej wersji – stwierdził Blanc.

Monroe już chciał przyznać mu rację, ale niespodziewanie dostrzegł trzy subtelne różnice.

– Patrz uważnie – poradził mu. – W pierwszych trzech słowach nie ma akcentów.

Dziennikarz przypatrzył się wskazanym przez Olivera wyrazom. W rzeczy samej – nad powtarzającymi się literami *E* w słowach *Jesu*, *medela* oraz *vulnerum* brakowało akcentów, które z kolei były obecne w wersji sprzed renowacji.

– Kto był pomysłodawcą tabliczki? – zapytał. – I co właściwie oznacza ten napis?

– Szczerze mówiąc, pierwszy raz widzę ją na oczy, dlatego nie jestem do końca przekonany – odparł profesor. – Ale najprawdopodobniej to Saunière kazał ją wykonać. Wszystko tutaj zostało zaprojektowane na podstawie jego pomysłów, więc pewnie tabliczka również. A napis...

– Tak właściwie – wtrącił Lachapelle, który wydawał się lekko zszokowany zmianami, jakie były proboszcz wprowadził na tabliczce – to nie jest ta tabliczka, którą kazał wykonać Saunière. Oryginał został skradziony dawno temu, ale na podstawie zdjęć udało się sporządzić kopię, którą do niedawna można było podziwiać w kościele. Przynajmniej do momentu, aż Babineaux zlecił wymazanie akcentów... A sama inskrypcja stanowi fragment hymnu do Marii Magdaleny autorstwa Odon z Cluny. W wolnym tłumaczeniu znaczy mniej więcej: *Jezusie, leku na nasze rany i jedyna nadziejo dla naszej skruchy, przez łzy Magdaleny wymazujesz nasze grzechy.*

– To łacina, ale z błędami – zauważył Oliver. – Szyk zdania jest nie do końca poprawny, a słowo *pœnitentium* powinno być zapisane przez *Æ*, a nie *Æ*. Ponadto, jak już wspomniałem, w pierwówzorze umieszczono akcenty nad niektórymi literami, a jak wiadomo, w języku łacińskim nie używa się akcentów.

– Dlaczego popełniono tyle błędów w napisie?

– Istnieją na to jedynie dwa wytłumaczenia – zaczął Monroe. – Artysta wykonujący tabliczkę mógł po prostu się pomylić, ale to mało prawdopodobne, bo wówczas Saunière z pewnością kazałby mu ją poprawić. To przecież niemożliwe, żeby człowiek tak dokładny i dbający o szczegóły jak Saunière pozwolił na umieszczenie w kościele czegoś, co nie zostało wykonane zgodnie z jego wizją. Z tego powodu bardziej przemawia do mnie drugie wytłumaczenie.

– Jak ono brzmi? – dopytał dziennikarz.

– Bérenger Saunière mógł świadomie zlecić wykonanie napisu z błędami.

– Dlaczego miałyby to zrobić?

– Myślę, że chciał przekazać wiadomość – odrzekł Oliver. – Zależało mu, żeby użyć tego cytatu, ponieważ jest w nim mowa o Marii Magdalenie, czyli o patronce tego kościoła. Jednocześnie pisownia oryginalnej łacińskiej wersji nie pozwoliłaby mu na prawidłowe zakodowanie ukrytej wiadomości. Dlatego zmienił pisownię, wstawiając akcenty nad trzema literami *E*.

– Dobrze, ale dlaczego w takim razie Babineaux kazał usunąć z napisu akcenty, a wszystkie błędy polecił zostawić?

– Myślę, że powód jest prostszy, niż mogłoby się wydawać, Jérémie. – Niespodziewanie odezwał się Philippe. – Mam wrażenie, że Auguste nie miał zamiaru poprawiać błędów na tabliczce. On

chciał po prostu zatuszować wiadomość zakodowaną w niej przez Saunière'a.

ROZDZIAŁ 28

Oliver podłączył telefon z powrotem do ładowarki. Tymczasem Blanc kontynuował dyskusję z Lachapelle'em.

– Jaki Babineaux mógł mieć interes w tym, żeby nikt nie dowiedział się o czymś, co Saunière odkrył dawno temu?

– Myślę, że to kluczowe pytanie – odparł Philippe.

Dziennikarz zmarszczył brwi w zastanowieniu.

– A co, jeśli obie wskazówki Kate są ze sobą powiązane? – zwrócił się do Monroe'a, któremu najwyraźniej spodobała się teoria Blanca, bo skierował na niego uwagę.

– Obie? – zdziwił się ksiądz. – To znaczy, że panna Kate już wcześniej coś wam wysyłała?

– Obaj dostaliśmy wiadomości z dwiema częściami tej samej zagadki – odpowiedział profesor. – Gdy je połączyliśmy, okazało się, że zakodowany był w nich anagram, a jego rozwiązaniem było imię i nazwisko: Nicolo Pussino, Nicolas Poussin. Wciąż jednak nie mam pojęcia, co to zna...

Oliver zająknął się, a jego oczy rozbłyły, gdy wolnym krokiem zbliżał się do mężczyzn.

– Czy to może być to... – szepnął do siebie, po czym zwrócił się do Blanca: – Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tym, że Saunière wraz z Marie Dénarnaud rozkopali grób markizy d'Hautpoul?

– Tak, i co z tego?

– Saunière, rozkopując grób, zniszczył płytę nagrobną. Całkowicie zamazał widniejące na niej inskrypcje, ponieważ zawierały jedną

ze wskazówek pozostawionych mu przez Antoine'a Bigou.

– Skoro ją zniszczył, to chyba nie wiemy, co na niej było? – zapytał dziennikarz niepewnym głosem, ale dostrzegając uśmiech na twarzy profesora, dodał: – Wiemy?

– Zanim Saunière zniszczył płytę nagrobną markizy d'Hautpoul, Towarzystwo Studiów Naukowych z Aude zorganizowało wyprawę do Rennes-le-Château, podczas której jego członkowie skopiowali mieszczące się na niej inskrypcje. Szkic płyty został później opublikowany w biuletynie wydawanym przez Towarzystwo. Saunière, rzecz jasna, nie miał o tym pojęcia i do końca życia był przekonany, że nikt nigdy nie dowiedział się o płycie. Na nasze szczęście mylił się.

– I jaki związek ma płyta nagrobna markizy z wiadomościami wysyłanymi nam przez Kate?

– Zaraz wszystko wam wytłumaczę.

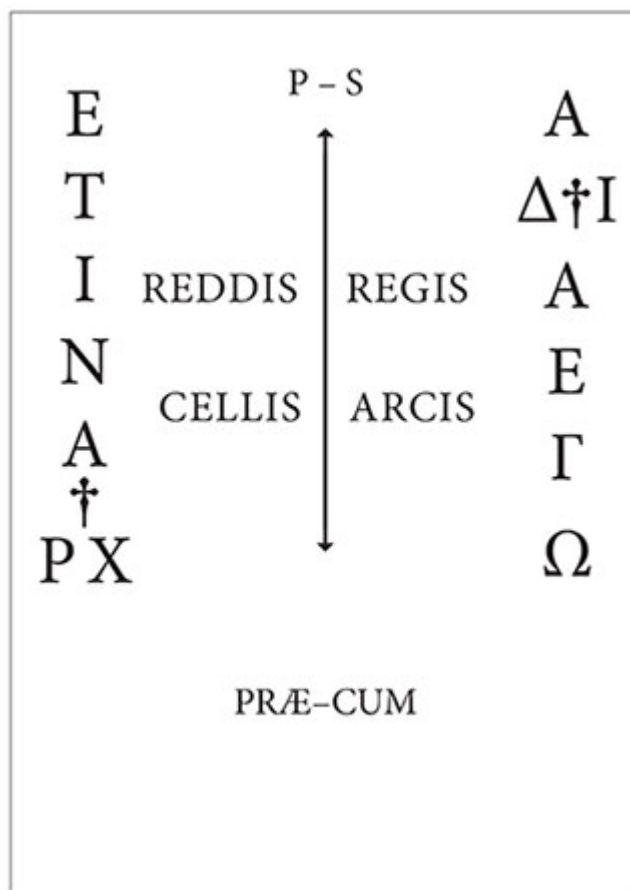
Monroe podszedł z powrotem do rogu pokoju, gdzie ładował się jego telefon, gdy nagle przypomniał sobie, że przecież nie ma dostępu do internetu. Nim zdążył zapytać któregoś z mężczyzn, czy mogą pożyczyć mu swoje komórki, usłyszał zza pleców głos Lachapelle'a:

– Potrzebuje pan komputera, profesorze?

– Tak, jeśli można prosić – odpowiedział. – Łatwiej będzie pokazać, o co mi chodzi.

Książdz przyniósł z drugiego pokoju laptopa, postawił go na stole i włączył. Gdy po chwili wyświetlił się pulpit, Philippe odsunął się od komputera, robiąc przy nim miejsce Oliverowi. Profesor kliknął dwukrotnie na ikonę przeglądarki, a gdy ta się otworzyła, wpisał w wyszukiwarkę hasło: *płyta nagrobna markizy d'Hautpoul*. Wyskoczyło kilka zdjęć; profesor wybrał jedno z nich i je

powiększył. Sięgnął po leżące obok zeszyt oraz długopis i wykonał szybki szkic. Cała trójka pochyliła się nad kartką^[14].



– Tak wyglądała płyta nagrobna markizy d’Hautpoul? – spytał Blanc.

– W rzeczy samej – odparł Monroe. Zainteresował go znak *P-S* w okręgu umieszczony w górnej części płyty, jednakże jego znaczenie nie było mu znane, toteż zdecydował się o nim nie wspominać. – A dokładnie jedna z dwóch płyt stanowiących jej nagrobek. Ta, którą widzicie, leżała poziomo, przykrywając grób, a druga stała w pionie i pełniła funkcję steli. Mnie jednak interesuje ta na rysunku. Zwróćcie uwagę na litery ułożone pionowo po bokach. Zapijemy je w jednej linii.

Profesor na kolejnej stronie kajetu zapisał interesującą go inskrypcję:

ETINA†PXAΔ†IAEΓΩ

– Teraz wstawię spacje – powiedział i pod spodem zapisał tę samą inskrypcję, ale z odstępami pomiędzy poszczególnymi słowami:

E T I N A † P X A Δ † I A E Γ Ω

- *Et in Arcadia Ego...* – przeczytał na głos Lachapelle.
- Ale jakoś dziwnie zapisane – zauważył Blanc.
- Tak, część liter stanowią litery greckie. *P* to rho, odpowiednik litery *R* w alfabecie łacińskim. *X* to chi, czyli *KH*. Delta, czyli Δ odpowiada naszemu *D*. Γ to z kolei gamma, a więc nasze *G*. W końcu Ω to omega, czyli *O*. Po zastąpieniu liter greckich ich łacińskimi odpowiednikami otrzymujemy zdanie, o którym wspomniał Philippe: *Et in Arcadia Ego*. Jednocześnie jest to...
 - ...tytuł obrazu Nicolasa Poussina – dokończył ksiądz.
 - Tak, chociaż jego właściwy tytuł to *Pasterze arkadyjscy* – kontynuował profesor. – Nazwa pochodzi od przedstawionych na nim czterech pasterzy odkrywających sarkofag, na którym widnieje inskrypcja *Et in Arcadia Ego*, oznaczająca: *I ja byłem w Arkadii*.
 - Myślisz, że Kate chodziło o obraz Poussina czy o inskrypcję na płycie nagrobnej markizy? – zapytał dziennikarz.
 - Sądzę, że o jedno i o drugie.
- Blanc przyjrzał się raz jeszcze napisowi.
- Co te dwa krzyże robią pomiędzy literami?
- Popatrz na oryginalny zapis na płycie – poinstruował go Monroe. – Jeden krzyż poprzedza litery *PX*, natomiast drugi

rozdziela litery ΔI . Jak myślisz, Jérémie, co w tym przypadku mogą oznaczać znaki krzyża?

– Nie wiem. Może mają za zadanie zwrócić naszą uwagę na te konkretne litery? – odpowiedział.

– Tak! A dlaczego komuś mogło zależeć na zwróceniu naszej uwagi na litery PX i ΔI ?

– Bo są ważne? – Blanc nie miał pomysłu.

– Bo to imiona – wtrącił Lachapelle.

– Właśnie tak – potwierdził profesor. – W pismach chrześcijańskich bardzo często nad tak zwanymi *nomina sacra*, czyli świętymi imionami, rysowano poziomą kreskę. Równie często stawiano przed nimi znak krzyża, co miało z jednej strony podkreślać, że chodzi o tę konkretną osobę, z drugiej zaś ją gloryfikować. Krzyż stał zatem przed monogramem, a więc grupą liter charakterystyczną dla konkretnej osoby. Monogramy są więc czymś w rodzaju podpisu identyfikującego daną osobę.

– Czyli zarówno PX , jak i ΔI to monogramy imion świętych?

– Można tak to określić, choć nie do końca – odparł Oliver. – PX oznacza PAX , czyli *pokój*. To najstarszy znany nam chrystogram, czyli monogram symbolizujący imię Chrystusa. Zwykle przedstawiany jest w formie ligatury ✠ , a zatem nałożonych na siebie liter P oraz X .

– Zawsze myślałem, że monogramem Chrystusa jest IHS – odezwał się Blanc, a Monroe kiwnął twierdząco głową.

– IHS również jest chrystogramem, w dodatku bardziej rozpowszechnionym od ✠ . IHS pochodzi od pierwszych trzech liter imienia *Jezus*, które w języku greckim zapisuje się w ten sposób... – To mówiąc, profesor zapisał $I\text{H}\Sigma\text{O}\Upsilon\Sigma$ w kajecie. – Gdzie Σ to grecka litera sigma odpowiadająca S . Mimo że IHS jest częściej

spotykany, to w inskrypcji na płycie nagrobnej markizy d'Hautpoul użyto mniej znanego monogramu *PX*.

– A co z literami ΔI ?

– Tu sprawa jest bardziej oczywista – odpowiedział Monroe. – Jeśli zastąpimy w tym monogramie literę Δ jej łacińskim odpowiednikiem, otrzymamy *DI*, a zatem *DEI*, co jest dopełniaczem od słowa *Deus*, które po łacinie znaczy: *Bóg*. Więc ΔI to dosłownie: *Boga*.

– Chyba nie możemy ot tak dorzucać liter, tak jak ty zrobiłeś z *E*, wstawiając je między *D* a *I* – zwrócił mu uwagę dziennikarz.

– To prawda, nie możemy – odparł profesor. – Chyba że nimi dysponujemy.

Blanc i Lachapelle wyglądali na zaskoczonych.

– Nie rozumiem. – Blanc przerwał ciszę. – W jakim sensie *dysponujemy*?

Monroe zapisał na kartce raz jeszcze inskrypcję z płyty nagrobnej markizy d'Hautpoul:

E T I N A † P X A Δ † I A E Γ Ω

– Skorzystamy ze znanego nam już napisu – zaczął. – Ustaliliśmy, że † PX oznacza imię *Jezus*, czyli po łacinie *Jesus*, które można również zapisywać jako *Jesus*. Z kolei $\Delta \dagger I$ to słowo *Dei*. Skoro te wyrażenia już rozszyfrowaliśmy, wykreślmy je z powyższego napisu. Wówczas otrzymamy:

E T I N A A A E Γ Ω

– Teraz zamieńmy greckie litery Γ oraz Ω na ich łacińskie odpowiedniki, czyli kolejno *G* i *O*:

E T I N A A A E G O

– Pamiętajcie, że jedno *E* wykorzystaliśmy w słowie *Dei*, więc je również wykreślmy:

T I N A A A E G O

– Teraz z tych słów musimy ułożyć słowo.

– Znów anagram? – zapytał dziennikarz.

– Tak – odparł Oliver. – Ale ten powinien być łatwiejszy i najpewniej bardziej oczywisty. Mamy mniej liter, a poza tym wiemy, że utworzone z nich słowo musi być po łacinie, podobnie jak pozostałe.

Lachapelle zbliżył się i sięgnął po zeszyt, w którym profesor zapisywał kolejne etapy dekryptażu. Przysunął go do siebie i zaczął wodzić palcem wskazującym po poszczególnych literach. Po chwili odsunął się od stołu i popatrzył na pozostałych z wyraźnym niesmakiem.

– Tylko jedno sensowne słowo można ułożyć z tych liter – powiedział, po czym ostentacyjnie wyszedł z salonu.

Monroe i Blanc popatrzyli po sobie pytająco. Profesor spojrział na ciąg znaków i natychmiast zrozumiał, dlaczego ksiądz zareagował tak emocjonalnie. Chwytny długopis i wykreślił litery *T, I, N, A, E, G*, oraz *O*, z których linijkę niżej ułożył słowo:

N E G A T I O

W milczeniu dodał do nich słowa *Jesus* oraz *Dei*, otrzymane po odszyfrowaniu znaków †PX oraz Δ†I, a na końcu umieścił dwie litery *A*, których nie udało mu się przyporządkować do żadnego z wcześniejszych wyrazów. Zapisał otrzymane zdanie, po czym wyprostował się i spojrział na nie po raz kolejny. Wówczas już nawet Blanc wiedział, dlaczego Lachapelle poczuł się urażony:

J E S U S N E G A T I O D E I A A

– *Jésus négation de Dieu AA* – wyszeptał dziennikarz. – *Jezus zaprzeczeniem Boga AA*. Trochę bulwersujące stwierdzenie jak na wiadomość pozostawioną przez księdza.

– W istocie może się tak wydawać. – Zza pleców dobiegł ich głos Philippe’a, który zdążył już z powrotem do nich dołączyć. – Ale wbrew pozorom nie ma w tym stwierdzeniu herezji. Pan, profesorze, powinien doskonale o tym wiedzieć.

Monroe przytaknął.

– To prawda. – Oliver poczuł, że musi wytłumaczyć wszystko Blankowi, bo dziennikarz jako jedyny zdawał się nie rozumieć sensu odszyfrowanego tekstu. – Powszechnie Jezusa nazywa się Chrystusem i dlatego wiele osób sądzi, że słowo *Chrystus* jest nazwą własną, czymś w rodzaju... nazwiska. Ale to nieprawda. W rzeczywistości jest to jedynie przydomek wywodzący się z greki, który oznacza *pomazańca* lub *mesjasza*, czyli osobę wybraną do pełnienia określonej funkcji. W Starym Testamencie w ten sposób określano królów Izraela, potomków Dawida, których wybierano na przewodników narodu żydowskiego. Każdy z nich był pomazańcem. Co więcej, każdego z nich nazywano *synem bożym*, ale to określenie miało wówczas zupełnie inny wydźwięk niż współcześnie. Otóż w Starym Testamencie żaden człowiek nie mógł być Bogiem. Powszechna bowiem była wówczas wizja Boga ukrytego, *Deus absconditus*, którego żaden żyjący nie mógł ujrzeć. Skoro więc Boga nie można było zobaczyć, to tym bardziej nie mógł nim być człowiek z krwi i kości. I chociaż w Starym Testamencie oczekiwano nadejścia mesjasza, to spodziewano się, że będzie on jedynie prorokiem, a nie prawdziwym Bogiem. Dlatego kiedy na ziemi pojawił się Jezus, tak trudno było mu

przekonać ludzi do swojego boskiego pochodzenia. Dla nich nie był Bogiem, tylko zaprzeczeniem starotestamentowego Boga ukrytego. Z tego powodu go osądzili.

– I tylko o to chodziło Bigou, gdy kazał wykonać płytę z zakodowanym w niej tym cytatem? – zapytał Blanc.

– To nie Antoine Bigou kazał wykonać płytę – wtrącił Lachapelle.
– On tylko umieścił ją na grobie Marie de Nègre d’Ables.

– W rzeczy samej płyta pierwotnie pochodziła z Pontils, miasteczka niedaleko stąd – dodał Monroe. – Kiedy w tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym roku wybuchła rewolucja francuska, Bigou w obawie przed zniszczeniem płyty przez rewolucjonistów poprosił biskupstwo w Alet o pozwolenie na przeniesienie jej z Pontils do Rennes-le-Château. Podejrzewa się, że Bigou był szczególnie zainteresowany płytą, dlatego włożył tyle wysiłku w przetransportowanie jej tutaj. Bardzo zależało mu na tym, żeby uchronić ją przed profanacją.

Dziennikarz zastanowił się.

– W takim razie jaki jest związek między tym odszyfrowanym napisem a inskrypcją na tabliczce, którą Babineaux wysłał do renowacji? – zapytał.

– Wróćmy myślami do inskrypcji z tabliczki – powiedział profesor.
– Ustaliliśmy już, że Babineaux kazał zamazać akcenty nad trzema literami *E*, ponieważ z jakiegoś powodu uważał je za ważne. Pytanie zatem brzmi: dlaczego ktoś umieścił nad nimi te akcenty?

– Bo chciał zwrócić na nie czyjąś uwagę – wtrącił Lachapelle. – Cytat z tabliczki jest zapisany wielkimi literami, a w języku francuskim jeśli piszemy coś wielkimi literami, to zwykle pomija się akcenty. Jedynym wytłumaczeniem na to, dlaczego ktoś zdecydował się je zostawić, jest chęć zwrócenia naszej uwagi na litery *E*.

Gdy Oliver raz jeszcze spojrzął na napis *Jesus negatio dei AA*, wpadł na pomysł.

– A może nie chodziło wcale o litery – wyszeptał. – Tylko o sylaby, w których te litery się znajdują.

Podszedł do rogu pokoju i zabrał stamtąd swój telefon. Otworzył wiadomość ze zdjęciem przesłanym mu przez Kate i odczytał pierwsze trzy słowa inskrypcji na głos:

– *Jésu, medèla, vulnérum.*

Jésu, medèla, vulnérum...

Jésu, medèla, vulnérum...

JÉSU, meDÈla, vulNÉrum...

Powtarzał te słowa w myślach, aż wreszcie zrozumiał znaczenie trzech sylab, nad którymi Saunière kazał umieścić dziwne akcenty. Akcenty, które Babineaux przed śmiercią polecił wymazać, by ukryć pozostawioną przez swego poprzednika wskazówkę. Profesor znów zbliżył się do mężczyzny, sięgnął po zeszyt leżący na stole i zapisał w nim:

JÉSU MEDÈlA VULNÉrUM

– Żeby to wyrażenie było całkowicie poprawne pod względem składniowym, trzeba zamienić miejscami słowa *medèla* i *vulnérum*.

Linijkę niżej Oliver zapisał poprawioną wersję, a tuż pod nią treść wyrażenia odszyfrowanego z płyty nagrobnej markizy d’Hautpoul. Następnie podkreślił w obu zdaniach interesujące go sylaby:

JÉSU VULNÉRUM MEDÈLA

JÉSUS NEGATIO DEI AA

– Teraz rozumiecie? – zapytał profesor. – Oznaczone akcentami sylaby są jednocześnie pierwszymi sylabami słów zakodowanych

w inskrypcji z płyty nagrobnej markizy. Wychodzi na to, że to tabliczka zawierała klucz do odczytania wiadomości z płyty, a nie odwrotnie. Kate najpierw wysłała nam zagadkę, a potem rozwiązanie do niej.

– Szczerze mówiąc, liczyłem na to, że rozwiązaniem tej łamigłówki będzie miejsce ukrycia przez księdza Rivière'a treści spowiedzi Saunière'a – odezwał się dziennikarz wyraźnie zawiedziony, podczas gdy Lachapelle spojrział na niego uważnie.

– Treść spowiedzi Saunière'a? – powtórzył pytająco. – Skąd o niej wiecie?

Monroe i Blanc wymienili zdziwione spojrzenia.

– Co ksiądz o niej wie? – profesor odpowiedział pytaniem, a Philippe spuścił wzrok.

– Nic konkretnego – odparł. – Tylko tyle, że niektórzy twierdzą, iż na łożu śmierci Saunière wyjawiał Rivière'owi swój sekret. Ale ja do nich nie należę. Więc powtórzę swoje pytanie: skąd wy o niej wiecie?

– Od Ebelinga – powiedzieli niemal równocześnie.

Lachapelle uśmiechnął się z politowaniem.

– Nie wierzcie we wszystko, co Victor mówi – pouczył ich. – Całkiem często zdarza mu się mylić fakty i naginać je tak, aby pasowały do jego teorii. Nie ma o czym mówić, naprawdę.

Przesadne zapewnienia księdza o nieistotności sprawy nie uspokoiły wcale Olivera, a raczej wzbudziły jego podejrzenia. Profesora zastanowiło, dlaczego Lachapelle tak nagle uciął rozmowę, bagatelizując zupełnie słowa Ebelinga.

– Czyli wiemy już wszystko, poza jedną kwestią – podsumował Blanc. – Co oznaczają te dwie litery A na końcu?

Oliver już wcześniej zwrócił na nie uwagę i wnet przypomniał sobie rozmowę, którą odbył poprzedniego dnia ze swoją studentką

podczas wykładu. Cóż za zbieg okoliczności – pomyślał. Philippe uprzedził go jednak w odpowiedzi na pytanie dziennikarza.

– Compagnie du Saint-Sacrement – zaczął. – Towarzystwo Świętego Sakramentu. To grupa utworzona przez Henriego de Lévisa w strukturach Towarzystwa Jezusowego, czyli jezuitów. Oficjalnie Compagnie zostało rozwiązane w tysiąc sześćset sześćdziesiątym szóstym roku. Spora część tego, co wiemy o AA, zawarta jest w książce d'Argensona, polityka i pisarza...

– Nie jest on obiektywnym źródłem wiedzy, skoro sam był członkiem AA – wtrącił Monroe. – O wiele bardziej rzeczowym opracowaniem jest to sporządzone przez Henriego Bégouena. Wprawdzie jego esej dotyczy tylko sekcji AA działającej w Tuluzie, ale we wstępie Bégouen zaznacza, że Compagnie miało swoje filie w około trzydziestu miastach Francji. Oprócz tego Raoul Allier w swojej *La Cabale des dévots* pisał o paryskiej sekcji Compagnie, która miała wywierać presję na Ludwiku XIV, by ten zakazał wystawiania *Świętoszka* Molière'a, ponieważ ta sztuka wyśmiewała hipokryzję religijną.

– W porządku, ale co oznacza sam skrót AA?

– Nie do końca wiadomo – odparł profesor. – Prawdopodobnie członkowie używali go jedynie między sobą, dlatego tylko oni znali rozwinięcie tego skrótu. Najbardziej prawdopodobna wersja to Assotiatio Amicorum – Stowarzyszenie Przyjaciół. Choć to tylko przypuszczenie, bo czasem stosowano również skrót złożony z trzech liter A.

– Compagnie było tajnym stowarzyszeniem? – dopytywał Blanc.

– Można je tak określić – zaczął Oliver. – Jak każde towarzystwo w tamtych czasach, również oni mieli swoje sekrety. Podobno posiedzenia wspólnoty odbywały się raz w tygodniu, a na każdym wybierano Mistrza i Sekretarza. Ten ostatni sporządzał skrupulatny

zapis spraw poruszanych na spotkaniu, który następnie zamykany był w skrzyni strzeżonej przez innego członka. Na niej umieszczano zapieczętowany list zawierający imię i nazwisko osoby, której należy przekazać zawartość skrzyni po ewentualnym zniknięciu jej strażnika. To rzeczywiście dość tajemnicze, żeby nie powiedzieć – dziwne. Ponadto w celu rozpoznania innych członków w tłumie ludzi używali między sobą hasła, które zmieniali co tydzień. Hasło rozpoznawcze miało pochodzić z Biblii i odzwierciedlać myśl lub cnotę tygodnia. Co więcej, Bégouen w swojej książce pisał, że w obrębie tej wspólnoty istniała jeszcze inna organizacja, bardziej hermetyczna i tajemna, którą nazywano... – Oliver zająknął się.

– Tak, profesorze? – wyrwał go z zamyślenia dziennikarz.

– Sainte Milice – odrzekł. – Nazywano ją Sainte Milice, w skrócie SM.

Monroe ani myślał jednak kontynuować dyskusji o historii tajemniczego ugrupowania. W końcu bowiem udało mu się rozszyfrować, co Babineaux bredził w amoku, kiedy po raz drugi tamtego feralnego ranka zawitał w komisariacie.

– Przypominasz sobie, co powiedział Babineaux Malinotowi? – zwrócił się do Blanca. – Pamiętasz, co ksiądz mówił, kiedy wrócił do komisariatu po złożeniu zeznań?

– Jakiesь bzdury, nie zapamiętałem...

– Mówił: *esem, esem, esem*. To nie były brednie, Jérémie. Babineaux wymawiał skrót SM, Sainte Milice.

Zapanowała cisza.

– Ale chyba nie sądzisz, że to członkowie katolickiej organizacji dokonali tych zbrodni – odezwał się w końcu dziennikarz. – Zresztą przed chwilą ustaliliśmy, że Towarzystwo rozwiązano w siedemnastym wieku. Więc to niemożliwe, żeby istniało do dzisiaj. Poza tym ten odszyfrowany napis pochodzi jeszcze

z czasów Bigou. Nie wydaje mi się, żeby AA miało jakiś związek z Saunière'em i jego sekretem, a już na pewno nie brało udziału w morderstwach księży w dwudziestym pierwszym wieku.

– Tylko że esej Bégouena pochodzi z tysiąc dziewięćset trzynastego roku, czyli z okresu, gdy Saunière jeszcze żył – odparł profesor. – Bégouen utrzymuje w nim, że AA rzeczywiście przetrwało do jego czasów i miało się całkiem nieźle...

– Oczywiście, że przetrwało, profesorze, śmiem nawet twierdzić, że istnieje do dzisiaj. – Lachapelle tymi słowami przyciągnął uwagę zarówno Blanca, jak i Monroe'a. – Pytacie o związek między AA a morderstwami księży? Tych samych księży, którzy należeli do AA?

Mężczyźni osłupieli.

– Daquin, Gauthier i Babineaux byli w Compagnie? – zapytał Oliver drżącym głosem.

– Wszyscy trzej – odparł Philippe bez wahania. – Dlaczego tak się dziwicie? O tym już Ebeling wam nie powiedział? Ebeling, który sam jest członkiem AA?

ROZDZIAŁ 29

Blanc znał Ebelinga dłużej niż Oliver i bez wątpienia wydawał się bardziej od niego wstrząśnięty słowami Lachapelle'a.

– Jak to możliwe, że Victor należy do Compagnie, skoro nie jest nawet księdzem? – zapytał.

– Compagnie tylko na początku składało się jedynie z duchownych – odparł Philippe. – Z czasem jednak członkowie AA chcieli mieć wpływ na politykę krajową, dlatego zaczęli przyjmować w swoje szeregi wysoko postawione osobistości. Zatem w późniejszym czasie do Towarzystwa zaczęli dołączać również ludzie świeccy. Należeli do niego między innymi François Louis de Bourbon czy Guillaume de Lamoignon. Więc to, że Ebeling jest członkiem AA, nie powinno aż tak was dziwić.

A jednak ta wiadomość spadła na nich jak grom z jasnego nieba. Zdumiała ich nawet bardziej niż informacja o przynależności do AA trzech zamordowanych księży. Wyglądało na to, że dziennikarz poczuł się wyjątkowo dotknięty słowami Lachapelle'a. W końcu jego przyjaciel go oszukał, zatajając przed nim tak istotną wiedzę. Z tego powodu Blanc nagle zamilkł i zdało się, że nie ma zamiaru kontynuować tej rozmowy. Oliver odniósł ponadto wrażenie, że dziennikarza trapi inny problem, o którym nie miał ochoty rozmawiać. Profesor nie zamierzał jednak pomagać Blankowi w uporaniu się z jego zmartwieniem. On również ucichł, aczkolwiek powodów jego zachowania należało upatrywać w czymś zgoła

poważniejszym od zwykłego zdziwienia niespodziewanym obrotem spraw. Pomysł, który zrodził się w jego głowie, miał rzucić nowe światło na toczącą się sprawę mordów w Rennes-le-Château.

– Victor jest następny – powiedział stanowczym głosem, a Lachapelle i Blanc popatrzyli na niego ze zdumieniem. – To on jest kolejną ofiarą.

– Victor? – powtórzył pytająco dziennikarz.

– Tak – odparł profesor. – Dopiero teraz wszystko układa się w logiczną całość... Gdy przypomniałem sobie, że Babineaux w komisariacie wspomniał o Sainte Milice, od razu wpadłem na pomysł, że to członkowie AA mogą być odpowiedzialni za mordy. Ale myliłem się. Jest wręcz przeciwnie, to oni są celem mordercy, który z jakiejś przyczyny pragnie ich śmierci. Zastanów się, Jérémie. Pomiędzy Daquinem, Gauthierem i Babineaux istniał tylko jeden wspólny mianownik. Otóż wszyscy byli członkami Compagnie i dlatego musieli zginąć. Morderca z nieznanymi mi przyczyn wybiera na swoje ofiary członków AA w Rennes-le-Château, a ostatnim żyjącym spośród nich jest Victor Ebeling. To na nim zależy mu najbardziej, dlatego zostawił go sobie na koniec... Te wszystkie optogramy miały przygotować go na najgorsze, przekazać wiadomość...

– Pod warunkiem, że rzeczywiście w Rennes-le-Château nie ma już więcej członków tej dziwnej organizacji – odezwał się Blanc.

– Nie ma – odparł Philippe. – W rzeczy samej Victor jest ostatni.

– W takim razie to ma sens. – Dziennikarz zaaprobował teorię profesora. – Ale dlaczego miałoby komuś zależeć na śmierci zwykłych księży, członków katolickiej wspólnoty?

– Na obecną chwilę to nieistotne – powiedział Oliver. – Teraz musimy jak najszybciej dowiedzieć się, jaką literę morderca

zamierza umieścić na siatkówce Victora. Tylko w ten sposób jesteśmy w stanie go uratować.

– Literę? – Lachapelle wydawał się nie wiedzieć, o czym profesor mówił. – I jakie optogramy? O co chodzi, profesorze?

– To długa historia, naprawdę nie mamy czasu na szczegółowe tłumaczenia – odparł Monroe. – W skrócie mogę powiedzieć, że zabójca zostawia za sobą ślady w postaci liter zakodowanych w oczach księży, próbując w ten sposób przekazać wiadomość. Dlatego Daquin i Gauthier nie mieli oczu, gdy ich znaleziono.

– W porządku. – Philippe pokiwał głową. – Brzmi irracjonalnie, ale niech będzie, że panu wierzę. Więc jakie macie już litery?

– C, R i O – odpowiedział Blanc.

– To trzy litery, a przecież Babineaux nie usunięto gałek ocznych – zauważył ksiądz. – Sam widziałem. Wy chyba nie...

Mężczyźni ujrzeni, jak Lachapelle rozwiera usta ze zdumienia. Na ich nieszczęście ksiądz przejrzał ich niecny plan.

– Chyba nie zbezczęściliście zwłok Auguste'a?!

– My naprawdę nie chcieliśmy... – Oliver próbował się tłumaczyć, ale zdawał sobie sprawę, że nic nie było w stanie usprawiedliwić jego poczynań.

– I pewnie mieliście zamiar schronić się u mnie przed policją?! Wykorzystaliście mnie!

– Philippie! – przerwał mu Blanc. – Uspokój się, proszę. Nikt nie chciał cię wykorzystać, po prostu byliśmy zagubieni, szukaliśmy pomocy...

– I wybraliście mnie? Teraz policja będzie myśleć, że wam pomagałem! Pomijam już to, że popełniliście okropny grzech. – Lachapelle przeżegnał się.

– Zdajemy sobie z tego sprawę – wtrącił Monroe. – Ale proszę sobie uświadomić, że zrobiliśmy to tylko po to, żeby dowiedzieć

się, kto odpowiada za śmierć Daquina, Gauthiera i Babineaux. A teraz z pomocą ojca odkryliśmy, co łączy te wszystkie morderstwa, dzięki czemu jesteśmy w stanie zapobiec śmierci Victora. Zdaje mi się, że kierujemy się dobrymi intencjami.

– Proszę pamiętać, profesorze, że w mojej religii cel nie uświęca środków – odparł ksiądz grobowym tonem. – A dobrymi chęciami... Sam pan wie.

Oliver przełknął ślinę i ze spokojem w głosie zwrócił się do księdza:

– To nie jest kwestia wiary, ojcze. To kwestia bycia człowiekiem, który nie boi się postąpić wbrew sobie dla większego dobra. Czy nie chodzi w tym wszystkim o to, żeby w chwili kryzysu nie pozostać obojętnym? Czy nie tego właśnie uczy pana religia?

– Chyba pan nie rozumie, profesorze. Biblia to nie zbiór wskazówek, spośród których można wybierać wedle własnych potrzeb.

– Ale nie jest też wcale czymś wyrytym w kamieniu – odpowiedział Monroe bez zastanowienia. – *Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości...*

– *...albowiem oni będą nasyceni*^[15] – dokończył Lachapelle. – Proszę nie sądzić, że tego nie wiem.

Lachapelle zamilkł, podobnie jak Blanc i Monroe. Widać było, że walczył z własnymi myślami, starając się odpowiedzieć na pytanie, czy wolno mu było wesprzeć mężczyzn, którzy dopuścili się tak potwornego czynu. Po dłuższej chwili milczenia zwrócił się do Olivera:

– Pomogę wam, ale musi mi pan obiecać, profesorze, że dowie się, kto stoi za tymi morderstwami. Tylko w ten sposób pańskie grzechy będą mogły zostać odpuszczone.

Monroe popatrzył na niego i przytaknął:

– Obiecuję.

– Dobrze – wyszeptał Philippe, próbujący oswoić się z myślą, że właśnie wydał niepisane pozwolenie na coś, z czym nie do końca sam się zgadzał. – Powiedzcie raz jeszcze, jak brzmią te litery?

– C, R i O – powtórzył Blanc.

– Wiecie przynajmniej, czy to ma być słowo, nazwa własna, nazwisko czy imię?

– Nie – odparł profesor. – Nie dostaliśmy żadnej wskazówki.

– Może to coś związanego z Saunière'em? – Dziennikarz wyszedł z propozycją. – Skoro dowiedzieliśmy się, że księża pochodzili z AA, to może Saunière również należał do Towarzystwa?

– Nie ma pewności, że był jego członkiem – powiedział Monroe.

– Jednak prawdą jest, że otrzymywał liczne listy oznaczone inicjałami J.M.J. lub C.U.E.A.U.

– Co to oznacza?

– J.M.J. to pierwsze litery imion Jezusa, Marii i Józefa, którzy byli patronami Compagnie. Z kolei C.U.E.A.U. to skrót ich dewizy: *cor unum et anima una*, co oznacza: *jedno serce i jedna dusza...*

Podczas gdy profesor dyskutował z dziennikarzem, Lachapelle zdawał się nieobecny, jak gdyby usilnie się nad czymś zastanawiał. W pewnym momencie otworzył zeszyt, z którego wcześniej korzystali, i zaczął czytać z uwagą. Po chwili usiadł do laptopa, wyszukując interesujące go informacje. W końcu odezwał się do mężczyzn, przerywając ich rozmowę:

– Pamiętacie, jak mówiliśmy o płycie nagrobnej markizy d'Hautpoul?

Obaj natychmiast ucichli.

– Pan, profesorze, powiedział wówczas, że znamy ją tylko dzięki temu, że Towarzystwo Studiów Naukowych z Aude opublikowało jej rysunek w wydawanym przez siebie czasopiśmie. Właśnie to

sprawdziłem i w rzeczywistości naukowcy z Towarzystwa nie byli jedynymi, którzy skopiowali widniejące na niej inskrypcje.

– Co ksiądz ma na myśli? – Monroe’a zaintrygowały słowa Philippe’a.

– Kilka osób lepiej lub gorzej starało się odtworzyć napisy z płyty. Spośród tych wszystkich kopii ta sporządzona przez Towarzystwo Studiów Naukowych z Aude jest uznawana za najbardziej autentyczną, ale bynajmniej nie jest jedyna. Istnieje bowiem przynajmniej pięć różnych wersji inskrypcji. Różnią się one między sobą szczegółami, innym rozmieszczeniem liter, ich wielkością, brakiem lub obecnością konkretnych znaków... Wszystko zależało od dokładności danego autora.

– Do czego zmierzasz, Phillipie? – zapytał zniecierpliwiony Blanc.

– Autorem jednej z wersji był Ernest Cros.

ROZDZIAŁ 30

Oliver nie krył zdziwienia i podziwu dla Lachapelle'a, któremu udało się odgadnąć właściwe słowo, ale jednocześnie nie mógł sobie wybaczyć, że sam nie wpadł na tak banalne rozwiązanie. Wprawdzie wcześniej słyszał o Erneście Crosie, ale nigdy by nie pomyślał, że nazwisko archeologa amatora mogło stanowić treść wiadomości, którą morderca pragnął przekazać Ebelingowi.

– Kim był Ernest Cros? – zapytał Blanc.

– Był inżynierem – odpowiedział niemal natychmiast profesor. – Całe życie pracował na kolei. Ożenił się z panną Lassave, od której otrzymał w posagu łącznie termalne w Ginoles, niecałe dwadzieścia kilometrów na południowy zachód stąd. Osobiście znał Saunière'a, często go odwiedzał...

– Można nawet pokusić się o stwierdzenie, że był jego przyjacielem – wtrącił Philippe. – Podobno Cros zapytał kiedyś Saunière'a, dlaczego człowiek tak czytany i szanujący historię jak on zdecydował się zniszczyć płytę nagrobną markizy, nie sporządzając wcześniej rysunku widniejących na niej inskrypcji. Ksiądz nie udzielił odpowiedzi na jego pytanie. Inżynier nie wiedział jednak, że płyta została już wcześniej skopiowana i dołożył wszelkich starań, by ją odtworzyć, opierając się na wspomnieniach mieszkańców Rennes-le-Château. Po pierwszej wojnie światowej, czyli już po śmierci Saunière'a, zaczął wypytywać ich o płytę i o wiele innych rzeczy. Jako człowiek

zafascynowany lokalną historią sporządził mnóstwo wartościowych notatek na temat Rennes-le-Château.

– Co się z nimi stało?

– Zostały skradzione – odezwał się Monroe. – Ostały się jedynie dwa opracowania tych dokumentów. Jedno należało do Noëla Corbu, drugie do Reného Chesy. Chesa był jedną z pierwszych osób zainteresowanych zagadką Saunière'a i poszukujących rzekomego skarbu.

– Jestem zmuszony się z panem nie zgodzić, profesorze – przerwał mu Lachapelle. – Kiedy studiowałem w Paryżu w Centre Sèvres, często odwiedzałem Bibliotekę Narodową. Pewnego dnia niespodziewanie i zupełnie przypadkiem natknąłem się na pewien rękopis. Najwidoczniej umknął bibliotekarzom i nie został odpowiednio zakatalogowany, bo znalazłem go pomiędzy stronami innej książki. Przeglądałem go tylko pobieżnie, nie zagłębiałem się w lekturę. Zapamiętałem jedynie, że nosił tytuł *Raport Crosa*. Podejrzewam, że mógł on zawierać oryginalne notatki sporządzone przez Ernesta Crosa.

Oliver poparzył na niego uważnie.

– Sugeruje ksiądz, że ktoś wszedł do Biblioteki Narodowej Francji, wcisnął dokument z zapiskami Ernesta Crosa w losową książkę i wyszedł? – zapytał. – To trochę dziwne, nie uważa ojciec?

– Proszę pamiętać, że Cros mieszkał przez pewien czas w Paryżu i tam umarł – odparł Philippe. – Więc równie dobrze mógł sam zanieść notatki swojego życia do Biblioteki Narodowej, tak aby każdy miał do nich dostęp. A cała ta historia o kradzieży może być zwykłym kłamstwem.

– Ale Cros najwidoczniej nie chciał, żeby ktokolwiek o nich wiedział – odezwał się Blanc. – W przeciwnym razie

zakatalogowałby je, a nie schował w takim miejscu. Z ciekawości spytam, w jakiej książce je znalazłeś?

– W *Mniejszym Kluczu Salomona*.

Profesor uniósł brwi ze zdziwienia.

– Nawet bym nie pomyślał, że księża czytają siedemnastowieczne grymuary – powiedział z ironią w głosie, a widząc zdziwienie na twarzy Blanca, dodał: – *Mniejszy Klucz Salomona* jest demonologiczną księgą, która między innymi zawiera opis siedemdziesięciu dwóch demonów piekielnych, sposoby ich przywoływania i zmuszania ich do posłuszeństwa. Dlatego tak mnie zdziwiło, że ksiądz to czytał.

– Poszerzałem horyzonty – odrzekł Lachapelle. – Ciekawość świata to jeszcze nie grzech.

– Kiedy dokładnie ksiądz natknął się na ten dokument?

– To było kilka miesięcy temu, kiedy kończyłem studia teologiczne. Mniej więcej w tym samym czasie przyjąłem święcenia kapłańskie.

– Później już ojciec nie odwiedzał Biblioteki Narodowej?

– Nie.

– Więc nie mamy pewności, że *Raport Crosa* wciąż tam jest – zauważył Monroe. – Wystarczy, że ktoś wypożyczył tę książkę i zachował dokumenty dla siebie albo po prostu je zgubił.

– Nie sądzę, żeby ktoś je odnalazł – zaprzeczył Philippe. – Zostawiłem *Lemegeton* w ukryciu.

Mężczyźni zdawali się zaskoczeni słowami księdza.

– *Lemegeton*? – powtórzył dziennikarz.

– Inaczej *Mniejszy Klucz Salomona*. – Profesor rozwiązał wątpliwości Blanca i natychmiast wrócił do rozmowy z Lachapelle'em. – Dlaczego ksiądz ukrył grymuar? Przecież nie mógł ojciec wiedzieć, że dokumenty przydadzą nam się w przyszłości.

Lachapelle spuścił wzrok.

– Często to robiłem – odparł. – Chowałem książki w tylnej części regałów za innymi, żebym potem mógł do nich wrócić i żeby nikt ich nie wypożyczył. Jednak *Lemegeton* ukryłem znacznie lepiej. Miałem po prostu przecucie, że te dokumenty zawierają coś ważnego.

– W porządku, ale wciąż nie rozumiem, jak to ma nam pomóc – powiedział Monroe. – Nawet nie wiemy, czy mordercy rzeczywiście chodziło o *Raport Crosa*, czy o coś innego. Możemy tylko przypuszczać, co miał na myśli. To zwykłe błędzenie we mgle.

– To również nasz jedyny trop – zauważył Blanc. – Nie mamy nic poza tym, więc uważam, że powinniśmy spróbować.

– Ale spróbować czego, Jérémie? – zapytał profesor. – Mamy jechać teraz do Paryża i szukać jakichś notatek, nie wiedząc nawet, czy istnieją? Przecież jesteśmy poszukiwani i prawdopodobnie policja w całej Francji zna nasze twarze. Jak mamy dostać się do stolicy, nie wzbudzając po drodze niczyich podejrzeń?

Ani Blanc, ani Lachapelle nie znali odpowiedzi na to pytanie.

– Zastanówcie się – kontynuował Oliver. – Teraz nie jest ważne to, żeby rozwiązać jakąś stuletnią zagadkę. Najważniejsze w obecnej chwili to uratować Victora. Wiemy już, że ostatnią literą jest S. Możemy powiedzieć o tym Malinotowi i zacząć razem szukać miejsca, w którym morderca chce dokonać ostatniej zbrodni.

– Zamierzasz pozwolić się aresztować? – oburzył się dziennikarz. – Chyba nie sądzisz, że ktokolwiek uwierzy nam w tę historię z optogramami.

– Musimy spróbować. Sami nie poradzimy sobie z tą sprawą, ale przy wsparciu ze strony policji jesteśmy w stanie uprzedzić zabójcę.

– Nie, oddanie się w ręce inspektora nie wchodzi w grę. Możemy co najwyżej...

– Profesor ma rację – oświadczył Philippe, a Blanc ucichł. – Przynajmniej w większości. Musicie wtajemniczyć inspektora Malinota w całą tę sytuację. Na pewno was zrozumie, jeśli dobrze mu wszystko wytłumaczycie. Jeśli natomiast chodzi o *Raport Crosa*... Według mnie powinien pan udać się do Paryża, profesorze.

– Myśli ksiądz, że mamy czas na tułaczkę przez cały kraj?

– Sądzę, że zdążycie przed mordercą – odpowiedział Lachapelle i był przy tym wyjątkowo przekonujący.

– Niech wam będzie, powiemy Malinotowi. – Blanc uległ naleganiom mężczyzn. – Ale do stolicy nie jedziesz sam, Oliverze. Wybieram się tam z tobą.

ROZDZIAŁ 31

Zeszli w dół po schodach i opuścili budynek, w którym mieszkał Lachapelle. Ksiądz zdecydował się im towarzyszyć – w przekonaniu, że jego obecność wpłynie na Malinota i zapobiegnie rychłemu aresztowaniu mężczyzn bez wysłuchania ich punktu widzenia.

Skręcili w prawo i podążyli drogą bez nazwy w stronę Grand Rue. Ulice wciąż były mokre, choć nie padało już od dobrej godziny. Oliver odetchnął z ulgą, bo deszcz pochłonał nieco obezwładniającego ciepła. Wyglądało jednak na to, że niedługo znów zapanuje upał, ponieważ słońce z powrotem nieśmiało wynurzało się zza delikatnych chmur.

Dotarli do skrzyżowania i nie rozglądając się na boki, pewnym krokiem wyszli na ulicę. Ni stąd, ni zowąd idący przodem Blanc usłyszał pisk opon zwiastujący nagłe hamowanie. Gwałtownie przystanął, a podążający za nim mężczyźni uczynili tak samo. Wszyscy trzej spojrzeli w lewo i dostrzegli peugeota 207, a gdy wyteżyli wzrok, zauważyli siedzącego za kierownicą inspektora Malinota.

– Miło, że nie musieliśmy fatygować się do inspektora – wyszeptał dziennikarz. – Sam do nas przyjechał.

Malinot zgasił silnik i wysiadł z samochodu. Był sam. Oparł się o drzwi, patrząc na trzech mężczyzn z zażenowaniem. Nie wydawał się ani podeksytowany, ani nawet poruszony ich zatrzymaniem.

– Od razu pojedziecie ze mną do komisariatu, czy najpierw utniemy sobie pogawędkę? – zapytał znudzonym głosem.

– Zdecydowanie jestem za opcją numer dwa – zaczął Blanc, ale inspektor zignorował jego słowa.

– A ksiądz co tutaj robi? – Wskazał na Lachapelle’a, po czym zwrócił się do Olivera i Jérémięgo. – To wasz zakładnik? Teraz nie tylko bezceście zwłoki, ale i porywacie ludzi?

– Inspektorze... – Philippe zdecydował, że sam wytłumaczy wszystko policjantowi. – Nikt mnie nie porwał. Profesor Monroe wraz z Jérémiem przyszli do mojego mieszkania, szukając schronienia. Nie uciekali, po prostu potrzebowali więcej czasu, żeby wszystko zrozumieć.

– Co zrozumieć? – Malinot roześmiał się. – Według mnie wszystko jest jasne.

– Wiemy, że to nie wygląda za dobrze, ale nalegamy, by pan nas wysłuchał – odezwał się Oliver.

– Ma pan rację, profesorze, wasza sytuacja jest tragiczna – potwierdził Malinot. – Ale wiecie co? Chyba nic nie jest w stanie jej pogorszyć, więc niech wam będzie. Wysłucham was, choćby z czystej ciekawości.

Blanc i Monroe popatrzyli na siebie, jak gdyby próbując wytypować, który z nich ma zacząć. Wypadło na dziennikarza.

– Chodzi o oczy – powiedział. – Razem z Victorem odkryliśmy, że morderca zakodował w nich wiadomość. W siatkówkach księży umieścił litery, które utworzyły słowo: *Cros*.

– Na każdego proboszcza przypadała jedna litera – kontynuował profesor. – U Daquina to było *C*, u Gauthiera mieliśmy *R*, a w siatkówce Babineaux zakodowana była litera *O*.

– W jaki sposób to ustaliliście? – zapytał Malinot.

– Metodą optogramów – odparł dziennikarz. – Całkiem zręcznie nam to poszło. A właściwie nie nam, tylko Ebelingowi.

Inspektor uniósł brwi w geście zdziwienia.

– Zdajecie sobie sprawę, jak trudno w to uwierzyć? – zapytał po chwili milczenia. – Pomijam już to, że metoda optogramów to technika rodem z dziewiętnastego wieku i jej wiarygodność jest wątpliwa, a nawet żadna. To historia kryminologii.

– Ja też z początku nie wierzyłem, dopóki Victor nie pokazał mi optogramów – odpowiedział profesor. – Może i metoda optogramów to historia, ale to również nasz jedyny trop.

– Poza tym skąd wiecie, że ostatnią literą jest S, skoro nie mieliśmy jeszcze czwartego morderstwa? – dociekał Malinot.

– To jest akurat w tej całej sprawie najistotniejsze – odparł Monroe. – Domyśliliśmy się, że wiadomością, którą morderca pragnie przekazać, jest *Cros*. To nie słowo, tylko nazwisko. Chodzi o Ernesta Crosa. Inżyniera, który przed stu laty był przyjacielem Béréngera Saunière’a i zostawił po sobie notatki na temat jego tajemnicy.

Inspektor wybuchnął śmiechem.

– Chyba sobie żartujecie.

– Zupełnie nie, ale spodziewaliśmy się takiej reakcji – wtrącił Blanc.

– Sugerujecie, że morderstwa proboszczów mają związek z tym, co działo się w Rennes-le-Château sto lat temu? Z tą wymyśloną historią o skarbie?

– To nieistotne, co my myślimy – odrzekł Oliver spokojnym głosem. – Ale co myśli o tym morderca. Skoro on odwołuje się do Saunière’a i osób, które miały z nim kontakt, to znaczy, że jego motywacją jest coś związanego z historią księdza. A tego nie wolno nam już lekceważyć. Proszę sobie przypomnieć, inspektorze, ilu

było psychopatów, którzy inspirowali się w swoich zbrodniach dawno zapomnianymi i nie do końca potwierdzonymi wydarzeniami? Ta sprawa jest podobna.

– Pomyśl, François – dodał dziennikarz. – Przecież i tak nie masz żadnych dowodów poza tym, co właśnie ci powiedzieliśmy. To nie nasze widzimy się, tylko fakty.

Malinot wciąż nie dawał wiary słowom mężczyzn.

– I co niby mam zrobić z tą wiedzą? – zapytał. – Nie macie nic prócz nazwiska jakiegoś faceta, który zmarł prawie wiek temu. To wciąż tylko wskazówka, nie dysponujecie żadnym dowodem, na którym mógłbym się oprzeć. Możemy tylko czekać, aż morderca popełni jakiś błąd.

– Myli się pan, inspektorze – odezwał się profesor. – On nie popełni błędu. Ale my możemy go uprzedzić.

– Niby jak?

Oliver miał już dość powtarzania tej samej historii po raz kolejny, ale wiedział, że to konieczne. Musiał za wszelką cenę przekonać inspektora, chociażby po to, by uniknąć więzienia.

– Do stworzenia optogramu potrzeba dłuższego wpatrywania się w dobrze oświetlony przedmiot. Tylko wtedy dochodzi do powstania na siatkówce znaku, który jesteśmy w stanie odczytać, stosując określone odczytniki. Pamięta pan, inspektorze, na co zwróciłem uwagę w kościele, kiedy razem oglądaliśmy miejsce, w którym znaleziono włókno Babineaux?

– Na witraż – odparł.

– Właśnie tak – potwierdził Monroe. – To nie był przypadek. Nimb otaczający głowę Marii Magdaleny oraz ten wokół głowy Chrystusa z witraża nad ołtarzem mają kształt kolisty. To w któryś z nich wpatrywał się ksiądz przed śmiercią. Morderca wykorzystuje więc istniejące elementy architektoniczne kościoła, żeby utworzyć

optogramy na siatkówkach swoich ofiar. A skoro wiemy, że ostatnią literą jest S, możemy go uprzedzić, szukając posągu, płaskorzeźby lub czegokolwiek innego, co przypomina swoim kształtem tę literę. Tylko w ten sposób możemy uratować Victora.

Inspektor zmarszczył brwi.

– Victora? – powtórzył. – Ebelinga? Skąd pomysł, że to on jest następny?

– Nie powiedział wam tego, ale to jemu morderca zostawiał oczy, żeby mógł odczytać z nich litery – wtrącił dziennikarz. – Do oczu Daquina dołączył kartkę z instrukcją, co robić. To nazwisko, które odczytaliśmy, pierwotnie miało być wiadomością do Victora.

Słowa Blanca zaskoczyły Malinota.

– To prawda, nie wspomniał o tym... Ale nie musicie się o niego martwić. Moi ludzie zdążyli już zawieźć go do aresztu w Carcassonne. Wprawdzie postawimy mu zarzut współudziału w przestępstwie, które wy popełniliście, ale to i tak lepsze niż śmierć, którą mu przewidzieliście.

Ani Oliver, ani Jéréemie nie wiedzieli, czy powinni cieszyć się z tego, że Ebeling był bezpieczny, czy raczej właściwszym zachowaniem byłoby w ówczesnej chwili zainteresowanie się własną przyszłością, która nie rysowała się wcale w różowych barwach. Jeśli bowiem wierzyć słowom Malinota, czekały ich niesłychanie nieprzyjemne konsekwencje związane z tym, co zrobili i – co gorsza – obaj czuli, że całkowicie na nie zasługiwali. Nim jednak zaczęli na powrót przekonywać inspektora co do słuszności swego postępowania, uprzedził ich Lachapelle; ksiądz zwrócił się do Malinota, sprawiając wrażenie wyjątkowo spiętego:

– Victor w więzieniu?

– Chyba nie powinno to ojca dziwić – odparł mu François. – Pomagał przestępcom.

– Ale przecież on tylko ugościł ich u siebie w domu, a te oczy w słoikach... Już pan wie, inspektorze, że to morderca mu je zostawiał! Jeśli Victor jest w więzieniu, proszę mnie też aresztować. Faktem jest, że ja również dałem profesorowi i Jérémiemu schronienie.

To mówiąc, wyciągnął ręce w stronę inspektora, jak gdyby sam prosił się o nałożenie kajdanek na nadgarstki. Ani Monroe, ani Blanc, ani nawet Malinot nie rozumieli powodów dziwnego oburzenia księdza.

– Nie będzie takiej potrzeby, potrzebuję tylko was dwóch. – Inspektor wskazał na Olivera i Jérémię i gestem ręki kazał im wsiąść do samochodu. – Wystarczy mi na dzisiaj bredni szaleńców, którzy bardzo nie chcą iść do więzienia. Problem tkwi w tym, że ktoś musi pójść siedzieć.

Dziennikarz przewrócił oczami i powłócząc nogami, ruszył w stronę auta, podczas gdy profesor stał niewzruszony. W jego głowie zaświtał pewien pomysł, który mógł przekonać Malinota do zmiany zdania. To była ich ostatnia szansa.

– Chwila! – krzyknął, a mężczyźni wzdygnęli się. – A co, jeśli udowodnię, że nie kłamiemy? Że historia z optogramami jest prawdziwa?

Inspektor popatrzył uważnie na Olivera.

– Nie wiem, w jaki sposób, ale jestem skłonny dać panu szansę, profesorze.

– Musimy iść pod kościół – powiedział Monroe stanowczym tonem. – I potrzebujemy drabiny.

W chwili, gdy Malinot usłyszał wymagania Olivera, natychmiast zaczął żałować, że pozwolił mu podjąć próbę dowiedzenia prawdziwości swojej teorii. Pokiwał głową zrezygnowany:

– Dobrze, chodźmy.

Szybkim krokiem wrócili Grand Rue do skrzyżowania. Gdy przez nie przechodzili, Monroe dostrzegł drabinę zawieszoną na ścianie jednego z budynków, tuż obok kilku kos i motyk. Całość prawdopodobnie miała stanowić swego rodzaju wystawę, bowiem owe narzędzia rolnicze zdawały się wyjątkowo stare i zużyte i z pewnością nie były już używane przez nikogo. Profesor podszedł do mężczyzny siedzącego nieopodal za blatem małego kiosku.

– Przepraszam, czy moglibyśmy pożyczyć drabinę? – zapytał.

Sklepiarz wzruszył ramionami i uniósł brwi, jakby tłumacząc, że nic nie rozumie. Blanc zbliżył się prędko i powtórzył pytanie Olivera po francusku. Starzec coś odpowiedział, przesadnie przy tym gestykulując.

– Mówi, że możemy ją sobie nawet zabrać – przetłumaczył dziennikarz. – Ale mamy uważać, bo jest stara i może się rozlecieć.

– Idealnie – rzucił Monroe i zabrał się do ściągania drabiny ze ściany. Pomagał mu w tym Blanc, podczas gdy inspektor z założonymi rękami przyglądał się mężczyznom ze znużeniem.

Chwilę później wszyscy czterej szli już w górę uliczki prowadzącej do kościoła. Oliver i Jérémie, trzymając drabinę, posuwali się powoli naprzód, a tymczasem Malinot z Lachapelle'em szli nieco z tyłu. Przed samym portalem okrytym spadzistym daszkiem z gontami z trudem wykręcili w wąskiej dróżce w przyległy Jardin du Calvaire. Pokonali kilkanaście metrów wśród niewysokich krzewów, gdy nagle po swojej lewej stronie ujrzeli bramę o zielonych wrotach z górującym nad nią krzyżem. Na ich szczęście była lekko uchylona, toteż idący na przodzie Blanc delikatnym pchnięciem otworzył wrota i z drabiną na barkach wkroczył na przykościelny cmentarz.

Witraż szczęśliwie znajdował się nie więcej niż trzy metry nad ziemią, dlatego z ich niewysokiej drabiny z łatwością mogli

do niego dosięgnąć. Ustawili ją przy ścianie absydy zamykającej prezbiterium, po czym profesor bez zbędnej zwłoki wspiął się na górę. Przez dłuższą chwilę oglądał dokładnie witraż, gładził go palcami, aż wreszcie zszedł z drabiny i stanął zadowolony przed trójką mężczyzn.

– Jest ślad – powiedział.

– Ślad czego? – dopytał Malinot.

– Proszę wejść na drabinę i spojrzeć na złote szkło tworzące nimb wokół głowy Marii Magdaleny. Wygląda na to, że ktoś przykleił w tym miejscu jakiś okrągły przedmiot od zewnątrz. Jest tam ślad po kleju albo masie mocującej, za pomocą których morderca najprawdopodobniej przytwierdził do witraża źródło światła.

Inspektor wziął się pod boki.

– Ale nie uciekniecie?

Oliver przewrócił oczami i odparł:

– Już nie mamy powodów, żeby uciekać.

– Dobrze, zaczekajcie.

To mówiąc, wspiął się po drabinie na sam szczyt. Podobnie jak wcześniej Monroe, inspektor uważnie zbadał zewnętrzną powierzchnię witrażu w poszukiwaniu śladów po bliżej nieokreślonej kleistej substancji. Po chwili zszedł na dół.

– Rzeczywiście jest tam coś. – Niechętnie przyznał Oliverowi rację.

– Okrężna linia ciągnąca się wokół nimbu.

– Być może to pozostałość po wiązce światłowodowej, którą morderca zamocował tak, żeby idealnie oświetlała nimb otaczający głowę Marii Magdaleny – zauważył Blanc.

– To tylko potwierdza naszą teorię – dodał profesor. – Zabójca w rzeczy samej wykorzystuje elementy kościoła do tworzenia optogramów na siatkówkach księży.

Inspektor zamilkł.

– To, że macie rację, nie wystarczy, żeby was uniewinnić – odezwał się w końcu.

– Ale wystarczy, żeby nam zaufać – odparł Monroe, ale widząc brak przekonania w oczach Malinota, dodał: – Inspektorze, na obecną chwilę tylko dwie rzeczy wiemy na pewno. Po pierwsze to, że kolejne morderstwo będzie miało miejsce gdzieś tutaj, a do stworzenia optogramu w oczach ofiary zabójca wykorzysta coś w kształcie litery S. Po drugie, możemy być pewni, że motywacją mordercy jest jakiś aspekt historii Saunière’a, do którego sam nawiązał, podsuwając nam pod nos Ernesta Crosa.

– Zapomniałeś o jeszcze jednej kwestii – wtrącił dziennikarz. – Kolejną ofiarą jest Victor i trzeba go chronić.

Monroe pokiwał twierdząco głową. Zapanowała długa cisza, podczas której Malinot co chwila zerkał to na Olivera, to na Jérémięgo. Wciąż się wahał, czy powinien im wierzyć, czy raczej bez zbędnego ociągania zawieźć ich prosto do aresztu.

– Ręczy ksiądz za nich? – zwrócił się do Lachapelle’a, uznając go za jedyną (poza sobą, oczywiście) rozsądnie myślącą osobę w tym gronie.

– Myślę, że nie może pan sobie pozwolić na to, żeby im nie wierzyć. Ale tak, ręczę za nich, ponieważ kierują się dobrymi intencjami. – Lachapelle spojrział na profesora, któremu zdało się, że ksiądz do niego mrugnął.

– Nie wiem, dlaczego na to pozwalam – powiedział Malinot sam do siebie. – Jesteśmy chyba najgorszą policją w kraju.

Mężczyźni odetchnęli z ulgą. Inspektor był po ich stronie, a to dawało już niejaki szanse powodzenia ich planu, który zakładał uprzedzenie mordercy i niedopuszczenie do śmierci Ebelinga. Zdecydowali, że nie będą wspominać o tym, że wszyscy zamordowani księża oraz Victor należeli do Compagnie du Saint-

Sacramento. Z jednej strony bowiem inspektor mógł nie wziąć ich na poważnie i zmienić zdanie, z drugiej zaś sami wciąż nie wiedzieli, jaką rolę w całej tej sprawie odgrywała tajna organizacja. Woleli zatem przemilczeć tę niepewną kwestię. Najważniejsze było szczegółowe przedstawienie Malinotowi swoich zamiarów.

– Plan jest taki, że pan, inspektorze, angażuje wszystkich swoich ludzi do ochrony Victora, pilnowania tego miejsca i do szukania w Rennes-le-Château posągów, płaskorzeźb, obrazów, witraży i wszystkiego innego, co przypomina swoim kształtem literę S – poinstruował go profesor, któremu na wspomnienie wymienionych dzieł sztuki stanęła przed oczami Kate; nie był nawet w stanie wyrazić, jak bardzo w tamtej chwili jej potrzebował. – Kolejna zbrodnia będzie miała miejsce w sąsiedztwie jakiegoś przedmiotu o podobnym kształcie...

– Chwila – przerwał mu Malinot. – A co wy będziecie w tym czasie robić?

– Musimy jechać do Paryża i w Bibliotece Narodowej Francji odnaleźć pewien dokument sporządzony przez Ernesta Crosa – odparł Monroe. – Podejrzewamy, że zawiera on istotne kwestie dotyczące dalszych zamiarów mordercy.

– Że niby wy dwaj?

– We dwóch zawsze raźniej. – Tym razem odpowiedział Blanc.

– Wykluczone – rzucił inspektor. – Nie pojedziecie do Paryża razem. Co najwyżej mogę pozwolić na to, żeby pan, profesorze, pojechał tam w towarzystwie mojego człowieka, który będzie pana pilnował. A ty, Blanc, zostaniesz na miejscu i pomożesz nam szukać posągów czy tam innych płaskorzeźb.

– Brzmi jak świetna zabawa – odparł z przekąsem dziennikarz.

– Nawet nie próbuj ze mną dyskutować. – Inspektor wciąż nie był przekonany, czy postępuje słusznie. – Jeśli wasz plan ma

wypalić, musimy działać szybko. Powiadomię swoich ludzi i odwiozę pana na dworzec w Carcassonne, panie Monroe. Chodźmy do samochodu.

Wrócili do zaparkowanego na Grand Rue peugeot 207. Malinot usiadł za kierownicą, a Blanc zajął miejsce z tyłu. Oliver miał już siadać obok dziennikarza, gdy niespodziewanie poczuł dłoń Lachapelle'a na ramieniu.

– Niech pan zaczeka, profesorze – odezwał się ksiądz. – Nie powiedziałem panu, gdzie ukryłem *Mniejszy Klucz Salomona*. Bez niego nie znajdzie pan *Raportu Crosa*.

Monroe na śmierć o tym zapomniał. Wstrzymał się chwilę i wsparł dłoń na drzwiach od auta, przysłuchując się uważnie Philippe'owi.

– Oddział Richelieu, sala Labrouste'a. Niech pan szuka regału pod jedyną kobietą w sali, najniższa półka.

– Nie może ksiądz jaśniej tego wytłumaczyć?

– Proszę mi uwierzyć, że bez najmniejszego problemu znajdzie pan to, czego szuka.

Profesor wsiadł do samochodu, nie komentując słów Philippe'a. Ta sprawa była już wystarczająco zagmatwana i w jego mniemaniu ksiądz mógł sobie darować komplikowanie jej dodatkową zagadką.

Malinot odpalił silnik i ruszył przed siebie w dół uliczki. Zerknął w lusterko na siedzących za nim Olivera i Jérémię. Po chwili minął tabliczkę z nazwą miejscowości i skierował się do odległego Carcassonne, zostawiając owiane tajemnicą Rennes-le-Château daleko w tyle.

ROZDZIAŁ 32

*CARCASSONNE,
23 KWIETNIA 2017 ROKU, GODZINA 16.15*

Tuż przed ogrodem Andrégo Chéniera zбочyli w lewo i dalej drogą wiodącą przez most dotarli do skrzyżowania. Skręcili na nim w Rue Frédéric Soulié i udali się prosto, by po chwili zjechać w przyległą aleję Henriego Fabre'a. Wówczas po prawej stronie ujrzeli dworzec kolejowy. Okrążyli go i zajechali pod główne wejście ulicą biegnącą wzdłuż Canal du Midi.

Malinot zatrzymał się na parkingu i otworzył drzwi. Nim jednak wysiadł z samochodu, odwrócił się i powiedział do siedzących z tyłu mężczyzn:

– Zaczekajcie tu chwilę.

Ruszył w kierunku stojącego nieopodal radiowozu, w którym siedziało dwóch policjantów. Monroe dostrzegł, że szyba od strony pasażera uchyliła się, a inspektor wdał się w krótką dyskusję z jednym z funkcjonariuszy. Po chwili odwrócił się i gestem ręki kazał im wyjść z auta i do niego dołączyć. Gdy podeszli bliżej, z radiowozu wysiadł szpakowaty mężczyzna, z którym rozmawiał wcześniej Malinot. Miał długi nos z osadzonymi na nim okularami, a w ręce trzymał zwiniętą w rulon gazetę.

– To Adrien Cartier – odezwał się inspektor. – Będzie panu towarzyszył, profesorze. Kazałem mu mieć na pana oko, więc żadnych sztuczek.

– Dzień dobry – przywitał się Oliver, a policjant bez słowa odwzajemnił uścisk dłoni.

– Adrien kupił już bilety – powiedział inspektor. – Odjeżdżacie za niecałe piętnaście minut, chwilę po wpół do piątej. Macie przesiadkę w Agen, więc jej nie przegapcie. Jak dobrze pójdzie, będziecie w Paryżu przed dwudziestą trzecią. Wsiądziecie na dworcu Montparnasse, skąd odbierze was mój przyjaciel, inspektor Cardot z paryskiej policji. Do waszego przyjazdu postara się załatwić wam wstęp do Biblioteki Narodowej, bo o tej porze jest już zamknięta. I teraz niech mnie pan dobrze posłucha, profesorze. Idźcie tylko do Biblioteki, nigdzie więcej. Załatwiacie tam, co trzeba i najbliższym pociągiem wracacie do Carcassonne, rozumiano?

– Oczywiście – odparł Monroe.

– Żadnej zwłoki i marnowania czasu na wycieczki po stolicy – powtórzył Malinot.

– Zrozumiałem.

– To idźcie już na peron. – Wskazał im kierunek. – Mam nadzieję, że ta podróż coś da, bo w innym wypadku stracimy tylko czas i pieniądze na wasze bilety... Sto pięćdziesiąt euro za bilet, profesorze.

– Niech pan się nie martwi.

Inspektor tylko machnął ręką.

– Do zobaczenia – powiedział Oliver, udając się w stronę wejścia na dworzec.

– Zaczekaj jeszcze chwilę. – Zza pleców dobiegł go głos Blanca. Gdy jednak się odwrócił, dziennikarz zamilkł i spojrzał nieufnie

na Cartiera, a potem znów na niego. W końcu się odezwał: – Porozmawiamy po twoim powrocie. Uważaj na siebie.

Profesor nie odpowiedział. Nie miał bowiem pojęcia, o co mogło chodzić Blankowi, i dlatego dziennikarz nie chciał rozmawiać przy funkcjonariuszu policji. Jednakże nie zaprzętał sobie długo tym głowy. Podążył prędko za policjantem po schodach prowadzących do holu i dalej na peron. Zaczekali w milczeniu na pociąg, a gdy ten przyjechał, wsiedli, zajęli swoje miejsca i odjechali w kierunku następnego przystanku w Agen.

ROZDZIAŁ 33

*PARYŻ, REGION ÎLE-DE-FRANCE,
23 KWIEŹNIA 2017 ROKU, GODZINA 22.40*

Monroe nie zmrużył oka przez całą podróż, podobnie zresztą jak Cartier, który najwyraźniej nad wyraz poważnie potraktował zadanie powierzone mu przez Malinota. Przez cały czas pilnował profesora, co chwila podnosząc wzrok zza gazety i sprawdzając, czy Oliver czasem nie knuje jakiegoś misternego planu. Nawet gdy przesiadali się w małej mieścinie nad Garonną, nie odstępował go na krok.

Profesor ani myślał jednak o ucieczce. Czuł bowiem, że tylko współpraca z policją daje mu cięń szansy na rozwiązanie zagadki morderstw w Rennes-le-Château i częściowe oczyszczenie się z ciężących na nim zarzutów. Ponadto tylko w ten sposób był w stanie odnaleźć Kate, o której przez ostatnie godziny kompletnie zapomniał. Dopiero kiedy wsiadł do pociągu, zdał sobie sprawę, jak wielką bezmyślnością się wykazał. Nie mógł sobie wybaczyć, że nie porozmawiał o niej dłużej z Malinotem. Powinien był chociaż poprosić inspektora o pomoc w jej szukaniu. Ale najwidoczniej zagadka księdza Saunière'a i jej powiązania z mordercą do tego stopnia zajmowały jego myśli, że zapomniał już o powodzie swojego przyjazdu do Francji. Mimo że wzbraniał się przed tą

myślą, nie był w stanie oprzeć się wrażeniu, że w jego hierarchii celów odnalezienie Kate zostało zepchnięte na drugi plan, ustępując miejsca pogoni za domniemanym skarbem. Mógł jedynie mieć nadzieję, że słowa Blanca okażą się prawdziwe i rzeczywiście odnajdzie Kate, gdy tylko rozwiąże sprawę zabójstw proboszczów.

Nie było to jednak takie proste, bowiem nikt nie starał się ułatwiać mu tego zadania. Nawet Lachapelle, któremu powinno bez wątplenia zależeć na jak najszybszym zakończeniu śledztwa i prędkim ujęciu mordercy, nie powiedział mu wprost, gdzie ukrył *Lemegeton*, tylko posłużył się irracjonalną zagadką. Co miało oznaczać enigmatyczne polecenie księdza, by szukać regału pod jedyną kobietą w sali, Oliver nie wiedział. Nie miał pojęcia również, czego Philippe szukał w demonologicznej księdze, i dlaczego właśnie w niej schował *Raport Crosa*. Miał jednak nadzieję, że wszystko stanie się jasne, gdy tylko przekroczy próg Biblioteki Narodowej Francji.

Ujrzał na wyświetlaczu kolejny przystanek: *Paris-Montparnasse*. Gdyby nie ta informacja, nie wiedziałby nawet, że już zbliżają się do stolicy. Na dworze było bowiem kompletnie ciemno i z trudem przychodziło mu rozróżnienie mijanych budynków. Dopiero gdy wjechali do miasta, dostrzegł oświetlone wieżowce i wysokie kamienice czternastej i piętnastej dzielnicy Paryża, a kiedy zajechali na dworzec, zobaczył tłum ludzi krzątających się na peronie.

Podobnie jak wszyscy inni pasażerowie, Monroe i Cartier również wysiedli z pociągu i udali się schodami na górę.

– Cardot czeka przed dworcem – odezwał się Cartier, a były to jego pierwsze słowa od początku podróży.

Skierowali się w stronę holu i po kilku minutach byli już na zewnątrz. Przeszli pod dużym napisem z nazwą dworca i rozejrzeli się niepewnie wokół. Ujrzeni wówczas stojący przy ulicy

samochód marki Audi ciemnego koloru. Najwidoczniej kierowca również ich dostrzegł, bowiem w mgnieniu oka wysiadł z samochodu i ruszył w ich stronę, kulejąc. Był to mężczyzna z łysiną nieodpowiadającą jego wiekowi, o jasnej cerze i z popołudniowym zarostem.

– Pan Monroe, jeśli się nie mylę. Nazywam się Fabien Cardot, miło mi – zaczął po angielsku, po czym zwrócił się do Adriena w swoim rodzimym języku: – *Monsieur Cartier, enchanté*. François uprzedził mnie o waszym przyjeździe. Mogliście wybrać sobie lepszą porę na zwiedzanie Biblioteki Narodowej, ale rozumiem, że nie macie czasu do stracenia.

– To prawda, bardzo się spieszymy – odpowiedział Oliver.

– Proszę więc za mną.

Profesor zajął miejsce z tyłu, a Cartier usiadł obok inspektora Cardota.

– Inspektor powiedział mi tylko, żebym załatwił wam wizytę w Bibliotece Narodowej, ale nie sprecyzował, w którym oddziale – odezwał się Cardot. – Dlatego zdołałem jedynie skontaktować się z dyrektorką Biblioteki, *madame* Sarą Casaviechi, którą poinformowałem o wszystkim. Zgodziła się was wpuścić, ale prosiła o telefon z informacją, w którym oddziale jest to, czego potrzebujecie. Więc jak?

Monroe przypomniał sobie słowa Lachapelle'a.

– Oddział Richelieu – odparł.

– To prosta droga, za chwilę będziemy. Pozwolicie, że zadzwonię.

Odpalił silnik i ruszył do przodu. W mgnieniu oka się rozpędził i po kilku chwilach gwałtownym skrętem zawrócił przez podwójną linię ciągłą rozdzielającą dwa pasy ruchu. Na prostej drodze znów przyspieszył, a sekundę później niespodziewanie skręcił w prawo z taką prędkością, że Oliver nie zdążył nawet dojrzeć, na jakiej ulicy

właśnie się znajdowali. Nie do końca przepisowa jazda jak na policjanta – pomyślał. Inspektor Cardot wyciągnął tymczasem telefon z kieszeni marynarki i wybrał numer, a profesor nie miał wątpliwości, że mężczyzna nie patrzył w tym czasie na drogę. Pomknął naprzód, nie pozwalając Monroe'owi rozkoszować się niespotykaną nigdzie indziej architekturą paryskich kamienic.

Gdy po drugiej stronie telefonu odezwał się żeński głos, Cardot rzucił tylko krótkie słowo *Richelieu* i się rozłączył. Położył komórkę pod przednią szybą i pruł dalej do przodu, nie zważając na inne samochody. Nagle zahamował tak gwałtownie, że Oliver uderzył głową o przednie siedzenie. Profesor wyprostował się natychmiast i zauważył, że zatrzymali się na pasach.

– Czemu ci ludzie przechodzą, skoro mają czerwone światło? – zapytał rozdygotany.

– Tutaj można przechodzić na czerwonym, jeśli nic nie jedzie.

– Ale my jedziemy!

Cardot wzruszył ramionami. Monroe zdążył zerknąć przez szybę na niebieską tabliczkę z nazwą ulicy przybitą do ściany jednego z budynków.

– Rue de Rennes – wyszeptał.

– Tak – odkrzyknął mu inspektor. – Jesteśmy teraz w południowym Paryżu i jedziemy cały czas prosto, aż do Sekwany. Biblioteka jest na jej przeciwległym brzegu. Będziemy przejeżdżać przez Pont du Carrousel. Nadłożę nieco drogi, specjalnie żeby po nim przejechać. Niech pan mu się przypatrzy, profesorze, jest naprawdę piękny!

– Chętnie to zrobię, jeśli pan zwolni – odparł Oliver, a Cardot wybuchnął śmiechem.

– Ja pana oprowadzę, *ne vous en faites pas!*

W rzeczy samej – Monroe zaliczył dość szybką przeprawę przez pól Paryża, podczas której inspektor Cardot okazał się nie najlepszym przewodnikiem. Co chwila wykrzykiwał nazwy kolejnych miejsc, które mijali. Pojawiły się Bulwar Saint-Germain, założona przez Charles’a Le Bruna Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Pięknych, a nawet słynna na cały świat galeria Marcilhac, będąca najstarszą galerią sztuki dekoracyjnej w Paryżu. Obok wszystkich tych zabytkowych budowli i miejsc przemknęli jednak szybciej, nim Oliver zdążył dostrzec jakiegokolwiek ich detale. Dopiero gdy dotarli do Sekwany i skręcając w lewo, podążyli wzdłuż jej lewego brzegu, Cardot nieco zwolnił, a profesor mógł w tym czasie podziwiać mury Luwru ciągnące się po drugiej stronie Pont du Carrousel.

Jednocześnie Monroe zwrócił uwagę na wspomniany przez inspektora most i zrazu nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Cardot przecenił jego piękno. Wsparty na trzech prostych łukach z betonowymi filarami, pozbawiony wszelkich zdobień – w mniemaniu Olivera nie wyróżniał się spośród innych podobnych mu konstrukcji. Dopiero gdy na niego wjechali, dostrzegł zapewne jedyną mocną stronę tego mostu. Otóż był z niego świetny widok na bajecznie podświetlony Pont Neuf, majaczący w oddali na tle Île de la Cité, na której położona była katedra Notre-Dame.

Za mostem skręcili w prawo i okrążyli Luwr od strony jego fasady wschodniej. Podążyli Rue de Rivoli, docierając do złoczonego pomnika Joanny d’Arc.

– Na lewo ma pan Ogrody Tuileries – rzekł Cardot, ale nim Oliver zdążył obrócić głowę, inspektor gwałtownym wirażem wjechał w Rue des Pyramides i dodał gazu, a profesor momentalnie stracił wspomniane ogrody z oczu.

Cardot przez jakiś czas jechał prosto, by po chwili skręcić łagodnie w lewo i znów w prawo. Wówczas Monroe, dostrzegając tabliczkę

z nazwą ulicy, zorientował się, że są na Rue Sainte-Anne.

– Prawie jesteśmy – rzucił inspektor.

Profesor zerknął na siedzącego przed nim Cartiera, który wbity w fotel kurczowo trzymał się podłokietnika. Najwidoczniej jemu również nie przypadła do gustu technika jazdy Cardota. Policjant tymczasem pruł do przodu. Jedną rękę trzymał na kierownicy, a drugą błędził gdzieś w schowku. Po chwili wyciągnął z niego paczkę papierosów i położył ją pod przednią szybą na desce rozdzielczej. Nim Oliver się zorientował, zdążyli już skręcić w przyległą Rue de Louvois. Minęli ogród, w którego centrum znajdowała się fontanna i zajechali pod gmach Biblioteki Narodowej Francji.

Monroe i Cartier wysiedli z samochodu i nieco chwiejnym krokiem skierowali się w stronę głównego wejścia do Biblioteki. Inspektor Cardot zgasił silnik i dołączył do nich, nieco kuśtykając. Wrota prowadzące do środka były zamknięte i wyjątkowo słabo oświetlone. Jedynie blask okolicznych latarni wyrastających z fasady budynku padał na boczne drzwi umieszczone po obu stronach bramy. W półmroku otaczającym wrota Oliver dostrzegł postać kobiety w płaszczu sięgającym do ziemi. Gdy tylko ich ujrzała, zbliżyła się i odezwała do nich ściszym głosem:

– *Bonjour messieurs*, miło mi, choć mogliście wybrać sobie wcześniejszą porę na wizytę. Pozwólcie mi się przedstawić. Jestem Sara Casaviechi, doktor historii sztuki, a od tego roku również dyrektor Biblioteki Narodowej Francji. – Popatrzyła na Olivera. – Pan to pewnie profesor Monroe, nieprawdaż?

– Tak, miło mi. – Uśmiechnął się nieśmiało.

– Słyszałam o panu i pana... odkryciach, że tak to nazwę.

Monroe zmarszczył brwi, nie sądził, że jego sława go wyprzedza i jest znany nawet w Paryżu; schlebiało mu to, choć nie był

w stanie pojąć, skąd kobieta wiedziała o jego wcześniejszych przygodach w Jerozolimie.

– Wieści szybko się rozchodzą, profesorze. Szczególnie w naszych kręgach, jeśli rozumie pan, o czym mówię.

Wprawdzie nie rozumiał, ale przytaknął uprzejmie. Doktor Casaviechi odwróciła się i podeszła do drzwi po prawej stronie.

– Pewnie wolałby pan wejść głównym wejściem, ale niestety mam przy sobie klucze tylko do bocznych drzwi. Widzi pan ten fronton nad bramą? – zapytała, wskazując palcem na zanurzony w półmroku czarny obszar nad wrotami ze złotym napisem *Bibliothèque Nationale*. – Kiedyś nazywaliśmy ją biblioteką królewską, *Bibliothèque Royale*, ale pod koniec dwudziestego wieku prezydent François Mitterrand przemianował ją na Bibliotekę Narodową. Może nie widać tego dobrze w tym świetle, ale jeśli się pan przypatrzy, zobaczy pan nad napisem głowę kobiety. To Minerwa, bogini mądrości, nauki, sztuki i literatury. – Otworzyła drzwi i ruchem ręki zaprosiła ich do środka.

– Ja zaczekam tutaj – odezwał się inspektor Cardot.

– Dobrze, a pan wchodzi z nami? – zapytała Cartiera, który kiwnął twierdząco głową i przekroczył próg Biblioteki; Sara zwróciła się wówczas z powrotem do Cardota: – Muszę zamknąć, chyba pan rozumie?

– Oczywiście, nie ma problemu – odrzekł.

Zatrzasnęła drzwi i podążyła za mężczyznami do środka.

– Jesteśmy teraz w oddziale Richelieu. Jego najstarszą część stanowi hotel Tubeuf znajdujący się od strony Rue des Petits Champs. Richelieu jest jednym z czterech oddziałów Biblioteki Narodowej w Paryżu i pięciu w całej Francji – opowiadała z wyraźną fascynacją w głosie. – Jedyne oddział poza Paryżem znajduje się w Awinionie.

Wkroczyli na dziedziniec otoczony zewsząd budynkami Biblioteki.

– Znajdujemy się na Cour d'Honneur, dziedzińcu zamkniętym między murami zaprojektowanymi i wykonanymi przez trzech różnych architektów, Roberta de Cotte'a, Jean-Louisa Pascala i Henriego Labrouste'a. Stąd możemy dojść wszędzie, tylko musicie mi powiedzieć, czego dokładnie szukacie.

– Sali Labrouste'a – odpowiedział Oliver. Zdecydował się jednak nie wspominać o *Raporcie Crosa* schowanym w *Lemegetonie*, odniósł bowiem dziwne wrażenie, że nie powinien zdradzać kobiecie dokładnego celu swojej wizyty. – Chciałbym ją zobaczyć.

– To dziwne, bo Cardot powiedział mi, że potrzebujecie jakichś dokumentów. – Wydawała się zmieszana słowami Olivera. – Ale w porządku, proszę tędy. Wejście do sali znajduje się w południowym skrzydle, które Henri Labrouste zaprojektował w stylu neoklasycznym.

Udali się na prawo od wejścia. Doktor Casaviechi otworzyła drzwi i wszyscy troje wkroczyli do całkiem sporego przedsionka.

– To hol Labrouste'a – powiedziała kobieta. – W tym roku zakończyliśmy jego renowację. Został odnowiony, podobnie zresztą jak szukana przez pana sala, do której wejście znajduje się naprzeciwko. Zakończenie prac renowacyjnych całego oddziału Richelieu jest planowane na rok dwa tysiące dwudziesty.

Mimo braku oświetlenia we wnętrzu holu było wyjątkowo widno, a to za sprawą ścian i pokrywających je płaskorzeźb, które utrzymane były w jasnej kolorystyce. Szczególną uwagę Olivera zwrócił zwisający z sufitu żyrandol; zdawał się wykonany z drobinek szkła, bowiem mienił się niesamowicie, gdy tylko padało na niego światło księżyca wnikające przez drzwi, które doktor Casaviechi pozostawiła otwarte.

Prędko przebyli dystans dzielący ich od wejścia do sali Labrouste'a, w której Lachapelle miał ukryć poszukiwany przez Olivera *Raport Crosa*. Sara zbliżyła się, przekręciła klucz w zamku i lekkim pchnięciem otworzyła drzwi na oścież.

– Macie szczęście tu być – powiedziała. – Sala Labrouste'a pełni rolę czytelnicy i jest zarezerwowana jedynie dla naukowców. Bez rezerwacji i okazania stosownego dokumentu nikt nie ma do niej wstępu.

Oliver jako pierwszy wkroczył do sali i rozglądnął się wokół, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Jego zachwyt nie wynikał wszakże z tego, że sala była ogromna, ale raczej z tego, że mimo swej wielkości i panującego na zewnątrz mroku wciąż była genialnie oświetlona. Dzięki dziewięciu przeszklonym oculusom umieszczonym w sklepieniu, przez które wpadało do środka światło księżycy, profesor mógł dostrzec najmniejsze nawet szczegóły misternych łuków, kolumn i fresków zdobiących wnętrze sali. Szare kolumny wspierające potężny dach zdawały się zbyt cienkie, by należycie wypełnić zadanie powierzone im przez architekta, a jednak nieprzerwanie od wielu lat zapewniały stabilność budowli. Po bokach sali pod wbitymi w ścianę łukami malowały się freski przedstawiające nieokreśloną roślinność, ale stworzone z taką dokładnością, że Oliver był w stanie dostrzec nawet wiewiórkę pnącą się w górę po pniu jednego z namalowanych drzew.

Dopiero po chwili, gdy przemierzył już znaczną część sali, dostrzegł, że w rzeczywistości ma ona kształt prostokąta półkolistego zakończonego w swej dalszej części. W tej właśnie najbardziej oddalonej od niego ścianie budowli, gdzieś pomiędzy sklepieniem a ustawionymi blisko siebie regałami z książkami, umieszczono płaskorzeźby. Przedstawiały one głowy widziane z profilu, artysta zręcznie umieścił je na pozłacanym tle i zamknął w zdobionych

ramach w kształcie okręgów. Monroe nie znał jednak tożsamości uwiecznionych na płaskorzeźbach postaci, których było mnóstwo, a każda z nich zdawała się wykonana z równie wielką dbałością o szczegóły co pozostałe. Oliver doszedł do wniosku, że artyście musiało bardzo zależeć na tym, aby żadnej figury nie zaniedbać.

– Moim skromnym zdaniem ta sala jest arcydziełem – mówiła doktor Casaviechi. – Dzieło życia Henriego Labrouste’a, stworzone między tysiąc osiemset sześćdziesiątym pierwszym a tysiąc osiemset sześćdziesiątym ósmym rokiem. Labrouste zaprojektował salę w stylu bizantyjskim, umieszczając w jej sklepieniu dziewięć otworów opatrzonych płytkami z porcelany, które rozpraszają wpadające światło, dzięki czemu równomiernie rozchodzi się ono po tym ogromnym pomieszczeniu, należycie je przy tym oświetlając. Dlatego widzicie wszystko, mimo że na dworze jest niemal kompletnie ciemno.

Wciąż przemierzali salę wolnym krokiem, rozglądając się na wszystkie strony. Jedyne Cartier wydawał się pozostawać niewzruszony pięknem tego miejsca.

– Popatrzcie na malowidła na bocznych ścianach – kontynuowała. – Zostały wykonane przez pejzażystę Alexandre’a Desgoffe’a. Może nie widać tego tak dobrze w tym świetle, ale freski utrzymane są w zielonej kolorystyce, która ma uspokajać i sprzyjać relaksowi podczas lektury.

Casaviechi przystanęła, zwracając się w kierunku mężczyzn.

– A teraz pokażę wam mój ulubiony element tej sali – powiedziała z szerokim uśmiechem na ustach. – Popatrzcie na półkolistą ścianę naprzeciwko. Zwróćcie uwagę na medaliony ułożone tuż obok siebie na jej obwodzie, tak zręcznie wyrzeźbione dłutem artysty. Podobne znajdują się na filarach wspierających strop w bocznych częściach sali.

Kobieta miała na myśli umieszczone nad regałami płaskorzeźby, które wcześniej tak zainteresowały profesora. Miał nadzieję dowiedzieć się niebawem, kim są przedstawione na nich postacie.

– Przyjrzyjcie się, jak niesamowicie wyglądają ich twarze na tym złotym tle! – zachwycała się. – Rzeźbiarz uwiecznił na medalionach dokładnie trzydzieści sześć najznakomitszych osobowości literatury, jakie kiedykolwiek chodziły po tym świecie. A najciekawsze jest to, że wśród nich jest tylko jedna kobieta...

Te ostatnie słowa wybrzmiały w głowie Olivera echem.

– Mam rozumieć, że trzydzieści pięć płaskorzeźb przedstawia mężczyzn, a tylko jedną kobietę? – zapytał, nim Sara zdołała dokończyć. Musiał się upewnić.

– Tak, prawie wszystkie medaliony przedstawiają pisarzy, z wyjątkiem jednego, który upamiętnia pisarkę, Madame de Sévigné – odparła.

Natychmiast przypomniał sobie słowa Lachapelle'a: *niech pan szuka regału pod jedyną kobietą w sali*. Ogarnęła go ekscytacja. Zdało mu się, że poznał rozwiązanie enigmatycznej zagadki księdza, a tym samym miejsce ukrycia *Raportu Crosa*.

– Czy mogłaby mnie pani zaprowadzić do medalionu z wizerunkiem Madame de Sévigné?

– Oczywiście, proszę za mną.

Doktor Casaviechi poprowadziła ich w stronę schodów. Płaskorzeźby zlokalizowane były bowiem tuż nad regałami z książkami, które stały w rzędach na trzech wysokościach. Zgodnie z poleceniem Lachapelle'a, Monroe miał szukać regału bezpośrednio pod medalionem przedstawiającym Madame de Sévigné, toteż trzeba mu było wspiąć się aż na najwyższe piętro.

– Pewnie interesuje pana, kim była ta kobieta – mówiła w drodze na górę. – W rzeczywistości nazywała się Marie de Rabutin-Chantal

i jest znana jako autorka kilkuset listów, które napisała do swojej córki. Opowiadała w nich o życiu w Paryżu, niekiedy wspominając również o polityce i innych sprawach.

Oliver ani myślał jednak zachwycać się historią pisarki. W tamtej chwili zależało mu jedynie na odnalezieniu dokumentów Ernesta Crosa.

– To ona. – Doktor Casaviechi zatrzymała się przy jednym z regałów i wskazała palcem medalion z podobizną kobiety. – Madame de Sévigné.

Monroe popatrzył na relief. Pokiwał głową, zgadzając się z Sarą, że płaskorzeźba jest w rzeczy samej zachwycająca, po czym ni stąd, ni zowąd upadł na kolana i zaczął przeglądać tytuły książek z dolnej półki regału stojącego bezpośrednio pod medalionem.

– Co pan robi, profesorze? – Kobietę zaskoczyło nietypowe zachowanie Olivera, ale on nie zamierzał przerywać poszukiwań, bowiem miał w głowie tylko jedną myśl: odnaleźć *Lemegeton* na najniższej półce regału.

Gdy upewnił się już, że wśród książek nie ma interesującego go tytułu, zaczął po kolei wyjmować poszczególne księgi i sprawdzać przestrzenie za nimi. Przypomniało mu się, że przecież Lachapelle miał w zwyczaju chować interesujące go dzieła w tylnych częściach regałów. Każdą wyjmowaną książkę Oliver przekazywał Sarze, która nie mogąc wyjść ze zdziwienia, przyjmowała z pokorą kolejne tomiszczą, tak że po kilku chwilach dzierżyła w rękach pokaźną ich stertę.

– Może mi pan uprzejmie wytłumaczyć, czemu ma to wszystko służyć? – dopytywała.

– Za chwilę – odparł zdawkowo, sięgając po kolejną księgę, a gdy tylko ją wyciągnął, dostrzegł, że przestrzeń za nią nie jest wcale pusta.

Bez wahania wyjął przedmiot z tylnej części regału i z niesłuchaną radością stwierdził, że była to książka. Przeczytał w myślach tytuł na obwolucie i odetchnął z ulgą. Właśnie trzymał w rękach upragniony *Mniejszy Klucz Salomona*.

– Co to jest? – zapytała Sara, zbliżając się; Oliver nie musiał jednak odpowiadać, bowiem kobieta sama przeczytała tytuł księgi widniejący na okładce. – Tej pozycji nie powinno tu być. Tego pan szukał przez cały czas?

– Zdaje mi się, że tak – odpowiedział niepewnie.

– Zdaje się panu?

– Właściwie nie szukałem tej książki, tylko tego, co jest w niej ukryte.

– Ukryte? – Z każdą chwilą Casaviechi była coraz bardziej zdziwiona zaistniałą sytuacją. – Ukryte przez kogo?

– Przez... przyjaciela. Ale to było dawno temu.

– Jak ten pana przyjaciel się nazywał? – zapytała.

Oliver wahał się, czy powinien zdradzać tożsamość księdza, ale w końcu odpowiedział:

– Philippe Lachapelle.

– Nie kojarzę – odparła, nie zastanawiając się długo. – Ale sprawdzę, czy był ktoś taki w rejestrze wizyt.

– Może to pani zrobić? – Jej propozycja zaintrygowała Monroe'a.

– Oczywiście. Wspominałam przecież, że aby uzyskać dostęp do sali Labrouste'a, pana przyjaciel musiał wcześniej zarezerwować sobie miejsce. A dane każdej osoby rezerwującej są przechowywane w systemie. Włącznie z datą i czasem wizyty.

– Byłbym wdzięczny, gdyby sprawdziła to pani. – Oliver miał nadzieję dowiedzieć się, kiedy dokładnie Lachapelle odwiedził Bibliotekę Narodową.

– W porządku, ale muszę zejść z powrotem na dół, bo tam mamy komputery – powiedziała. – Jesteście pewni, że mogę was tu zostawić? Nie narobicie szkód?

– Będziemy uważać – odrzekł Monroe.

– Panie Cartier, proszę przypilnować profesora, żeby delikatnie obchodził się z naszymi zasobami – rzuciła do Adriana i odeszła w kierunku schodów.

Monroe otworzył księgę i zaczął przeglądać ją w poszukiwaniu dokumentów Crosa. Zdziwiło go nieco, że trzymał w ręce jedno ze starszych wydań siedemnastowiecznego grymuaru w języku angielskim. Z tego powodu przewracał strony wyjątkowo uważnie, starając się nie zniszczyć dzieła. Po kilku chwilach odnalazł to, czego szukał. Pomiędzy stroną trzydziestą drugą a trzydziestą trzecią wciśnięto cienki, liczący może z dziesięć stron, dziennik w formacie mniejszym niż skrywający go *Lemegeton*. Jego tytuł brzmiał dokładnie tak, jak mówił Lachapelle: *Raport Crosa*.

Czy to możliwe, że Oliver Monroe, prosty wykładowca kilku przedmiotów w instytucie archeologii Uniwersytetu Browna w Providence, właśnie wszedł w posiadanie uważanych od dawna za zaginione notatek Ernesta Crosa, wieloletniego przyjaciela okrytego sławą François Bérengera Saunière'a? Sam profesor nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. To znalezisko obudziło w nim pokłady uspiętego od sześciu lat odkrywcy, przez co zdecydował się nacieszyć tą chwilą, zanim otworzy *Raport Crosa* i sprawdzi, co zawiera ten enigmatyczny i niepoznany dziennik. Cieszył się jak dziecko. Jego radość nie trwała jednak długo. Niespodziewanie bowiem usłyszał za plecami czyjś szept:

– Proszę oddać mi ten dziennik, profesorze.

ROZDZIAŁ 34

Niemal natychmiast obrócił się na kolanach w stronę, z której dobiegał dziwnie znajomy głos. Od razu pobladł, a ekscytacja ustąpiła miejsca przerażeniu. Stało się bowiem coś, czego nigdy by się nie spodziewał. Nie więcej niż dwa metry przed sobą dostrzegł Adriena Cartiera celującego do niego z pistoletu.

– Nie będę powtarzał – powiedział policjant stanowczo, ale wciąż dość cicho. – Niech pan mi odda ten dokument, a puszcę pana wolno i obaj będziemy zadowoleni.

– Zaraz przyjdzie tu doktor Casaviechi – powiedział drżącym głosem Oliver. – Może wszczać alarm.

– I zapewne tak się stanie – odparł Cartier niewzruszony. – Ale nim ktokolwiek odpowie na wezwanie, ja będę już daleko stąd, a was dwoje znajdzie inspektor Cardot. Jeśli będziecie mieli szczęście, nastąpi to, jeszcze zanim wasze zwłoki całkowicie wystygną.

– Przekonujący argument, żebym oddał panu *Raport Crosa*. – Monroe przełknął ślinę. – Ale nie byłbym sobą, gdybym nie zapytał: dlaczego pan to robi?

Gdy tylko zadał to pytanie, na schodach rozległy się kroki. Mężczyźni skierowali wzrok w tamtą stronę, by po chwili ujrzeć wyłaniającą się zza ściany Sarę z kartką papieru w dłoni. Kobieta zamarła, kiedy zobaczyła profesora na kolanach i funkcjonariusza policji mierzącego do niego z broni. Nagle ją sparaliżowało i nie

tylko nie była w stanie zareagować, ale nie potrafiła również wydusić z siebie słowa.

– Pani doktor, proszę uklęknąć przy profesorze – powiedział Cartier, po czym zwrócił się do Olivera: – Dopiero wtedy spełnię pana prośbę i wytłumaczę, o co w tym wszystkim chodzi.

Oliver skinął na doktor Casaviechi, która zbliżyła się powoli i z rękami uniesionymi w górze padła na kolana przed Cartierem.

– Dokument, panie Monroe – ponaglił profesora.

Monroe położył otwarty *Lemegeton* na podłodze, a drugą ręką niechętnie podał Cartierowi *Raport Crosa*.

– Dziękuję.

– Teraz niech pan wywiąże się ze swojej części umowy – odrzekł Oliver stanowczym tonem. – Kim pan jest i dla kogo pracuje?

– Już panu mówię, profesorze. – Włożył dokument do wewnętrznej kieszeni marynarki, wciąż celując do klęczącej dwójki z pistoletu. – Chce pan wiedzieć, kim jestem? Odpowiedź na to pytanie jest prosta. Na co dzień jestem policjantem, ale również najemnikiem, załatwiam różne sprawy dla tych, którzy więcej zapłacą. Bardzo często wspieram jedną ze stron konfliktu, ale zdarza się również, że pomagam obu.

– Kto zlecił panu zdobycie *Raportu Crosa*?

Cartier pokręcił głową z politowaniem.

– Nie ma pan pojęcia, co się wkoło dzieje, prawda? – zapytał. – Przyjechał tu pan tylko po to, żeby znaleźć swoją przyjaciółkę, a został wplątany w jakąś niezrozumiałą grę, w której na dodatek to nie pan rozdaje karty. Nie powinienem tego mówić, ale co mi tam. Trochę mi się pana żal zrobiło, dlatego powiem wszystko jak na spowiedzi.

On wie, gdzie jest Kate – przemknęło Oliverowi przez myśl.

– Niech pan mówi – powiedział.

– Opowiem od początku, ale niech pan uważnie słucha, bo nie będę się powtarzał – zastrzegł. – Gdy zginął Daquin, Malinot prowadził śledztwo przez kilka dni, a potem kompletnie zbagatelizował sprawę i ją porzucił. Nie zależało mu wcale na jej rozwiązaniu. Wówczas wszyscy inni policjanci, w tym również ja, przestali się nią interesować. Ale pewnego dnia skontaktował się ze mną człowiek, któremu bardzo zależało na odnalezieniu mordercy. Obiecał dobrze zapłacić za pomoc. Uznałem wtedy, że mogę spróbować się czegoś dowiedzieć. Dzięki temu, że pracowałem w komisariacie, miałem pełen dostęp do wszelkich dowodów, akt sprawy i protokołów przesłuchań, ale wbrew pozorom nie ułatwiło mi to pracy. Nie było prawie żadnych materiałów, którymi mogłem się posłużyć, by posunąć się choćby o krok naprzód w moim prywatnym śledztwie. Ale wtedy zdarzyło się coś, co dało mi pewną nadzieję. Do Rennes-le-Château przyjechała jakaś kobieta, podobno profesor historii sztuki z Ameryki. Zaczęła wszędzie myszkować i wypytywać o wszystko. Dopiero później dowiedziałem się, że wezwał ją ten sam człowiek, który dał mi zlecenie rozwiązania tej sprawy.

– Jak to? – Oliver nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. – Przecież Blanc mówił mi, że to on sprowadził tu Kate.

Cartier roześmiał się.

– Blanc też dla niego pracuje – odparł. – Być może to za jego pośrednictwem ten człowiek wezwał pana przyjaciółkę, nie wiem. Prawdą jest jednak, że to ten nieznajomy za wszystkim stoi. To on wydaje rozkazy... I bardzo dobrze płaci za ich wykonanie.

– Co było dalej?

– Potem zginął Gauthier – kontynuował. – Po jego śmierci cała ta sprawa ze ściągnięciem tu pana przyjaciółki się wyjaśniła. Było już

jasne, że mojemu zleceniodawcy nigdy nie chodziło o nią. On zaplanował wszystko tak, żeby ściągnąć tu pana.

Widzę, że nie popełniłem błędu, stawiając na ciebie, Oliverze. Monroe przypomniał sobie znajomy głos, który usłyszał po raz pierwszy, gdy wraz z Blankiem stali pod posągami Matki Boskiej z Lourdes w ogrodzie Saunière'a.

– Ten człowiek stwierdził, że pana przyjaciółka może być idealną przynętą – mówił dalej Cartier. – Wykorzystał po prostu łączącą was przyjaźń, żeby zwabić pana do Rennes-le-Château. Z początku nie wiedziałem, dlaczego jest pan dla niego tak istotny, ale pewnego razu zdradził mi, że zależy mu na zdobyciu jakiegoś dokumentu o kluczowym dla niego znaczeniu, i że tylko przy pana pomocy może tego dokonać. Nie powiedział jednak, o jaki dokument chodzi i od tamtej pory się nie odzywał. Nie byłem pewien, czy zerwał swoją umowę, czy co. Ale kiedy dzisiaj Malinot zadzwonił do komisariatu i kazał jednemu z nas ochraniać pana w drodze do Paryża, od razu zgłosiłem się na ochotnika. Wiedziałem, że coś jest na rzeczy i powinienem pana pilnować. Przez całą podróż wyczekiwałem odpowiedniego momentu, by się ujawnić. W końcu domyśliłem się, dlaczego pana potrzebowaliśmy. Przecież bez pana nie mógłbym wejść do Biblioteki Narodowej! Muszę przyznać, że sprytnie postąpiłeś, profesorze, nie zdradzając nikomu celu swojej wizyty w Bibliotece. Ale w końcu musiałeś się wygadać, dzięki czemu dowiedziałem się, o jaki dokument chodziło mojemu zleceniodawcy. Myślę, że dobrze mi zapłaci za jego zdobycie.

– Mów mi, gdzie jest Kate – powiedział Oliver grobowym tonem.

– Ten człowiek powiedział mi tylko, że zamknął ją gdzieś u siebie, i że bym się nią nie przejmował – odparł. – Nie mam pojęcia, gdzie to jest. Nigdy nie poznałem go osobiście. Nawet nie znam jego imienia. Kontaktował się ze mną za pośrednictwem listów, które

dostarczał mi Blanc. Podpisywał się jakimś dziwnym inicjałem... Brzmiał chyba: J.M.J. Cokolwiek to znaczy.

– Wystarczy, że ja wiem, kim on był. – Profesor miał już pewność.
– Niech pan mi jeszcze powie, co pan wie o Compagnie du Saint-Sacrement.

– Przepraszam, o czym?

– Tak, jak sądziłem. Nie ma pan pojęcia, dla kogo pracuje.

– Płacą mi za to, że nie zadaję pytań, profesorze – odparł Cartier. – I panu też to radzę. No, wystarczy tej pogawędki na dzisiaj. Muszę już iść, a was zostawiam tutaj. Ale najpierw oddajcie mi swoje telefony, a panią, pani Casaviechi, poproszę o klucze do Biblioteki.

Monroe polecił Sarze, by spełniła żądania skorumpowanego policjanta. Sam sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął z niej swoją komórkę. Gdy jednak miał już oddać telefon Cartierowi, przez przypadek odblokował go i nagle na ekranie wyświetliła się wiadomość od Kate Evans:

LE VRAI POUSSIN GARDE LA CLEF

Nim zdążył jednak zastanowić się nad sensem tego zdania, mężczyzna wyrwał mu komórkę z dłoni.

– Dziękuję – powiedział. – To by było na tyle, jeśli chodzi o naszą znajomość. Do widzenia, panie Monroe, i niech pan pamięta, że nie zawsze jedna porażka musi w ostatecznym rozrachunku oznaczać klęskę. Żegnam, pani doktor.

Skierował się w stronę schodów i zbiegł nimi w dół. Po chwili ujrzeli, jak opuszcza salę Labrouste'a drzwiami, które doktor Casaviechi pozostawiła wcześniej otwarte. Usłyszeli zgrzyt klucza przekręcanego w zamku, po czym zapanowała cisza.

– Co to miało być? – odezwała się Sara, a spostrzegając, że Monroe wcale nie kwapi się do odpowiedzi, powtórzyła: –

Profesorze! O co tu chodzi? Kim był ten człowiek?

Oliver nie zamierzał jednak przerywać milczenia. Z jednej strony ubolewał nad tym, że właśnie stracił jedyny dokument mogący doprowadzić go do mordercy, z drugiej zaś czuł się oszukany przez człowieka, któremu zaufał i chciał pomóc. Nie miał bowiem wątpliwości, kto wynajął Cartiera, by ten zdobył dla niego *Raport Crosa*.

– Cartier i Blanc pracują dla Ebelinga – wyszeptał.

– Blanc? Ebeling? Jaśniej, profesorze!

Nie miał jednak ochoty niczego jej tłumaczyć. Klęczał w milczeniu, pogrążony w zadumie. Uświadomił sobie, że wszelka nadzieja przeminęła. Spuścił wzrok i spojrzał zawiedziony na leżący u jego kolan otwarty *Lemegeton*. Nagle zmarszczył brwi, gdyż ze zdziwieniem stwierdził, że jeden akapit był w nim odręcznie zakreślony. Sięgnął po księgę i spostrzegł, że był to tekst na stronie trzydziestej drugiej. Natychmiast przypomniał sobie, że dokładnie na tej stronie odnalazł wcześniej notatki Crosa. Przeczytał akapit na głos:

(32.) ASMODAY. – Trzydziestym drugim duchem jest Asmoday, inaczej Asmodai. Jest on Wielkim Królem, Silnym i Potężnym. Przyjmuje postać stwora z trzema głowami, z których pierwsza jest bycza, druga człowiecza, a trzecia to głowa barania; ma również ogon Węża, a z jego paszczy buchają Płomienie Ognia. Palce jego Stóp pozostają złączone ze sobą błoną jak u Gęsi. Dosiada Smoka Infernalnego, w dłoni dzierżąc Drzewiec ze Sztandarem. Jest pierwszym i najlepszym pod Mocą AMAYMONA, krocząc przed innymi. Jeśli Adeptowi przyjdzie na myśl go przywołać, winien twardo stać na ziemi, a Kaptur z głowy zrzucić, bo jeśli będzie miał go na sobie, Asmoday rychło go zwiedzie, a jego szanse zostaną zaprzepaszczone. Lecz gdy tylko Adept ujrzy Asmodaya w kształcie

wcześniej omówionym, powinien zawołać go jego własnym Imieniem, mówiąc: „Tyś to Asmoday?”, on zaś nie zaprzeczy i powoli klaniać się pocznie aż do samej ziemi. Daje on Pierścień Magii; naucza Sztuki Arytmetyki, Astronomii, Geometrii i wszelkich rzemiosł. Daje prawdziwe i wyczerpujące odpowiedzi na pytania. Może uczynić człeka Niewidzialnym. Ukazuje miejsca, gdzie Skarby spoczywają i strzeże ich. On, spośród wszystkich Legionów AMAYMONA, zawiaduje siedemdziesięcioma dwoma Legionami Duchów Piekielnych. Jego Pieczęć winno się nosić na piersiach^[16].

Skończył czytać i zamilkł. Podniósł się z kolan i stanął przy barierce, wciąż wpatrując się w tekst *Lemegetonu*.

– Kto zakreślił ten fragment i dlaczego to zrobić? – Sara stanęła obok niego; zdążyła już nieco ochłonąć po niedawnych wydarzeniach.

– Mógł to zrobić sam Ernest Cros, bo z jakiegoś powodu uznał ten fragment za ważny – odparł profesor. – Być może to nie przypadek, że wybrał *Mniejszy Klucz Salomona*, i że akurat na tej stronie zostawił swoje notatki.

– To niedopuszczalne, żeby pisać po książkach. Poza tym to przecież kompletne brednie. I kim jest ten cały Cros...

– Niech mnie pani posłucha – przerwał jej Oliver, nagle nabierając chęci do rozmowy. – Przyjechałem tutaj w poszukiwaniu dokumentów określanych jako *Raport Crosa*. Zostały one napisane przez Ernesta Crosa, przyjaciela François Bérengera Saunière’a. Pewnie kojarzy pani legendę o skarbie. Raport podobno zawiera informacje potrzebne do rozwiązania zagadki Saunière’a, a może i do odnalezienia skarbu. To właśnie jego szukał Cartier.

– Rozumiem, jest pan poszukiwaczem skarbów.

– Nic z tych rzeczy – poprawił ją. – Pomagam policji. W Rennes-le-Château doszło do kilku morderstw księży i podejrzewamy,

że morderca nawiązuje w swych zbrodniach do historii Saunière'a.

– Ale jak pan wpadł na pomysł, że chodzi o Crosa? – dopytywała.

– Optogramy – odparł, a kobieta spojrzała na niego pytająco. – To metoda uzyskiwania obrazu z siatkówki, dzięki której możemy zobaczyć to, co chwilę przed śmiercią widziała ofiara. W gałkach ocznych księży morderca zakodował słowo *Cros*.

– Wciąż nie rozumiem. – Wydawała się co najmniej zmieszana. – Z pana rozmowy z Cartierem wynikało, że pracuje on dla kogoś. Kim jest ten człowiek, ten... zleceniodawca?

– Victor Ebeling – odpowiedział. – Jest członkiem AA, czyli Compagnie du Saint-Sacrement. Tak samo jak wszyscy księża, którzy zginęli.

– Przecież ta organizacja nie istnieje od drugiej połowy siedemnastego wieku.

– Oficjalnie – dopowiedział profesor. – Nieoficjalnie mają się całkiem nieźle, może mi pani wierzyć.

– Ale dlaczego ktoś ich zabija? To nie ma sensu.

Monroe wahał się chwilę, czy opowiadać kobiecie o wszystkim. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, żeby tego nie robił, jednakże potrzebował pomocy, a doktor Casaviechi była jedyną osobą, która mogła mu jej udzielić. Tylko ona знаła Bibliotekę i najprawdopodobniej potrafiła się z niej wydostać. Nie zamierzał jej okłamywać.

– Do Compagnie należało trzech proboszczów kościoła Świętej Marii Magdaleny w Rennes-le-Château i organista, Victor Ebeling. Z jakiegoś powodu morderca wybrał członków Towarzystwa na swój cel. Do tej pory udało mu się zabić wszystkich prócz Ebelinga, który ze strachu przed śmiercią wezwał mnie, żebym pomógł mu odnaleźć zabójcę, nim ten go zabije. Z tego samego powodu zatrudnił Blanca i Cartiera. Ten pierwszy jest dziennikarzem

i miał przez cały czas trzymać rękę na pulsie, kontrolując mnie. Z kolei Cartier miał podążać za mną aż do samego Paryża, a w kluczowym momencie zabrać notatki Crosa i uciec z powrotem do Ebelinga. Wygląda na to, że byłem jedynie ich przepustką do Biblioteki Narodowej. Teraz już mnie nie potrzebują i chcą sami rozprawić się z mordercą.

Sara zawahała się.

– Zdaje sobie pan sprawę, jak trudno w to wszystko uwierzyć?

– Bez obaw, ja sam bym nie wierzył, gdybym na własne oczy nie zobaczył tych optogramów, i gdybym nie trzymał w rękach dokumentów Ernesta Crosa, uważanych od ponad pięćdziesięciu lat za zaginione.

– Ale dlaczego pomaga pan Towarzystwu? Jaka jest pana motywacja?

Monroe westchnął.

– Compagnie porwała bliską mi osobę i muszę rozwiązać tę zagadkę, żeby ją uwolnić. Ebeling i Blanc przekonali mnie, że jedynym sposobem na jej odnalezienie jest złapanie mordercy. Tymczasem ona przez cały czas była u Victora...

– To ta kobieta, o której rozmawialiście z Cartierem?

– Tak, Kate Evans.

Oliver zamilkł. Wówczas jego wzrok padł na dwa podwójnie podkreślone wyrażenia w tekście *Mniejszego Klucza Salomona*. Linie były tak dokładnie poprowadzone, że zrazu pomyślał, iż są one wydrukowane tak jak reszta tekstu. Po bliższych oględzinach okazało się jednak, że ktoś wykonał je odręcznie. Najpewniej była to ta sama osoba, która zakresliła cały ten paragraf. Monroe natychmiast pomyślał o Erneście Crosie. Nie miał jednak pojęcia, dlaczego zależało mu na tym, by zwrócić czyjąś uwagę na słowo *arytmetyki* i dłuższe zdanie traktujące o skarbie.

Gdy tak przypatrywał się podkreśleniom, dostrzegł jedną dziwną rzecz. Poślinił wówczas palec i przejechał nim po podkreślonych miejscach.

– Profesorze! – upomniała go doktor Casaviechi.

Z zaskoczeniem stwierdził, że linie nie uległy rozmazaniu. Były tak samo wyraźne jak przed zaaplikowaniem śliny.

– To jest tusz – odezwał się.

– Słucham?

– Zarówno zakreślenia, jak i podkreślenia są wykonane tuszem, bo się nie rozmazały – mówił dalej.

– I co w związku z tym? – Casaviechi nie miała pojęcia, o co mu chodziło.

– Tusz to pigment zmieszany z wodą, natomiast atrament składa się z barwnika rozpuszczonego w wodzie. Tusz stosuje się w długopisach i jest wodoodporny, w odróżnieniu od atramentu wykorzystywanego w piórach. Krótko mówiąc, chodzi mi o to, że jeśli zapiszemy coś długopisem, to tekst się nie rozmazuje, a gdy do tego samego użyjemy pióra, po namoczeniu tekst będzie rozmazany. Stąd wiem, że do zakreślenia tego akapitu oraz do wykonania w nim podkreśleń użyto długopisu.

– Nie rozumiem, w czym problem. Długopisy są przecież powszechne.

– Teraz już tak, ale nie zawsze tak było – zauważył. – Pamięta pani, jak mówiłem, że to sam Ernest Cros mógł wykonać te podkreślenia? Myliłem się. Długopisy na szeroką skalę zaczęły być produkowane we Francji dopiero w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku, podczas gdy Cros zmarł pięć lat wcześniej. Oznacza to, że długopisy nie istniały w czasach Crosa, więc nie mógł on skorzystać z jednego z nich. Musiałby użyć pióra, ale wtedy po namoczeniu tekst by się rozmazał.

– Do czego pan zmierza, profesorze?

– To wcale nie Cros chciał zwrócić naszą uwagę na ten fragment. Zakreślenia i linie w tekście musiał wykonać ktoś, kto wypożyczył tę książkę już po jego śmierci.

Sara popatrzyła na profesora uważnie, gdy nagle przypomniała sobie o kartce papieru, którą przez cały ten czas trzymała w dłoni.

– Sprawdziłam w rejestrze, czy odwiedzał nas jakiś Philippe Lachapelle, ale nikogo takiego tutaj nie było. Wydrukowałam listę podobnych nazwisk, może coś się panu pomyliło. Proszę sprawdzić.

Podawała mu kartkę, ale on tylko zerknął na nią i pokręcił głową.

– Nie, na pewno mi się nie pomyliło – odparł. – Nazywa się Philippe Lachapelle.

– Nie ma nikogo takiego w rejestrze – powiedziała. – Przepraszam pana na chwilę, muszę wezwać ochronę, żeby nas stąd uwolniła.

Gdy Casaviechchi ruszyła w stronę schodów, Oliverowi zaświtała w głowie pewna myśl.

– A czy mogłaby pani sprawdzić wszystkie osoby, które wypożyczały ten egzemplarz *Lemegetonu*? – zapytał, a kobieta przystanęła i odwróciła się. – Najbardziej zależy mi na ostatniej osobie z listy. Tej, która nie oddała książki.

– Oczywiście, sprawdzę to w systemie. Niech pan idzie za mną.

Zeszli w dół po schodach i po krótkiej chwili byli już przy komputerze stojącym na biurku w samym środku sali Labrouste'a. Monroe podał Sarze książkę, a ona wpisała w wyszukiwarce jej numer katalogowy. Po chwili pojawiła się karta ze wszystkimi informacjami o dziele.

– Wystarczą osoby, które wypożyczały ją w przeciągu ostatniego roku – dodał profesor.

Doktor Casaviechchi skinęła głową i wybrała odpowiednią opcję, po czym nacisnęła przycisk *drukuj*.

Gdy tylko kartka wysunęła się z drukarki, Monroe chwycił ją i zaczął przeglądać listę:

ADRIENNE MARTIN 30.04.2016–25.05.2016

GILBERT PETIT 13.07.2016–10.08.2016

VALENTIN DUBOIS 18.08.2016–20.09.2016

ARTHUR WILLIAMS 10.11.2016–20.12.2016

NICOLAS COCTEAU 3.01.2017–12.02.2017

VÉRONIQUE BOUILLOT 14.02.2017–17.02.2017

PHILIPPE SAUNIÈRE 1.03.2017 – JAMAIS RENDU^[17]

ROZDZIAŁ 35

PHILIPPE SAUNIÈRE 1.03.2017 – *JAMAIS RENDU*

Raz jeszcze spojrział na ostatnią pozycję na liście.

Zarówno imię, jak i nazwisko były znajome. W tamtym momencie jednak nie chciał wyciągać pochopnych wniosków. Wszystko bowiem wskazywało na to, że wbrew nadziejom profesora to nie Philippe Lachapelle jako ostatni wypożyczył księgę. Przez głowę przemknęła Oliverowi myśl, że Lachapelle musiał znaleźć *Lemegeton* zaraz po tym, jak tajemniczy Philippe Saunière wypożyczył książkę i jej nie oddał. Ale to by oznaczało, że ksiądz odwiedził Bibliotekę Narodową całkiem niedawno, bo niecałe dwa miesiące temu. Monroe natychmiast przypomniał sobie, że przecież Lachapelle wyjechał z Rennes-le-Château zaraz po morderstwie Daquina, a wrócił dopiero po śmierci drugiego proboszcza, Igora Gauthiera. W okresie tym mieściła się data wypożyczenia *Lemegetonu* przez nieznanego Philippe'a Saunière'a. Czy to możliwe, że w czasie swej nieobecności w Rennes-le-Château ksiądz udał się do Biblioteki Narodowej w Paryżu i odnalazł niezwróconą książkę z *Raportem Crosa* w środku? Monroe miał nadzieję, że tak w rzeczywistości było, bo w przeciwnym razie musiałby się zastanowić, dlaczego tajemniczy Philippe Saunière nosi imię

po Lachapelle'u, a nazwisko po... To nam w niczym nie pomoże. – Zdecydował się porzucić domysły. – Nie ma go na liście.

Nagle w sali rozległo się pukanie, które z każdą chwilą stawało się coraz częstsze i bardziej donośne. Sara ruszyła w stronę drzwi, a Oliver podążył jej śladem. Gdy tylko się zbliżyli, usłyszeli stłumiony głos dobiegający z holu Labrouste'a. To był inspektor Cardot.

– Profesorze! Pani doktor!

– Jesteśmy tu! – odkrzyknęła mu Casaviechi. – Cartier nas zamknął! Zabrał nam telefony i nie mieliśmy jak zadzwonić po pomoc.

– Jak mam was uwolnić?

– Proszę zadzwonić pod ten numer...

Kobieta zaczęła dyktować Cardotowi numer telefonu. Po chwili słyhać było, jak inspektor rozmawia z kimś po francusku. W końcu się rozłączył.

– Za chwilę ktoś z kluczami tu przyjedzie – powiedział. – Jak to się stało? I gdzie jest Cartier?

– Inspektorze! – Tym razem odezwał się Monroe. – Proszę zadzwonić do inspektora Malinota i powiedzieć mu, że Cartier ukradł dokument, po który przyjechaliśmy do Paryża. Niech pan niezwłocznie to zrobi, to bardzo ważne.

– Oczywiście – odparł Cardot i wykonał telefon. Rozmawiał przez chwilę z Malinotem, po czym znów zwrócił się do Olivera: – Panie Monroe, inspektor Malinot sam chce z panem porozmawiać. Mówi, że to pilne.

– Może pan dać go na głośnomówiący?

Oliver stał z uchem przyklejonym do drzwi, czekając, aż rozlegnie się za nimi głos Malinota.

– *Profesorze* – usłyszał w końcu. – *Victor dostał jakiegoś ataku, zaczął się trząść i moi wezwali karetkę, która zabrała go do szpitala. Dałem mu dwóch ludzi do ochrony, ale kiedy lekarze wzięli go na jakieś badania, przepadł. Nigdzie go nie ma i nikt w szpitalu nie wie, gdzie mógł się podziać.*

Monroe zamknął oczy i oparł czoło o drzwi. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby ostatnia ofiara mordercy nagle zaginęła – pomyślał zdruzgotany.

– Niech pan mnie posłucha – odezwał się po chwili. – Nie wspominałem o tym, ale udało mi się ustalić, że wszyscy zamordowani księża należeli do tajnej organizacji określanej jako AA. Ebeling również jest jej członkiem i, co gorsza, najprawdopodobniej to on wszystkim kieruje. Zatrudnił Cartiera, żeby ukraść ważny dla organizacji dokument. Podejrzewam, że starzec zamierza na własną rękę odnaleźć zabójcę i go wykończyć. Musi istnieć jakiś powód, dla którego morderca zabija tylko członków AA, ale jeszcze go nie poznałem. Dlatego bardzo pana proszę, dopóki nie uda mi się ustalić, dlaczego morderca na swoje ofiary wybiera członków Towarzystwa, musi mi pan obiecać, że zrobi wszystko, co w pana mocy, żeby zapobiec śmierci Victora. Jest nam potrzebny, poza tym tylko on wie, gdzie jest...

Przerwał. Nagle zorientował się, że nie powinien mówić mu o Kate, bowiem zorganizowane poszukiwania powzięte przez policję mogłyby skończyć się dla niej tragicznie. Ebeling na wolności był nieobliczalny, a profesor nie mógł sobie pozwolić na popełnienie żadnego błędu. Zdecydował, że sam uda się do Rennes-le-Château i w pojedynkę uwolni swoją przyjaciółkę.

– Potrzebujemy go – powtórzył. – Obawiam się, że Ebeling dostał od Cartiera cynk, po czym upozorował chorobę, żeby móc się z nim spotkać i odebrać zdobyty przez niego dokument. Daliście się

oszukać. Cartier z pewnością jest teraz w drodze na południe Francji, gdzie spotka się z Victorem, żeby przekazać mu *Raport Crosa* i otrzymać w zamian zapłatę za swoją pracę. Musicie ich obu powstrzymać... A, i jeszcze jedno. Blanc też jest w to wszystko zamieszany. To on przekazywał Cartierowi wiadomości od Ebelinga.

Oliver ucichł i czekał na odpowiedź Malinota, ale policjant nie odzywał się przez dłuższy czas. Profesorowi zdało się, że jego słowa zrobiły na nim wrażenie.

– Inspektorze? – zapytał w końcu Monroe. – Cartier zabrał mi komórkę, więc w razie czego nie będę w stanie do pana zadzwonić.

– *Jestem* – wybrzmiał głos zza drzwi. – *Dobrze... Zajmiemy się Cartierem i Jéréimim... Blankiem, znaczy się. Niech inspektor Cardot da panu jakiś stary telefon, żebyśmy mogli się z panem skontaktować. Proszę się nie martwić, ja zadzwonię, jak tylko dowiem się czegoś więcej.*

– Udało wam się zlokalizować miejsce kolejnej zbrodni?

– *Nie. Ani w kościele, ani w całym Rennes-le-Château nie ma niczego, co chociaż trochę przypominałoby literę S. Sprawdziliśmy też kościoły w Carcassonne. Bezskutecznie.*

– Nie ma potrzeby sprawdzać Carcassonne, musimy skupić się na Rennes-le-Château. Jestem pewny, że właśnie tam morderca chce zabić Ebelinga.

– *Sprawdzimy wszystko jeszcze raz – zapewnił go. – I znajdziemy Victora, może pan być o to spokojny.*

– Dziękuję, inspektorze.

Malinot rozłączył się, a profesor nagle przypomniał sobie o wiadomości od Kate, którą przeczytał w chwili, gdy Cartier konfiskował jego telefon.

– Doktor Casaviechi – zwrócił się do Sary. – Może mi pani przetłumaczyć, co znaczą te słowa...

Zająknął się. Nie potrafił poprawnie wymówić zdania wysłanego mu przez Kate. Zaczął nerwowo przeszukiwać kieszenie, aż w końcu w jednej z nich odnalazł długopis. Musiał nieświadomie zabrać go od Lachapelle'a, gdy opuszczał jego mieszkanie. Nie miał pod ręką żadnej kartki, więc podwinął rękaw i na przedramieniu zapisał zapamiętane wyrażenie: *Le vrai Poussin garde la clef*, po czym pokazał je Sarze. Przypatrzyła mu się uważnie.

– *Prawdziwy Poussin strzeże klucza* – odpowiedziała bez chwili zawahania. – Skąd pan to ma?

– Wysłała mi to przyjaciółka. To już trzecia wskazówka od niej.

Casaviecchi zmrużyła oczy i spojrzała badawczo na profesora.

– Chodzi panu o kobietę, którą więzi Ebeling? – zapytała. – W jaki sposób miałyby wysłać panu wiadomość, skoro wciąż jest trzymana w zamknięciu?

Monroe zaniemówił. W rzeczy samej nie była w stanie wysłać tej wiadomości – przemknęło mu przez myśl.

Nagle zakręciło mu się w głowie tak, że oparł się plecami o ścianę i osunął powoli na ziemię. Nie stracił jednak przytomności, a jego teatralne zachowanie było wyrazem niespodziewanego olśnienia, którego doznał za sprawą słów Sary. W jednej chwili uświadomił sobie, że przez cały ten czas to Ebeling wysyłał mu te wskazówki. Każda wiadomość od Kate była w rzeczywistości wiadomością od niego. Starzec podsuwał mu pod nos kolejne tropy, by dać mu poczucie samodzielnego myślenia. W rzeczywistości jednak przez cały czas prowadził go za rękę. Zalał jego psychikę faktami tak, żeby myślał w sposób wygodny dla niego.

– Profesorze? – Casaviecchi wyrwała go z osłupienia.

– Już w porządku – odparł. – Znowu dałem się oszukać jak dziecko. To wszystko były wiadomości od Ebelinga, nie od Kate.

– Też tak myślę. Ale niech pan się tym nie zadręcza. W ludzki sposób mu pan zaufał, a on to wykorzystał. Ludzie niewinni, tacy jak pan, wykazują bezinteresowne zaufanie i chęć pomocy obcym, narażając się w ten sposób na bycie skrzywdzonym. To nie grzech być naiwnym.

Oliver popatrzył na nią sceptycznie.

– To mnie pani pocieszyła – powiedział i podniósł się wolno.

– Nie ma czasu na współczucie, kiedy ktoś, na kim panu zależy, potrzebuje pomocy. Siedzenie tutaj i umartwianie się nie rozwiążą problemu. Powinien pan jak najszybciej wrócić do Rennes-le-Château, żeby uratować swoją przyjaciółkę i położyć kres tej pokręconej sprawie.

– Nie – odrzekł stanowczo. – Najpierw muszę rozwiązać ostatnią zagadkę, którą wysłał mi Ebeling.

– Naprawdę zamierza pan grać w tę jego grę? Aż tak pana omamił?

– To nie jest już kwestia żadnej gry. Niech pani pomyśli. Dlaczego tak bardzo zależy mu na tym, żeby złapać mordercę na własną rękę? Przecież sam dobrze wie, że zabójca na niego poluje. Powinien zostawić śledztwo policji i nie wyściubiać nosa z celi, a nie uciekać z więzienia. Jedyne racjonalnym wytłumaczeniem jego postępowania jest to, że najwyraźniej chce za wszelką cenę załatwić tę sprawę sam, bez świadków. To musi mieć jakiś związek z Compagnie... Być może morderca poróżnił się z członkami Towarzystwa Świętego Sakramentu w jakiejś kwestii, a te zbrodnie są pokłosiem ich sporu. Sporu, którego powody Ebeling chce utrzymać w tajemnicy... – Zastanowił się. – Poza tym czuję, że moja rola w tej historii jeszcze się nie skończyła. Jeśli miałbym być tylko przepustką dla Victora do Biblioteki Narodowej, to po co wysyłałby

mi tę ostatnią wiadomość? On chce mi coś przekazać, pani doktor, a ja mam zamiar się dowiedzieć, o co dokładnie mu chodzi.

Doktor Casaviechi spojrzała na niego uważnie. Zdała sobie sprawę, że był zbyt zdeterminowany, by odpuścić. Nagle oboje usłyszeli, jak Cardot rozmawia z kimś za drzwiami. Najwidoczniej nadeszła pomoc.

– *Prawdziwy Poussin strzeże klucza* – powtórzyła treść wiadomości. – Dlaczego wspomniał malarza? I co ma znaczyć to słowo: *prawdziwy*? Jest przecież jeden Poussin.

– W jednej z wcześniejszych zagadek pojawiła się kwestia *Et in Arcadia Ego*. – Oliver miał oczywiście na myśli płytę nagrobną markizy d'Hautpoul, ale zdecydował oszczędzić Sarze szczegółów. – Myślę, że Ebelingowi chodziło o wiszących w Luwrze *Pasterzy arkadyjskich* Poussina. Nie wiem natomiast, co ma oznaczać określenie *prawdziwy*. Może wpadłbym na coś, gdybym miał ten obraz przed oczami...

– Nic nie stoi na przeszkodzie – odrzekła.

– Wydaje mi się, że o tej godzinie Luwr jest już zamknięty.

– Zwykle tak, ale dzisiaj jest nocne zwiedzanie. Też w nim uczestniczyłam i gdyby nie pana wizyta, wciąż bym tam była. Ale muszę przyznać, że zapewnił mi pan więcej emocji niż oglądanie obrazów.

Jego oczy rozbłysły na wieść o tym, że muzeum było otwarte. Dookoła wszystko się waliło, ale w tej jednej kwestii sprzyjało mu szczęście. Nagle dobiegł ich odgłos przekręcanej w zamku klucza. Drzwi się otworzyły, a w progu stanął inspektor Cardot i jakiś drugi mężczyzna, którego Oliver nie znał.

– Mam pana odwieźć na dworzec? – zapytał inspektor.

Doktor Casaviechi uprzedziła jednak profesora w odpowiedzi na to pytanie:

- Zmiana planów, jedziemy do Luwru.
- Jedziemy? – powtórzył zdziwiony Monroe.
- Naprawdę jest pan naiwny – powiedziała. – Po tym, co usłyszałam, tak łatwo się pan ode mnie nie uwolni.

ROZDZIAŁ 36

Dotarcie do celu spod gmachu Biblioteki Narodowej zajęło im nie więcej niż dwie minuty. Cardot w swoim stylu pomknął jedną z siedmiu wąskich uliczek biegnących pod Pawilonem Rohan. Następnie okrążył Place du Carrousel i wjechał na krawężnik, zatrzymując się przed pomnikiem Ludwika XIV, za którym mieściła się Piramida Luwru, zewsząd otoczona budynkami muzeum.

Monroe jako pierwszy wysiadł z auta, a w ślad za nim poszła doktor Casaviechi. Cardot natomiast jedynie otworzył okno i wychylił przez nie głowę.

– Ja tradycyjnie zaczekam – powiedział. – Może tym razem nikt was nie napadnie.

Skinęli głowami na znak, że się zgadzają i ruszyli w stronę Piramidy Luwru, mieszczącej główne wejście do muzeum.

– Stal i szkło – odezwała się Sara. – Piramida została wzniesiona w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku z sześciuset siedemdziesięciu trzech szklanych tafli, spośród których sześćset trzy ma kształt rombu, a pozostałe siedemdziesiąt jest w formie trójkąta.

– Zawsze myślałem, że jest ich łącznie sześćset sześćdziesiąt sześć – odparł zdziwiony Oliver.

– To mylne przeświadczenie wzięło się stąd, że podczas budowy Piramidy dziennikarze podawali mało rzetelne dane dotyczące liczby płyt szklanych. Utrzymywali, że ma ich być właśnie sześćset sześćdziesiąt sześć, ale nie była to prawda. – Spojrzała na niego

z ironicznym uśmiechem na ustach. – W konstrukcji tej budowli nie użyto żadnej liczby szatana, profesorze.

Przeszli między barierkami, mijając kilku turystów wyraźnie niepokieszonych faktem, że dwójka przybyszów nie ustawiła się w kolejce. Zbliżyli się do ochroniarza.

– Sara Casaviechi, a to profesor Oliver Monroe, jest ze mną – rzuciła, a mężczyzna skinął głową i ich przepuścił.

Zeszli w dół po imponujących okrężnych schodach prowadzących do podziemi i po chwili znaleźli się w holu Napoleona. Oprócz Olivera i Sary w okolicy krzątało się tylko parę osób, głównie ochroniarzy i kilku zwiedzających.

– Widzę, że jest tu pani znana – odezwał się Monroe.

– To jedna z zalet piastowania stanowiska dyrektora Biblioteki Narodowej – odparła zdawkowo.

Zboczyli w lewo, podążając w kierunku schodów, obok których umieszczona była spora tablica z widniejącym na niej napisem *Richelieu*.

– Muzeum ma trzy skrzydła: Denon, Sully i Richelieu – opowiadała. – Na drugim piętrze tego ostatniego znajduje się kolekcja malarzy francuskich tworzących od połowy czternastego do połowy siedemnastego wieku. Poussin też ma tam swoją alejkę.

Pokonali kolejne stopnie wiodące na ostatnie piętro skrzydła Richelieu i prędko znaleźli się na wyłożonym panelami korytarzu o śnieżnobiałych ścianach, na których Oliver dostrzegł zamknięte w pozłacanych ramach płótna autorstwa najznakomitszych malarzy francuskich. Tym większy był jego zachwyt, że widział je po raz pierwszy. Nigdy wcześniej bowiem nie udało mu się odwiedzić Luwru.

– W tym muzeum jest ponad sześć tysięcy obrazów, a pana interesuje tylko ten jeden. – Monroe odczytał słowa kobiety jako

zarzut podkreślający jego ignorancję. – Chodźmy tędy, *Les bergers d'Arcadie* są w sali numer czternaście.

Podążyli korytarzem przed siebie. Po chwili skręcili w lewo i Sara poprowadziła profesora wąskim przejściem do wspomnianego pomieszczenia. Monroe od razu poznał dzieła Poussina i spośród kilkunastu płócien to autoportret samego mistrza najbardziej przykuł jego uwagę. Poczuł falę bliżej nieokreślonego uniesienia, która nie pozwoliła mu przez kilka sekund skupić się na niczym innym.

– Profesorze! – Casaviechhi ocuciła go tym zimnym wezwaniem. – To ten obraz, proszę spojrzeć.

Oderwał wzrok od portretu i dołączył do kobiety.

– I ja byłem w Arkadii... – wyszeptła. – Epitafium zmarłego, ostatnie słowa, jakie chciał skierować do potomnych. Symbolizują przemijanie, marność życia i wszelkich dóbr doczesnych...

Podczas gdy Sara kontynuowała swój wywód, Oliver milczał. W przeciwieństwie do niej nie zastanawiał się nad znaczeniem obrazu. Nie starał się wcale zrozumieć jego sensu. Wystarczyło mu patrzenie na niego. Próbował wyobrazić sobie scenę, w której czterech prostych pasterzy odnajduje ukryty między krzewami grobowiec, podczas gdy słońce chyli się już ku horyzontowi, rzucając ostatnie promienie na idylliczny krajobraz. Monroe dostrzegł oczami wyobraźni, jak jeden z pasterzy przykłęka i próbuje odczytać widniejący na sarkofagu napis *Et in Arcadia Ego*. Wówczas jego palce układają się dziwnie, tak że dłoń – ta, którą wodzi po inskrypcji, starając się zwrócić na nią uwagę swych towarzyszy – rzuca na sarkofag cień w kształcie kosy. Tymczasem stojący po jego lewej stronie wieśniak, wsparty o grobowiec i ze zwieszoną głową, wygląda na pogrążonego w głębokiej zadumie, której powodów niepodobna poznać postronnemu obserwatorowi. Wreszcie dołącza

do nich trzeci mężczyzna. Zbliża się powoli i staje jedną nogą na kamieniu wyrastającym z sarkofagu. Podpiera się laską, dłonią wskazuje inskrypcję, a głowę zwraca za siebie, jak gdyby w poszukiwaniu zagubionego towarzysza. Nagle zza drzewa wyłania się zabłąkany wędrowiec. Pewnym krokiem kieruje się w stronę grobowca i przystaje tuż przed nim. Ręce kładzie na biodrach, a pierś wyciąga do przodu, jakby doskonale znał ów grób i osobę w nim pochowaną. Pozostali pytają go o znaczenie inskrypcji, on nie odpowiada, choć dobrze ją zna... Cięcie, koniec sceny. W ten sposób Monroe zdołał ujrzeć to samo, co Poussin wyobraził sobie prawie czterysta lat wcześniej.

– Proszę popatrzeć na postać najbardziej po prawej stronie, stojącą przed innymi – odezwał się w końcu, przerywając Sarze. – Niech pani zwróci uwagę na jej delikatne rysy.

– To kobieta – wtrąciła.

– Tak, i ma na sobie złoto-niebieską szatę, podczas gdy pozostali trzej pasterze skupieni wokół sarkofagu to mężczyźni, przepasani szatami w trzech różnych kolorach. Ten klęczący u stóp grobowca ma na sobie strój niebieski. Pasterz po jego lewej stronie odziany jest w biel, a ten, który pytająco spogląda na kobietę, nosi czerwień. Trzy kolory.

– *Bleu, blanc, rouge* – podchwyciła temat. – Niebieski, biały i czerwony. Kolory francuskiej flagi. Nigdy nie zwróciłam na to uwagi...

– To tylko luźne spostrzeżenie – powiedział. – Może być bez znaczenia w kontekście tego, co Ebeling miał na myśli, podsuwając nam pod nos tę zagadkę.

– Może chodziło mu o Arkadię?

Spojrzał na nią pytająco.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– Przecież przed chwilą przedstawiłam panu cały mit Arkadii. – Oliver spuścił wzrok, wstyd było mu przyznać, że nie słuchał. – Arkadia to miejsce wiecznego szczęścia, życia pełnego uciech, spokoju i ładu. A jednak nawet w raju jest obecna śmierć, co wyraża epitafium zmarłego. Mówi, że człowiek, który spoczął w grobowcu, kiedyś żył w Arkadii. Przesłanie obrazu można tłumaczyć również w inny sposób. Według tej drugiej wersji to sama śmierć mówi: *I ja jestem w Arkadii*. A kobieta, na którą spogląda jeden z pasterzy, jest jej personifikacją. Poussin po prostu stworzył raj na ziemi, w którym jednak nie brakuje trosk, a wszystko kiedyś się kończy. Uwiecznił moment, gdy pasterze zdają sobie sprawę z przemijania i z tego, że ich życie kiedyś również dobiegnie końca.

Monroe zastanowił się nad słowami kobiety.

– A może Ebelingowi nie chodziło wcale o sam obraz, tylko o jego autora? – zasugerował. – W końcu napisał, że to *prawdziwy Poussin strzeże klucza*. Czy miał on jakiś związek z Compagnie du Saint-Sacrement?

– Możemy się tego domyślać, biorąc pod uwagę, że utrzymywał bliskie relacje z jezuitami – odparła. – Sam mawiał, że jego kontakty z tym zakonem w pewien sposób go ukształtowały. Można wręcz powiedzieć, że został przez nich wychowany, uczęszczał bowiem do założonego przez nich gimnazjum w Rouen. Czytał pan *La Cabale des dévots*, profesorze?

– Pobieźnie – odrzekł.

– To pewnie pan wie, że Raoul Allier przedstawia w swojej książce Compagnie jako wpływową i rozbudowaną organizację. Na tej podstawie możemy przypuszczać, że w pewnym okresie swojego życia Poussin nawiązał z członkami Towarzystwa bliski kontakt, chcąc w ten sposób uzyskać ich wsparcie i zdobyć większy

rozgłos jako artysta. To całkowicie prawdopodobne, bo przecież żył w czasach, gdy Compagnie funkcjonowała jeszcze w pełni legalnie.

Oliverowi wciąż coś nie pasowało. Chociaż domyślał się związku między siedemnastowiecznym malarzem a sekretną wspólnotą określaną jako AA, to nie potrafił powiązać swych domysłów z tekstem wysłanym mu przez Ebelinga.

– W zagadce Victora nie pasuje mi słowo *prawdziwy*, wydaje mi się, że jest istotne, ale nie umiem powiedzieć, dlaczego – głośno myślał. – Doktor Casaviechi, z czym kojarzy się pani słowo *prawdziwy*? Kim dla pani jest człowiek prawdziwy?

Próbował zachęcić kobietę do wymiany opinii, mając nadzieję, że wspólna burza mózgów nakieruje ich na rozwiązanie.

– Niech pomyślę... Prawdziwy jest ktoś, kto nie udaje. Prawdziwy jest człowiek szczery...

– Wydaje mi się, że powinniśmy skupić się na samym słowie i jego znaczeniu – przerwał jej. – Jest pani w stanie podać jakieś synonimy?

– Nie wiem, może *ewidentny*, *pewny*, *autentyczny*... Albo inaczej, *prawdziwy* może też odnosić się do czegoś pierwotnego, oryginalnego, bezprecedensowego.

Spojrzał na Sarę z uwagą, jako że usatysfakcjonowała go jej odpowiedź. W końcu wpadli na właściwy trop.

– Otóż to! – krzyknął z radości, ale chwilę potem zniżył głos. – *Prawdziwy* może też oznaczać *pierwszy*.

– *Pierwszy Poussin strzeże klucza?* – sparafrazowała treść wiadomości Ebelinga. – Nie wydaje się to wcale prostsze, profesorze.

Uśmiechnął się.

– Myli się pani. To wszystko tłumaczy, jeśli tylko weźmiemy pod uwagę, że Poussin stworzył dwie wersje *Pasterzy arkadyjskich*. Tę,

na którą teraz patrzymy, namalował między tysiąc sześćset trzydziestym ósmym a tysiąc sześćset czterdziestym rokiem. Natomiast pierwsza wersja płótna powstała nieco ponad dziesięć lat wcześniej.

Casavieccchi uniosła brwi i podrapała się po głowie, jak gdyby doznając nagłego olśnienia.

– *Pierwszy Poussin* ma w domyśle oznaczać *pierwsze płótno Poussina*, czyli pierwszą wersję *Pasterzy arkadyjskich* – wyszeptała, próbując ułożyć sobie wszystko w głowie. – Wychodzi na to, że przez cały czas oglądaliśmy zły obraz. Ale ten, o który chodziło Ebelingowi, znajduje się w Chatsworth w Anglii. Zamierza pan tam jechać?

– Myślę, że to nie będzie konieczne – zgasił jej entuzjazm. – Wystarczy, że poszukamy dobrej reprodukcji. Bez problemu znajdziemy takową w internecie.

Wyciągnął telefon, który na prośbę Malinota podarował mu Cardot.

– Jest tu sieć wi-fi? – zapytał.

– Nigdy nie przychodziłam do Luwru, żeby skorzystać z internetu – odparła ironicznie. – Ale zaraz się dowiem.

Odeszła od profesora, znikając za rogiem korytarza prowadzącego do sąsiedniej sali. Po chwili wróciła.

– Znalazłam tabliczkę z danymi koniecznymi do zalogowania, proszę znaleźć sieć Luwru i wpisać hasło.

– Jak ono brzmi? – zapytał.

– *Louvre* i dwie trójki.

– *Ambitne*.

Monroe wybrał odpowiednią sieć i odblokował do niej dostęp za pomocą podanego przez Sarę hasła. Następnie otworzył przeglądarkę i wpisał w wyszukiwarkę frazę: *Et in Arcadia Ego 1*,

Poussin. Wszedł w zakładkę z obrazami i wyświetlił jeden z pierwszych wyników. Oczom profesora i doktor Casaviechi ukazała się pierwsza wersja *Pasterzy arkadyjskich*, namalowana przez Poussina pod koniec lat dwudziestych siedemnastego wieku.

Różniła się ona znacząco od drugiej wersji, którą oglądali wcześniej. Całość utrzymano w ciemniejszej kolorystyce, a atmosfera panująca na płótnie była zdecydowanie bardziej mroczna. Inne było również przedstawienie samej sceny odnalezienia tajemniczego sarkofagu. O ile bowiem w drugiej wersji *Pasterzy arkadyjskich* grobowiec znajdował się w centrum, o tyle w przypadku pierwszej odsłony obrazu był on umieszczony w prawej części płótna. Górowała nad nim wysoka ściana z wyrytym na niej znakiem krzyża, która rzucała cień na sarkofag tak, że stawał się on niemal niedostrzegalny. Środkową część obrazu zajmowały natomiast trzy postacie ustawione jedna za drugą. Najbliżej grobowca stało dwóch mężczyzn, zza których wyłaniała się kobieta z odsłoniętą piersią. Zdawała się spoglądać drugiemu pasterzowi przez ramię, jak gdyby baczenie przypatrując się odnalezionemu sarkofagowi. Zdecydowanie najbardziej enigmatyczną osobą przedstawioną na obrazie był mężczyzna siedzący ze zwieszoną głową na pierwszym planie. Wydawał się nieobecny i zadumany, a w ręce dzierżył dzban, z którego wylewała się woda, tworząc mały strumień spływający w bliżej nieokreślonym kierunku. Obie odsłony płótna dzieliły ze sobą właściwie tylko jeden wspólny szczegół – zarówno w pierwszej, jak i w drugiej wersji obrazu na sarkofagu wyryta była inskrypcja: *Et in Arcadia Ego*.

– Zupełnie inny – odezwała się Sara.

– Przynajmniej przede wszystkim pasterze są inaczej namalowani – doprecyzował Oliver. – Kolory szat nie odpowiadają tym z nowszej

wersji. Nie ma tu już barw francuskiej flagi. Ponadto kobieta, która na nowszym obrazie wydaje się niewzruszona rozgrywającą się sceną, tutaj obserwuje sarkofag z równym zaciekawieniem, co dwaj pasterze przed nią. I ta siedząca postać z głową ozdobioną wieńcem laurowym... W ogóle nie przypomina pasterza.

– Bo to mitologiczne bóstwo Pan – dopowiedziała. – Patron pasterzy, którego domem jest Arkadia. Poussin często umieszczał go na swoich obrazach, przedstawiając go z dzbanem, z którego wypływa strumień.

– Ale to wciąż nie ma sensu... – Oliver powoli tracił nadzieję, że kiedykolwiek uda im się rozwiązać zagadkę Victora. Jednak doktor Casaviechi nie zwykła poddawać się tak szybko jak on.

– Skoro w wiadomości do pana Ebeling zwrócił uwagę na pierwszą wersję *Et in Arcadia Ego*, to znaczy, że jest w niej coś, czego nie ma na drugim obrazie – powiedziała. – Wydaje mi się, że powinniśmy poszukać różnic między nimi. Trzeba się zastanowić, co zmienił Poussin, malując tę samą scenę dziesięć lat później. Co ukrył...

– Sama pani powiedziała, że te płótna są zupełnie inne. – Monroe wspomniał jej własne słowa. – Różnic jest więc mnóstwo.

– Ale może jakaś rzecz rzuca się w oczy, jest szczególnie charakterystyczna...

– Ja tu niczego takiego nie widzę.

Oliver czuł się poirytowany tym, że nie może niczego wymyślić. Przekazał kobiecie swoją komórkę i odwrócił się na pięcie. Włożył ręce do kieszeni, po czym zaczął nerwowo chodzić po sali. Tymczasem doktor Casaviechi wciąż wpatrywała się w obraz, próbując znaleźć dowody na słuszność swojej tezy, jakoby dwie wersje *Pasterzy arkadyjskich* w rzeczy samej odróżniał od siebie jakiś istotny detal. Nagle niepewnym głosem zawołała profesora:

– Panie Monroe...

Zbliżył się do niej niechętnie.

– Wie pan, czym inspirował się Nicolas Poussin, tworząc *Et in Arcadia Ego*? – zapytała, nie odrywając wzroku od obrazu w telefonie Olivera.

– Mitem arkadyjskim – odparł sarkastycznie.

– Bardzo śmieszne – przewróciła oczami. – Poussin wzorował się na obrazie Giovanniego Francesca Barbieriego o tym samym tytule. Przedstawia on dwóch pasterzy spoglądających na czaszkę. W pierwszej wersji *Et in Arcadia Ego* Poussin również wykorzystał motyw czaszki jako symbolu przemijania i marności. Proszę popatrzeć, co leży na grobowcu.

Dopiero wówczas Monroe dostrzegł niewielką ludzką czaszkę spoczywającą na płycie przykrywającej sarkofag. Była tak skromna, że łatwo można było ją przeoczyć, zwłaszcza że ekran telefonu był dość mały i utrudniał zauważenie szczegółów.

– Natomiast w drugiej wersji *Pasterzy arkadyjskich* nie ma żadnej czaszki – kontynuowała, podczas gdy Oliver przyglądał się obu obrazom, porównując je. – Istnieje pewna hipoteza autorstwa francuskiego antropologa, Claude’a Lévi-Straussa, zgodnie z którą Poussin namalował dwie kontynuacje obrazu Barbieriego, na których czaszka stopniowo zastępowana jest postacią kobiety, która przejmuje jej symbolikę. Na płótnie Barbieriego występuje czaszka jako symbol śmierci i przemijania. W pierwszej wersji *Et in Arcadia Ego* Poussina mamy zarówno czaszkę, jak i kobietę, natomiast w drugiej wersji tego obrazu pozostaje już tylko kobieta, a brak jest czaszki. Profesorze, wydaje mi się, że to brak czaszki jest największą różnicą między pierwszą a drugą wersją dzieła Poussina.

Oliver nie odezwał się, ale nie dlatego, iż uznał teorię Sary za tak absurdalną, że wolał ją przemilczeć. Wręcz przeciwnie – nagle

dotarło do niego, że kobieta miała rację i właśnie z tego powodu zamilkł. Zdało mu się, że w końcu zrozumiał przesłanie Ebelinga, ale musiał jeszcze upewnić się co do jednej kwestii.

– Philippe Saunière... – wyszeptał, po czym zwrócił się do kobiety:
– Zna pani kogoś z Centre Sèvres?

Zrazu nie odpowiedziała, zaskoczyła ją bowiem nagła zmiana tematu.

– Tego jezuickiego wydziału kształcącego teologów i filozofów tutaj, w Paryżu? – upewniła się.

– Tak.

– Niech pomyślę... Moja znajoma pracuje tam w sekretariacie.

– Czy może pani teraz do niej zadzwonić? – zapytał z przejęciem w głosie. – Potrzebne mi są natychmiast informacje na temat tego, czy w tym roku otrzymał u nich dyplom jakiś Philippe Lachapelle albo Philippe Saunière.

– Mogę, ale na pewno nie ma jej już w pracy, więc nie wiem, czy będzie w stanie to sprawdzić.

– Teraz wszystkie uniwersytety korzystają już z internetowych baz danych – odparł. – Wystarczy, że zaloguje się na odpowiedniej stronie.

– Dobrze, ale zdaje sobie pan sprawę, że to poufne informacje i może nie chce ich udzielić?

– Mimo wszystko proszę spróbować, bardzo mi na tym zależy.

Przekazał jej komórkę. Wyszukała stronę internetową Centre Sèvres i odnalazła numer do swojej znajomej. Wybrała go i przyłożyła telefon do ucha. Nagle ktoś odpowiedział po drugiej stronie i Sara zaczęła rozmawiać po francusku. Monroe czekał z niecierpliwością na to, jak potoczy się konwersacja. W pewnym momencie Casaviechi mrugnęła do niego. Odetchnął z ulgą,

bowiem oznaczało to, że kobieta pracująca w sekretariacie Centre Sèvres się zgodziła.

– *D'accord, merci, à bientôt* – rozłączyła się. – Nie wiem, czy zadowolili pana ta wiadomość.

Monroe spojrział na nią pytająco.

– Nikt o nazwisku Lachapelle nigdy nie uczęszczał na zajęcia prowadzone na ich wydziale – odpowiedziała. – Jeśli natomiast chodzi o Philippe'a Saunière'a, to rzeczywiście taka osoba ukończyła w tym roku studia teologiczne i otrzymała dyplom.

– Czy pani znajoma wspominała coś o tym, że ten człowiek jest księdzem?

Zaprzeciżyła ruchem głowy.

– Wręcz przeciwnie, mówiła, że ma go w rejestrze świeckich. Oni duchownych jakoś inaczej wpisują, mają dla nich osobne listy. Wyraźnie powiedziała, że ten Philippe Saunière był na liście świeckich.

Oliver spuścił wzrok, ponieważ jego przypuszczenia okazały się słuszne.

– O co chodzi, profesorze? – zapytała, nie miała bowiem pojęcia, dlaczego ta informacja była dla niego tak istotna.

Nie odpowiedział. Nawet jeśli chciałby jej wszystko po kolei wytłumaczyć, nie miałby pojęcia, od czego zacząć. W jego głowie huczały słowa zagadki Ebelinga, przeplatane dwoma pozornie nieistotnymi wyrażeniami z tekstu *Lemegetonu*, które ktoś umyślnie podkreślił. Nagle profesor zorientował się, że przynajmniej jedno z nich ma fundamentalne znaczenie w kontekście całej zagadki.

Asmodeusz ukazuje miejsca, gdzie skarby spoczywają i strzeże ich. Nie miał już żadnych wątpliwości, że to Philippe Saunière chciał zwrócić jego uwagę na te słowa. To on bowiem zajmował ostatnią

pozycję w przedstawionym przez Sarę rejestrze osób, które wypożyczyły surrealny *Lemegeton*. To on był w Bibliotece Narodowej pierwszego marca tego roku, trzy tygodnie przed śmiercią Gauthiera. I wreszcie to on nie oddał potwornej książki, wcześniej ukrywając w niej zaginiony *Raport Crosa*. Najbardziej przerażające w tym wszystkim było jednak to, że Monroe doskonale wiedział, kim jest owiany tajemnicą Philippe Saunière. A nawet już kiedyś z nim rozmawiał.

– Wychodzi na to, że ten przyjaciel, o którym pani mówiłem, Philippe Lachapelle – odrzekł drżącym głosem – naprawdę nazywa się Saunière.

ROZDZIAŁ 37

– Dlaczego więc pana okłamała? – Sara wydawała się zagubiona w niekończących się łamigłówkach i niedomówieniach. – I jaki on ma związek z zagadką od Ebelinga, z obrazami Poussina i z nim samym?

– Taki, że miała pani rację – powiedział. – W rzeczy samej cały czas chodziło o czaszkę. A właściwie o głowę.

– Słucham?

Westchnął głęboko.

– Chciałbym to wszystko wytłumaczyć, ale muszę teraz wracać do Rennes-le-Château – odparł. – Dziękuję za pomoc. Bez pani nie udałoby mi się pojąć, o co w tym wszystkim chodzi.

Z początku dostrzegł w jej oczach zawód, który jednak prędko ustąpił miejsca zrozumieniu. Nie zamierzała dowieść, co miał na myśli. Pozwoliła mu zachować to w tajemnicy. Oddała mu komórkę i oboje ruszyli do wyjścia. Nagle jednak kobieta przystanęła.

– Nie idzie pani ze mną? – zapytał zaskoczony Monroe, odwracając się w jej stronę. – Inspektor Cardot może przecież odwiedzić panią do domu.

– Nie, zostanę jeszcze chwilę i popatrzę na *Pasterzy* – odparła. – Może sama wpadnę na rozwiązanie. Bez pana pomocy.

Uśmiechnęła się.

– Jeszcze raz dziękuję – powiedział ściszym głosem.

– Nie ma za co. I niech pan się tak nie przejmuje.

– W jakim sensie?

– Mówię o tym, że pewnie czuje się pan oszukany przez Ebelinga, Blanca i pana przyjaciela, Philippe'a. Każdy z nich wystawił pana do wiatru.

– To nic, poradzę sobie. Chociaż w rzeczy samej trudno mi w to wszystko uwierzyć.

– Niech pan pamięta o jednym – założyła ręce na piersiach. – Im więcej gdzieś jest światła, tym cień bywa tam większy.

Pokiwał głową.

– Będę pamiętał – odparł. – Do widzenia.

Opuścił salę, zostawiając doktor Sarę Casaviechi samą w pomieszczeniu pełnym dzieł Nicolasa Poussina. Wrócił do holu Napoleona i wspiął się po okrężnych schodach prowadzących przez Piramidę Luwru na zewnątrz, gdzie czekał już na niego inspektor Cardot. Policjant stał oparty o samochód z papierosem między wargami. Zgasił go, gdy tylko ujrzał profesora, a niedopałek wyrzucił do pobliskiego kosza na śmieci. Monroe ostatnie parę metrów dzielących go od samochodu pokonał szybkim truchtem.

– Odwiezie mnie pan na dworzec? – zapytał.

– Oczywiście. – Cardot otworzył drzwi od strony kierowcy. – A pani doktor nie jedzie z nami?

– Proponowałem jej podwózkę, ale wolała zostać.

– Dobrze, jedźmy więc sami.

Oliver zajął miejsce pasażera na przednim siedzeniu. Inspektor odpalił silnik, wycofał i okrążył rondo, podążając jedną z ulic biegnących pod Pawilonem La Trémoille. Tuż za nim znajdował się Pont du Carrousel, którym jechali już wcześniej tej nocy.

– Dowiedział się pan czegoś? – odezwał się Cardot.

– Tak – odparł profesor. – Właściwie to prawie wszystkiego.

Sięgnął do kieszeni po komórkę i wybrał numer Malinota. Nagle w przyptywie emocji poczuł nieopisaną potrzebę opowiedzenia mu wszystkiego. Przyłożył telefon do ucha, wyczekując znajomego głosu po drugiej stronie.

– Profesorze, miałem właśnie do pana dzwonić. – Inspektor mówił tak szybko, że Monroe nie był w stanie nawet wejść mu w słowo. – Pana przypuszczenia okazały się trafne. Zatrzymaliśmy Blanca, a policja w Wersalu zatrzymała Cartiera. Obaj przyznali, że współpracują z Ebelingiem, ale nie mają pojęcia, gdzie on teraz jest. Wydają się mówić prawdę, choć mamy do nich ograniczone zaufanie. Twierdzą również, że nie wiedzą, kim jest morderca, choć nie byłbym tego taki pewien. Może powiedzą coś więcej, jak ich trochę przyciśniemy.

– To nic nie da – skwitował jego słowa Oliver. – Oni naprawdę nie mają pojęcia, kto zabija księży. Stoją po przeciwnej stronie barykady. Pracują przecież dla Compagnie, choć sami o tym nie wiedzą. Ale mam pewne przypuszczenia odnośnie...

– Cartier miał przy sobie jakieś dokumenty podpisane jako *Raport Crosa* – oznajmił Malinot, nie dając profesorowi dokończyć zdania. – To ich pan szukał w Bibliotece Narodowej?

– Tak, pańscy ludzie patrzyli, co jest w środku?

– Istotnie, i dostałem informację, że nic tam nie ma.

Monroe był tak zaskoczony, że zdecydował się upewnić, czy dobrze zrozumiał inspektora.

– Mógłby pan powtórzyć? – poprosił. – Jak to nic tam nie ma?

– Są tylko puste strony. Sprawdzali gołym okiem, pod lupą, pod światło i wciąż nic. Na pewno nie pomylił pan dokumentów?

– Oczywiście, że nie – odparł skonsternowany. – Znalazłem je dokładnie tam, gdzie kazał mi ich szukać...

Zająknął się. Gdzie kazał mi ich szukać ksiądz Philippe Lachapelle, który ani nie jest księdzem, ani nie nazywa się Lachapelle – dokończył w myślach.

– Profesorze? – odezwał się inspektor. – Jest jeszcze jedna sprawa. Monroe bał się zapytać, o co chodzi, ale w końcu to zrobił:

– Tak?

– Przeszukaliśmy rzeczy Cartiera, które trzymał w komisariacie i wśród nich znaleźliśmy GHB.

– Co to jest?

– Kwas gamma-hydroksymasłowy. Wykorzystywany jako pigułka gwałtu – odpowiedział Malinot, a Oliver otworzył usta ze zdziwienia. – Praktycznie nie ma ani zapachu, ani smaku, co umożliwia jego rozpuszczenie w dowolnym napoju. Podejrzewamy, że Cartier podał tę substancję Babineaux, co tłumaczyłoby jego dziwne zachowanie, gdy tamtego poranka po raz drugi do nas przyszedł. A właściwie gdy sam Cartier go do nas przyprowadził. To on bowiem znalazł Babineaux w opłakanym stanie, ogolonego i w podartej sutannie. Sądzę, że to Adrien mógł to wszystko zrobić, gdy ksiądz był pod wpływem GHB.

– Dlaczego miałby to robić, skoro pracuje dla Compagnie, której członkiem był Babineaux? Zresztą... Sprawdziliście, czy ksiądz rzeczywiście to zażył?

– Nie byliśmy w stanie – kontynuował inspektor. – GHB możemy wykryć we krwi maksymalnie do ośmiu godzin po spożyciu, a ksiądz zginął po upływie doby od podania. Chcieliśmy pobrać mocz w trakcie sekcji, ale pęcherz był pusty. Jedynym materiałem, który może okazać się skuteczny, są włosy, ale problem z nimi jest taki, że GHB można w nich stwierdzić dopiero po dwóch tygodniach od zażycia. A co do tego, dlaczego Cartier mógłby podać

tę substancję Babineaux, to myślę, że Ebeling kazał mu to zrobić. Starzec chciał za wszelką cenę przekonać nas, że sytuacja jest poważna i powinniśmy bardziej zainteresować się tą sprawą. Wstyd przyznać, ale wcześniej byliśmy dość... bierni. Ale wie pan, profesorze, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze? Otóż w domu Blanca również znaleźliśmy GHB. Nie powiedział jednak, do czego mu było potrzebne.

Nagle Monroe przypomniał sobie ten dziwny, lekko słodkawy smak wody, którą poczęstował go dziennikarz w drodze z Tuluzy do Carcassonne.

– Czyli GHB można rozpuścić w wodzie? – zapytał drżącym głosem.

– Oczywiście, że tak – odparł Malinot, a Oliverowi zakręciło się w głowie. – Przy czym zazwyczaj używa się słodkich napojów, bo o ile czysty kwas gamma-hydroksymasłowy w rzeczy samej nie ma smaku, to jego sól sodowa stosowana w kryształkach jest lekko słonawa. Tę właśnie postać znaleźliśmy przy Blanku. Jeśli chciałby podać komuś sól sodową GHB rozpuszczoną w wodzie, to musiałby tę wodę lekko posłodzić, żeby ofiara nie zorientowała się, że coś jest nie tak. Dlaczego pan pyta, profesorze?

Oliver nie zamierzał jednak odpowiadać na pytanie inspektora.

– Jakie są objawy zażycia tej substancji? – dociekał.

– Wszystko zależy od naszej masy ciała i od tego, ile GHB przyjęliśmy. Niskie dawki powodują euforię, a wysokie mogą nawet skutkować śpiączką i niepamięcią wsteczną. Przeciętą dawką dwóch i pół grama zwykle powoduje halucynacje.

Słowa Malinota trafiły go jak grom z jasnego nieba. Na powrót stanęła mu przed oczami rozciągnięta w potwornym grymasie twarz Blanca, który w czasie ich wspólnej podróży samochodem snuł niewyobrażalne opowieści o morderstwach księży. Po raz kolejny

przypomniawszy sobie ostatni poranek, gdy cały umorusany w błocie zapukał do drzwi pani Martínez. Nie pamiętał wówczas nic a nic z wędrówki przez pola i lasy, którą odbył po swej brawurowej ucieczce z samochodu dziennikarza. Wyglądało na to, że zarówno ta amnezja, jak i wcześniejsze niezwykle halucynacje były wynikiem przyjęcia przez niego substancji psychotropowej, znanej jako GHB, którą Blanc zmyślnie podsunął mu w butelce wody.

– A tak w ogóle, to dlaczego pan zadzwonił, profesorze? – Nagle usłyszał głos inspektora, który wyrwał go z zamyślenia. – Chciał mi pan coś powiedzieć?

Tymczasem zajechali już pod dworzec Montparnasse.

– Nie, właściwie to nic, zmieniłem zdanie – odparł Monroe; w jednej chwili stracił bowiem chęć do podzielenia się z inspektorem swoim odkryciem.

– Wraca pan już do Rennes-le-Château?

– Tak – powiedział. – Jestem teraz na dworcu w Paryżu.

– W takim razie do zobaczenia rano.

– Do widzenia.

Oliver rozłączył się. Inspektor Cardot zdążył już zaparkować przy ulicy i wyłączyć silnik.

– Dlaczego nie powiedział pan Malinotowi, czego udało się panu dowiedzieć? – zapytał profesora.

– Nie wiem – zmieszał się. – Inspektor wspomniawszy o czymś, co kompletnie wytrąciło mnie z równowagi i nie potrafiłem wystarczająco się skupić, żeby mu wszystko dokładnie wytłumaczyć. Zrobię to po powrocie.

– Kupiłem panu bilet. – Cardot zmienił temat. – Wyślę go panu w wiadomości. Pociąg do Carcassonne odjeżdża za piętnaście minut. Ma pan przesiadkę w Tuluzie na dworcu Toulouse Matabiau. Zapamięta pan?

Monroe popatrzył na zegarek. Była godzina druga trzydzieści nad ranem.

– Tak, ale mogłem sam sobie kupić bilet. Nie musiał pan za mnie płacić.

Cardot machnął ręką.

– To nie ja płacę, tylko państwo, profesorze – odparł. – Miło było pana poznać, do widzenia. I niech pan pozdrowi inspektora Malinota.

Oliver podziękował Cardotowi, pożegnał się z nim i wysiadł z samochodu. Podążył w stronę wejścia na dworzec Montparnasse i dalej na peron, kierując się informacjami umieszczonymi na tabliczkach. Po chwili był już na miejscu. Czuł się okropnie zmęczony, toteż liczył na to, że ogarnie go błogi sen, gdy tylko wejdzie do pociągu. Nie zmrużył oka od doby, a sześciogodzinna podróż do Carcassonne dawała mu szansę na odpoczynek. Miał tylko nadzieję, że nie przeszkodzi mu w tym trapiąca go od trzech tygodni mara, tak łudząco podobna do wizji, jakich doświadczyli księża w przeddzień swojej śmierci.

ROZDZIAŁ 38

*RENNES-LE-CHÂTEAU,
24 KWIECIEŃ 2017 ROKU, GODZINA 3.00*

Od momentu ucieczki Victora Ebelinga policja wzmogła kontrole na wszystkich drogach prowadzących z Carcassonne do Rennes-le-Château. I chociaż po ulicach małej miejsciny na południu Francji wciąż krzątało się paru policjantów, żaden z nich nie obstawiał domu starca. Najpewniej nie sądzili, że poszukiwany mógłby wykazać się tak wielką głupotą, żeby do niego powrócić. Łatwo zatem przyszło Ebelingowi przebyć pod osłoną nocy niestrzeżone pola i lasy i omijając główne szlaki, przedostać się do miejsca, gdzie kilka godzin wcześniej zatrzymał go inspektor Malinot.

Wyczerpany podszedł do drzwi, próbując je otworzyć. Nagle przypomniał sobie, że w komisariacie skonfiskowano mu wszystkie rzeczy, które miał przy sobie, w tym klucze. Nie stanowiło to jednak problemu. Obszedł budynek dookoła i skorzystał z wejścia, którym wcześniej Monroe i Blanc uciekli przed policją. Dostał się do środka i wolnym krokiem przemierzył ciemny korytarz. Otworzył małe drzwiczki znajdujące się na jego końcu i odsunąwszy grubą płachtę, wkroczył do piwnicy.

Zapalił światło. I choć najchętniej usiadłby na krześle i pogрузzył się w głębokim śnie, wiedział, że na razie nie może sobie na to

pozwolić. Miał bowiem do załatwienia jeszcze jedną ważną sprawę, która nie cierpiała zwłoki.

Zbliżył się do narożnej komody i z ostatniej szuflady wyciągnął sterylne zapakowane strzykawkę i igłę. Wyjął je i przygotował odpowiednio, a następnie sięgnął do tej samej szuflady po małą ampułkę. Wyteńczył wzrok i odczytał nazwę widniejącą na etykiecie preparatu: *Valium*. Ruchem kciuka odłamał górną część ampułki i nabrał do strzykawki dwa mililitry leku. Następnie odwrócił się i uklęknął ciężko tuż przy dywanie pokrywającym wyłożoną kafelkami podłogę. Złapał za krawędź dywanu i szarpnął do boku, odsłaniając kryjący się pod nim właz. Wyglądał jak zwykła drewniana kłapa zabezpieczona mizerną zasuwą.

W lewej ręce dzierżył strzykawkę, prawą zaś odsunął zasuwę i podniósł kłapę. W małym schowku panowała ciemność, mimo że w piwnicy paliło się światło. Starzec zaczął nerwowo szukać czegoś wzrokiem. Wychylił się nieco do przodu, a lewą rękę wyciągnął w stronę ciemności, jak gdyby chciał za coś chwycić. Nagle z wnętrza schowka wychynęła dłoń i złapała go za przedramię. Nim zdążył zareagować, poczuł silne szarpnięcie w dół, stracił równowagę i runął, nurkując w mroku. W ostatniej chwili zdołał drugą ręką zrobić zamaszysty ruch w stronę swego przeciwnika, który jednak okazał się szybszy i zablokował uderzenie. Wyrwał mu z dłoni strzykawkę i z całej siły wbił igłę w udo starca.

W piwnicy rozległo się głucho stęknienie, a napastnik nacisnął tłok strzykawki, wprowadzając całą jej zawartość w mięśnie Ebelinga. Starzec przez krótką chwilę dygotał, ale po kilku sekundach nierównej walki poddał się ogarniającemu całe jego ciało rozluźnieniu. Stał się tak wiotki, że nie był w stanie dalej się bronić. Zdołał jedynie obrócić się na plecy, nim jego ręce opadły

bezwiednie wzdłuż tułowia, a nogi zastygły w niefizjologicznej pozycji. Zachował tylko zdolność do poruszania gałkami ocznymi, toteż – całkowicie świadomy swej porażki – zaczął niespokojnie wodzić wzrokiem po pomieszczeniu, które widział jak przez mgłę.

Zauważył kobiecą sylwetkę, wspinającą się po szczeblach niewysokiej drabinki przystawionej do ściany schowka. Gdy postać dotarła na szczyt, podniosła się z kolan i odwróciła w jego stronę. Zdało mu się wówczas, że ujrzał delikatny uśmiech zarysowujący się na jej twarzy. Nagle spostrzegł, jak schyla się i unosi z wolna drewnianą klapę. Usłyszał skrzypienie zawiasów i głucho trzaśnięcie. Zapanowała ciemność.

ROZDZIAŁ 39

TULUZA,

24 KWIETNIA 2017 ROKU, GODZINA 6.45

Była za piętnaście siódma, co oznaczało, że profesor spędził w pociągu równe cztery godziny. Do tej pory nie udało mu się zmrużyć oka, choć na dworze już świtało. Nie potrafił przestać myśleć o Kate, którą rozpaczliwie starał się odnaleźć; o Blanku i Ebelingu, którzy tak perfidnie go oszukali; i wreszcie o Phillippe Saunièrze, którego podstęp zwabił go aż do Paryża, skazując na błądzenie po Bibliotece Narodowej w poszukiwaniu dokumentów o wątpliwej autentyczności.

I chociaż odnalezienie Kate od początku było dla niego sprawą priorytetową, to właśnie myśl o enigmatycznym młodzieńcu jak nic innego spędzała mu sen z powiek. Stojąc przed obrazem Poussina w Luwrze, zaczął podejrzewać jego udział w morderstwach proboszczów. Kiedy bowiem doktor Casaviechi wpadła na pomysł z czaszką, on przypomniał sobie scenę, gdy niedoszły ksiądz wparował do kościoła Świętej Marii Magdaleny w Rennes-le-Château z zawiniątkiem pod pachą, w którym znajdowała się głowa demona Asmodeusza. Odświeżył w pamięci tamten moment, dodał do niego podkreślone zdanie z plugawego *Lemegetonu*, które wspominało o demonie oraz wiadomość

od Ebelinga wysłaną z telefonu Kate i nagle wszystko stało się jasne. Wspólnym mianownikiem wymienionych wskazówek była czaszka, a raczej głowa Asmodeusza. Uświadomiwszy to sobie, Monroe rychło pożegnał Sarę i opuścił muzeum. Zaczął bowiem wierzyć, że Philippe wcale nie znalazł fragmentu posągu w Jardin du Calvaire, a sam odrąbał głowę demonowi, by zwrócić na nią jego uwagę.

Jednak dwie kwestie pozostawały szczególnie niezrozumiałe dla profesora. Po pierwsze – nie potrafił pojąć, co było tak niezwykłego w głowie demona, że zarówno Philippe, jak i Ebeling chcieli, żeby on również się nią zainteresował. Po drugie zaś zastanawiało go, dlaczego Philippe zataił przed wszystkimi swoje prawdziwe imię i nazwisko oraz to, że nie jest wcale duchownym. I z jakiego powodu wysłał profesora na poszukiwania sfałszowanego dokumentu?

Jako że motywacja młodzieńca i tajemnica jego prawdziwej tożsamości wciąż pozostawały dla Olivera zagadką, profesor nie zamierzał wyciągać niemiarodajnych wniosków na podstawie samych tylko domysłów. Zamiast tego zdecydował się skupić na poznaniu sensu kryjącego się za posągiem demona Asmodeusza. W tym celu wyjął z kieszeni telefon i wyszukał w internecie informacje na jego temat. Prędko jednak uświadomił sobie, że nie dowie się w ten sposób nic ponad to, co już wie. Bo choć natrafił na mnóstwo informacji dotyczących posągu, to żadna z nich nie tłumaczyła, dlaczego rzeźba mogła się znaleźć w centrum zainteresowania Philippe'a. Ot, był to zwykły posąg stworzony w pracowni Giscarda w Tuluzie.

Toulouse Matabiau – usłyszał komunikat, przypominający mu, że powinien wysiąść. Poderwał się gwałtownie z miejsca i ruszył w stronę drzwi wyjściowych. Po chwili stał już na peronie wśród

wielu podobnych mu turystów, zdezorientowanych i szukających wzrokiem tabliczek informacyjnych, dzięki którym mogliby odnaleźć właściwy peron. On jednak już w drodze sprawdził na bilecie, że pociąg do Carcassonne odjeżdża za prawie godzinę, dlatego nie spieszyło mu się tak bardzo. Wolnym krokiem podążył w stronę jednej z pobliskich ławek i usiadł. Ponownie odblokował telefon i postanowił raz jeszcze przeszukać internet. Tym razem jednak zdecydował się rzucić okiem na zdjęcia, które proponowała mu wyszukiwarka.

Ze zdziwieniem spostrzegł, że poza typowymi obrazami przedstawiającymi posąg demona były tam również zdjęcia wykonane wczoraj, na których uwieczniono rzeźbę Asmodeusza pozbawioną głowy i ramion. Najwidoczniej któryś z miejscowych dziennikarzy zjawił się już na miejscu i napisał artykuł traktujący o zniszczeniach poczynionych w kościele podczas przypadającego dzień wcześniej Święta Bożego Miłosierdzia. Profesor zignorował te fotografie i przewinął stronę w dół.

Nagle jego oczom ukazał się obraz złożony z dwóch zdjęć. Oba przedstawiały wykadrowaną głowę posągu Asmodeusza. Ku jego zdziwieniu fotografie znacząco różniły się od siebie w pewnych szczegółach. Przede wszystkim ukazane rzeźby nie były identyczne, już bowiem na pierwszy rzut oka Oliver mógł wskazać kilka istotnych różnic dotyczących wyrazu twarzy demona, kształtu nosa i uszu czy też ułożenia włosów. Ponadto posąg na lewym zdjęciu podpisany był jako *original*, a sama fotografia sprawiała wrażenie starszej, z kolei rzeźba po prawej stronie opatrzona była tytułem *le deuxième*. I chociaż Monroe nie znał francuskiego, to bez problemu rozumiał te podpisy; skoro bowiem *original* znaczyło tyle co *oryginalny, pierwszy*, to *le deuxième* musiało niewątpliwie oznaczać *drugi*.

Profesor zmarszczył brwi w geście zdziwienia. Na podstawie odkrytych fotografii mógł z dużą dozą prawdopodobieństwa domniemywać, że obecna wersja posągu Asmodeusza nie jest tą samą, której wykonanie przed ponad stu laty zlecił Saunière. Oznaczałoby to jednak, że Philippe'owi wcale nie chodziło o głowę, którą własnoręcznie odrąbał i przyniósł wtedy do kościoła. Nidoszły ksiądz swym bezeceńskim czynem chciał w rzeczywistości zwrócić uwagę Olivera na oryginalną głowę demona, tę powstałą na zlecenie tajemniczego księdza. Pojawiła się więc kolejna kwestia wymagająca wyjaśnienia – co się stało z pierwszą głową posągu, skoro podjęto decyzję o zastąpieniu jej nową?

Odpowiedź na to pytanie przyszła szybciej, niż Oliver mógł się spodziewać. Przypadkiem kliknął na opis analizowanego zdjęcia i natychmiast został przekierowany na odpowiednią stronę, która doskonale tłumaczyła losy niezwykłego posągu. Otóż nie był to pierwszy raz, gdy rzeźba padła ofiarą wandalizmu. Już bowiem dwadzieścia jeden lat wcześniej, dwudziestego pierwszego kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku ktoś dopuścił się takiego czynu. Co ciekawe – zniszczenia były wówczas podobne; demon stracił zarówno głowę, jak i jedno ramię, których nigdy nie odnaleziono. Skoro więc głowa bezpowrotnie zaginęła, to jak Philippe mógł oczekiwać, że Oliver ją odnajdzie?

Monroe poczuł, że utknął w martwym punkcie. Włożył telefon z powrotem do kieszeni, po czym oparł ręce na kolanach i zastygł w tej pozycji na minutę. Zorientował się, że pogoń za skradzioną głową Asmodeusza nie ma sensu. Po pierwsze – brak mu było czasu, po drugie zaś był przekonany, że zapewne wielu poszukiwaczy przed nim próbowało odnaleźć zaginiony fragment rzeźby, ale ich wysiłki ostatecznie spełzły na niczym. Zatem nawet

gdyby zdecydował się odszukać głowę, musiałby się liczyć z nikłą szansą powodzenia takiej akcji.

Popatrzył na duży zegar wiszący na słupie tuż przy schodach prowadzących do podziemnego przejścia. Wskazywał dziesięć minut po siódmej. Oliver miał więc jeszcze około czterdziestu pięciu minut do odjazdu pociągu. Nagle wyprostował się, jak gdyby w głowie zaświtała mu myśl, która napełniła go nieoczekiwaną nadzieją. Przypomniał sobie, że przecież posąg Asmodeusza został wykonany w pracowni Giscarda, której siedziba mieściła się w Tuluzie. Jeśli tylko udałoby mu się do niej dostać, być może odnalazłby tam coś interesującego i pomocnego; coś, co nakierowałoby go na właściwe tory. Ponownie wyciągnął telefon komórkowy i wyszukał w internecie informacje na temat pracowni.

Prędko odkrył, że Joseph Giscard – ostatni potomek założyciela manufaktury, legendarnego Jean-Baptiste’a – zmarł w dwa tysiące piątym roku. Oznaczało to, że Monroe nie miał co liczyć na dowiedzenie się czegoś z pierwszej ręki. Natrafił również na informację, że siedziba rodu Giscardów mieściła się przy alei de la Colonne i nazywana była Maison Giscard. Tam rzeźbiarze pracowali przez równe sto pięćdziesiąt lat istnienia rodzinnego interesu. Jednakże po śmierci Josepha prace ustały, a gmach przemienił się szybko w opuszczone domostwo. Był to bez wątpienia wyjątkowo niewdzięczny los jak na miejsce o tak bogatej historii. I chociaż sam Joseph za życia pragnął, by budynek pozostał otwarty dla każdego, kto zechce go odwiedzić, prędko okazało się jednak, że nie będzie to możliwe. Konstrukcja Maison Giscard i układ pomieszczeń wewnątrz nie pozwalały przekształcić go w muzeum. Z racji braku pomysłów na zagospodarowanie nieruchomości merostwo Tuluzy wstrzymało się od podejmowania

jakichkolwiek decyzji administracyjnych odnośnie do jej dalszych losów.

Oliver jak mantrę powtarzał w myślach adres Maison Giscard. Próbował w ten sposób przekonać sam siebie, że powinien odwiedzić to miejsce. Wiedział jednak, że ryzykuje stratę kolejnej godziny, opóźniając tym samym dotarcie do Rennes-le-Château i uwolnienie Kate. Nagle poderwał się z ławki i ruszył w stronę schodów. Ciekawość po raz kolejny wzięła górę nad rozsądkiem.

Prędko sprawdził, że aleja de la Colonne znajduje się tuż obok cmentarza Terre-Cabade oddalonego o niecały kilometr. Wystarczyło po opuszczeniu dworca przejść przez most i podążyć następnie wzdłuż torów ulicą generała Jeana Compansa. Zbaczała ona łagodnie w lewo, prowadząc do ronda, na którym kontaktowała się z przyległą aleją de la Colonne.

Po niespełna kwadransie marszu Monroe odnalazł budynek z numerem dwadzieścia siedem. Nietrudno było poznać, że należał do rzeźbiarza. Surowa architektura sąsiednich domów o pozbawionych zdobień fasadach sprawiała, że Maison Giscard wyróżniał się na ich tle swym nietuzinkowym wykończeniem i mnogością szczegółów. Profesor zdawał sobie sprawę, że był to celowy zabieg, często stosowany przez rzeźbiarzy, którym zależało na pokazaniu swojego kunsztu, jeszcze zanim potencjalni klienci przekroczą próg ich pracowni. Nie mogły więc dziwić liczne terakotowe posągi i płaskorzeźby umieszczone w najróżniejszych miejscach fasady domu. Uwagę zwracały zwłaszcza trzy mały w rogach budynku, ozdobne wykończenie dachu ciągnące się wzdłuż jego krawędzi, a także herby rodu zdobiące łuki rozpięte nad oknami na parterze. Od strony ulicy widoczny był również boczny fronton opatrzony dwoma aniołami podtrzymującymi herb nad dwuspadowym dachem. Mimo zapierających dech w piersiach

detali Maison Giscard sprawiał wrażenie zaniedbanego i wysuszonego południowym słońcem.

Oliver zbliżył się do obdrapanych, drewnianych drzwi i zapukał w nie za pomocą pozłacanej kołatki. Zaczekał chwilę, a nie otrzymawszy odpowiedzi, chwycił za gałkę w nadziei, że jakimś cudem drzwi były otwarte. Nie przyniosło to jednak żadnego skutku. Przynajmniej próbowałem – pomyślał.

– Tędy nie wejdiesz, profesorze.

Zza pleców dobiegł go znajomy głos. Bez wahania odwrócił się na pięcie i oniemiał.

– To niemożliwe – wycedził. – Skąd się tu wzięłaś?

– Gdybym miała polegać na tobie, to nigdy nie doczekałabym się pomocy – odrzekła młoda kobieta, uśmiechając się. – Ja siedzę zamknięta w jakiejś norze, podczas gdy ty urządzasz sobie wycieczkę po Tuluzie. To nie do pomyślenia.

ROZDZIAŁ 40

Nie mógł uwierzyć własnym oczom. To była ona, Kate Evans. Skłamałby, mówiąc, że tak wyobrażał sobie moment, w którym ją spotka. Od samego początku podróży zależało mu tylko na tym, by ją odnaleźć, ale jakimś dziwnym zrzędzeniem losu to ona znalazła jego. I choć od ich ostatniego spotkania na uniwersytecie minęło niewiele ponad dwa miesiące, to zdawało mu się, jakby nie widzieli się od co najmniej kilku lat.

Jej niegdyś długie i proste blond włosy, które zwykła związywać w kucyk, były teraz rozpuszczone i potargane. Z kolei nienaganne ubranie – stanowiące kiedyś jej wizytówkę – wyglądało na pogniecione i zużyte. Te drobne mankamenty nie miały jednak żadnego znaczenia. Liczyło się dla niego tylko to, że była cała i zdrowa.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedział i zbliżył się do niej.

Padli sobie w ramiona. Dopiero wtedy Monroe pojął, na kim tak naprawdę mu zależało. Nie mógł się sobie nadziwić, że był zmuszony pokonać pięć i pół tysiąca kilometrów dzielące wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych i Francję, by to zrozumieć.

– Wyglądasz... okropnie. – Zmierzył ją wzrokiem, gdy przestali się obejmować.

– Dzięki – łypnęła na niego gniewnie, po chwili jednak się roześmiała.

– To Ebeling, prawda? – zapytał.

– Tak – odparła. – Trzymał mnie w swoim domu w małym pomieszczeniu pod piwnicą.

Zatem to nie były szczury – przemknęło mu przez myśl.

– Pomagał mu w tym ten Blanc – kontynuowała. – To on sprowadził mnie do Rennes-le-Château, a potem zajmował się mną, kiedy Ebeling trafił do więzienia po morderstwie Gauthiera. Chociaż *zajmował się* to za dużo powiedziane. Po prostu szprycował mnie jakimś świństwem, żebym nie mogła uciec. Dopiero gdy wczoraj Victor i Blanc nie zjawiali się dość długo, zyskałam wystarczająco dużo czasu, żeby wytrzeźwieć i się uwolnić.

– Gdzie jest teraz Ebeling?

– Tam, gdzie go zostawiłam – odrzekła z zadowoleniem. – W małym pomieszczeniu pod piwnicą.

Uśmiechnął się lekko. Musiał przyznać, że Kate potrafiła o siebie zadbać i nie potrzebowała do tego niczyjej pomocy.

– Jak udało ci się ze mną skontaktować? – zapytał.

– Victor zabrał mi na początku telefon, ale przedwczoraj jakimś cudem dałam radę na chwilę go odzyskać. Zadzwoiłam do ciebie. Nie chciałam, żeby mnie nakrył i dlatego mówiłam tak cicho. Nim się zorientował, zdążyłam jeszcze wysłać ci wiadomość z adresem *madame Martínez*.

– Czyli już od tamtej pory się ze mną nie kontaktowałaś? Nie wysyłałaś więcej żadnych innych wiadomości?

– Nie, dlaczego pytasz?

– Poza wiadomością, o której mówisz, otrzymałem od ciebie jeszcze trzy inne – odparł. – Najwidoczniej wszystkie wysłał Ebeling z twojego numeru.

Otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

– Nie pierwszy raz mnie oszukał, nie ma się nad czym rozwodzić – dodał, spostrzegając jej zaskoczenie.

– Nie wiem, dlaczego, ale Victor wydawał się tobą zainteresowany. – Słyszając to, Oliver uniósł brwi. – Kiedy dowiedział się, do kogo dzwoniłam, zaczął wypytywać o wszystko. Kim jesteś, czy jesteś synem Feliksa... Nie mam pojęcia, po co mu to było potrzebne, ale najwyraźniej skądś cię znał.

– Podobno mój ojciec pracował z nim kiedyś w Liège, chociaż sam nigdy mi o tym nie wspominał. Victor mówił, że byli przyjaciółmi, ale nie chce mi się w to wierzyć. Dlaczego chciałby wykorzystać syna swojego przyjaciela?

– Nie wiem, ale widocznie zależało mu na tym, żeby cię spotkać, skoro wziął sprawy w swoje ręce.

– Dlaczego tak właściwie Ebeling cię uwięził? – zmienił temat.

– Bo dowiedziałam się, kim jest naprawdę – zniżyła głos. – Pewnie już wiesz, że należy do Compagnie du Saint-Sacrement i z obawy o własne życie próbuje na własną rękę odnaleźć mordercę. Niestety, tożsamości tego ostatniego nie udało mi się poznać.

Monroe zamilkł i spuścił wzrok. Kate od razu zorientowała się, że coś jest nie tak.

– Wiesz, kim jest człowiek, który zabija księży? – zapytała.

– Mam podejrzenia, ale to nic pewnego – odparł. – Ten najmłodszy ksiądz, Philippe Lachapelle, tak naprawdę nazywa się Saunière i nie jest wcale duchownym. Dowiedziałem się tego w Paryżu, kiedy szukałem dokumentu, który Philippe zostawił w Bibliotece Narodowej. Tam wyszło na jaw, że policjant, który miał mnie pilnować, też współpracuje z Ebelingiem. Ukradł dokument, a kiedy go złapali, okazało się, że papiery są fałszywe. Podejrzewam, że to Lachap... Saunière wymyślił całą tę historię,

bo wiedział, że członkowie AA będą mnie śledzić. Chciał zyskać trochę czasu, żeby móc przygotować ostatnią zbrodnię... Miałem jechać bezpośrednio do Rennes-le-Château, ale zatrzymałem się w Tuluzie, bo uświadomiłem sobie, że ostatnia wskazówka, jaką zostawił mi Ebeling, oraz cytat z książki, w której Philippe umieścił sfałszowane dokumenty, odnosiły się do jednej rzeczy. Przez cały czas chodziło o...

– Głowę demona Asmodeusza – dokończyła, a on popatrzył na nią z zaskoczeniem. – Zanim Ebeling mnie złapał, też dotarłam do tego momentu. Dlatego kiedy udało mi się uwolnić, od razu tu przyjechałam. Philippe budził moje wątpliwości, ale nie sądziłam, że to może być on... Chociaż teraz to wszystko ma sens...

– Co ma sens?

– Nigdy nie udało mi się porozmawiać z Philippe'em. Nawet nie wiem, jak wygląda, bo kiedy przyjechałam do Rennes-le-Château, jego już tam nie było. Po morderstwie Daquina wyjechał nie wiadomo dokąd. Dlatego musiałam zadowolić się analizą różnych dokumentów, jakie udało mi się znaleźć. Sporo z nich odnalazłam w małej biblioteczce, którą Bérenger Saunière trzymał w wieży Magdala. Choć niewiele z niej pozostało, był tam jeden dokument, który szczególnie zwrócił moją uwagę. Zawierał wyciąg z konta bankowego należącego do Saunière'a, które ten założył w Banku Fritz Dörge w Budapeszcie. Do tysiąc dziewięćset siedemnastego roku, czyli do śmierci Saunière'a, na rachunku zanotowano mnóstwo transakcji opiewających na naprawdę duże kwoty. Co ciekawe, ktoś systematycznie przelewał na konto księdza sporą sumę pieniędzy, którą ten regularnie wypłacał. Przeanalizowałam dokładnie ten dokument i okazało się, że najwięcej transakcji zostało wykonanych w momencie remontu kościoła Świętej Marii Magdaleny, willi Béthanie i przyległych budynków. Ale to nie

wszystko. Szukałam dalej i odkryłam, że Saunière miał też konto w Banku Auriol w Perpignan, na którym zanotowano podobną liczbę transakcji.

Oliver nie rozumiał, do czego zmierza Kate, ale słuchał jej uważnie. Zdało mu się, że zdołała dotrzeć do informacji, które mogły okazać się kluczowe w kontekście tej sprawy.

– Podejrzewam, że to członkowie Compagnie wpłacali te kwoty na różne konta Saunière'a, finansując w ten sposób prowadzone przez niego prace renowacyjne kościoła.

– To by się zgadzało – potwierdził Monroe. – Ebeling pokazał mi list napisany przez Pierre'a Louisa Gazela, w którym zabrania on Saunière'owi zdradzania źródła swego finansowania, chyba że u spowiedzi. Zapytałem go, kim był ten Gazel, ale nie zdążył odpowiedzieć. Wychodzi na to, że odgrywał rolę pośrednika między Compagnie a Saunière'em. Ale jeśli twoja teoria okaże się prawdziwa, będzie to oznaczało, że w rzeczywistości żaden skarb nigdy nie istniał.

– Skarb to bajka i pożywka dla amatorów – odparła pewnym głosem. – Saunière rzeczywiście znalazł trochę złota w czasie remontu kościoła, ale była to niewielka suma, którą prędko wydał. Niektórzy bardziej racjonalni uważają, że ksiądz czerpał zyski z nielegalnego handlu mszami i mają rację. Ale wydawane przez niego sumy były zbyt duże, żeby mogły pochodzić jedynie z tego źródła. Co więcej, bardzo często w czasie zleconych przez siebie prac renowacyjnych miewał problemy finansowe. Kłócił się z wykonawcami i skrupulatnie wyliczał każdy wydawany grosz. Przyznasz, że tak nie zachowuje się ktoś, kto jest bajecznie bogaty. Istnieje zatem tylko jedno wytłumaczenie. Wszystkie prace remontowe kościoła i posiadłości Saunière'a zostały sfinansowane przez Compagnie.

– A przestoje w pracy wynikały z tego, że Saunière musiał czekać na przelewy od AA... – dodał Monroe. – Ale jak to wszystko ma się do morderstw proboszczów?

– Po śmierci Saunière'a jego służąca, Marie Dénarnaud, została sama i do końca żyła w biedzie – kontynuowała. – Ksiądz wprawdzie przepisał na nią swoją posiadłość w Rennes-le-Château i cały swój majątek, ale to nie poprawiło w żaden sposób jej sytuacji. Pomyśl, gdyby rzeczywiście historia ze skarbem była prawdziwa, to Marie stałaby się po odejściu Saunière'a wyjątkowo zamożną kobietą. Tymczasem z każdym kolejnym dniem liczba turystów przyjeżdżających do Rennes-le-Château malała, a ona traciła w ten sposób jedyne źródło utrzymania. Coraz bardziej pogrążała się w ubóstwie, a jednak udawało jej się jakoś wiązać koniec z końcem. Posłuchaj... Odkryłam, że wpłaty na konta bankowe Saunière'a w Budapeszcie i w Perpignan nie ustały z chwilą jego śmierci. Ktoś cały czas wpłacał na nie niewielkie kwoty, a dysponująca wówczas tymi rachunkami osoba wypłacała je. Chyba domyślasz się, do czego zmierzam... Podejrzewam, że po śmierci Saunière'a członkowie AA pomagali Marie w utrzymaniu. A teraz chcą swoje pieniądze z powrotem.

Monroe zmarszczył brwi.

– Ale żeby to była prawda, musiałyby istnieć ktoś, od kogo mogliby domagać się ich zwrotu – zauważył. – Jakiś potomek... – zająknął się.

Tymczasem Kate wzięła się pod boki i z nieskrywaną dumą zapytała:

– Teraz już rozumiesz, dlaczego wszystko nabrało dla mnie sensu, gdy wspomniałeś, że Philippe tak naprawdę nazywa się... Saunière?

ROZDZIAŁ 41

Oliver nie spodziewał się takiego obrotu wydarzeń. Nigdy by nie pomyślał, że sprawa mordów dokonywanych w bestialski sposób na proboszczach będzie tak ściśle wiązać się z historią tajemniczego księdza i z wydarzeniami mającymi miejsce w Rennes-le-Château przed ponad stu laty.

– Sugerujesz, że Bérenger Saunière miał dziecko z Marie Dénarnaud? – zapytał drżącym głosem.

– Sądzę, że miał męskiego potomka, którego wnuk chodzi po tym świecie – odrzekła. – To tłumaczy, dlaczego należący do AA Ebeling stara się go odnaleźć. Najpewniej Victor wierzy, że Bérenger Saunière odłożył pewną część pieniędzy otrzymanych od Compagnie, które przed śmiercią gdzieś ukrył. Przez cały czas swojego pobytu w Rennes-le-Château Ebeling starał się dotrzeć do tego skarbu, ponieważ uważał, że należy się on Towarzystwu jako zadośćuczynienie za pomoc ofiarowaną przed laty Marie. Nagle jednak pojawił się potomek Saunière'a, który chciał mu w tym przeszkodzić, eliminując członków AA. Według mnie te wszystkie morderstwa dokonywane na członkach Compagnie są zemstą za próbę odnalezienia odłożonych przez Saunière'a pieniędzy. Dlatego Victor postawił sobie za cel odszukanie potomka, wyciągnięcie od niego potrzebnych informacji i zabicie go, by móc dalej w spokoju szukać skarbu. Dla niego liczą się tylko pieniądze i nie cofnie się przed niczym, aby je odzyskać.

– Ale przecież miał Philippe’a na wyciągnięcie ręki. Dlaczego go nie zabił, mając ku temu okazję?

– Myślę, że Ebeling nie ma pojęcia, kim jest Philippe – pokręciła głową. – Nie zna jego prawdziwej tożsamości i nie wie, że to właśnie on jest prawnikiem Saunière’a.

– A może nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że osoba mordująca członków AA jest w rzeczywistości potomkiem Saunière’a – domniemywał profesor. – Gdyby wiedział, to skupiłby się na odnalezieniu prawnika księdza i nie szukałby skarbu po omacku.

Kate zamilkła, a Oliver zastanowił się.

– Ale w takim razie jaką rolę odgrywa w tym wszystkim głowa posągu Asmodeusza? – zapytał. – Dlaczego jest tak ważna, że wszystkie wskazówki pozostawione przez Philippe’a i Ebelinga prowadzą właśnie do niej?

– Legenda głosi, że Saunière podczas ostatniej spowiedzi wyjawiał swój sekret, który mógł dotyczyć zarówno pochodzenia jego bogactwa, jak i miejsca ukrycia odłożonego depozytu. Spowiadający go wówczas ksiądz Jean Rivière uznał jego słowa za bezceństwo. Chciał powiadomić swoich przełożonych w Carcassonne, ale nie mógł tego zrobić, bo obowiązywała go tajemnica spowiedzi. Dlatego wszystko, czego dowiedział się od Saunière’a, spisał na kartce papieru, którą ukrył w sobie tylko znanym miejscu. Podejrzewam, że tym miejscem była...

– ...pierwsza wersja głowy demona Asmodeusza. – Monroe wreszcie zrozumiał. – Nawet Ebeling wiedział, że o nią chodzi, ale nie miał pojęcia, gdzie jej szukać. Dlatego podsunął mi pod nos Poussina i jego *Pasterzy arkadyjskich*, których kluczowym elementem była brakująca czaszka. Chciał, żebym to ja odnalazł głowę posągu... Jednocześnie Philippe wysłał mnie do Paryża pod

pretekstem odnalezienia w Bibliotece Narodowej zaginionych notatek Ernesta Crosa, podczas gdy tak naprawdę chodziło mu o tekst z *Lemegetonu*, w którym wcześniej sam zakreślił fragment traktujący o Asmodeuszu. Obaj wiedzieli, że Rivière ukrył treść spowiedzi Saunière'a w głowie demona. Jedno tylko mi się nie zgadza. Sam Ebeling podkreślał, że list Rivière'a nie traktuje wcale o skarbie, tylko o źródle bogactwa Saunière'a...

– Chciał ci w ten sposób udowodnić, że nie zależy mu na pieniądzach, tymczasem w jego słowniku te dwa sformułowania to synonimy – odrzekła. – Źródło bogactwa Saunière'a w mniemaniu Victora odnosi się do odłożonych przez księdza pieniędzy otrzymanych od Compagnie, czyli de facto do skarbu. Ale to tylko jedna z interpretacji, być może błędna. W rzeczywistości bowiem legenda nie precyzuje, co było skarbem Saunière'a. Wspomina tylko o jego sekrecie. Musimy na własną rękę dowiedzieć się, czego dotyczy ten sekret.

Zapanowała cisza, podczas której Oliver i Kate wymienili między sobą znaczące spojrzenia.

– Musimy jakoś dostać się do Maison Giscard – odezwał się w końcu profesor.

– Powinniśmy spróbować tylnym wejściem, może jest tam słabszy zamek.

Wyminęła go i przeszła pod balkonem kryjącym przejście na tyły budynku. Monroe uniósł brwi ze zdziwienia, zastanawiając się, czy aby na pewno włamanie jest dobrym pomysłem. Po chwili namysłu ruszył jej śladem. Prędko okazało się jednak, że na tyłach domu nie ma żadnego dodatkowego wejścia. Był tam tylko nisko ulokowany balkon z przeszklonymi drzwiczkami pozbawionymi klamki. Oboje stanęli przed nim, rozważając, co począć dalej. Nagle Kate przeskoczyła przez ogrodzenie i zaczęła gmerać przy drzwiach.

Następnie odwróciła się i rozglądnęła po okolicy, jak gdyby czegoś szukając.

– Podaj mi ten pręt – zwróciła się do Olivera.

– Kate, naprawdę uważam, że nie powinniśmy...

– Chcesz tu sterczeć cały dzień? Nie mamy czasu!

Niechętnie sięgnął po leżący w wysokiej trawie stalowy łom i przekazał go kobiecie. Wzięła go i wepchnęła jego zakrzywioną część pomiędzy drzwi a framugę od strony zawiasów. Zaparła się nogami i podważyła drzwiczki, które niespodziewanie runęły z hukiem. Szyba rozprysła się na mnóstwo kawałków, a drewniana obudowa drzwi przełamała się na pół.

Kate popatrzyła na Olivera z nieskrywanym zakłopotaniem.

– Nie myślałaś nigdy o karierze konserwatora zabytków? – zapytał ironicznie.

– To nie moja wina, że były spróchniałe – odparła, rzucając łom z powrotem w gęste chaszczce. – Wejdzmy lepiej do środka, może nikt nie słyszał tego grzmotu.

Wkroczyli do ogarniętego mrokiem pomieszczenia. Monroe sięgnął do kieszeni po komórkę, a wyciągając ją, nieumyślnie zahaczył dłonią o płachtę pokrywającą coś stojącego tuż przy drzwiach. Płachta niespodziewanie zsunęła się na ziemię, a tumany kurzu wzbiły się w powietrze. Oliver włączył latarkę w telefonie i oświetlił odsłonięty przedmiot, który okazał się rzeźbą. Natychmiast skierował światło na środek pokoju, a następnie na ściany. Tam również odnalazł ustawione obok siebie i zakryte białymi narzutami posągi. Kate ściągnęła jedną z płacht i przypatrzyła się ukrytej pod nią statui.

– *La terre cuite* – wyszeptała. – Wypalona glina, czyli terakota. Pracownia Giscarda słynęła z wyrobów tego typu.

Opuścili pomieszczenie i wyszli na niewielki korytarz. Monroe nie dziwił się wcale, że Maison Giscard nie został przekształcony w muzeum. Istotnie – poszczególne pokoje i łączące je wąskie korytarze uniemożliwiały racjonalne rozmieszczenie eksponatów i zaplanowanie odpowiedniego pasażu zwiedzających. Zastanowiło go jednak, dlaczego z opuszczonego budynku nie usunięto wszystkich posągów. Wprawdzie część z nich była niedokończona, aczkolwiek wszystkie wyszły spod ręki mistrza i zasługiwały na właściwe uhonorowanie. Można było przecież przenieść je do innego, bardziej przestronnego budynku, gdzie przez wiele lat cieszyłyby oczy turystów.

Nie wchodzili do wszystkich pokoi. Do każdego jednak zaglądali, po czym przechodzili do następnego.

– Nie jestem pewny, czego właściwie szukamy – Monroe odezwał się po raz pierwszy, odkąd weszli do budynku. – Chyba nie łudzisz się, że znajdziemy oryginalną głowę Asmodeusza, która zaginęła ponad dwadzieścia lat temu.

– Taką właśnie mam nadzieję – odparła, nie zatrzymując się.

Dotarli do końca korytarza, gdzie natrafili na schody. Kobieta wspięła się po nich na górę, a Oliver podążył za nią, nieco się ociągając. Pokonywał kolejne stopnie ze zwieszoną głową, gdy nagle wpadł na Kate, która nie wiedzieć czemu przystanęła w połowie drogi na pierwsze piętro.

– Poświeć na ostatni stopień – wyszeptała, nie odrywając wzroku od czegoś stojącego na szczycie schodów.

Profesor skierował latarkę we wskazane miejsce i natychmiast wstrzymał oddech, rozwierając szeroko usta ze zdumienia. Gdyby spojrział wówczas na Kate, zauważyłby na jej twarzy grymas wyrażający zdziwienie i niedowierzanie. Nie był jednak w stanie

tego zrobić, zbyt pochłonięty był bowiem wpatrywaniem się w dobrze oświetlony przedmiot.

– To zdumiewające... – Kate nie mogła uwierzyć w to, co widzi. – Zupełnie jakby na nas czekała.

– Jak gdyby ktoś chciał, żebyśmy ją odnaleźli – dodał Oliver. – Albo mamy takie szczęście, albo ktoś rzeczywiście umyślnie ją tu zostawił.

Przedmiot stojący na ostatnim stopniu schodów istotnie okazał się głową demona Asmodeusza. Zbliżyli się do niej czym prędzej, a Monroe natychmiast poznał, że pochodzi ona z pierwszej wersji posągu, którą znał ze zdjęcia odnalezionej w internecie. Wziął ją w ręce i usiadł na schodach, a Kate zajęła miejsce obok niego.

– Dwadzieścia jeden lat – szepnął pod nosem. – Tyle czasu minęło, odkąd zaginęła.

Obrócił rzeźbę w dłoniach i oglądnał ją z każdej strony. Z początku spodziewał się, że będzie pusta w środku i wewnątrz odnajdzie list z zapisem ostatniej spowiedzi Saunière'a, ukryty tam przez księdza Rivière'a. Tak się jednak nie stało. Głowa była solidnie wykonana, dość ciężka i – na ich nieszczęście – zrobiona z jednego fragmentu gliny, więc o pustej przestrzeni w jej wnętrzu nie mogło być mowy.

– Gdybyś chciał coś ukryć i jednocześnie pozostawić to na widoku – odezwała się Kate – gdzie byś to umieścił?

Oliver nie odpowiedział. Zamiast tego włożył dwa palce w rozwarłe usta Asmodeusza i przesunął je po podniebieniu demona. Wyczuł na nim pewną nierówność, która na krawędziach zdawała się nieco odstawać. Wsunął palec między odstający fragment a płaską powierzchnię rzeźby, po czym zaczął delikatnie oddzielać je od siebie. Po chwili poczuł, jak oddzielony element

opada na dno jamy ustnej Asmodeusza. Chwyił go dwoma palcami i wyciągnął na zewnątrz.

– Niesamowite – powiedział sam do siebie, odkładając posąg na podłogę. – Wygląda na złożoną kartkę papieru.

– Więc legenda nie kłamała. – Kate była nie mniej przejęta odkryciem niż Oliver. – Rivière spisał wszystko, co Saunière przekazał mu u spowiedzi... A na koniec powierzył tajemnicę księdza demonowi.

– Zaraz sprawdzimy, czy rzeczywiście tak było – ostudził jej zapał, choć jemu samemu trudno było powstrzymać ekscytację.

Uważnie rozchylił brzegi pożółkłej kartki tak, aby jej nie rozerwać. Starał się ukryć zaferowanie, ale przychodziło mu to z trudem. Gdy jednak ujrzał zapisany na kartce papieru tekst, natychmiast zmarszczył brwi i podrapał się po głowie. Nie miał bowiem pojęcia, na co patrzy. Kate miała zresztą podobne odczucia – nie rozumiała nic a nic z ciągu pozornie losowych liter i innych znaków widniejących na papierze:

APCABRTLAAAYCPHAALPOEOLRLKEJPUAERELGEVSCCZÆIU
HRUSEEQNNFHLDATMUMRÉMSNEFTJLB'NUCNXDA'QETUY
XGEDNSTFOGURRTÉHDJ'YUTNREVCBOVUGRRROTNHNFEGD
M'NÉBPCICNBENSGPTAHRRLHEJSKSFIVGBNHETSUSTUFRHL
KAXDAASLFLRETDHEJLI'UÉTGRLJIJSYEKIKNFVGE CRV SXÉRE
GVKOGUFSLTTRROHUYVHEFRTEYZJATADAGQHUFIJVJOKU
USTRZEXNCDMRNABÉYMTUJCGEATSTDEEÂEMQERCGOHN
DCABMXNZÉREENSETSUEYRRAAVYAHITNRCVURQJUTEYPA
ASRRRLCEVSNDREESACDEFNTDYARNATSSFDHEJSGFTEUMIM
OEJSPBBANNVNCIEERS

– Widać Rivière bardzo się postarał, żeby nikt nie odkrył sekretu Saunière'a – odezwała się Kate.

– Za bardzo – dodał Oliver. – Pomyślmy, to nie może być przecież takie trudne. W końcu Rivière zostawił tę wiadomość, żeby ktoś ją kiedyś odczytał.

– Może to ma związek z pergaminami znalezionymi przez Saunière’a pod filarem podtrzymującym ołtarz w kościele Świętej Marii Magdaleny? – zaproponowała. – W jednym z nich kluczem do rozwiązania były litery nieco wystające ponad pozostałe.

– Tutaj wszystkie ułożone są idealnie w jednej linii, więc nie tędy droga. Zastanówmy się lepiej, dlaczego Rivière wybrał akurat Asmodeusza na miejsce ukrycia tego listu?

– Bo Asmodeusz jest uważany za strażnika wszelkich bogactw – odparła. – Więc nic dziwnego, że właśnie w jego posągu ksiądz zdecydował się umieścić zapis ostatniej spowiedzi Saunière’a, która najpewniej tłumaczy, gdzie znajduje się skarb.

Profesorowi rozbłyły oczy. *Ukazuje miejsca, gdzie skarby spoczywają i strzeże ich.* Natychmiast przypomniał sobie fragment z *Lemegetonu*, który Philippe celowo podkreślił. Nie on jednak był ważny dla Monroe’ego w tamtej chwili. Profesor wrócił pamięcią do tekstu demonologicznego podręcznika i uświadomił sobie, że przecież niedoszły ksiądz zaznaczył w nim nie tylko powyższe zdanie, ale również słowo *arytmetyka*.

– *Asmoday naucza sztuki arytmetyki* – wyszeptał, a dostrzegając konsternację na twarzy Kate, prędko dodał: – Tak brzmiało drugie zdanie podkreślone przez Philippe’a w tekście *Lemegetonu*. Może to ono kryje rozwiązanie.

– Co ma arytmetyka do ciągu niezwiązanych ze sobą liter?

– To nie tylko litery – poprawił ją Oliver. – Zwróć uwagę, że są też apostrofy.

Dostrzegła je dopiero, gdy Monroe o nich wspomniał.

– Arytmetyka opisuje działania na liczbach – mówił dalej. – Podczas gdy w tekście Rivière’a nie ma ani jednej cyfry.

Kate zastanowiła się.

– Jakie znasz liczby? – zapytała, na co Oliver rzucił jej zdziwione spojrzenie.

– Mam policzyć do dziesięciu?

– Nie – odparła. – Pytam o to, jakie znasz rodzaje liczb.

– Liczby pierwsze, naturalne, całkowite, wymierne, niewymierne, parzyste, nieparzyste... – wymienił.

– Otóż to! – przerwała mu. – Liczby parzyste, mówi ci to coś?

Z początku popatrzył na nią pytająco, ale po chwili uniósł brwi i wyprostował się.

– Asmodeusz według niektórych przekazów odpowiada też za wszystkie sprawy związane z liczbami parzystymi. – Wreszcie zrozumiał. – Rivière najpierw zaszyfrował list tak, żeby rozwiązaniem były liczby parzyste, a potem umieścił go w głowie demona, który nimi włada!

– Musimy wziąć co drugi znak – stwierdziła. – Tylko w ten sposób odgadniemy zakodowany tekst.

Monroe otworzył notatnik w telefonie i zaczął zapisywać litery i znaki, które dyktowała mu Kate. Zajęło im to niewiele ponad pięć minut. Po tym czasie ich oczom ukazał się następujący tekst:

PARLACHAPELLEPARLESCŒURSENFLAMMÉSETL’UND’EUX
ENTOURÉD’UNECOURONNED’ÉPINESPARLESSIGNESSURLA
DALLEDEL’ÉGLISEINVERSÉEVOUSTROUVEREZAAAQUIVOUS
RENDRAÉMUCETTEÂMECONDAMNÉENESERAVAINCUQUE
PARLESDISCENDANTSDEFEMMESBANNIES

– Nie wygląda to wcale prościej – odezwał się profesor.

– To po francusku – powiedziała Kate, uważnie badając tekst wzrokiem. – Daj mi komórkę, wstawię spacje.

Kobieta wzięła od niego telefon i oddzieliła poszczególne wyrazy od siebie. Podzieliła tekst na kilka wersów, dzięki czemu z ciągu losowych znaków otrzymali zdania, które w końcu miały jakiś sens:

PAR LA CHAPELLE
PAR LES CŒURS ENFLAMMÉS
ET L'UN D'EUX ENTOURÉ D'UNE COURONNE D'ÉPINES
PAR LES SIGNES SUR LA DALLE DE L'ÉGLISE INVERSÉE
VOUS TROUVEREZ AAA QUI VOUS RENDRA ÉMU
CETTE ÂME CONDAMNÉE NE SERA VAINCU
QUE PAR LES DESCENDANTS DES FEMMES BANNIES

– Spróbuję to przetłumaczyć – rzekła Kate, po czym przełożyła tekst na język angielski i zapisała go pod spodem:

Przez kaplicę
Przez serca rozpalone
A jedno z nich koroną cierniową oplecione
Przez znaki na kościoła odwróconego płycie
Odnajdziesz AAA, która cię zachwyci
Tylko potomkowie kobiet wygnanych
Zwyciężą duszę potępioną na wieki

Nie mogli uwierzyć własnym oczom.

– To naprawdę działa – wyszeptał Oliver. – Miałaś rację z tymi liczbami parzystymi. Jedyne problem jest taki, że to wcale nie jest zapis ostatniej spowiedzi Saunière'a, tylko kolejna zagadka.

– Mogliśmy się tego spodziewać – odparła bez większego entuzjazmu. – To chyba już tradycja w naszym przypadku, że nigdy

nie natrafiamy na proste rozwiązania.

– Nie bądź pesymistką. Teraz wystarczy tylko odgadnąć, o co chodziło Rivière'owi.

– Najpierw musimy powiadomić policję o tym, że podejrzewamy Philippe'a – zauważyła. – Trzeba jak najszybciej go złapać.

Monroe zignorował jednak jej słowa. Raz jeszcze przeczytał w myślach treść odszyfrowanego tekstu i po krótkiej chwili zapytał:

– *La chapelle* oznacza po francusku *kaplicę*?

– Tak, dlaczego pytasz?

Nie odpowiedział. Miał jednak przeczucie, że nie oni pierwsi odkryli zaginioną głowę Asmodeusza i ukrytą w niej notkę od Rivière'a.

– Musimy iść – wyrwała go z zamyślenia, a on tylko pokiwał twierdząco głową i podniósł się ciężko. – Myślisz, że powinniśmy zabrać rzeźbę ze sobą?

– Tak – odparł i podniósł głowę z podłogi. – Może odzyskując ją, odkupię swoje winy u Malinota.

– Słucham? – Kate nie zrozumiała.

– To nieistotne. – Nie czuł potrzeby wspomnienia o paskudnym czynie, jakiego się dopuścił. – Chodźmy.

Ściągnął marynarkę i zawinął w nią rzeźbę. Paradowanie po Tuluzie z zabytkową głową demona nie wydawało mu się bowiem racjonalnym zachowaniem. Skierowali się schodami w dół do wyjścia wiodącego przez wyważone drzwi balkonowe, a następnie pomknęli w stronę dworca. Kate wspomniała po drodze, że pociągi do Carcassonne kursują średnio co pół godziny. Udało im się dość sprawnie kupić bilety i wsiąść do pociągu, którego odjazd zaplanowano na godzinę dziewiątą osiemnaście. Równe sześćdziesiąt minut później mieli dotrzeć do Carcassonne, gdzie powinien już czekać na nich inspektor

Malinot, uprzednio powiadomiony o ich przyjeździe. Powzięli decyzję, że stamtąd udadzą się bezpośrednio do Rennes-le-Château, bo to właśnie w tej małej mieścinie malowniczo położonej u stóp Pirenejów miał rozegrać się ostatni akt tej historii, w którym główna rola przypadła Philippe'owi Saunière'owi.

ROZDZIAŁ 42

*RENNES-LE-CHÂTEAU,
24 KWIETNIA 2017 ROKU, GODZINA 11.00*

– Trudno mi uwierzyć, że to może być Philippe. – Malinot pokręcił głową, wyraźnie zaskoczony podejrzeniami Olivera i Kate. – W ogóle to wszystko jest niewiarygodne. Potomek Saunière’a, który chce się zemścić na członkach Towarzystwa Świętego Sakramentu za próbę odzyskania stuletniego skarbu?

– Zdajemy sobie sprawę, że wydaje się to niedorzeczne – odezwał się Monroe. – Ale nie oskarżalibyśmy go, gdybyśmy nie mieli pewności.

Inspektor zamilkł. Dotarło do niego, że jakkolwiek dziwnie by ta historia brzmiała, nie mógł za bardzo jej zaprzeczyć. Wstyd mu było przyznać, że dopiero przyjazd profesora i jego prywatne śledztwo rzuciło nowe światło na sprawę morderstw księży, której on i jego ludzie nie byli w stanie wcześniej rozwiązać.

– Przykro mi, pani Evans, że doświadczyła pani tylu niedogodności – zwrócił się w końcu do Kate, gdy dojeżdżali już do Rennes-le-Château. – Jednocześnie muszę przyznać, że nieźle sobie pani poradziła z Ebelingiem.

– Jakoś mi się udało – odparła. – Zamknęliście go z powrotem?

– Nie. Zaraz po tym, jak dostałem telefon od profesora, poleciłem swoim ludziom go złapać i przypilnować do czasu naszego przyjazdu. Chcę usłyszeć całą tę historię z jego ust.

– A Philippe? – Tym razem to Monroe zadał pytanie. – Już go macie?

– Niestety nie – odrzekł inspektor. – Odkąd wczoraj zostawiliśmy go na środku ulicy, ślad po nim zaginął. Przeszukaliśmy jego dom, okolicę miasteczka, kościół... Przepadł jak kamień w wodę. Ale udało nam się dowiedzieć czegoś ciekawego. Otóż wcześniej sądziliśmy, że wrócił on do Rennes-le-Château dopiero po śmierci Gauthiera. Wczoraj jednak przesłuchaliśmy dokładnie kilku mieszkańców i jeden z nich zeznał, że widział go na parę dni przed drugim zabójstwem. Oznacza to, że był w Rennes-le-Château w chwili śmierci drugiego proboszcza. Z początku nie uznałem tego za istotne, ale skoro teraz to on jest głównym podejrzanym, ta informacja również może być ważna.

Odkrycie Malinota tylko utwierdziło ich w przekonaniu, że to niedoszły ksiądz jest odpowiedzialny za wszystkie morderstwa.

– Rozumiem, że cały czas pilnujecie kościoła? – dociekała Kate.

– Od wczorajszego poranka stoi zamknięty. Nikt nie ma do niego wstępu.

Wjechali do Rennes-le-Château. Oliver miał nadzieję, że po raz ostatni odwiedza to miejsce w takich okolicznościach.

– A, bym zapomniał – odezwał się nagle inspektor. – Nie znaleźliśmy niczego w kształcie litery S, panie Monroe. Żadnego posągu, płaskorzeźby... Nic.

– Musi gdzieś być... – wyszeptał Oliver. – A ostatnia zbrodnia musi zostać popełniona w kościele...

Zatrzymali się na skrzyżowaniu na końcu Grand Rue. Malinot wysiadł z auta, a w ślad za nim poszli Kate i Oliver. Profesor

zostawił na tylnym siedzeniu głowę Asmodeusza zawiniętą w marynarkę, którą dzień wcześniej otrzymał od pani Martínez.

Skierowali się wąską Rue des Marronniers w stronę domu Ebelinga. Z oddali dostrzegli stojący tuż obok radiowóz, a Monroe'owi zdało się, że poza dwoma policjantami w samochodzie były również dwie inne osoby.

– Tam jest też Blanc? – zapytał inspektora.

– Blanc i Ebeling – odrzekł. – Cartiera odwieźliśmy do komisariatu. Stwierdziłem, że nie będzie nam już potrzebny.

Malinot krzyknął do funkcjonariuszy, żeby wyciągnęli zatrzymanych na zewnątrz. Jérémie bez emocji i potulnie opuścił auto, z kolei Victor na widok Olivera niespodziewanie wpadł w szal. Gdy tylko zajmujący się nim policjant na chwilę rozluźnił uścisk, starzec wyrwał się i popędził w kierunku zbliżającej się trójki. W tej samej chwili Malinot zasłonił swoim ciałem Olivera i Kate, chroniąc ich przed prącem na nich Ebelingiem, który – co ciekawe – wcale już nie utykał.

– Masz to?! – starzec wydarł się z daleka.

– Uspokój się! – inspektor odkrzyknął mu i złapał go za fraki. – Powiedziałem, żebyś się uspokoił!

– Niech najpierw profesorek powie, czy odnalazł to, czego szukał!
– wycedził przez zaciśnięte zęby, a przestraszona Kate zrobiła krok w tył.

Oliver w przeciwieństwie do niej nie ruszył się z miejsca. Ni stąd, ni zowąd bowiem zaświtał mu w głowie pewien pomysł. Dostrzegając złość Ebelinga, uświadomił sobie, że istnieje tylko jeden sposób, żeby starzec przyznał się do wszystkiego i tym samym potwierdził ich domysły. Tym sposobem było doprowadzenie go do furii. Profesor postanowił się z nim zabawić i zagrać mu na emocjach.

– Znalazłem głowę Asmodeusza, ale niczego w środku nie było – powiedział pewnym tonem, na co Malinot i Kate spojrzeli na siebie zdziwieni, nie pojmując jego genialnego planu. – Obejrzałem ją z każdej strony. Była pusta.

– Co? Kłamiesz! – Starzec się zagotował, na szczęście w tym czasie dwóch policjantów zdążyło do niego doskoczyć i skutecznie go obezwładnić. – Gdzie ją masz? Muszę ją zobaczyć!

– Zostawiłem ją w Tuluzie – odparł spokojnie Monroe. – Po co miałem targać tu jakąś starą rzeźbę? Wiesz, jaka była ciężka?

Ebeling zacisnął zęby i wyprostował się. Zastygł w tej pozycji, jak gdyby w jednej chwili uleciała z niego cała złość. Były to jednak tylko pozory. Choć z zewnątrz zdawał się niewzruszony, w środku kipiał gniewem i jak szaleniec rzucał Oliverowi nienawistne spojrzenia.

– Ty bezużyteczny kretynie! – mówił w amoku. – Nie po to wymyśliłem te brednie z *Aktami Piłata*, z *Boską komedią* i tymi wiadomościami, żebyś ty w kluczowym momencie wszystko zaprzepaścił! Jesteś takim samym idiotą jak twój ojciec. Tak, twój ojciec, czemu się tak dziwisz? Ha! Myślałeś, że byliśmy przyjaciółmi? Uwierzyłeś w tę sielankową historię, że niby Felix wspierał mnie w moich badaniach? Że jako jedyny wierzył w powodzenie moich eksperymentów z optogramami? Najwyraźniej jesteś tak samo naiwny jak on. Posłuchaj mnie uważnie, bo może po raz pierwszy i ostatni usłyszysz prawdę o swoim ojcu. Otóż Felix był gnidą i zwykłym kapusiem! Naprawdę dałeś wiarę temu, że to jacyś studenci mnie wydali? Jeśli tak, to jesteś głupszy, niż myślałem. Wiedz, że to twój ojciec na mnie doniósł. Od początku nie podobało mu się to, co robię. Ale on po prostu tego nie rozumiał. Ja sam popełniłem błąd, wtajemniczając go w swoje eksperymenty, ale skąd mogłem

wiedzieć, że mnie wyda? Nie spodziewałem się tego. Był jedyną osobą, której ufałem. Jedyną osobą, której pokazałem wyniki moich badań. A on nie dość, że mnie wyśmiał, to jeszcze zakapował do władz uczelni!

Monroe otworzył szeroko usta ze zdziwienia.

– Więc to była zemsta? – zapytał. – Chciałeś się odegrać na mnie za to, że mój ojciec postąpił słusznie i nie pozwolił ci dalej bezcześcić zwłok?

– Postąpił słusznie? – Starzec roześmiał się. – Był głupcem, który nie rozumiał innowacyjności tego, co robię! Czy chciałem się zemścić? Oj tak... Chociaż z początku nie miałem pojęcia, że Felix miał syna, ale kiedy tej jędry udało się do ciebie zadzwonić, wszystko nagle stało się jasne. Dotarło do mnie, że to ty jesteś jego synalkiem. Jak więc mogłem przepuścić taką okazję do odegrania się na nim? To był piękny plan, żeby za jednym zamachem odnaleźć skarb i zemścić się na tym kapusiu... Naprędce wymyśliłem tę łamigłówkę z *Aktami Piłata*. Potem Blanc miał cię nakierować na Dantego, ale najwidoczniej sam na to wpadłeś... Anagram, musisz przyznać, że nieźle to wymyśliłem. Ale ja po prostu wykorzystałem twoją pychę. Wiedziałem, że nie odpuścisz, dopóki nie dowiesz się, o co chodzi. A twoja przyjaciółeczka była tylko przynętą! Ha! Szkoda, że Felix nie żyje, chciałbym zobaczyć jego minę na wieść o tym, jak załatwiłem jego rodzzonego syna!

– Jesteś wariatem – rzuciła do niego Kate.

– Być może, ale przyznasz, że dość pomysłowym wariatem. Udałoby mi się, gdybyś mi nie uciekła... Zresztą teraz to już i tak nie ma znaczenia, skoro ten kretyn nie był w stanie znaleźć jednego małego liściku. – Skinął na profesora i odwrócił wzrok.

– Wystarczy, zabierzcie go. – Malinot zwrócił się do funkcjonariuszy. – Mam dość słuchania tych bredni.

Policjanci siłą zaciągnęli starca do radiowozu. Jednakże gdy jeden z nich otworzył drzwi, a drugi zaczął wypychać go na tylne siedzenie, Oliver niespodziewanie zawołał:

– Ebeling! – Victor niechętnie zwrócił głowę w jego stronę, a dwaj gliniarze na chwilę przestali się z nim siłować. – Osoba o inicjałach P.S., mówi ci to coś?

Starzec wbił wzrok w ziemię, próbując zrozumieć, co profesor miał na myśli. Po chwili jego oczy rozbłyły, a na twarzy zagościł cień cynicznego uśmiechu. Spojrzał na Monroe'a i odezwał się głosem pełnym złości:

– Ty podstępna żmijo, cały czas pogrywałeś sobie ze mną! Znalazłeś list w głowie demona, prawda?! Znalazłeś go... Znalazłeś list! Legenda nie kłamała...

Ostatnie zdanie wypowiadał już z wnętrza samochodu. A podczas gdy Victor klął wniebogłosy, Blanc – który do tej pory ze spokojem przypatrywał się całej scenie – podszedł do nich wolnym krokiem ze spuszczoną głową. Oliver dostrzegł, że on również miał kajdanki na nadgarstkach, co nie było wcale dużym zaskoczeniem.

– Źle to wygląda – mówił dość chaotycznie. – Chciałbym, żebyście wiedzieli, że nigdy nie zależało mi ani na tym całym skarbie, ani na odnalezieniu mordercy. Chodziło tylko o pieniądze, które zaoferował mi Victor. Potrzebowałem ich, Oliverze. Miałem zamiar powiedzieć ci o tym, że on więzi Kate. Wtedy na dworcu, pamiętasz? Ale był tam też Cartier i Malinot. Spanikowałem... Należą wam się przeprosiny. Przepraszam.

Monroe nie odezwał się, a jedynie lekko potaknął. Starał się ukryć fakt, że w głębi serca było mu szkoda Jérémiiego. Nie żywił do niego wielkiego żalu. Wiedział jednak, że dziennikarz popełnił błąd i musi za to zapłacić.

Malinot gestem ręki wskazał Blankowi radiowóz. Ten odwrócił się i bez słowa ruszył w stronę auta. Wsiadł i zamknął za sobą drzwi.

Przytłumione nawoływania i obelgi rzucające przez Ebelinga dobiegały ich jeszcze dłuższą chwilę, a profesor dałby sobie rękę uciąć, że starzec powtarzał te nienawistne słowa przez całą drogę do Carcassonne, a może nawet i dłużej.

Gdy tylko samochód odjechał, Kate zbliżyła się do Olivera i zapytała:

– O co chodziło z inicjałami P.S.? I dlaczego Ebeling zorientował się, że znaleźliśmy list, dopiero gdy o nich wspomniałeś?

– W historii Bérengera Saunière’a bardzo często pojawia się ten skrót. Jeden z pergaminów, które zostawił mu Antoine Bigou pod filarem podtrzymującym ołtarz, był oznaczony tymi dwiema literami. Są one również widoczne na płycie nagrobnej markizy d’Hautpoul. Nie wiadomo, co naprawdę znaczą, ale nietrudno zauważyć, że są to także inicjały Philippe’a Saunière’a. Ebeling z pewnością sądził, że list Rivière’a wspomina o potomku księdza. Dlatego gdy napomknąłem o P.S., on błędnie skojarzył te inicjały z Philippe’em. Pomyślał, że musiałem odnaleźć list, żeby dowiedzieć się, iż potomkiem Saunière’a jest w rzeczywistości Philippe. Nie miał pojęcia, że wpadłem na ten trop już w Bibliotece Narodowej, kiedy doktor Sara Casaviechi pokazała mi wykaz osób, które wypożyczały *Lemegeton*.

Kate pokiwała głową, lecz po chwili spojrzała na niego pytająco.

– To by znaczyło, że Ebeling od samego początku wiedział, że Philippe jest potomkiem Saunière’a. Dlaczego więc nie wspomniał o tym wcześniej?

– Może dopiero teraz sobie to uświadomił – odparł. – To musiał być dla niego szok.

– To prawda – potwierdziła. – Jeszcze jedno, kim jest doktor Sara Casaviechi?

– Dyrektorką Biblioteki Narodowej w Paryżu – odpowiedział nieco zmieszany. – Właściwie to nie jest tak istotne.

– Ja chętnie posłuch...

– Może porozmawiacie o tym, kiedy już skończymy z tą sprawą?

– przerwał jej zniecierpliwiony Malinot. – Musimy złapać Philippe'a. To jest teraz najważniejsze.

Monroe odetchnął z ulgą, bowiem inspektor wybawił go od odpowiedzi na krępujące pytanie.

– Trzeba go szukać w kościele – powiedział.

– Już panu mówiłem, że zamknęliśmy świątynię. Nikt nie może do niej wejść, więc jakim cudem Philippe miałby się tam dostać?

– Mimo wszystko nalegam, żebyśmy tam poszli. – Profesor starał się za wszelką cenę przekonać inspektora, że nie myli się co do miejsca popełnienia ostatniej zbrodni.

Malinot westchnął ciężko. Kate tymczasem wzięła się pod boki i wbiła wzrok w ziemię. Najwyraźniej coś jej nie pasowało.

– Zaczekaj chwilę – zwróciła się do Olivera. – Przecież ustaliliśmy, że Philippe mści się na członkach Compagnie du Saint-Sacrement, tak?

– To prawda i co w związku z tym?

– Ostatnim z nich był Ebeling – rzuciła. – A skoro jego odwieziono do aresztu w Carcassonne, to...

– To znaczy, że ostatnią ofiarą ma być ktoś inny – dokończył za nią. – Musimy jak najszybciej udać się do kościoła. Inspektorze, proszę mi zaufać.

Malinot chwilę kręcił głową, ale w końcu dał za wygraną.

– Dobrze, niech panu będzie. Chodźmy tam.

ROZDZIAŁ 43

Chociaż na dworze grzało niemiłosiernie, a na niebie nie było ani jednej chmurki, to kościół Świętej Marii Magdaleny pozostawał pogrążony w mroku, jak gdyby słońce wcale nie wzeszło tego ranka. Barwne witraże, przez które zwykle wpadały do środka promienie rozświetlające wnętrze, wyglądały na przygaszone, a umieszczone na ścianach lampy nie paliły się.

– Dlaczego przestawiliście ławki? – zapytał Monroe inspektora.

W rzeczy samej – ławy kościelne zostały przesunięte na prezbiterium i upchane tuż za ołtarzem. Nawa była pusta. Malinot zmarszczył brwi i pokręcił głową. Wydawał się równie zaskoczony i skonsternowany co profesor.

– To nie my – odparł. – Kiedy wczoraj stąd wychodziliśmy, były na swoim miejscu.

Kate prędko wyczuła dziwną aurę panującą w kościele i nawet przystanąłaby nieświadomie, gdyby idący za nią inspektor nie ponaglił jej krótkim chrząknięciem. Powoli kroczyła w stronę ołtarza, niepewnie rozglądając się na boki. Chociaż zbliżali się już do końca tej historii, ona obawiała się, że w kluczowym momencie ziemia usunie im się spod nóg i pozostaną z niczym. Nigdy nie pomyślałaby nawet, że na ostatniej prostej będą towarzyszyć jej lęk i obawa przed nieznanym.

– Nie jestem pewna, czy powinniśmy tu dzisiaj być – wyszeptała.

– Co masz na myśli? – odparł Monroe, po którym nie widać było żadnych znamion lęku czy niepewności.

– Chodzi mi o to, że Philippe nie musi wcale popełnić ostatniej zbrodni akurat dzisiaj. Przecież wcześniejsze zabójstwa miały miejsce w odstępie co najmniej miesiąca.

– Nie, to musi być dziś – zaprzeczył. – Jego plan legł w gruzach, bo Ebeling został zatrzymany, a my dowiedzieliśmy się o wszystkim. Musi się spieszyć z ostatnim morderstwem.

Kate przystanęła i złapała go za rękaw koszuli.

– A co, jeśli on chciał, żebyśmy tu przyszli? – zapytała. – Mógł przecież zaplanować wszystko tak, żeby nas tu ściągnąć. Mam dziwne przeczucie, że to my jesteśmy pionkami w jego grze... Co, jeśli ktoś z nas jest ostatnią ofiarą?

Być może Oliver zastanowiłby się nad jej słowami, gdyby nie rozproszył go widok przykucniętego kilka metrów dalej Malinota. Zlekceważył obawy Kate i bez wahania zbliżył się do inspektora. W chwili, gdy stanął nad policjantem, ten wyciągnął dłoń w kierunku posadzki i przeciągnął po niej palcem. Następnie uniósł palec i pokazał Oliverowi spływającą po nim ciemnobrunatną, dość gęstą substancję. Zaraz po tym powąchał ją i natychmiast się wzdrygnął.

– Ropa naftowa – powiedział. – Może nawet zmieszana z benzyną albo innym łatwopalnym dziadostwem.

Profesor rozejrzał się po podłodze i dostrzegł, że strużka ropy biegła w poprzek kościoła, następnie pod ostrym kątem zakręcała, kierując się po skosie w stronę przeciwległej ściany. Jej dalszego przebiegu nie sposób było dostrzec, bowiem wtapiała się idealnie we wszechobecny półmrok.

Kate tymczasem zdążyła już do nich dołączyć.

– Odnoszę wrażenie, że miałaś rację – zwrócił się do niej Oliver. – I rzeczywiście Philippe chciał, żebyśmy tu byli. Zastanawia mnie tylko, czy...

Przerwał, bowiem niespodziewanie rozległ się odgłos tłuczonego szkła, gdzieś z okolicy ambony. W jednej chwili buchnął płomień, a ścieżka wylana ropą zajęła się ogniem. Malinot aż podskoczył do góry, a Kate i Oliver na ugiętych kolanach odruchowo zrobili kilka kroków w tył. Wtem ujrzeni, jak strumień ognia powoli wędruje po posadzce z jednej strony kościoła w drugą, odbijając się po drodze od ścian. Powstający na ich oczach ognisty szlak spychał ich coraz bardziej w kierunku konfesjonału, zmuszając do ciągłego cofania się. Gdy jednak oparli się plecami o drzwiczki konfesjonału, płomień niespodziewanie przygasł. Zatrzymał się po ich lewej stronie, tuż przed posągiem przedstawiającym Świętą Germanę.

Przez kilka długich sekund nie mogli otrząsnąć się z szoku, jaki wywołał w nich ten ognisty spektakl. Gdy szok ustąpił, Monroe wraz z inspektorem zaczęli z wolna przemieszczać się w stronę płomieni, podczas gdy Kate nie ruszyła się z miejsca. To jednak wcale nie strach sprawił, że młoda pani profesor stanęła jak wryta na widok ognia i nie zdecydowała się podążyć śladem swych towarzyszy. Ona po prostu zwróciła uwagę na coś, czego dwaj mężczyźni nie zauważyli. Na długo przed przyjazdem Olivera oddawała się obserwacjom wystroju kościoła, toteż znała każdy jego zakątek, każdą rzeźbę i relief. Dzięki temu dostrzegała niewidoczne dla nich szczegóły.

Gdy tylko strumień ognia zaczął wić się od jednej ściany do drugiej, Kate natychmiast pojęła sens jego trasy. Rozpocząła się po lewej stronie w okolicy ambony, nad którą usytuowano posąg Świętego Łukasza. Następnie prowadziła ku umieszczonej naprzeciwko statui Świętego Antoniego z Padwy. W tym miejscu

płomień odbijał się od ściany i wędrował po skosie do rzeźby poświęconej Świętemu Antoniemu Wielkiemu. Stąd biegł dalej ukośnie do posągu Świętego Rocha i kończył się pod przedstawieniem Świętej Germany. Kate ze zdziwieniem stwierdziła, że ścieżka wytyczona przez wędrujący płomień swym kształtem przypomina literę *M*. *M* jak Maria Magdalena. Nie było to jednak wszystko. Dostrzegła coś jeszcze, ale nie miała wystarczająco dużo odwagi, by o tym wspominać.

Podczas gdy ona zastanawiała się nad dziwnymi posągami i łączącym je ognistym szlakiem, myśli profesora zajmowało coś zgoła innego. Wyszedłby na głupca, gdyby nie pojął związku pomiędzy mrokiem ogarniającym świątynię a blaskiem bijącym z rozpalonej posadzki.

Aby doszło do powstania optogramu, konieczne jest silne światło i to, żeby badana osoba przez dłuższy czas wpatrywała się w dobrze oświetlony przedmiot... Zabójcy chodziło o to, żeby było całkowicie ciemno, bo tylko w takich warunkach silna i skupiona wiązka światła jest w stanie spowodować powstanie optogramów tej jakości.

Światło i ciemność. Dwie przeciwstawne natury współistniejące w tamtym momencie w kościele mogły oznaczać tylko jedno.

– Ten symbol ma posłużyć do utworzenia kolejnego optogramu – wyszeptał profesor. – Nie myliłem się, ostatnia zbrodnia będzie miała miejsce dzisiaj, zaraz...

– Tylko dlaczego to jest *M*? – zapytał Malinot. – Mówiliście przecież, że morderca chce ułożyć z tych liter nazwisko *Cros*, a w nim nie ma *M*. Ostatnią literą powinno być *S*.

– Nie wiem – odrzekł Monroe, kręcąc głową. – Nie mam pojęcia.

– Słyszał pan kiedyś o teorii uwydatniania znaczeń, profesorze?

Nagle cała trójka zwróciła wzrok w stronę prezbiterium, skąd dobiegał znajomy głos. Kate wnet zbliżyła się do Olivera, a Malinot odruchowo położył dłoń na kaburze przytwierdzonej do paska z tyłu spodni. Wówczas zza unoszących się oparów dymu dojrzeli smukłego mężczyznę odzianego w sutannę, który opuścił zakrytą i wolnym krokiem przechadzał się po prezbiterium. Nagle wskoczył na ołtarz, odwrócił się do nich przodem i wyprostował się. Dopiero wtedy mogli dokładnie mu się przypatrzeć. Potwierdziły się ich podejrzenia – to był Philippe.

– Pytałem, czy słyszał pan kiedyś o teorii uwydatniania znaczeń?
– mówił spokojnie, a jego delikatny głos wybrzmiewał w tamtej chwili wyjątkowo donośnie.

– Nie słyszałem – odparł krótko Monroe, zastanawiając się, o co mogło mu chodzić.

– Zatem panu opowiem – oznajmił. – Pewnie zna pan całą tę historię o dopaminie, którą wszyscy postrzegają jako molekułę szczęścia. Po części jest to prawda, aczkolwiek to wcale nie wywoływanie euforii jest jej najważniejszą funkcją. Proszę sobie wyobrazić, że decyduje ona o tym, co jest dla nas atrakcyjne, a co uznajemy za nudne. Jedna cząsteczka dopaminy odpowiada za zamianę suchego, zimnego i pozbawionego duszy bitu informacji na uczucie, które nas przyciąga lub które nas odpycha. Nadaje znaczenie wszystkiemu, czego doświadczamy. Nasze postrzeganie każdego zdarzenia, każdej osoby i każdej czynności, jaką przychodzi nam wykonać, jest zakodowane w tej pojedynczej cząstce z wolna dryfującej z jednego bieguna synapsy na drugi.

Philippe przerwał, a w kościele zapanowała cisza, z rzadka tylko przerywana trzaskami iskier, które ulatywały z płomieni. Po krótkiej chwili milczenia niedoszły ksiądz kontynuował:

– Właśnie na tym mechanizmie opiera się teoria uwydatniania znaczeń. Jego zaburzenie może prowadzić do niewłaściwego przypisywania znaczenia poszczególnym sytuacjom czy... wskazówkom.

– Do czego zmierzasz? – zapytał w końcu Monroe.

– Chodzi mi o to, że źle ocenił pan wartość śladów, które napotkał na swojej drodze. Być może szybciej dotarłby pan do rozwiązania, gdyby nie skupiał się tak bardzo na szczegółach, tylko spojrzał globalnie. Nawet teraz myśli pan, że znak, który tworzy ogień na podłodze przypomina literę *M*. Po prostu zafiksował się pan na jej punkcie i nie widzi niczego poza nią. Proszę dokładnie się przyjrzeć. Spodziewał się pan litery *S* i ona istotnie tam jest, tylko trzeba spojrzeć nieco inaczej.

Oliver przypatrzył się rozpalonemu znakowi, przekreślił głowę i zmrużył oczy, starając się dostrzec to, o czym mówił Philippe. Po chwili uniósł brwi ze zdziwienia. W tym samym momencie dobiegł go szept młodzieńca:

– Trzeba spojrzeć globalnie, profesorze...

Nagle Monroe zorientował się, że to wcale nie *M* widnieje na posadzce kościoła. Od samego początku Philippe'owi chodziło o obróconą literę *M*, czyli Σ .

– To sigma, grecki odpowiednik litery *S* – tłumaczył na głos. – Napis *Cros* z sigma zamiast *S* to nawiązanie do płyty nagrobnej markizy d'Hautpoul, gdzie znaki łacińskie były pomieszane z greckimi... Dlatego policja nie mogła znaleźć tu niczego przypominającego *S*. Szukali w niewłaściwym alfabecie.

– Widzi pan? Wystarczy patrzeć całościowo.

Kate miała już dość ciągłych zagadek i słuchania, jak Philippe popisuje się przed nimi swoją inteligencją i pomysłowością.

– Jesteś prawnikiem Saunière'a? – wypaliła.

Mężczyzna zwrócił na nią wzrok, a przez jego twarz przebiegł wówczas cień uśmiechu.

– Widzę, że co nieco już wiecie – powiedział z zadowoleniem. – Pozwoli pani jednak, że zaczniemy od początku.

– Po co to wszystko? – nie zamierzała czekać. – Nic w ten sposób nie osiągniesz.

– Dobrze pani wie, dlaczego to robię. Z zemsty na tych, którzy domagają się czegoś, co do nich nie należy.

– Przecież Compagnie pomagało Marie Dénarnaud, gdy została sama po śmierci Saunière'a – wtrącił profesor. – A wcześniej finansowało wszystkie prace renowacyjne kościoła i okolic, czyniąc z twojego pradziadka zamożnego człowieka. To chyba nie dziwne, że chcieli swoje pieniądze z powrotem.

– Żadne pieniądze nie istnieją, panie Monroe – odparł Philippe ze spokojem w głosie, a Oliver i Kate popatrzyli na niego zaskoczeni. – Do tej pory to do was nie dotarło? Skarb, którego tak usilnie poszukiwał Ebeling, nie jest materialny, a... duchowy.

ROZDZIAŁ 44

Niespodziewanie w kościele zrobiło się duszno, chociaż drzwi wejściowe były otwarte. Mogli przez nie uciec w każdej chwili, ale zdecydowali się zostać, by poznać prawdę o Saunièrze i doprowadzić sprawę morderstw księży do końca.

– Wyglądacie na zdezorientowanych – kontynuował Philippe. – Nie dziwię się wam, chociaż przyznam, że po panu, profesorze, spodziewałem się więcej. Sądziłem, że do czasu naszej ostatniej konfrontacji wszystko stanie się jasne. Ale najwyraźniej przeceniłem pana inteligencję. No cóż, trudno. Będę wam musiał wszystko sam wytłumaczyć.

Przerwał, aby zaczerpnąć tchu. W tej samej chwili Kate dostrzegła linę przymocowaną do ambony w niewiadomym celu. Powiodła za nią wzrokiem i zorientowała się, że biegnie ona do góry, zahacza o sufit i schodzi z powrotem w dół. Jej wolny koniec zwisał bezwładnie, czasem tylko dyndając pod wpływem unoszącego się gorącego powietrza.

– Compagnie du Saint-Sacrement istotnie finansowało mojego pradziada. To z ich polecenia wyremontował kościół. Większość sądzi, że udzielał bardzo szczegółowych wskazówek architektom i rzeźbiarzom, ponieważ chciał, żeby świątynia i przyległe budynki wyglądały tak, jak on sobie tego życzył. Nic bardziej mylnego. Wszystkie wymagania, jakie stawiał wykonawcom, pochodziły bezpośrednio od AA. Saunière po prostu realizował ich fanaberie.

Był pośrednikiem. Nie mógł ingerować w projekty, które były mu narzucane z góry.

– Dlaczego się nie sprzeciwił? – dopytała Kate, wyraźnie dumna z tego, że jej przypuszczenia dotyczące związku między Compagnie a Saunière'em okazały się prawdziwe.

– A po co miałby to robić? Otrzymywał mnóstwo pieniędzy, które wystarczały mu na budowę i codzienne życie.

– Chyba nie do końca tak było, skoro często musiał odkładać w czasie określone prace, bo nie miał pieniędzy, żeby opłacić robotników – zauważył Monroe.

– Wtedy po prostu czekał na przelew, a kiedy go otrzymał, wznawiał remont – wzruszył ramionami. – Nie ma w jego historii nic szczególnego, profesorze. Był tylko pionkiem. Gorączka złota zaczęła się dopiero po jego śmierci, gdy Noël Corbu wszedł w posiadanie całej *domaine*. Marie Dénarnaud obiecała mu wówczas, że przed śmiercią wyjawি mu sekret Saunière'a, ale nie zdążyła tego zrobić. Mimo to Corbu wymyślał niestworzone historie i fałszował dokumenty, przekonując wszystkich dookoła, że poznał tajemnicę mojego pradziada. Wtedy Compagnie zainteresowało się nim i zaczęło go prześladować. Pewnie tak jak inni dali się nabrać na jego kłamstwa i grozili mu śmiercią, jeśli nie wyjawি im miejsca ukrycia skarbu. Gdyby rzeczywiście Corbu miał jakiegokolwiek pojęcie o historii Saunière'a, wiedziałby, że żaden skarb nigdy nie istniał. Wszystkie pieniądze, jakie Compagnie przelewało na konta mojego pradziada, zostały wydane przed jego śmiercią. A kwoty, które Towarzystwo przeznaczało na utrzymanie Marie, były niewielkie. Dlatego do samego końca żyła w ubóstwie. Niestety, Corbu zagubił się w wymyślonej przez siebie opowieści i przyplącił to życiem. Zginął w dziwnych okolicznościach

w wypadku samochodowym. Nietrudno się domyślić, kto za to odpowiadał.

– Marie o niczym nie wiedziała? – dopytał profesor.

– Nie miała pojęcia o tym, skąd pochodziły pieniądze Saunière’a – potwierdził jego przypuszczenia Philippe. – Wie pan przecież, że warunkiem stawianym mu przez AA było niezdradzanie nikomu źródła swego finansowania, chyba że u spowiedzi. Z tego powodu nie puścił pary z ust nawet przed swoją drogą Marie.

– W porządku – rzekł profesor. – Ale jedna rzecz mi się nie zgadza. Skoro Marie Dénarnaud nie wiedziała o AA, to co w takim razie chciała powiedzieć Noëlowi przed śmiercią? Miała zamiar zdradzić mu, że była z Saunière’em w ciąży?

Philippe uśmiechnął się szyderczo pod nosem i zmrużył oczy.

– Po raz kolejny się pan nie popisał, panie Monroe. – W jego głosie słychać było satysfakcję. – Marie miała zamiar przekazać Noëlowi tę samą wiadomość, którą ja zawarłem w rozpalonej sigmie tuż przed panem. Nie patrzył pan wystarczająco uważnie.

Oliver zmarszczył brwi. Tymczasem Kate mimowolnie zagryzła wargi i zacisnęła pięści. Nie myliła się, podejrzewając, że za płonąącym znakiem kryje się coś więcej.

– Nie wiem, o co...

– Posągi – przerwała Oliverowi, na co ten popatrzył na nią ze zdziwieniem. – Chodzi o posągi.

– Jakie znowu posągi? – zapytał Malinot.

Philippe roześmiał się i klasnął w dłoń.

– Powinien pan się od niej uczyć. – Nie przestawał szydzić z Olivera.

– O jakich rzeźbach mówisz, Kate? – zapytał profesor ze spokojem w głosie.

Przełknęła ślinę.

– Chodzi mi o posągi świętych – mówiła powoli, ważąc każde słowo. – Zauważyłam, że ogień rozpałił się w okolicy ambony, czyli tuż pod posągiem Świętego Łukasza^[18]. Następnie powędrował do posągu Świętego Antoniego z Padwy. Odbił się od ściany i skierował najpierw w stronę statui Świętego Antoniego Wielkiego, potem Świętego Rocha, aż wreszcie osiągnął posąg Świętej Germany. Pierwsze litery imion świętych dają nam wyraz LAARG. Monroe wzruszył ramionami i rzekł:

– Przecież to nic nie znaczy.

– Przeczytaj od tyłu – poradziła mu.

Kate ujrzała, jak porusza wargami, szepcząc pod nosem słowo *Graal*. Nagle coś odjęło mu mowę.

– Już pan rozumie, profesorze? – Philippe wykorzystał jego chwilę zawahania, by się odezwać. – To, skąd mój pradziad wziął pieniądze na renowację kościoła, wcale nie było największą tajemnicą, jaką skrywał. Najważniejszy sekret powierzył swej ukochanej Marie, która następnie przekazała go memu dziadkowi, on mojemu ojcu, a ten mnie. Chciała również powierzyć go Noëlowi Corbu, ale zmarła, nim zdążyła dotrzymać słowa.

Monroe nerwowo wodził wzrokiem po posągach, analizując wszystko, czego się dowiedział. Tymczasem Kate raz jeszcze spojrzała na dyndającą na wysokości prezbiterium linę, dostrzegając, że zakończona jest pętlą.

W tym samym momencie Philippe wyciągnął zza pleców coś wyglądającego jak wieniec. Ów dziwny przedmiot zwrócił uwagę Olivera, przypominał mu splecione ze sobą gałęzie z kolcami. Profesor natychmiast odtworzył w pamięci treść odszyfrowanego listu z głowy Asmodeusza i wnet wszystko pojął.

– To ty jako pierwszy odnalazłeś głowę Asmodeusza w Maison Giscard! – krzyknął do Philippe’a. – Odczytałeś wiadomość

od Rivière'a i na jej podstawie popełniałeś wszystkie mordy!

Kate i inspektor wstrzymali oddech.

– Sprytne... – kontynuował. – *Przez kaplicę... Kaplica* to po francusku *la chapelle*. Od tego słowa wzięłeś swoje fałszywe nazwisko. Potem były *serca rozpalone*, które zainspirowały cię do dwóch pierwszych morderstw. Daquin zginął przecież w płomieniach, a serce Gauthiera znaleziono w dzwonie. *A jedno z nich koroną cierniową oplecione...* Atrybutem ostatniej zbrodni jest korona cierniowa, którą ofiara będzie mieć na głowie w chwili śmierci. Kto jest twoim ostatnim celem, co? Kto zginie w koronie cierniowej? Przyznaj się!

Philippe zastygł w miejscu i przez chwilę nie reagował. Nagle roześmiał się głośno i bez słowa nałożył sobie koronę cierniową na skronie. Całą trójkę zamurowało.

– Ja, profesorze, ja – mówił chaotycznie, a w jego głosie pobrzmiwała nuta niepokoju. – Od początku prowadziłem pana za rękę. Najpierw podsunąłem Ebelingowi optogramy, potem odrąbałem głowę demonowi, a panu pokazałem tablicę spod reliefu ołtarza. Sfałszowałem dokumenty Ernesta Crosa i sprytnie przekonałem pana do podróży do Paryża, żeby znalazł pan *Mniejszy Klucz Salomona*. On miał doprowadzić pana do spowiedzi Saunière'a, którą Rivière przekazał demonowi na wieczne przechowanie... Podążał pan ścieżką, którą ja wytyczyłem. Jak ten płomień tworzący sigmę na posadzce... Bezmyślny, mogący biec tylko w jednym kierunku... Możecie uznać mnie za obłąkanego, ale ja nie byłem w stanie znieść myśli, że kościelna organizacja, niegdyś prawa i propagująca pomoc bliźnim, na przestrzeni wieków pogrzyżyła się w mroku. Zaślepił ich skarb... Skarb, który nigdy nie istniał! Cóż za zrzędzenie losu. Daquin, Gauthier, Babineaux i wreszcie Ebeling. Oni wszyscy musieli ponieść karę za chciwość.

Tylko oczyszczenie mogło zbawić ich dusze i serca... Oczyszczenie, którego ja również potrzebuję. Pamięta pan, profesorze, *cor unum et anima una*.

– Dlaczego usunąłeś gałki oczne wszystkim księżom z wyjątkiem Babineaux? – zapytał Monroe.

– Ebeling wiedział już, co ma robić. Chciałem dostarczyć wam nieco rozrywki.

– A jak Victor dowiedział się o miejscu ukrycia listu Rivière'a? – dociekał profesor. – To on nakierował mnie na obraz Poussina, z którego po części wywnioskowałem, że chodzi o głowę Asmodeusza.

– On i całe Compagnie błądzili jak dzieci we mgle. Wiedzieli, że Poussin odgrywa w tym wszystkim jakąś rolę, ale nie mieli pojęcia, jaką. Założę się, że nie dostał pan od niego żadnej szczegółowej informacji, a jedynie hasło *Nicolas Poussin*. Mam rację, profesorze?

Oliver spuścił wzrok, co stanowiło potwierdzenie domniemań niedoszłego księdza.

– To koniec, Phillippe – odezwał się w końcu Malinot, który miał dość przysłuchiwania się rozmowie dwóch mężczyzn.

Młodzieniec sięgnął dłonią po zwisającą linę i założył sobie pętlę na szyję. Następnie zacisnął ją mocno i uniósł wzrok ku górze.

– Ma pan rację, inspektorze – odrzekł. – To koniec.

– Czekaj, stój! – krzyknął Oliver. – O co chodzi z resztą listu Rivière'a? O jaką płytę chodzi, czym jest odwrócony kościół? Jaką rolę odgrywa w tym Graal?

Phillippe spojrział na profesora, a do jego oczu napłynęły łzy.

– Niech pan zapyta inspektora, co widział na plecach Babineaux – odrzekł i skinął na Malinota, któremu serce na chwilę stanęło. – Potem niech pan sobie przypomni swój sen. Sen, który męczył pana

od tygodni. Sen tak łądząco podobny do wizji moich ofiar... Wtedy pozna pan tajemnicę Graala. Ostatnie cztery wersy zagadki Rivière'a zostawiam panu.

Monroe'emu zakręciło się w głowie. Słowa Philippe'a brzmiały jak objawienie.

– W jaki sposób dowiedziałaś się o moim śnie? – wyszeptał. – Skąd wiesz, co widzieli księża przed śmiercią? Jeśli to wszystko twoja sprawka, to... jakim cudem?

– *Demony umieją sprawiać, by ludzie postrzegali rzeczy nieistniejące tak, jak gdyby istniały one naprawdę.* Niech pan o tym pamięta, profesorze. Żegnam.

Nim ktokolwiek z obecnych zdążył zareagować, Philippe zeskoczył z ołtarza i zawisł na linie metr nad ziemią. Jego ciało poczęło drżeć, ręce dygotały w agonalnych konwulsjach, a twarz w okamgnieniu zrobiła się sina.

– Trzeba przestrzelić linę! – krzyknęła Kate.

Inspektor w jednej chwili sięgnął po broń i oddał kilka strzałów w stronę liny. Gdy trafiła ją jedna z kul, niespodziewanie ujrzeni iskry wzbijające się w powietrze, a ich uszu dobiegł brzdęk odbijającego się pocisku.

– To nic nie da, lina jest metalowa – pokręcił głową Malinot. – Trzeba go złapać i podsadzić, żeby pętla się poluzowała!

Zrzucił z siebie marynarkę i cofnął się pod sam konfesjonał. Aby przeskoczyć płomienie, musiał wziąć odpowiedni rozbieg. Rozpędził się, pokonując kilka metrów, po czym złożył się do skoku. Nagle usłyszał krzyk Olivera:

– Nie!

Profesor złapał inspektora i powalił go na ziemię ciężarem swojego ciała.

– Co pan robi? On się dusi! Potrzebujemy go! – zagrzmiął Malinot.

– Nic już nie możemy zrobić, niech pan popatrzy.

Monroe wskazał palcem wisielca, którego sutanna zajęła się ogniem w momencie, gdy inspektor chciał do niego doskoczyć. W okamgnieniu ciało Philippe'a stanęło w płomieniach. Dygotał jeszcze przez chwilę, nim zaciśnięta na jego szyi pętla sprawiła, że stracił przytomność. Malinot mógł jedynie czekać, aż samobójca wypali się jak zapałka. Usiadł na podłodze i splótł dłonie na kolanach. Nie był w stanie nic zrobić. Philippe Saunière był już martwy.

ROZDZIAŁ 45

Choć pożar w kościele ugaszono już ponad pół godziny temu, dym wciąż unosił się z dzwonnicy i wydostawał przez otwarte na oścież drzwi. Odpowiednie służby dotarły na miejsce niezwłocznie po telefonie od Malinota. Strażacy zajęli się opanowaniem pożaru, medycy potwierdzili zgon Philippe'a, a policjanci zabezpieczyli miejsce zbrodni. Oliverowi i Kate nie pozostało nic innego, jak tylko przypatrywać się ich pracy.

Siedzieli na murku tuż obok bramki prowadzącej do Jardin du Calvaire, co jakiś czas spoglądając na wejście do kościoła ukryte pod drewnianym daszkiem.

– Nie spodziewałam się tego – odezwała się w końcu Kate. – Wiedziałam, że nigdy nie było żadnego skarbu, ale podejrzewałam, że Saunière odłożył jakąś część pieniędzy przekazanych mu przez Compagnie. Okazało się, że to wszystko były bujdy, a sami członkowie AA dali się zwieść Noëlowi Corbu i uwierzyli w jego wymyślone opowieści o skarbie.

– Na to wygląda – potaknął, a po chwili dodał: – Wciąż nie mogę uwierzyć, że to się tak kończy, że nie ma żadnej wielkiej tajemnicy, że cała historia Saunière'a była taka... zwyczajna.

– Nie do końca. Co z wiadomością pozostawioną przez Rivière'a?

– Zastanawiałem się nad tym i coś mi w niej nie pasuje. Legenda przecież mówiła, że Saunière w czasie spowiedzi wyjawiał, skąd miał pieniądze na renowację kościoła, tymczasem dokument

umieszczony przez Rivière'a w głowie Asmodeusza nic o tym nie wspomina.

– Mylisz się – zaprzeczyła. – Mówiłam ci wcześniej, że zgodnie z legendą Saunière u spowiedzi wyznał Rivière'owi swój sekret. Legenda nie precyzuje, co było tym sekretem. To powszechne przeinaczenie.

Zauważyli, jak dwóch medyków wynosi z kościoła szczątki Philippe'a w czarnym worku. Na ten widok dreszcz przeszedł Kate po plecach i natychmiast odwróciła wzrok.

– Ebeling wspomniał coś o *Aktach Piłata* i *Boskiej komedii*. O co chodziło? – zapytała, chcąc skupić uwagę na czymś innym.

– Tego dotyczyły wskazówki, które wysyłał z twojego numeru telefonu – odparł. – Jedną wysłał mi, drugą Blankowi. Potem okazało się, że to było ustawione i Blanc miał mi po prostu pokazać swoją wiadomość. Zresztą wszystko słyszałaś.

– Dlaczego wybrał akurat apokryf i dzieło Dantego?

– Sam mówił, że chciał mnie zainteresować, dlatego postawił na coś, co miało sens i wymagało myślenia. Według niego wybór tych dzieł był przypadkiem, ale ja tak nie uważam. Ebeling, Blanc i Philippe, każdy z nich reprezentował inny grzech według Dantego. Ebeling pragnął za wszelką cenę zdobyć nieistniejący skarb Saunière'a, bo uważał, że należy się on Towarzystwu. Pochłonęła go pycha. Blankowi z kolei zależało tylko na pieniądzach Victora, a żeby je zdobyć, był gotów posunąć się do wszystkiego. Był więc człowiekiem pozbawionym moralności. A Philippe'em kierowała rżądza zemsty. Dla każdego Dante przeznaczył inny krąg piekła.

Kate tylko pokiwała głową i uniosła wzrok. Zamknęła oczy, pozwalając, by promienie słońca lekko muskały jej twarz.

– Pani Martínez mnie zabije – odezwał się Oliver. – Nie zjawiłem się wczoraj na obiedzie.

Roześmiała się.

– Myślę, że ciężko będzie ją udobruchać, ale może ci się uda.

Nagle ujrzeli inspektora Malinota wychodzącego z kościoła. Zdało im się, że to on najgorzej zniósł śmierć Philippe'a. Czuł się winny, że nie udało mu się uratować ani jego samego, ani żadnej z jego ofiar. Zbliżył się wolnym krokiem.

– Panie Monroe, pani Evans – zwrócił się do nich dość oficjalnie. – Moi ludzie sprawdzili Philippe'a i okazało się, że nie był do końca świeckim. Był oblatem benedyktyńskim. Oznaczało to, że nie złożył ślubów zakonnych, a jedynie przyrzekł wytrwać w wierze i przestrzegać reguły benedyktyńskiej.

– Nie zmienia to faktu, że nie mógł być księdzem – zauważyła Kate.

Malinot potaknął, przyznając jej rację. Nagle sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął z niej mały kajet. Wręczył go Oliverowi. Profesor ze zdziwieniem stwierdził, że na okładce było jego imię i nazwisko.

– Moi ludzie przeszukali mieszkanie Philippe'a i znaleźli w nim ten zeszyt. Wygląda na to, że należy do pana.

Monroe otworzył go i natychmiast zorientował się, że jest to ten sam zeszyt, w którym dzień wcześniej zapisywał kolejne etapy dekryptaży dziwnej inskrypcji z płyty nagrobnej markizy d'Hautpoul. Nie był w stanie jednak pojąć, w jaki sposób znalazły się na nim jego imię i nazwisko, skoro zeszyt należał do Philippe'a.

– Dziękuję wam za pomoc. – Inspektor zmienił temat. – Przykro mi za moje wcześniejsze zachowanie, profesorze. Na początku byłem do pana negatywnie nastawiony i zlekceważyłem pana pomoc. Okazała się jednak nieoceniona. Pani Evans, jeszcze raz przepraszam za wszystkie niedogodności, jakie panią u nas spotkały.

Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś się zobaczymy. Żałuję, że nie udało mi się was poznać w innych okolicznościach.

Uśmiechnęli się.

– A jeśli chodzi o pana wybryk, profesorze – popatrzył na Olivera – to zdaje sobie pan sprawę, że to poważne przestępstwo?

Kate nie miała pojęcia, o czym mówił inspektor.

– Jakie przestępstwo? O co chodzi?

– Tak. – Monroe spuścił wzrok, jak gdyby czekając na karę.

– Ale jestem skłonny darować to panu tym razem. – Na te słowa profesora zamurowało, nie spodziewał się, że uda mu się uniknąć kary. – Ale jeśli to się powtórzy, to nie ręczę za siebie.

Nie powtórzy się – pomyślał Monroe. Nie zamierzał tu więcej przyjeżdżać.

– Dziękuję – odparł. – Naprawdę to doceniam.

Malinot pokiwał głową i odwrócił się na pięcie, odchodząc.

– Inspektorze! – Oliver zawołał, gdy policjant zdążył się już nieco oddalić. – Philippe w kościele wspomniał, że widział pan coś na plecach Babineaux. O co chodziło?

Zapytany niechętnie zwrócił głowę w jego stronę. Widać było, że chwilę się wahał, nim w końcu zdecydował się odezwać.

– Kiedy przedwczoraj rano odwoziłem Babineaux do domu, zatrzymałem się na jakiejś polnej drodze i kazałem mu wysiąść – mówił. – Ustawiłem go tyłem do wschodzącego słońca, a kiedy promienie padły na jego plecy, ujrzałem coś dziwnego. Przypominało człowieka na koniu, może dwóch ludzi. Nie wiem dokładnie, wszystko to było bardzo niewyraźne. Szarżowali, zdawali się poruszać... Jeden z jeźdźców dzierżył miecz i tarczę. Wcześniej widziałem to samo, gdy Babineaux wrócił do komisariatu tamtego poranka. Z tym, że wtedy wyglądało jak wyrżnięte w skórze. Potem zniknęło i więcej tego nie widziałem.

Ale nie ma o czym mówić, pewnie mi się przywidziało.
Do widzenia.

Monroe zmrużył oczy i pożegnał inspektora skinieniem głowy. Zdawał się zamyślony, jak gdyby przypomniał sobie o czymś ważnym. W końcu Kate szturchnęła go lekko, żeby się opamiętał. Wówczas spojrział na nią, przygryzając wargi.

– Może historia Saunière'a nie jest wcale tak zwyczajna, jak wcześniej myślałem – powiedział, zeskakując z murka. – Chodź za mną.

ROZDZIAŁ 46

Kate zaskoczył tak nagły zryw Olivera, który zamiast wytłumaczyć jej swoje zachowanie, po prostu poprowadził ją przez bramkę, na której zawieszona była tabliczka z napisem *Presbytère*. Za nią znajdował się dziedziniec – obudowany stalowo-szklaną konstrukcją i wciśnięty między willę Béthanie a plebanię. Mieścił sklepik z pamiątkami, który jednak stał zamknięty od wczorajszego poranka, gdy w kościele odnaleziono zwłoki Babineaux.

Skręcili w prawo i podążyli na plebanię, którą zagospodarowano na muzeum poświęcone Bérengerowi Saunière'owi. Wybrali pierwsze wejście po prawej stronie, prowadzące do niewielkiej sali o dość skąpej ekspozycji.

Od razu dostrzegli stojącą w kącie kolumnę. Monroe bez problemu ją rozpoznał. Był to oryginalny filar, pod którym Saunière znalazł małą szkatułkę zawierającą kości, wysuszone kwiaty i trzy pergaminy. Dokładna jego kopia umieszczona została pod ścianą willi Béthanie, o czym dowiedział się dzień wcześniej od Ebelinga, gdy wraz z Blankiem zwiedzali Jardin du Calvaire.

Jednakże profesorowi nie chodziło wcale o kolumnę. O wiele bardziej interesowała go kamienna płyta wisząca na ścianie naprzeciwko wejścia, i to dla niej zdecydował się odwiedzić muzeum. Była to ta sama płyta, pod którą Saunière odnalazł swój rzekomy skarb i wejście do krypty ciągnącej się pod kościołem.

Oliver na jej widok nagle wstrzymał oddech. Nie mógł uwierzyć własnym oczom i zarazem bił się w piersi, że wcześniej na to nie wpadł. Płyta podzielona była na dwie części. Po lewej stronie umieszczono wizerunek kobiety dosiadającej wierzchowca, która w prawej dłoni dzierżyła róg. Natomiast na prawo od niej przedstawiono dwóch rycerzy na jednym koniu.

– *La dalle des chevaliers* – wyszeptała Kate. – Dlaczego mnie tu przyprowadziłeś?

– Płyta rycerzy – przetłumaczył. – Jak mogłem wcześniej tego nie zauważyć...

– O co chodzi? – dociekała.

– Grająca na rogu kobieta... To ją widziałem w swoim śnie. Wydawała mi się znajoma, bo po prostu pamiętałem ją z opowieści ojca. Wspominał kiedyś o płycie rycerzy. Poza tym to właśnie kobieta jeździec z rogiem w ręku objawiała się księżom na dobę przed śmiercią. Natomiast rycerze z prawej części płyty odpowiadają tym, których widział inspektor na plecach Babineaux. Dokładnie tak ich opisał. Dwóch templariuszy na jednym wierzchowcu.

– To nie są templariusze – wtrąciła, na co Monroe popatrzył na nią pytająco. – Być może ta płaskorzeźba przypomina pieczęć templariuszy, ale nią nie jest. Na pieczęci rycerze i ich wierzchowiec zwróceniu są w lewo, tymczasem tutaj jest odwrotnie. Ponadto na pieczęci wyraźnie widać dwóch rycerzy i dwie tarcze, natomiast na płycie można dostrzec tylko jednego rycerza, który w dodatku wymachuje mieczem. Pieczęć templariuszy nie zawiera tego gestu.

– Co więc według ciebie przedstawia ta płaskorzeźba? – zapytał, wyraźnie zaintrygowany jej analizą.

– Zwróć uwagę, że wierzchowca dosiada jeszcze jedna postać, ewidentnie mniejsza od samego rycerza. Ten kolisty przedmiot

widoczny w okolicy końskiego łba niektórzy utożsamiają z tarczą, ale jeśli dobrze się przypatrzysz, dostrzeżesz, że to nie jest tarcza, tylko głowa wyrastająca z małego korpusu. Płyta nie przedstawia wcale dwóch templariuszy, tylko rycerza i dziecko.

Oliver potrzebował chwili, by poukładać sobie wszystko w głowie.

– Oliverze – tłumaczyła dalej. – Tym dzieckiem jest Sigebert IV, syn Dagoberta II, czyli ostatniego króla z dynastii Merowingów. Płyta przedstawia scenę, gdy młody Sigebert zostaje uratowany przez swoją siostrę, zawieszony w okolicy Rennes-le-Château i oddany pod opiekę księżnej de Razès.

– To tylko legenda – odrzekł, choć sam nie był pewien swoich słów. – Wiesz dobrze, że to wydarzenie mogło nigdy nie mieć miejsca. Jedyne jego opisy pochodzą bowiem z dokumentów, które zostały zdeponowane w Bibliotece Narodowej Francji w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku. Tymi dokumentami były...

– *Les Dossiers Secrets d'Henri Lobineau* – dokończyła za niego. – Znam tę historię.

– To pewnie zdajesz sobie również sprawę, że te akta są fałszywe. Zostały sporządzone przez Pierre'a Plantarda, który za wszelką cenę chciał dowieść, że wywodzi się w prostej linii od Merowingów. W tym celu usnuł opowieść o zaginionym synu Dagoberta II, który miał rzekomo podtrzymać ciągłość rodu.

– Dokumenty może i zostały sfałszowane, ale płyta, na którą teraz patrzymy, jest prawdziwa. I przypominam ci, że powstała jeszcze przed urodzeniem Plantarda.

Nie mógł zaprzeczyć. Spuścił wzrok i nic nie odpowiedział.

– Legenda mówi, że ród Merowingów wywodził się od potomka Chrystusa i Marii Magdaleny – kontynuowała. – Podobno Maria

Magdalena wraz z Józefem z Arymatei i kilkoma innymi uczniami Chrystusa zostali wygnani z Ziemi Świętej. W łajbie bez steru i wiosł dotarli wówczas do wybrzeży południowej Francji, gdzie rozdzielili się, by więcej się nie spotkać.

Ni stąd, ni zowąd zaniemówiła. Nagle bowiem wszystko stało się dla niej jasne, jak gdyby sama udzieliła sobie odpowiedzi na nurtujące ją pytania.

– Przeprowadziłeś mnie tutaj, bo uznałeś, że płyta, o której wspomina Rivière w swoim liście, jest płytą rycerzy, prawda?

– Tak. – Pokiwał głową. – *Przez znaki na kościoła odwróconego płycie...* Myślałem, że chodzi o nią. Moje sny, majaki księży i widzenia Malinota... Wszystko pasowało, ale najwyraźniej się myliłem.

– Sądzę jednak, że miałeś rację – uśmiechnęła się. – Ale pomyliłeś płyty.

– O czym ty mówisz?

Nie po raz pierwszy wiedziała więcej od niego.

– Wszystko ci wytłumaczę, ale najpierw udamy się na małą wycieczkę.

Nim zdążył zaprotestować, pognała z powrotem na zewnątrz. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko podążyć za nią w tę ostatnią – miał nadzieję – podróż.

ROZDZIAŁ 47

Oliver miał z początku wrażenie, że udają się do wieży Magdala, bowiem Kate wyprowadziła go na skwer leżący pomiędzy nią a plebanią. Gdy jednak niespodziewanie zбочyli w lewo, od razu uświadomił sobie, dokąd naprawdę zmierzają.

Przez kaplicę

Te słowa wybrzmiały w jego głowie jak dzwon, kiedy stanęli przed przeszkloną kapliczką dobudowaną do jednej ze ścian willi Béthanie.

– To prywatna kaplica Saunière’a, w której odprawiał on msze, gdy w tysiąc dziewięćset jedenastym roku biskup Carcassonne, Beuvain de Beauséjour, nałożył na niego karę *suspensa a divinis* – gdzieś w tle dobiegł go głos Kate. – I chociaż mianowany przez biskupa nowy ksiądz odprawiał nabożeństwa normalnie w kościele, ludzie woleli słuchać kazań Saunière’a. Stali murem za swoim proboszczem.

Weszli do kapliczki, która zdawała się pełnić rolę werandy witającej przybyłych zmierzających do willi Béthanie. W środku zastali skromny ołtarz wsparty na dwóch filarach i niewielkie tabernakulum. Padało na nie fioletowe światło, które swą barwę zawdzięczało szkłu tworzącemu sklepienie kapliczki i jedną ze ścian. Tuż za ołtarzem dostrzegli wyjątkowy witraż przedstawiający złote doliny i płynącą między nimi krwistą rzekę. Tak przynajmniej

widział go wówczas Monroe, choć nie mógł być do końca pewny swej interpretacji.

Przekroczyli próg willi Béthanie. Na parterze odnaleźli jadalnię, kuchnię, salon i korytarz kończący się schodami.

– Mamy iść do góry? – zapytał Oliver.

– Nie – odparła. – Nasz następny przystanek to główne wejście.

Skierowali się w stronę drzwi wychodzących na ulicę. Monroe odruchowo złapał za klamkę i nacisnął ją, gdy nagle poczuł na swojej dłoni dłoń Kate.

– Zaczekaj – odezwała się. – Popatrz do góry.

Uniósł wzrok i zaniemówił. Nad drzwiami znajdowały się wbudowane w ścianę dwa małe witraże. Oba przedstawiały serca, a z ich szczytów wyrastały płomienie.

Przez serca rozpalone

Ponownie zaszumiały mu w głowie słowa zagadki Rivière'a. Wnet dostrzegł, że serce po prawej stronie przebite było mieczem i ozdobione wieńcem z kwiatów. Natomiast serce po lewej stronie oplatała korona cierniowa, a z płomieni wynurzał się krzyż.

A jedno z nich koroną cierniową oplecione

Zdało mu się, że słyszy głos Philippe'a, podszeptujący mu kolejne fragmenty listu.

– *Płomień, serce, krzyż i korona cierniowa* – wymówił nieświadomie. – Cztery symbole odpowiadające czterem zbrodniom.

– To tak zwane *les cœurs des écorchés* – tłumaczyła. – Pojęcie *les écorchés* oznacza dosłownie *obdarci ze skóry*, ale symbolicznie odnosi się do kochanków pogrążonych w bólu. Żyją obok siebie, ale nie wolno im być ze sobą. Dzielią ból fizyczny i duchowy, który

uśmierca ich serca z każdym dniem tej pozornej rozłąki. Jak Chrystus i Maria Magdalena, którzy musieli udawać przed innymi, że nic ich nie łączy.

– Jak Saunière i Marie Dénarnaud – dodał.

Spojrzał na Kate, a ona tylko skinęła głową, przepuszczając go w drzwiach. Rozumieli się bez słów. Wyszedł na ulicę i instynktownie wiedział, że ma skręcić w lewo. Po tej stronie przecież znajdowało się serce otulone koroną cierniową. Przemierzył ulicę i na jej końcu ponownie skręcił w lewo. Zorientował się, że jest na wąskiej drodze prowadzącej do wrót kościoła. Ruszył w ich stronę, lecz w połowie drogi przystanął, czując na ramieniu dłoń Kate.

– Teraz w prawo – pokierowała nim.

Jardin du Calvaire. Nie sądził, że jego podróż zakończy się tam, gdzie się zaczęła. Podążył w kierunku krzyża umieszczonego na piedestale z tablicą upamiętniającą wizytę w Rennes-le-Château biskupa Carcassonne, Féliksa Arsène'a Billarda. Wspiął się po stopniach do góry i rozejrzał wokół.

– Gdzie jest kolejna wskazówka? – zapytał Kate.

– Tuż pod twoimi stopami – odparła. – Stoisz na niej, Oliverze.

Spojrzał w dół. Z początku nie pojął, o co jej chodziło. Dopiero gdy uklęknął i przypatrzył się jednemu ze stopni, zrozumiał sens jej słów.

– Płyta rycerzy... – wyszeptał.

– A właściwie jej kopia – doprecyzowała. – Saunière kazał wykonać dokładną kopię płyty rycerzy i umieścić ją zamiast jednego ze stopni wiodących do krzyża w tym ogrodzie. Niewiele osób ją dostrzega, bowiem zdobiące ją płaskorzeźby kobiety jeźdźca i rycerza z dzieckiem starły się do naszych czasów. Ale wciąż tu są,

tylko trzeba wyteńczyć wzrok. Widzisz? Mówiłam ci, że pomyliłeś płyty.

Przesunął palcem po stopniu i zmrużył oczy.

Przez znaki na kościoła odwróconego płycie

Odwrócony kościół. To jedno wyrażenie zawładnęło jego myślami w tamtej chwili. Nagle uniósł wzrok i spojrzał na dobrze widoczną z Jardin du Calvaire ścianę willi Béthanie. Dostrzegł przystawioną do niej kolumnę z posągami Matki Boskiej z Lourdes na szczycie. Wnet przypomniał sobie, że była to dokładna kopia filaru, pod którym Saunière odnalazł tajemnicze pergaminy. Tego samego filaru, który ksiądz kazał następnie przenieść do ogrodu i z niewiadomych powodów postawić do góry nogami pod ścianą willi. Odwrócona kolumna – przemknęło mu przez myśl.

W przyptywie emocji złapał się za głowę i ponownie zwrócił wzrok ku stopniowi z idealną kopią płyty rycerzy. Natychmiast odświeżył w pamięci rozmowę, jaką odbył dzień wcześniej z Ebelingiem i Blankiem. W jej trakcie dziennikarz zapytał go, dlaczego nikt przed Saunière'em nie odkrył wejścia do krypty leżącej pod płytą rycerzy. On wówczas odparł, że wierzchnia strona oryginalnej płyty była czysta i pozbawiona płaskorzeźb, natomiast ta zawierająca przedstawienia kobiety jeźdźca i rycerza z dzieckiem zwrócona była do wnętrza krypty.

Nagle uświadomił sobie, że kopia płyty, z której Saunière kazał zrobić stopień, miała płaskorzeźby na wierzchniej stronie. Ksiądz, umieszczając ją w ogrodzie, odwrócił ją, tak jak wcześniej kolumnę podtrzymującą ołtarz.

Odwrócona kolumna, odwrócona płyta, odwrócony kościół.

Trzeba spojrzeć globalnie, profesorze.

– Ogród został zaprojektowany jako dokładne odbicie lustrzane kościoła – powiedział w końcu do Kate. – Ściana willi Bèthanie odpowiada tylnej ścianie świątyni, a ustawiona pod nią odwrócona kolumna jest dokładnie w miejscu, gdzie w kościele stoi konfesjonał. Saunière wykonał kopię płyty rycerzy i umieścił ją do góry nogami tu, gdzie teraz stoimy. Popatrz na kształt ogrodu... Ścieżka biegnąca wokół krzyża tworzy półkole i odpowiada kształtem absydzie zamykającej prezbiterium... Jesteśmy w samym centrum odwróconego kościoła, o którym mówiła zagadka.

Pokiwała głową, uśmiechając się. Rozgryzła to już wcześniej, gdy wpatrywali się w oryginalną płytę rycerzy w muzeum Saunière'a.

– Do tego momentu doszłam – oznajmiła. – Ale nie za bardzo wiem, o co chodzi w dalszej części listu Rivière'a.

Monroe wstał z kolan i wyprostował się.

Odnajdziesz AAA, która cię zachwyci

Znów zdało mu się, że to Philippe szepce mu do ucha słowa zagadki. Przeciągnął płaskimi dłońmi po marynarce i wyczuł w kieszeni prostokątny przedmiot. Dopiero wówczas przypomniał sobie o zeszytcie, który policjanci znaleźli w mieszkaniu wisielca. Zeszytcie, na którym widniało imię i nazwisko profesora, mimo że to nie on był jego właścicielem.

Otworzył go i zaczął skrupulatnie czytać tekst linijka po linijce. I choć dzień wcześniej własnoręcznie zapisywał każde słowo w kajecie, z trudem przychodziło mu w tamtej chwili analizowanie chaotycznych notatek. Nagle natrafił na fragment, który przykuł jego uwagę.

– *Et in AAA ego* – przeczytał na głos.

Tak brzmiało stwierdzenie otrzymane po usunięciu znaków †PX oraz Δ † I z inskrypcji widniejącej na płycie nagrobnej markizy

d'Hautpoul i zamianie w niej pozostałych liter greckich na łacińskie.

W tym samym momencie dostrzegł, że obok tego sformułowania było zapisane pojedyncze słowo, w którym trzy litery pogrubiono i wyniesiono ponad pozostałe. Od razu zauważył, że nie był to jego charakter pisma.

A R C A D I A

Z niedowierzaniem spoglądał na ten krótki wyraz. Nie myślał jednak wcale o jego znaczeniu, a o osobie, która go zapisała. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że to Philippe umieścił enigmatyczne słowo tuż obok zdania *Et in AAA ego*, a następnie podpisał zeszyt imieniem i nazwiskiem profesora, by kajet w końcu trafił w jego ręce. Bez niego Monroe nie rozwiązałyby zagadki. To *Arcadia* była brakującym elementem. To *Arcadia* była rozwiązaniem.

– Skrót, którego używali między sobą członkowie Compagnie nie brzmiał więc AA. – Kate rzuciła okiem na napis. – Była jeszcze jedna litera A... tak, aby całość po rozwinięciu tworzyła napis: *Arcadia*.

– I przez cały ten czas skrót AAA oznaczał *Arcadia*... – wyszeptał. – Dlatego Ebeling napisał mi w wiadomości, że to Poussin strzeże klucza. Jako członek Towarzystwa znał rozwinięcie skrótu.

Kate zastanowiła się.

– *Odnajdziesz Arkadię, która cię zachwyci...* – powtórzyła. – Zatem tak brzmi pełna treść zagadki Rivière'a. Ale to by znaczyło, że...

Przerwała.

– To by znaczyło, że Graalem jest Arkadia – dokończył za nią profesor. – Sądzę, że to była tajemnica rodu Hautpoul de Blanchefort, którą Marie de Nègre d'Ables powierzyła na łożu śmierci Antoine'owi Bigou, a Saunière przekazał Rivière'owi w tych samych okolicznościach. Moim zdaniem o tym Marie Dénarnaud chciała powiedzieć Noëlowi Corbu, ale nie zdążyła. I wreszcie to

chciał przekazać nam Philippe, gdy tworzył sigmę na posadzce kościoła.

– Ale gdzie w takim razie znajduje się sama Arkadia? – zapytała, obawiając się, że odpowiedź przejdzie jej najśmielsze oczekiwania.

Zawahał się.

– Poussin strzeże klucza – powtórzył na głos. – Przypomnij sobie, jakie kolory mają szaty pasterzy arkadyjskich na jego obrazie.

Zaskoczona tak nagłym poleceniem, zmarszczyła brwi i wysiliła się na odpowiedź:

– Niebieski, biały i czerwony, ale...

Nim zdążyła dokończyć zdanie, odpowiedź nasunęła się sama. Rozwiązanie było tak proste, że umknęło wielu pokoleniom historyków sztuki przed nią.

– Kolory francuskiej flagi – wyszeptała. – Pasterze na obrazie Poussina żyją w Arkadii, a kolory ich szat wskazują na to, że tą krainą jest Francja.

– A dokładnie południowa Francja – dodał. – Przypomnij sobie słowa Marie Dénarnaud: *Nawet nie zdajecie sobie sprawy, że dzień w dzień stąpacie po skarbie*. Nie miała wcale na myśli złota. Ta ziemia sama w sobie jest skarbem. Nawet Philippe mówił, że skarb jest duchowy, a nie materialny.

– A Ebeling nie zdawał sobie z tego sprawy. Poszukiwał ukrytych pieniędzy, nie wiedząc, że prawdziwym skarbem jest ziemia, po której stąpa. Rozwiązanie było tuż pod jego nosem. Kryło się w rozwinięciu skrótu Towarzystwa, do którego należał.

Uśmiechnęli się do siebie z niedowierzaniem.

*Tylko potomkowie kobiet wygnanych
Zwyciężą duszę potępioną na wieki*

Niemal równocześnie powtórzyli w myślach dwa ostatnie wersy zagadki.

– Jedną z kobiet wygnanych była Maria Magdalena, prawda? – zapytała Kate.

– Tak – potwierdził. – Zmuszono ją do ucieczki z Ziemi Świętej. Po długiej wędrówce w łodzi bez steru i wiosł dobiła w końcu do brzegów południowej Francji, która odtąd miała być jej nowym domem.

– A kim była ta druga kobieta?

Przypatrzył jej się uważnie, czekając, aż sama odgadnie.

– Marie Dénarnaud? – spytała niepewnie.

Pokiwał twierdząco głową.

– A dusza potępiona na wieki to demon Asmodeusz – dodał. – Król Salomon podstępnie skłonił go do uległości w czasie budowy Pierwszej Świątyni. Jest symbolem zniewolenia, a jego zwyciężenie ma oznaczać zerwanie łańcuchów krępujących obie Marie. Maria Magdalena uciekła i zyskała wolność, a jej potomek dał początek dynastii Merowingów. Podobnie Marie Dénarnaud wydała na świat syna i przekazała mu sekret Arkadii. Sekret Graala.

Niespodziewanie ogarnął ich błogi spokój. W końcu dobrnęli do końca historii Rennes-le-Château i pojęli tajemnicę małej miejscowości.

Monroe cofnął się o kilka kroków. Nagle wszystko stało się dla niego jasne, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Rozwiązaniem zagadki Saunière'a jest zatem poszukiwanie Arkadii, którą Poussin rozmyślnie utożsamił z południowymi obszarami Francji. W rzeczywistości jednak nie jest ona osobną krainą, a symbolizuje dążenie do określonego celu. Skarb nie czai się wcale na końcu ścieżki. Podróż, którą podejmujemy, by zdobyć to, na czym nam zależy, wynagradza nam wszelkie trudy po tysiąckroć.

Bowiem wędrówka do celu sama w sobie jest skarbem dla wędrowca. Graalem jest więc nie tylko to, do czego dążymy, ale również to, w jaki sposób osiągamy naszą Arkadię – ziemię obiecaną, krainę wiecznej radości, której mieszkańcom nieobce są jednak troski. Tak jak Maria Magdalena na południu Francji odnalazła dom, tak i wszyscy, którzy będą szukać swego miejsca na ziemi, odnajdą Arkadię, jeśli tylko ich droga będzie właściwa. Pasterze na obrazie Poussina żyli w raju, dopóki nie zdali sobie z tego sprawy. Z chwilą odnalezienia grobowca uświadomili sobie fakt przemijania i nagle raj przestał ich zadowalać. Żądali od niego coraz więcej, a z tego, co im oferował, cieszyli się coraz mniej. Uprzytomnienie sobie czekającej ich śmierci było zarazem końcem życia w wiecznym szczęściu.

Delikatny powiew wiatru potrząsnął koronami rosnących nieopodal iglaków. Dochodziła czternasta, a słońce chyliło się już ku zachodowi, choć do nocy pozostało jeszcze kilka dobrych godzin. Monroe rozejrzał się, rozmyślając, czy rzeczywiście w pogodny dzień widać z Rennes-le-Château szczyty Pirenejów.

Raz jeszcze powiódł wzrokiem po ogrodzie i świątyni Świętej Marii Magdaleny. Odniósł dziwne wrażenie, że jest w nich coś niepokojącego i wciąż niepoznanego. Nie był jednak w stanie rozstrzygnąć, który kościół krył w sobie więcej sekretów: prawdziwy czy ten odwrócony.

POSŁOWIE

Autor chciałby zaznaczyć, że fabuła książki i jej bohaterowie są dziełem jego wyobraźni, a zbieżność nazwisk jest przypadkowa. Chociaż nie byłby sobą, gdyby konstruując poszczególne wątki, nie oparł się na rzeczywistych wydarzeniach. I tak na przykład: opisany w książce akt wandalizmu w kościele Świętej Marii Magdaleny, polegający na zniszczeniu posągu Asmodeusza i reliefu na przedniej stronie ołtarza, zdarzył się naprawdę. Co więcej – miał on miejsce tego samego dnia, o którym mówi książka, to jest dwudziestego trzeciego kwietnia dwa tysiące siedemnastego roku. Był to dzień wyborów prezydenckich we Francji, a godne pożałowania zbezczeszczenie zabytkowych elementów kościoła było wyrazem sprzeciwu wobec prowadzonych na Bliskim Wschodzie działań wojennych, w których ginie mnóstwo kobiet i dzieci. Dokonała go młoda kobieta, która – co warto podkreślić – nagrała swój czyn. Po tym wydarzeniu głowa Asmodeusza została zastąpiona nową, trzecią już wersją, którą można obecnie oglądać w kościele.

I chociaż bohaterowie powieści są fikcyjni, to wszystkie postacie historyczne wspomniane na stronach dzieła istniały naprawdę. Najwięcej wątpliwości może budzić osoba Ernesta Crosa, przyjaciela Saunière'a, niebywale rzadko wspomniana w kontekście historii proboszcza. Sporządzone przez niego notatki rzeczywiście zostały skradzione, jednakże w internecie można znaleźć jedno z ich opracowań należące niegdyś do Reného Chesy. W niektórych źródłach owe zaginione dokumenty określa się mianem *Raportu*

Crosa i taką nazwą autor posłużył się w powieści. Czytelników zainteresowanych życiem tego inżyniera i jego rolą w nieco bardziej romantycznym wątku historii Rennes-le-Château odsyła się do niesamowitej książki Patrice Chaplin, *City of Secrets: One Woman's True-life Journey to the Heart of the Grail Legend*.

Opisy miejsc odwiedzanych przez bohaterów również odpowiadają rzeczywistości. Wiele z nich autor sam odwiedził i poznał, by móc jak najrzetelniej je opisać. W jednej tylko kwestii minął się z prawdą – w podziemiach komisariatu policji przy alei Henriego Goûta w Carcassonne nie ma prosektoriów i nie przechowuje się tam zwłok. Sekcje przeprowadza się w specjalnie przystosowanych do tego oddziałach szpitali i CH (*centres hospitaliers*). Ten świadomy błąd miał na celu przyspieszenie akcji i uniknięcie konieczności przemieszczania się bohaterów poza teren komendy policji.

Wszystkie dokumenty, na które autor powołuje się w powieści, są autentyczne, z wyjątkiem treści spowiedzi Saunière'a ukrytej w posągu demona Asmodeusza przez księdza Rivière'a. Wymyślając ją, autor starał się zachować styl typowy dla pergaminów, na które natknął się Saunière podczas prac renowacyjnych kościoła. Owe dokumenty – już dawno rozszyfrowane – nazwano małym pergaminem (*le petit parchemin*) i dużym pergaminem (*le grand parchemin*) i można je bez problemu odnaleźć w internecie.

Historia proboszcza Saunière'a – jak właściwie każda inna – zawiera w sobie ziarno prawdy. Z pewnością jednak nie jest nim ani skarb wciąż ukryty gdzieś pod odnowionym kościołem, ani złoto pozostawione przez księdza w jemu tylko znanym miejscu. Zwykle w każdej opowieści pełnej tajemniczości i niedopowiedzeń doszukujemy się rzeczy spektakularnych, a w rzeczywistości wszystko ostatecznie okazuje się zwyczajne. Z tego – zdaniem autora

– wynika zainteresowanie historią tajemniczego proboszcza, które bez cienia wątpliwości można nazwać fenomenem.

Teoria dotycząca związku między Saunière'em a Compagnie du Saint-Sacrement, na której opiera się powieść, została zaczerpnięta z opracowania autorstwa Daniela Dugèsa pt. *Le secret de Nicolas Poussin: Au cœur de l'affaire de Rennes-le-Château*. Niezbyt popularnego, bo właśnie opisującego historię Saunière'a jako dość zwyczajną, stroniącą od hipotez ogromnych bogactw i wielkiego Graala.

A jednak autor zdecydował się podjąć temat Graala, bowiem opowieść o Saunièrze nie może się bez niego obyć. Przy czym Graal i Arkadia to w mniemaniu autora synonimy. Ich poszukiwanie jest w rzeczywistości szukaniem domu, miejsca na świecie, gdzie czujemy się komfortowo. Miejsca, w którym nie brakuje zgrzyot dnia codziennego, ale w którym – nawet pomimo owych trosk – jest nam najlepiej. Refleksja o Graalu i Arkadii stanowi niewątpliwie sens opowieści o Saunièrze i historii Rennes-le-Château.

O ile wątek finansowania księdza przez tajemniczą organizację ma dość mocne poparcie w źródłach historycznych, o tyle zawarte w książce twierdzenie, jakoby Saunière miał dziecko z Marie Dénarnaud, jest fikcją literacką. Wprawdzie autor natknął się na tego typu hipotezy, ale nie są one podparte żadnymi dowodami, zatem pozostają w sferze marzeń i fantazji. Te domysły sugerujące romans między księdzem a jego służącą były jedynie kolejną otwartą furtką w historii enigmatycznego proboszcza, z której zdecydował się skorzystać autor. I – niech Czytelnik wierzy na słowo – takich furtek jest mnóstwo.

Przypisy

- [1] (łac.) Tajemnica sakramentalna.
- [2] (fr.) Zakaz prowadzenia wykopalisk na terenie gminy Rennes-le-Château.
- [3] Czytelnika odsyła się do poprzedniej części przygód profesora z Providence, z której dowie się on, jakie wydarzenia miały wpływ na zmianę stosunku Olivera do swojego ojca (Tomasz Serzysko, *Synowie Światłości*, wyd. WasPos, 2019).
- [4] William Henry Hulme, *The Middle-English Harrowing of Hell and Gospel of Nicodemus*, London, Pub. for the Early English Text Society by K. Paul, Trench, Trübner & Co., limited, 1907, tłumaczenie własne.
- [5] Twarz hipokratyczna – blada, zapadnięta, o wyostrzonych rysach, często towarzysząca ciężkim stanom chorobowym.
- [6] Dante Alighieri, *Boska komedia*, tłum. Julian Korsak, s. 39, dostępna na stronie wolnelektury.pl [dostęp: 6.08.2020].
- [7] (fr.) Posiadłość księdza Saunière’a.
- [8] W dniu 17 stycznia każdego roku w kościele Świętej Marii Magdaleny w Rennes-le-Château ma miejsce niezwykle spektakl. W samo południe promienie słońca prześwitujące przez witraże umieszczone w południowej ścianie świątyni padają na płaskorzeźby leżące po przeciwległej stronie budynku, tworząc kuliste struktury – swym kształtem przypominające jabłka.
- [9] (fr.) Kalwaria.
- [10] (fr.) Ogród kalwarii.
- [11] Daniel Dugès, *Le secret de Nicolas Poussin: Au cœur de l'affaire de Rennes-le-Château*, wyd. Pégase, Villeneuve de la

Raho 2006, s. 63.

[12] Ibidem, tłumaczenie własne.

[13] Lb 27, 16-17; *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, wyd. Pallottinum, Poznań 2003.

[14] Grafika opracowana na podstawie rysunku płyty zamieszczonego na stronie internetowej https://www.rennes-le-chateau-archive.com/pierres_tombales_blanchefort.php [dostęp 02.01.2023].

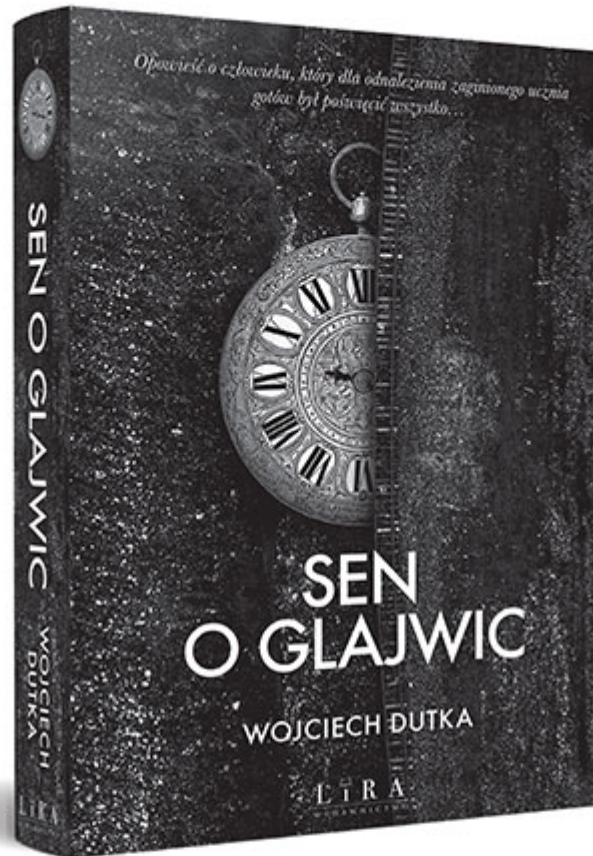
[15] Mt 5,6; *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, wyd. Pallottinum, Poznań 2003.

[16] Fragment pochodzi ze strony internetowej https://ia802801.us.archive.org/34/items/ac_goetia/ac_goetia.pdf [dostęp: 3.03.2022], tłumaczenie własne.

[17] (fr.) Nie zwrócono.

[18] W języku francuskim imię *Łukasz* pisane jest przez L i brzmi Luc.

JUŻ W KSIĘGARNIACH

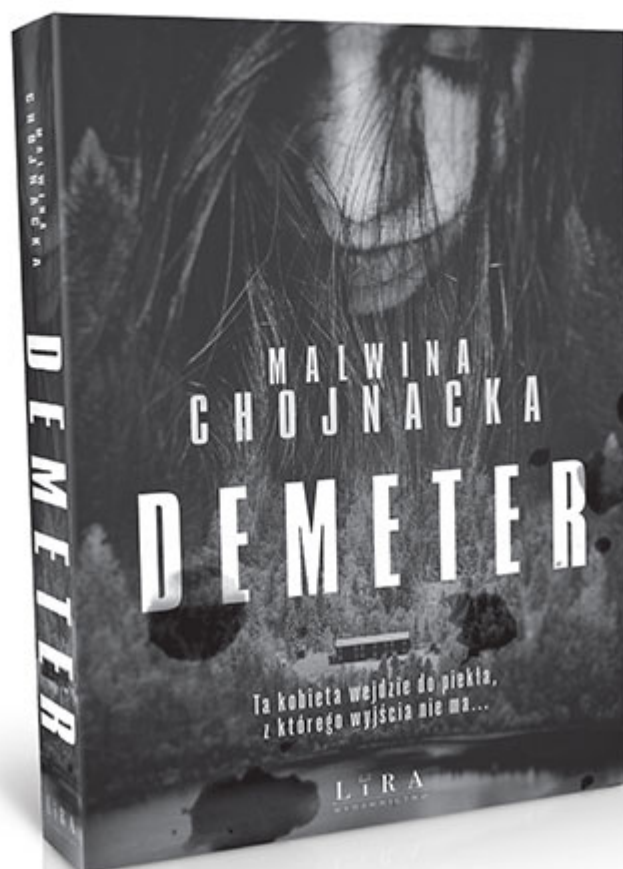


To opowieść o człowieku, który dla odnalezienia zaginionego ucznia gotów był poświęcić wszystko. To zarazem przewrotna biografia Gliwic – miasta o dwóch tożsamościach, które dzieli czas... Wojciech Dutka tworzy emocjonujący kolaż powieści historycznej, kryminalnej i obyczajowej z elementami fantasy.

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Zorganizowana grupa przestępcza.
Śmiertelnie niebezpieczny trójkąt miłosny.
I kobieta ryzykująca własne życie, by przerwać
krąg zbrodni... Lira poleca trzymający w napięciu
thriller obyczajowy Malwiny Chojnackiej!

www.wydawnictwolira.pl

LIRA
WYDAWNICTWO

Południowa Francja. Niewielkim miasteczkiem Rennes-le-Château wstrząsają wieści o brutalnych zabójstwach księży kościoła Świętej Marii Magdaleny. Kiedy zaniepokojony proboszcz parafii prosi o pomoc miejscowych policjantów, ci pozostają obojętni i bagatelizują problem.

W tym samym czasie Oliver Monroe, profesor archeologii na jednej z amerykańskich uczelni, odbiera od swojej przyjaciółki Kate Evans tajemniczy telefon z prośbą o pomoc i niezwłoczne udanie się do Francji. Wskazówki, jakie od niej dostaje, kierują go na trop makabrycznych mordów. Zagadki nie da się jednak rozwiązać bez powrotu do tego, co działo się w Rennes-le-Château za probostwa François Bérengera Saunière'a. Rozpoczyna się niebezpieczna gra, w trakcie której Oliver będzie musiał nie tylko rozszyfrować mnóstwo znaków, lecz także uwolnić porwaną Kate i odnaleźć zabójcę księży. Finału tej historii nie sposób przewidzieć...

Tomasz Serzynski w najnowszej książce zaprasza Czytelników do zmierzenia się z sensacją najwyższej próby z odniesieniami do historii, opowieści niesamowitych i teorii spiskowych na temat największej tajemnicy Kościoła.



TOMASZ SERZYNSKI – pochodzi z Wałbrzycha. Swoją przygodę z pisaniem rozpoczął jeszcze w liceum, kiedy to powstała powieść „Synowie światłości”. Jego książki mieszczą się w nurcie powieści sensacyjnych i inspirowane są prozą takich autorów jak Dan Brown czy Steve Berry. Nie brak w nich również nawiązań do utworów Howarda Phillipsa Lovecrafta, którego twórczość od zawsze była mu bliska. Ukończył medycynę weterynaryjną, która zaraz po pisaniu pozostaje jego drugą pasją.

ISBN: 978-83-67388-97-9



Cena: 46,99 zł
(w tym 5% VAT)

LIRA
WYDAWNICTWO

www.wydawnictwolira.pl